

zwierciadło



AŁBENA GRABOWSKA

# STULECIE WINNYCH

— POCZĄTEK —





AŁBENA GRABOWSKA  
STULECIE WINNYCH  
— POCZĄTEK —

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1874 rok

1879

1882

1883

1888

1889

1898

1900

1912

Inne książki Ałbeny Grabowskiej

© Copyright by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2021  
Text © copyright by Ałbena Grabowska 2021

Redakcja: MAŁGORZATA KUŚNIERZ

Korekty: Melanż

Okładka: PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN® – [www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Projekt typograficzny: NATALIA BARANOWSKA/manukastudio.pl

Skład i łamanie: SYLWIA ROGOWSKA-KUSZ, Magraf s.c., Bydgoszcz

Dyrektor produkcji: ROBERT JEŻEWSKI

Zdjęcia: portrety – z archiwum prywatnego Autorki;

pejzaż: matthew-t-rader/unsplash

skrzydełko: WOJCIECH OLSZANKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

ISBN 978-83-8132-289-8

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.

ul. Widok 8, 00-023 Warszawa

tel. (22) 312 37 12

Dział handlowy: [handlowy@grupazwierciadlo.pl](mailto:handlowy@grupazwierciadlo.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Pamięci moich dziadków oraz ojca  
– Zofii, Stefana i Janusza Grabowskich.*



## 1874 ROK

**N**igdy wcześniej ani później Bronia nie bała się tak bardzo jak wtedy, kiedy stała przed ołtarzem w kościele pod wezwaniem świętego Floriana w Brwinowie i przysięgała Antoniemu miłość i wierność do grobowej deski. Serce tłukło się jej w piersi niczym oszalały z niepokoju ptak, a myśli krążyły dokoła, nie pozwalając się skupić na słowach księdza Tadeusza. Matka Boska Częstochowska przyodziana w sukienkę ze srebrnej blachy patrzyła znad ołtarza surowym wzrokiem, natomiast dwa putta trzymające koronę nad głową Królowej Polski wydawały się spoglądać na rozterki panny młodej z obojętnością. Bronka ze wszystkich sił próbowała słuchać słów księdza, ale im bardziej się starała, tym większy rósł w niej strach.

W dzień ślubu matka przyszła zbudzić ją nieco później niż zwykle. Niepotrzebnie jednak cicho stąpała po świeżo wyszorowanych deskach, ponieważ Bronka tej nocy nie zmrużyła oka. Kiedy matka weszła do izby, dziewczyna leżała z zamkniętymi oczami i czekała, aż rodzicielka dotknie jej czoła chłodną dłonią i powie, że to dziś. Dziś ostatni panieński ranek, dziś odda ją mężowi, dziś nie wróci do domu, dziś należeć będzie do kogo innego. Bronka знаła te słowa, gdyż słyszała je już po raz trzeci. Najpierw skierowane do Zochy, najstarszej siostry, potem do Jasi, drugiej z kolei córki Jadwigi i Mariana Wielichnowskich, teraz do niej samej. Wstała zatem natychmiast, pocałowała rękę matki, wysłuchała jeszcze kilku zdań zaczynających się od słowa „dziś”. Potem do izby weszły jej zamężne siostry i zgodnie z rodzinną tradycją wszystkie cztery ukłękły wspólnie do modlitwy. Bronia, czy to z zimna, czy z niewyspania, dygotała na całym ciele. Gołe kolana oparte na drewnianej podłodze bolały ją tak bardzo, że nie mogła skupić się na wypowiedzianych słowach.

– Święta Boża Rodzicielko – zagrzmiała matka.

– Módl się za nami – odpowiedziały chórem Bronia i jej siostry.



Odmawiały Litanię loretańską każdego poranka, ale dopiero dziś uświadomiła sobie, że pierwsze wezwanie Najświętszej jest związane z urodzeniem Boga. Wstrząsnął nią dreszcz. Czego się boisz, skarciła się w myślach. Ufaj Bogu, ciebie On nie wybrał ani tak nie doświadczy jak Najświętszą Panią. Nie będziesz musiała patrzeć jak twój syn dorasta, nie bierze sobie żony, a w końcu umiera w męczarniach. Tobie niepisane takie doświadczenia. Ty do takich przeżyć jedynie się modlisz, przekonywała samą siebie.

– Matko nieskalana, módl się za nami. Matko najczystsza, módl się za nami. Matko Dziewicza, módl się za nami... – powtarzała skupiona, a ucisk w jej piersi nieco zelżał.

Zocha, najstarsza siostra, mężatka od czterech lat, miała już dwóch synów, obecnie oczekiwała trzeciego dziecka. Druga, Jasia, poślubiła dwa lata temu drwała Józefa. Jeszcze nie doczekali się dzieci, co w rodzinie wzbudzało niepokój. Na intencję zaciężenia Jaśki co wieczór poświęcano jedną modlitwę. Czy będę miała tyle dzieci co Zocha, czy też mama modlić się będzie za mnie jak za Jaśkę, uciekła myślami Bronia.

– Królowo Różańca Świętego, Królowo rodzin, Królowo pokoju...

Kiedy była mała, myślała, że chodzi o pokój w domu bogacza, u którego służyli i matka, i ojciec. U nich w domu były izby, stąd brało się jej przekonanie o tym, że Matka Boża króluje we dworach, a nie w ubogich chatkach. Dopiero kiedy podrosła, zrozumiała, że Matka Boża chce być królową świata bez wojen. Jakże piękne się to wydawało. Litania to modlitwa kobiet, dlatego oczywistym było, że Najświętsza Panią żądała pokoju na świecie jedynie od niewiast. Mężczyźni, którzy nigdy tej litanii nie odmawiali, nie musieli się do owych słów stosować.

– Królowo Polski – brzmiało ostatnie wezwanie.

Przywoływanie Polski, której nie było, sprawiało jej ból. Przegoń obcych z naszej ojczyzny, prosiła zawsze na koniec modlitwy, chociaż podsłuchiwała kiedyś rozmowę księdza z doktorem, że wolność ojczyzny może się ziścić tylko wtedy, kiedy światem wstrząśnie wojna. Miała głęboką nadzieję, że tak się nie stanie, a wolność uda się uzyskać za wstawiennictwem

Najświętszej Maryi Panny, która w końcu odda Polakom swoje królestwo. Bronka zatem milkła, kiedy matka dodawała od siebie: „O wojnę powszechną, o wolność ludów, prosimy cię, Panie”. Nie chciała o to prosić. Może już przeczuwała, że wiele lat później przyjdzie jej przeżyć dwie wojny i wylać morze łez nad trupami bliskich. Wzdrygnęła się po raz kolejny, a troskliwa jak zwykle Jasia zdjęła z ramiona swój szal i okryła nim plecy Bronki. Ta poczuła ciepło ciała Jasi i siłą powstrzymała się, aby nie wybuchnąć płaczem.

– Módl się za nami – powtórzyły jak echo dziewczęta. – Amen.

Bronia wstała z kolan i stęknęła cicho. Nie rozmasowała ich jednak, nie chciała wygładzić skóry, na której odcisnęła się podłoga tak drogiej jej izby. Może mój mąż podaruje mi chatę, w której deski są równe, a drzazgi nie wchodzą w ręce podczas szorowania i w kolana w czasie modlitwy, pomyślała, siadając na krześle. Matka pocałowała Bronkę w głowę i wyszła z pomieszczenia. Jasia wniosła grzanego w misce i pomogła Broni rozpleść warkocz. Rok wcześniej Bronka to samo zrobiła dla niej, bowiem kolejną tradycją było przygotowanie panny młodej do ceremonii zaślubin przez starszą siostrę. Jasi powinna zatem służyć Zocha, ale dwa dni przed ślubem Jasi powiła Karlika. Jeśli było coś bardziej niewłaściwego od tego, żeby młodsza siostra pomagała starszej szykować się do ślubu, to tylko obecność przy dziewiczych ablucjach kobiety w połogu.

– No już – zachęciła ją Jasia.

Bronia miała najpiękniejsze włosy z całej trójki. Jasne, ale o orzechowym odcieniu, mieniące się złociście, szczególnie w słońcu. Gruby jak przegub warkocz zakręcała dwa razy wkoło głowy.

– Kiedy panienka czesze się w koronę, to jakby prawdziwą koronę na głowie miała – powiedział do niej Antoni, a ona się zakochała w tych słowach, bo zawsze słowa kochała i tylko te dobre sprawiały, że coś czuła.

Pochyliła się posłusznie nad miską i pozwoliła Jaśce umyć sobie głowę żółtkami i opłukać włosy piwem. W końcu to był dzień jej ślubu, a w rodzinie Wielichnowskich nigdy nie żałowano żółtek, kiedy któraś z dziewcząt wychodziła za mąż.



– Zobacz, przyniosłam ci moje wstążki. Tak ci się podobały, pamiętasz? – uśmiechnęła się Jaśka.

Siostra nie była jej bliska. Chociaż starsza jedynie o rok i do dnia jej ślubu spały w jednym łóżku, to niewiele ze sobą rozmawiały. Z Zochą było podobnie. To raczej ona i Jaśka powinny spać obok siebie. Kiedy Zocha szła za swojego Tadeusza, Jaśka płakała całą noc, aż Bronia była zła na nią, że jej spać przeszkadza.

– Przecież nie idzie ani za marynarza, ani za górnika i nigdzie nie wyjedzie – tłumaczyła jej. – Przeciwnie, będzie mieszkała za miedzą.

– Ale to inaczej będzie, kiedy dom opustoszeje – chlpała Jasia.

– Zaraz dzieci jej Tadek narobi, to znów będzie hałas – powiedziała wtedy Bronka, a Jaśka zrobiła się czerwona jak burak i odwróciła się do niej plecami.

Bronka też się wtedy zawstydziła. Nie używała takich słów, licho wie, co ją podkusiło. Może miała żal, że siostra tak Zochę kocha i życia sobie nie wyobraża bez niej. Powiedziała o „majstrowaniu dzieci”, żeby Jasi zrobić przykrość, dać do zrozumienia, że kto inny zawładnie jej ukochaną siostrą, że ona dla kogo innego będzie tą najmilszą. Tadek był wyjątkowy. Od razu było widać, że dobry chłop. Do domu po robocie wracał i jeszcze chałupę żonie wybudował. Ziemię mieli po jego rodzinie, bo Tadek był jedynakiem. Jego matka zmarła rok po tym, jak go na świat powołała, na gruźlicę, a jego wychował ojciec, który nigdy się ponownie nie ożenił. I Tadek żył po bożemu. Za matkę się w kościele modlił, dwa lata tajnej szkoły powszechnej skończył, bo zaraz do roboty poszedł, ojcu pomagać. W niedzielę po mszy z ojcem do domu szedł, nie do karczmy, a kiedy tylko wiek męski osiągnął, to się za najładniejszą panną obejrzał, a że porządny, to i panna go chciała. Nikt wątpliwości w rodzinie nie miał, że Zosia dobrze trafiła i z Tadkiem będzie szczęśliwa. Bronka lubiła Tadka, ale wydawał się jej za prosty dla Zochy. Co to za mąż, który ledwie się umie podpisać, pytała Jasi, ale ta machała ręką i tłumaczyła Bronce, że oni przecież są chłopami i komu co dobrego z pisania przyjdzie. Zwłaszcza po polsku, bo po rosyjsku to nawet gdyby dopłacali, toby Tadek nie chciał, dodawała.

– Podpisać się umie i przeczytać co trzeba – wyjaśniła Bronce matka. – W Brwinowie nie ma bogatszego. Zosi chleba nie zabraknie.

I zaraz wszyscy zapomnieli, że Wielichnowscy nie zawsze byli chłopami, bo sam Władysław IV nadał ich prapraprapradziadowi tytuł szlachecki i herb Poraj w uznaniu zasług dla Korony. Potem ów prapraprapradziad jedną z dwórek za żonę pojął i wydawało się, że przed rodziną świetlana przyszłość. Tyle że z tego małżeństwa zaraz po kilku miesiącach syn przyszedł na świat i przodek zrozumiał wtedy, czemu to król taki dla niego łaskawy i chłopca Józka Lichnego w szlachcica Józefa Wielichnowskiego zmienił. Bo do tyłu to liczyć umiał, żeby się doliczyć, że żona w czasie nocy poślubnej to już dawno musiała być po spółkowaniu z kim innym. Ale nic z tą wiedzą począć, nomen omen, nie mógł i musiał żonę w domu trzymać. Ojcem chłopca, który się urodził, był zapewne jakiś niedobry człowiek, bo syn od najmłodszych lat przejawiał predyspozycje do nieróbstwa i warcholstwa. Szlachcicowi obić synowski tyłek nie wypadało, chociaż może i próbował, ale z marnym skutkiem. Żona po porodzie całkiem się przestała do Józefa odzywać, bo i po co, kiedy swoje zrobił. Zatem chłopiec, kiedy dorósł, cały majątek przepił i jeszcze ziemię zastawił. Józef umarł ze zgryzoty, wkrótce potem i matka, gdyż syn nawet jej nie okazał synowskich uczuć. Feliks, bo tak go nazwano, próbował jeszcze jakiegoś majątku się dorobić, przymawiał się tak długo we dworze, że w końcu dano mu za żonę jakąś pannę, która nie miała wielkiego majątku, ale ponoć była dobrą kobietą. Dzieci z tego związku było kilkanaścioro, z czego przeżyła czwórka, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Jedni byli mniej robotni, inni bardziej. Jedni mieli więcej szczęścia w życiu, inni mniej, tak jak to bywa wszędzie, nie tylko w podwarszawskich wsiach. Jedno ich łączyło – wszyscy ubożeli z pokolenia na pokolenie, chociaż jeden klan Wielichnowskich bardziej, inny mniej. Rodzice Józefa Wielichnowskiego jako pierwsi opuścili Podlasie i przenieśli się do Brwinowa. W domu mówiło się, że ojciec Józefa, który był kolejarzem, chciał do samej Warszawy jechać, bo jak twierdził, sroce spod ogona to on nie wypadł, a poślubił najpiękniejszą i najmajątniejszą pannę, do tego miastową, która umiała pisać i czytać,

podobnie jak on. Tyle że w Warszawie pytali, kim właściwie jest. Jak im powiedział, że szlachcicem, ale zubożałym, to go grzecznie odprawili. Zabrał się zatem z furmanką i panną młodą z zamiarem powrotu tam, skąd przyjechał, ale rodzinna legenda głosiła, że zatrzymał się na nocleg w Brwinowie i zdecydował, że tu zamieszkają, tu urodzą się jego synowie i tu osiadzie. Jak zdecydował, tak się stało, z tym że doczekali się z żoną jedynaka, a i urzędnikiem na kolei nie został, tylko zwykłym kolejarzem. W Brwinowie ziemię dostał na korzystnych warunkach, wydał na to prawie całe spieniężone wiano żony i tak zostali wieśniakami, tylko od czasu do czasu opowiadali synowi, a potem wnuczkom, o tym przodku, którego to, wydawało się, takie honory spotkały. Miało być dobrze, a wyszło jak zwykle, mawiał ojciec Broni i śmiał się głośno, aż mu się wielkie wąsiska trzęsły.

Przyznać trzeba, że w zachowaniu ojca czuć było tę szlacheckość, która płynęła w jego żyłach. Żonę szanował, do domu zawsze po pracy wracał i był dumny z córek. Nie dość, że na stacji w Brwinowie pracował i pociągi witał i żegnał, to jeszcze ziemię uprawiał, plony dobre zbierał, z Ruskimi umiał się ułożyć. Kiedy wydawać się mogło, że Józef Wielichnowski przywróci rodzinie jej świetność, wybuchło powstanie styczniowe i Józef poszedł do walki. Jakimś cudem wrócił cały i zdrowy, wdzięczny Bogu za ocalenie, bogatszy nie tylko o wiedzę, jak się broń czyści i bagnet ostrzy, ale też że nigdy nijakim szlachcicem, nawet zubożałym, nie będzie. Bo szlachcice, te pany, co to ramię w ramię z chłopami walczyły, to miały Józefa za nic, za zwierzę co najwyżej, które może zasłonić ich szlacheckie ciała własnym, za kogoś dobrego jedynie na okopowego towarzysza, ale na pewno nie za kogoś, kto po bitwie może z nimi jeść przy jednym stole. I choć wszy równo gryzły panów i chłopów, to chłopów, w tym Józefa, jakby bardziej.

Kiedy wrócił do domu, to już nie było mowy o tym, że Wielichnowscy to szlachta. Już się nie słyszało „my im jeszcze pokażemy” ani „taka rodzina jak nasza...”. Zatem gdy Zocha przedstawiła Tadka drwala, co ledwie pisał i czytał, ale był najbogatszym kawalerem we wsi, to matka się popłakała ze

wzruszenia, ojciec uściskał przyszłemu zięciowi rękę i nazwał go synem. I stało się tak, jak Bronka prorokowała. Tadek co rok majstrował Zośce syna, a ona wydawała się coraz szczęśliwsza. Kiedy w niedzielę po mszy przychodziła do ich domu rodzinnego i siadali z Tadkiem do wspólnego obiadu, jej chłopcy, Karolek i Gutek, śmiali się głośno, gaworzyli, a kiedy nauczyli się chodzić, ganiali bez opamiętania po niewielkiej izdebce.

– Pięknie będziesz wyglądała, Broniu – Jasia obejrzała fryzurę siostry i cmoknęła z zadowoleniem, po czym podała jej lustro. Z lustra patrzyła na Bronkę poważna dziewczyna, nieco za bardzo wystrojona, trochę obca.

– Pięknie – potwierdziła, chociaż nie czuła się piękna.

– Tylko musisz się uśmiechnąć – zachęciła ją Jasia.

Bronia rozciągnęła usta w uśmiechu, ale zaraz kąciki ust jej opadły.

– Co się stało? – przestraszyła się Jasia. – Boisz się?

Dziewczyna pokręciła głową. Drugie kłamstwo w przeciągu kilku minut i to po Litaniu loretańskiej. Nie chciała sprawić siostrze przykrości, ale cóż, kiedy nie czuła się piękna z Jasinymi wstążkami na głowie i bała się tak bardzo, że nie mogła oddychać. Jasia pogładziła ją po ramieniu.

– To nic takiego – powiedziała, nie patrząc na siostrę. – To jest po to, żeby ciebie Pan Bóg pobłogosławił.

Bronia nie wyprowadzała jej z błędu. Akt, który następował po ślubie, nie przerażał jej, może napawał jedynie niewielką obawą. Nie to było przyczyną jej lęków. W końcu wszystkie mężatki doświadczały tego czegoś i mało która się skarżyła. Skarżyły się raczej na pijaństwo mężów, nieróbstwo, na to, że ten i ów bije, ale że pod pierzyną coś było nie tak, to ona nigdy nie słyszała. Może się wstydziły, a może zawsze było tak, jak trzeba. Bronia bała się czegoś innego. Bała się, że ten Antoni, którego przecież dobrze nie znała, będzie dla niej obcy. Tadek i Józek byli stąd. Znali ich wszyscy, matki razem w pole szły, ojcowie do pracy, dzieci chodziły razem do szkoły za kościołem. A Antoni? Mówił, że sierota i wszyscy mu pomarli. Czemu przyjechał właśnie do Brwinowa? „Bo tu najładniejsze panny są, tom przyjechał”, powiedział jej. Do dziś dnia

uważała się za wybraną, wyjątkową. Ale co, jeśli w jego nazwisku, Winny, było zawarte ostrzeżenie dla niej?

– Ciebie także pobłogosławi – Bronka chwyciła Jasię za rękę. – Zobaczysz.

– Co Bóg da – uśmiechnęła się smutno, ale nie odwróciła już oczu. – Bądź spokojna i niech wam się darzy.

A jeśli nigdy nie będą dobrze żyli, ich dzieci nie będą się śmiały jak dzieci Zochy albo, co gorsza, nie będzie miała dzieci jak biedna Jasia i rodzinie dojdzie do modlitwy jeszcze jedna niebłogosławiona córka? Co się wtedy stanie? Kto wie, jak wtedy potoczy się jej życie. Serce znów zatrzepotało w jej piersi jak przerażony ptak.

– Dziękuję, Jasiu – powiedziała szybko, bo nie chciała, żeby siostra zaczęła jej opowiadać w szczegółach o tym, czego może się spodziewać w noc poślubną. – Już jest dobrze.

– Teraz koszula i spódnice – komenderowała Jasia, ubierając Bronię w kolejne sztuki garderoby, wyprane, wykrochmalone starannie i uprasowane żelazkiem z duszą pożyczonym od Zochy, bo ich własne nie nagrzewało się tak dobrze i nie prasowało tak dokładnie.

– I trzewiki – uśmiechnęła się na koniec Jasia, podając jej nowe, sprawione na ślub buciki, po które jeździli do Grodziska, do lepszego szewca niż ten brwinowski.

Bronia ponownie popatrzyła w podane jej przez siostrę lustro. Dziewczyna, która teraz na nią spoglądała, nie była już taka obca ani smutna. Może sprawiła to pasiasta spódnica, pasująca kolorami do wstążek we włosach, a może udzieliła się jej życzliwość siostry. Bronia uśmiechnęła się do swojego odbicia.

– Gotowa – podsumowała Jasia i powiodła Bronkę do kuchni, gdzie już czekała Zocha z matką, obie odświętnie ubrane i gotowe, aby najmłodszą córkę do ślubu prowadzić, oraz ojciec, inny zupełnie, wyprostowany i uroczysty.

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko – powiedziała matka, a Bronia chciała krzyknąć: „Wiem, mam mieć dzieci jak Zocha, a nie jak Jasia, wszystko rozumiem, tylko czy to ode mnie zależy?”. Zamiast tego spuściła skromnie oczy i powiedziała:

– Dziękuję, mateńko, za te lata troski, za twoją miłość, za hojny dar życia.

– Bądź zdrowa, córko, i dbaj o siebie – dodał ojciec, a Bronia, jej siostry i nawet matka zastygły w zdumieniu. Ojciec powinien powiedzieć, żeby służyła mężowi, żeby dbała o niego, nie o siebie. On zaraz wyczuł niepokój swoich kobiet, bo uśmiechnął się i powiedział:

– Bronka jest posłuszna i nie mam wątpliwości, że będzie dobrą żoną. Dlatego życzyłem jej, aby była zdrowa. Jak człowiek ma zdrowie, to wszystko inne też będzie miał. A jak nie zadba o siebie, to z sił opadnie i żaden z dziewczyny pożytek, choćby kark do ziemi zginała.

Zocha i Jasia spojrzały po sobie. Im ojciec nakazał tylko posłuszeństwo mężom.

– Tak, ojczy – powiedziała Bronia. – Dziękuję ci za twoją dobroć, surowość i odpowiednie wychowanie.

Matka uroniła łzę, a ojciec poklepał ją twardą, ciężką ręką po policzku. To była pieszczota, ale Bronię zapiekła skóra, jakby ją ojciec uderzył. Znów zachciało się jej płakać.

– Bądź mu posłuszna – powiedział w końcu, a siostry odetchnęły z ulgą, bo wszystko wróciło wreszcie na swoje miejsce, słowa też.

Pokiwała głową. Matka była posłuszna ojcu, jak dobra żona powinna być posłuszna mężowi. Ojciec był temu posłuszeństwu rad. Łatwo być posłusznym komuś takiemu jak ojciec Zochy, Jasi i Broni. Mężczyźnie wielkiemu jak góra, ale łagodnemu jak baranek. Zarówno matka, jak i one zawsze chciały się ojcu przypodobać. Bo też ojciec miał dla nich wiele miłości i życzliwości. Tak, właśnie życzliwości. Nie umiała powiedzieć, czy ojciec je kochał. To słowo było zbyt wielkie i niezrozumiałe. Może było tylko „pańskie”, kto to wie. Na pewno ojciec patrzył na nie życzliwie, może nawet lubił Bronkę i jej siostry, cieszył się, że je ma.

U nich w domu nie było bicia. Ojciec nigdy na matkę ręki nie podniósł, a na nie palca nie zakrzywił. Inna sprawa, że one grzeczne były, pracowite, pobożne i miłe. „Moje dziewczynki”, mawiał. Może wolałby synów, którzy pracowaliby z nim ramię w ramię, z którymi mógłby po robocie usiąść i wspominać dawne czasy, szczególnie tamte mroczne, kiedy do powstania poszedł. Z córkami niczego nie wspominał, o bitwach nie opowiadał, ani o odniesionych ranach, może jedynie o rozczarowaniu mówił, i to tylko matce. A może wcale tak nie myślał, tylko Bronka sobie tak ubzduriała w głowie, żeby zrozumieć, czemu ojciec w takich ciężkich czasach, spokojny i wszystkim życzliwy.

Raz jeden widziała go rozsierzonego. Kiedy przyjechał brat matki z niesympatyczną ciotką i dwoma synami, którzy zerkali na Wielichnowskie spode łba. Wuj rozsiadł się, kazał „swojej babie” w kuchni siedzieć, siostrzenicom obsługiwać synów, a po wódce zaczął uzalać się nad biednym ojcem, że trzy córki ma, nieszczęście wielkie i skaranie boskie. Bełkotał coś po pijaku o tym, że kobiecych tyłków trzeba pilnować, prac regularnie, patrzeć, czy równo puchnie, czy winne czemu, czy nie. Ojciec się wściekł, Bronka przeraziła się wtedy, bo żyły mu wyszły na szyi, grube i twarde jak postronki, ale widać zaraz odwołał się do swojej natury, bo złagodniał. Widocznie uznał, że gościnność sprawa najważniejsza, dlatego popił ze szwagrem, pochwalił jego synów, że takie silne chłopcy, i z ulgą pożegnał gości. Nigdy więcej do nich nie przyjechali.

Kiedyś ojciec opowiadał, że matkę poznał, gdy pojechał w rodzinne strony na pogrzeb dziadka. Piorun w niego strzelił, jak zobaczył wielkooką dziewczynę o smutnej twarzy i pięknych czarnych włosach. A potem to już szybko poszło. Przyszłym teściom się pokłonił, zapewnił, że ma dobrą pracę, urodzajne pola i dziewczynę zabrał. Bronia nie raz zastanawiała się, czy matce nie żal, bo do rodzinnego miasta jeździli niezwykle rzadko. Babka odwiedziła ich kilka razy, dziadek nigdy. A kiedy pytała o niego i wujów, nieodmiennie dostawała taką odpowiedź: „Bracia głupi byli, a ojciec ciężką miał rękę. Bił nas tak, że krew szła. Za nic. Bo lubił bić”.



Bronka była ulubienicą ojca. „Pewnie dlatego, że najmłodsza”, powiedziała kiedyś mama do Zochy, która gniewała się, że Bronkę ojciec kocha najbardziej.

– Nieprawda, nie dlatego – powiedziała wtedy Jasia. – Dlatego że najładniejsza.

– Nie jest najładniejsza – zaprotestowała Zocha. – Ty, Jasiu, jesteś z nas najładniejsza.

– Nieprawda, bo ty – dosłyszała głos Jaśki.

Matka wtedy roześmiała się.

– Wszystkie jesteście ładne, a ojciec nie kocha nikogo najbardziej. Ja też nie.

– Mama wie, że to nieprawda. Jak Bronia coś zmaluje, to jej nic, a nam... – powiedziała gorzko Zocha.

Miała wtedy rację. Kiedy któraś z nich zepsuła coś albo wykazała się bezmyślnością, mama gniewała się i to było okropne. Robiła się wtedy taka mała i smutna, a z jej twarzy wyzierała rozpacz, że ma takie leniwe i niezdarne córki. Tak się działo, kiedy któraś nie zasłoniła dość dobrze śmietany i mysz do niej wpadła albo gdy nie zabezpieczyła masła i zjełczało, albo na czas nie przegotowała mleka i się zwarzyło. To prawda, że podobne rzeczy zdarzały się wyjątkowo rzadko, na palcach jednej ręki policzyć, ale się zdarzały. Najczęściej Broni. I kiedy Zocha rozdarła niedzielą suknię o gwóźdź, chociaż przecież nie chciała tego zrobić, mama płakała cały dzień, jakby to nie był zwykły materiał, tylko czyjeś ciało. Zocha zszyła suknię i prawie nie było śladu, ale matka i tak chodziła jak struta. Pocieszały wtedy rodzicielkę, ale pocieszyć nijak się jej nie dało. Wreszcie Bronia nie wytrzymała, zaprowadziła Zochę do izby, w której siedziała matka, pochlipując, i krzyknęła:

– Zbij ją i przestań dręczyć!

– Ja nie dlatego... – odpowiedziała. – Wybaczcie mi – dodała, po czym wyszła w pole i nie było jej aż do wieczora.

Zocha miała rację – jedna Bronia umiała matkę poskromić i sprawić, żeby przestała się martwić. Czy to się wiązało z większą miłością, Bronia nie była pewna.

– Przyniesiesz szczęście mężowi – zachwyciła się Jasia.

Antoni będzie moim szczęściem, pomyślała Bronia. Będę z nim szczęśliwa. Nie tak jak w książkach, bo takiego szczęścia naprawdę nie ma, tylko po wiejsku, ale będę.

– Chodźmy – rzekła i uśmiechnęła się do rodziców i sióstr.



Kiedy tylko przestąpiła próg kościoła, wątpliwości wróciły ze zdwojoną siłą. Prosiła Najświętszą Marię Pannę o wstawiennictwo i wszelkie łaski. Gdy myślała o łaskach, nie chodziło jej o dar posiadania dzieci, ale o to szczególne uczucie miłości, którego chciała doświadczyć u boku męża. Niech on mnie kocha, modliła się. Niech trwa u mego boku, dodawała. Niech mnie zrozumie. To ostatnie nie było dla niej samej jasne. Nie umiałyby powiedzieć, co się kryło za tym zrozumieniem. Wydawało się to jej jednak ważne. Nawet bardzo ważne.

– Podajcie sobie ręce – powiedział ksiądz po polsku, kiedy skończył oficjalne łacińskie nabożeństwo i zwrócił się do młodych.

Znała go od dziecka. Proboszcz Tadeusz był dobry, z okazji świąt zawsze miał dla dzieciarni cukierki. Bon bony, jak je nazywał. Rozdawał je i tak się cieszył, kiedy dzieci je jadły i pytały, czy to sam Pan Bóg z nieba takie pyszności im przysłał. Kto wie, skąd je brał. Ksiądz, który mówił, że Bronia powinna urodzić się chłopcem, bo taka jest bystra i mądra, że szkoda takiego sprytu dla dziewczynki. Kiedy była mała, lubiła tego słuchać, a gdy podrosła, zrozumiała, że słowa księdza mają swoje uzasadnienie, i poczuła to, co czuł ksiądz. Też żałowała, że urodziła się dziewczynką. Bo Bronia najbardziej na świecie chciała się uczyć. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności jak rachunki, czytanie pięknych wierszy Adama Mickiewicza, nauka o roślinach i zwierzętach. Gdzieś tam na świecie były dalekie kraje,

a Bronia nabierała świadomości, że nigdy ich nie odwiedzi, że nigdy nie pozna, tylko dlatego, że nie jest chłopcem.

Niedługo potem przekonała się, co dokładnie ksiądz Tadeusz miał na myśli, i złamało jej to serce. Ksiądz wybrał jednego chłopca, Heńka Damięckiego, i posłał go do szkół, bo Heniek chciał się uczyć na księżyczka. Bronia znała go dobrze, gdyż razem dorastali w sąsiadujących ze sobą obejściach. Trudno o chłopca, który mniej pasowałby na duchownego. Pamiętała z dzieciństwa obraz Świętego Franciszka otoczonego przez ptaki i zwierzęta. Heniek nienawidził zwierząt. Dręczył bezpańskie koty, urywał konikom polnym nogi i wsadzał je do mrowisk, niszczył ptakom gniazda i ganiał kury po obejściu, za co ojciec nie raz mu tyłek pasem złoił. Henryk nie był dobrym dzieckiem, ale był chłopcem i kiedy tylko powiedział, że chce się uczyć, ksiądz Tadeusz zabrał go, gdzie trzeba, i wszystko załatwił. Płakała wtedy cały dzień i nikomu nie chciała powiedzieć dlaczego.

– Tą stulą, którą wiązę wam ręce... – przez mgłę jej świadomości przebiły się słowa duchownego.

Uniosła wzrok i popatrzyła w twarz dobremu księdzu. Nagle poczuła chłód materiału, który łączył dłonie jej i Antoniego. Antoni ścisnął jej palce. Spojrzała wtedy na niego i za sprawą tej stulą wrócił spokój. Strach zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a wspomnienia z dzieciństwa i domu rodzinnego odpłynęły w dal.

– Czy ty, Bronisławo... – usłyszała.

Zza głowy Antoniego przebiło się światło. Zobaczyła go otoczonego niemalże aureolą, niczym anioła, i bardzo chciała wierzyć, że jest ową niebiańską istotą, która ześle jej szczęśliwe życie.

– Tak, chcę – powiedziała.

– Czy ty, Antoni... – zaczął ksiądz.

Antoni spojrzał na nią i znów ścisnął jej rękę. Tak, zdawał się mówić. Tak, bardzo cię chcę. Jego oświadczyzny były takie niezręczne. Inne niż w książkach, które pożyczyła jej nauczycielka ze szkoły.

– Czy ty byś mnie chciała? – spytał.

Zabrał ją wtedy na tańce. Wstydziła się strasznie i zastanawiała, co się stanie, jeśli tym razem nie zatańczy dość dobrze, ale kiedy tylko muzyka zagrała, jej nogi same zaczęły się ruszać.

– Że co? – nie zrozumiała.

– Przyjechałem tu, bo w moich stronach nie ma pracy dla zduna – powiedział, po czym tak nią zakręcił, że niemal upadła. – I zostaję.

– Jak to nie ma? – spytała, kiedy odzyskała równowagę.

– Ano nie ma – stwierdził takim tonem, jakby w Kieleckiem nie musieli palić w piecach.

– A czemu przyjechałeś akurat tu? – dociekała niezbyt mądrze, ale on się nie obraził.

– Był u nas taki Romek – powiedział. – I ten Romek miał tu dziadków. Tu, w Brwinowie. Pojechał za robotą, ale roboty nie dostał. Wrócił i opowiadał, że u was kolej, że u was nowe idzie, że ludzie dobre, a panny piękne. To przyjechałem. I widzę, że Romek miał rację. Ludzie u was są życzliwi. Zaraz pokój znalazłem, przy dobrej rodzinie, zaraz też pracę dostałem, na początek mało płacili, ale kiedy zobaczyli, co potrafię, to roboty mam już dużo. Panny też tu piękne – uśmiechnął się do niej.

– Tak? – spytała. – To czemu mnie zapraszasz na ciastka i tańce?

Widać, że mu się podobało, że taka pyskata, bo przycisnął ją w tańcu do siebie.

– Bo zapraszam tylko najładniejszą pannę.

Pokręciła głową, a potem poprosiła go, żeby usiedli i czegoś zimnego się napili. Antoni przyniósł lemoniadę.

– Proszę, moja droga – powiedział.

Nie umiała powiedzieć, czy słowo „moja” podoba się jej, czy też nie.

– Żadna ja tam twoja – odezwała się przekornie.

– Ale będziesz moja – powiedział z wiarą w głosie, a potem dodał: – Nie bój się, siłą brał nie będę. Ja nie z takich.

Nie był z takich. Zdobywał ją dzień po dniu, zabawa po zabawie, spacer po spacerze. Wreszcie byli po słowie, chociaż jej dopiero na siedemnasty rok szło. Rodzice zdawali się im radzi, bo w Brwinowie już Antoni był wszystkim znany i mówiło się o nim, że bardzo zdolny i pracowity. Zdarzało im się poróżnić. Na jednej potańcówce pochwaliła akordeonistę. Pięknie grał. Na dodatek był przystojny, co też powiedziała. Antoni wściekł się okrutnie.

– Ty mi tu na tego chłopca nie zerkaj! – zagroził.

– A co mi zrobisz? – odparła przekornie.

Przycisnął ją wtedy w tańcu.

– Tobie nic – rzucił. – Ale on niech się ogląda za siebie.

Przeraziła się wtedy, że on tak może po ślubie się do niej odnosić. Bo co innego, kiedy taki kochający, a co innego, kiedy uważa, że ona nie ma prawa nic powiedzieć ani zagadać, do kogo zechce.

– Ty chyba, Antoni, nie będziesz ludzi bił za to, że ładnie na potańcówkach grają, co? – spytała schrypniętym głosem.

Zmitygował się wtedy, może zmiarkował, że do kobiety takiej jak Bronia trzeba łagodnie, z miłością.

– No nie będę – burknął i uklonił się jej, co było przeprosinami samymi w sobie i Bronia przyjęła do wiadomości, że Antoni umie się przyznać do błędu.

– To i dobrze – powiedziała, popatrzyła wymownie w jego oczy i dodała: – Nie będziesz musiał.

I jeszcze bardziej uwierzyła, że Antoni Winny to mężczyzna dla niej.

– ...potomstwo, którym Pan Bóg was pobłogosławi... – dobiegł ją głos księdza.

Tak samo mówił na ślubie Jasi, a ona nie miała dzieci. Może Pan Bóg przysnął na chwilę, kiedy ksiądz Tadeusz wygłaszał te słowa, albo do Boga należało mówić tylko po łacinie, a ksiądz sakramentu małżeństwa udzielał po polsku. Kto wie, jaka była przyczyna, że Zoche Pan Bóg pobłogosławił, a Jasię już nie.

Chłód stuły był tym, co ich błogosławiło i uświęcało. Przynajmniej w jej pojęciu. Wspomnienie to powróci wielokrotnie w ciągu kolejnych lat, a Bronka uzna je za najbardziej intensywne doznanie tego dnia.

– Jesteście mężem i żoną – powiedział kapłan, a ona spojrzała na Antoniego jako żona. W głowie jej zadźwięczało: „Dokonało się”, i zaraz zawstydziała się tych słów, bo przecież padły tuż po tym, jak Pan Jezus na krzyżu ducha wyzionął. Ale wzrok Antoniego był tak żarliwy, tak pełen szczęścia, że i Broni się udzieliło, uśmiechnęła się do swojego męża i podała mu obie ręce.

Bronka pamiętała, że na weselu dużo i chętnie tańczyła. Matka i ojciec powitali ich chlebem i solą. Siostry zdjęły jej z głowy wianek i tańczyły wkoło.

– Nasza Bronia już nie panienką!

– Córuś moja, córuś, ty już nie dla matki...

– Dbaj o męża swego...

Było dużo śmiechu. Starsze dzieci Zochy bawiły się z Antonim w ciuciubabkę i piszczwały, kiedy je łapał. Ona tańcowała z mężami obu sióstr i z własnym ojcem. Antoni obtańcowywał kobiety obecne na zabawie i co chwila wychylał kieliszek wódki. Wtedy nie wiedziała, ile to nieszczęścia z tym pić będzie. Patrzyła na wódkę weselną obojętnie, bo przecież i ojciec pił, i mężowie jej sióstr, a jej ślubny właśnie dołączał do rodziny. Mieli dla niej dużo upominków. W wianie od rodziny dostała pierzynę i poduchy, od Jasi haftowany obrus, od Zochy serwety. Antoni na wesele sprowadził jej tamtego akordeonistę, którego gra się jej podobała i tak ją tym zaskoczył, że rzuciła mu się na szyję, przy wszystkich, nie bacząc na to, że nawet mężowi równie wylewnie dziękować nie wypada.

– Z muzyki cieszy się bardziej niż z tego, że mąż chałupę jej postawił? – dosłyszała niezadowolony głos Jasi.

Chciała wyjaśnić, o co z tą chałupą chodzi, ale matka odpowiedziała za nią:

– Ona się ze wszystkiego cieszy, a że muzykę zawsze lubiła, to i Antoni chciał jej taki prezent zrobić.

– Pięknie gra – dodała Zocha. – I przystojny taki...

Późną nocą poszli na swoje. Mąż przez próg ją przeniósł, na deskach postawił, ale nawet nie pocałował. Pierwszej nocy do niczego nie doszło. Antoni był tak pijany po weselu, że ledwie twarz ochlapał wodą, przebrał się w koszulę nocną i kiedy tylko głowę położył na poduszce, zasnął. Rano wstydził się trochę, że małżeństwa nie skonsumował, ale nie dał po sobie poznać.

– Dziś poprawiny – powiedział.

Pokiwała głową. Nie chciała poprawin. Nie były jej do niczego potrzebne. Byli wieśniakami, po co było spraszać tyle luda? Świątować dwa dni? Kolejnego wieczora Antoni był równie pijany jak pierwszego. Była rozczarowana. Bała się tego, co miało nastąpić, i chciała mieć to za sobą. Siostry chichotały, matka je strofowała, ojciec nawet spytał: „No, jakże tam było?”, a ona zrobiła się czerwona jak burak i wymamrotała coś pod nosem. Rodzina przyjęła to po swojemu, że Bronia już niecała, ale gadać o tym nie chce. Ona sama nie wyprowadzała ich z błędu, bo jakże o takich sprawach mówić.

– Czemu ty tyle pijesz, Antoni? – spytała trzeciej nocy. – Zasypiasz, zanim...

Sapnął jakoś tak dziwnie, a potem położył się na niej. Ręką sięgnął do jej koszuli i zadarł ją wysoko.

– A ty tak chcesz tego? – spytał.

Czuła jego rękę na swoim nagim brzuchu. Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok. Chciała i nie chciała. Na pewno nie w taki sposób, z pijanym mężem, chuchającym jej w twarz, leżącym na niej ciężkim ciałem, aż nie mogła złapać tchu.

– Nie – powiedziała. – Nie chcę. Nie tak.

Coś twardego ugodziło ją w podbrzusze. Skuliła się w sobie. Cała drżała. Antoni uniósł się nad nią, podparł ręką, więc było jej trochę lżej oddychać.



– Nie chcę – powtórzyła.

Położył się obok niej, objął ciasno. Jego twarz znalazła się przy jej twarzy.

– Nie bój się – powiedział nagle bardzo łagodnie. – Nie bój się, Bronka. Przysięgałem ci. Obiecałem. Nie bój się.

Pokiwała głową, bo nie mogła słowa wykrztusić. Znow się na niej położył. Objął mocno ramionami, głowę wcisnął tam, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Potem poczuła, jak coś w nią wchodzi od dołu i przeszył ją dreszcz. To nie bolało tak, jak mówiła Zocha, i nie było przyjemne, jak wyznała kiedyś Jasia. Było inne, dogłębne i łączące ich w jedno. Tak właśnie to wtedy poczuła. Że łączą się w jedno.



Zakład Artystyczno-Litograficzny mieścił się w Warszawie przy Senatorskiej 460. Zaraz po ślubie Antoni zawiózł tam Bronkę, w ramach prezentu ślubnego. Kiedyś stawiał piec u jednego bogatego pana, jeszcze w rodzinnym mieście, i tam na ścianie wisiał portret młodej pary. Antoni zainteresował się, kto tak ładnie tamtych państwa odmalował, bo wyglądali jak żywi, i dowiedział się, że to nie obraz, tylko fotografia. Fotografie widział wcześniej, owszem, w gazetach, i bardzo go to zjawisko interesowało. Nie przyszło mu jednak do głowy, że można zrobić zdjęcie ot tak, zwykłym ludziom, i powiesić je na ścianie. Wypytał co i jak, gdzie owo zdjęcie zrobione i zapamiętał dokładnie adres. Zanim Bronka została jego żoną, postanowił, że po ślubie pojedą do Warszawy, aby tam zdjęcie sobie zrobić na wieczną pamiątkę.

Bronkę, która w Warszawie bywała od wielkiego dzwonu, najpierw ów pomysł rozbawił, ale potem uznała, że właściwie czemu nie. Kiedy sprzątała u różnych państwa, widywała fotografie i zachwycała się nimi. U Marylskich na przykład było mnóstwo zdjęć. W większości niewielkich, nie dłuższych niż mały palec, ale były też duże portrety, które zdobiły ściany. Kiedyś pani Marylska przyłapała ją, jak ogląda niektóre z nich i kiedy Bronka odskoczyła niczym oparzona i zaczęła się gęsto tłumaczyć,

pani Marylska roześmiała się i wyjaśniła jej, gdzie fotografie zostały zrobione i kto na nich jest.

Włożyli zatem najlepsze ubrania i ruszyli do Warszawy. Antoni kilka razy pytał, gdzie się znajduje ulica Senatorska i im bliżej byli celu, tym bardziej eleganccy ludzie odpowiadali mu na to pytanie. Wreszcie dotarli na miejsce, Antoni pomógł Broni wysiąść z dorożki, fiakrowi zapłacił, ile trzeba, udał, że nie widzi jego pełnego pogardy spojrzenia i przestąpił próg Zakładu Fotograficznego Heleny Bartkiewiczówny.

Wyszła do nich sama właścicielka i jeśli zdumiała się na widok chłopów, którzy przyszli sobie zdjęcie zrobić, to tego nie okazała. Pani Helena otworzyła zakład kilka lat wcześniej i wciąż była na dorobku. Jako kobieta musiała konkurować z mężczyznami, chociażby z bardzo znanym i cenionym Maksymilianem Fajanssem z Krakowskiego Przedmieścia, i każdy klient był dla niej na wagę złota. Wyznawała zasadę, że klient jest najważniejszy, ceny miała przystępne, a prace piękne. Upewniwszy się jedynie, że przystojny mężczyzna i piękna chłopka wiedzą, ile takie zdjęcie kosztuje, i mają czym zapłacić, zaprosiła młodych do środka.

– Czy państwo życzą sobie zdjęcie portretowe, czy też całe sylwetki? – spytała grzecznie.

– Takie i takie – odpowiedział Antoni z pewnością w głosie.

Bronia przesłała mu radosny uśmiech.

Pani Helena kiwnęła głową, zaprowadziła ich w głąb zakładu, do pracowni, i usadziła na krzesłach. Czarnym włosom mężczyzny przydałoby się nieco pomady, ale i tak mogło być. Zapytawszy najpierw o zgodę, pani Helena poprawiła mu koszulę i haftowaną kamizelę, a potem przyjrzała się dziewczynie. Była bardzo młoda i na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie zwyczajnej zdrowej chłopki, ale kiedy Helena przypatrzyła się dokładnie, dostrzegła subtelne rysy twarzy, piękne, duże, zielone oczy i wystające spod chusteczki grube pszeniczne warkocze. Niejedna warszawska panna pewnie dużo by dała, aby mieć takie piękne włosy, pomyślała.

– Nie chciałabym pani urazić – zwróciła się do Bronki – ale sugerowałabym zdjęcie chusty. Pani ma tak bujne włosy, że szkoda

ukrywać to żywe złoto.

Bronka rzuciła okiem na Antoniego, a kiedy ten kiwnął głową przyzwalająco, bez słowa zsunęła chustkę z głowy. Helena podziękowała z uśmiechem, oddaliła się nieco i znów przyjrzała. Warkocze, uczesane w koronę, pyszniły się na głowie Bronki niczym prawdziwa królewska korona.

– Tak jest pięknie – uśmiechnęła się do Bronki i pomyślała, że jeśli dziewczyna jest równie pracowita co piękna, to chłop ma szczęście.

– Wandziu! – zawołała pani Helena, po czym wyjaśniła nowym klientom, że w zakładzie pomagają jej dwie starsze siostry, tyle że w dniu dzisiejszym jest tylko jedna z nich, bo druga udała się po zakup materiałów niezbędnych do wykonania fotografii.

Wanda zjawiła się natychmiast, przywitała się z Bronką i Antonim i również omiotła ich fachowym okiem. Poprawiła Bronki korale, które Antoni podarował jej w narzeczeństwie, obciągnęła haftowany serdak i spojrzała na siostrę, szukając wzrokiem jej akceptacji.

– Proszę zetknąć się ramionami – poprosiła Helena Bartkiewiczówna.

Bronka pokiwała z powagą głową i znów bez słowa wypełniła polecenie.

– A teraz uśmiech i proszę nie zamykać oczu, kiedy będzie błysk – dodała panna Wanda.

Do drugiego zdjęcia siostry fotografki ustawiły ich przy kolumnie otulonej bluszczem, na tle pomalowanej na kolorowo ściany. Bronka sobie pomyślała, że czegoś równie dziwnego nie widziała nawet na pańskich pokojach. Na ścianie były rysunki piesków, różnej maści i wielkości. Nad pieskami fruwały kolorowe ptaki i wiły się dziwne rośliny. Ich stroje, chociaż eleganckie, zupełnie nie pasowały do tła. Siostry najwyraźniej też były tego zdania, bo poszeptaly między sobą i rozpięły na ścianie jednolite zielone sukno.

– Proszę stanąć przy kolumnie i wziąć się za ręce – poprosiła Helena i ustawiła ich nieco bardziej bokiem. Panna Wanda znów znalazła się przy

Bronce i drugą jej rękę oparła na biodrze, zauważając przy tym, że jak na chłopkę ma piękne, wąziutkie dłonie.

– Nie ściskaj mnie tak, Antoni – poprosiła Bronka w pewnej chwili, a Helena zachwyciła się znowu, bo kobieta mówiła niskim, melodyjnym głosem, bynajmniej nie jak prosta wiejska dziewczucha.

Powtórzyła prośbę o to, żeby się uśmiechnęli i nie ruszali, i zrobiła kolejne zdjęcie.

– Portrety będą przepiękne – zauważyła. – Proszę mi dać kilka godzin, a wyszykuję je dla państwa.

Antoni spojrzał niepewnie, bo nie przewidział, że będą musieli czekać. Helena i Wanda, które były przyzwyczajone do tego, że nawet wykształceni ludzie myślą, że fotografia powstaje ot tak, na pstryknięcie palcem, powiedziała:

– Polecałabym spacer Senatorską, a następnie Krakowskim Przedmieściem – Wanda uśmiechnęła się zachęcająco i dodała:

– Mamy piękną pogodę, sprzyjającą spacerom.

Antoni nie wydawał się do końca przekonany, ale Helena pospieszyła z dalszymi propozycjami.

– A po spacerze można pomodlić się w kościele Sióstr Wizytek – zobaczyła zainteresowanie w oczach pięknej chłopki, zatem kontynuowała: – Kościół mieści się przy Królewskiej. Spodoba się państwu, jest w stylu osiemnastowiecznego baroku, zahaczającego o saskie rokoko. Osobiście nie mogę przestać się zachwycać fasadą i rzeźbami. A moja ulubiona to grupa Nawiedzenia...

– Zatem pójdziemy na spacer i do kościoła – powiedziała Bronka, po czym pokazała w uśmiechu równe, białe zęby.

Wandzia zwróciła się z entuzjazmem do Antoniego:

– A na koniec polecam wizytę w pijalni czekolady przy Miodowej. U Wedla.

Bronka potem latami wspominała tę wyprawę i za każdym razem dziękowała Antoniemu, który nie żałował pieniędzy ani na portrety, które

zawisły nad ich łóżkiem, ani na karmel oraz czekoladki z poleczonego przez panny Bartkiewiczówny sklepu. Gdyby mogła powiedzieć, co zrobiło na niej największe wrażenie, to wymieniałaby filiżankę czekolady, którą przy stoliku w eleganckiej kawiarni podał im wąsaty, elegancko ubrany mężczyzna. Bronce nie przeszkadzało spojrzenie, jakim ich obrzucił, ani pytanie o to, czy mają czym zapłacić. Przeciwnie – starała się zrozumieć ów afront, a że nie miała nic do ukrycia i jej zamiary były czyste, nie przyjęła go do siebie. Nie czuła się gorsza, chociaż nie miała takiej sukni ani kapelusza jak tutejsze panie. Przyjęła tę wyprawę jak bajkę, w której znalazła się za sprawą Antoniego i która trwała aż do zachodu słońca, kiedy to wrócili do pracowni i wzięli dwa duże portrety wykonane na papierze albuminowym. Wyrazili przy tym szczerzy zachwyt, bo owe fotograficzne konterfekty, wykonane powszechną wówczas techniką mokrego kolodionu, były naprawdę piękne. Panny Bartkiewiczówny ucieszyły się, że ich praca tak się spodobała, a Helena opowiedziała nieco o sobie – że studiowała najpierw chemię i optykę, potem sztukę fotograficzną w najlepszych miejscach na świecie, ale jej własne doświadczenie i umiejętności pozwoliły ową technikę ulepszyć przez zastosowanie niespotykanego w innych pracowniach ciemnobrazowego koloru pozytywów.

Wiele lat później bratanek sióstr Bartkiewiczównien, Zygmunt, zamieszkał w Brwinowie, a Antoni wykonał dla niego piec. Na ścianach dworku Zagroda wisiały fotografie wykonane przez Helenę, które Antoni poznałby, nawet gdyby nie były podpisane przez fotografkę. „Panna Bartkiewiczówna robi piękne zdjęcia”, powiedział wtedy do literata, a ten zdumiał się i zaczął wypytywać zduna, skąd o ciotce wie.

– Wiesz, Antoni – powiedziała Bronka, kiedy już wrócili do siebie i zawiesili portrety – było mi lepiej, niż kiedy czytam książkę.

Antoni uniósł ze zdumienia brwi, ale zaraz przypomniał sobie, że dla jego żony książka jest najwyższą wartością, najcenniejszym darem i najlepszą nagrodą. Nie mógł się zatem spodziewać większych wyrazów wdzięczności.

– Cieszę się – odpowiedział i zaraz też chciał, żeby zjedli po karmelku, ale tym razem Bronka gwałtownie się sprzeciwiła, że nie można tyle przyjemności mieć naraz i trzeba coś zostawić na później, a najlepiej na święta.

– A może jeździlibyśmy od czasu do czasu do Warszawy i odwiedzali tego Wedla, skoro tak tobie czekolada smakowała? – spytał Antoni, jakby to było coś zupełnie zwyczajnego tak sobie do Warszawy na czekoladę jeździć, do tego co miesiąc zostawiając cały dom na głowie rodziny.

– Zwariowałeś, Antoni – rzuciła. – I tak już zakosztowaliśmy tego, co nie nam się należy. Trzeba swoje miejsce znać.



Miesiąc po ślubie pojawiło się krwawienie i Bronka zaczęła się bać, że nie będzie mogła zaciężyć, jak Jasia. Antoni zastał ją całą we łzach nad świeżo ugotowanymi ziemniakami.

– Co się stało? – przypadł zaraz do niej i zajrzał w mokre oczy.

– Zakrwawiłam – wyznała ze wstydem.

Antoni w pierwszej chwili nie zrozumiał. Miał dosyć mgliste pojęcie na temat przypadłości, która miesiąc w miesiąc nęka kobiety.

– Gdzie? – przeraził się i wziął ją delikatnie za ręce, obejrzał dłonie i przedramiona, jakby krew miała stamtąd wypływać.

– Nie tu – zdenerwowała się Bronka, po czym nie patrząc mu w oczy, wyjaśniła gdzie i co.

Antoni aż usiadł na krześle ze zdumienia.

– A to tak jest – bąknął na koniec i zaczął jeść ziemniaki w milczeniu.

– Poczekaj, aż ci je poleję okrasą – powiedziała Bronka, po czym wstała i nałożyła mężowi skwarków z cebulą.

Antoni, jakby nie zauważył, że dopiero teraz ma na talerzu właściwe danie, jadł w milczeniu. Bronka westchnęła i także sobie nałożyła ziemniaków.

– Moja mama urodziła mnie dwa lata po ślubie – powiedział w końcu Antoni.

Bronka pokiwała głową.

– A jak jestem taka jak Jasia?

Antoni popatrzył na żonę z czułością.

– Niecierpliwa jesteś, Bronka – powiedział. – Trzeba się modlić. Zosia ma już trójkę, a jak Tadkowi sił starczy, żeby wykarmić wszystkie dzieciaki, to do dziesięciu dociągną. Dołóż no mi jeszcze trochę, bo bardzo dobre. Coś ty tam dodała do tych ziemniaków?

– Utłukłam je z odrobiną mięty i lubczyku – wyjaśniła.

– No proszę – powiedział, nakładając sobie kolejną porcję.

Bronia zamyśliła się.

– Zobaczymy, czy zacięży – przypomniała sobie głos Zochy, dosłyszany w wieczór panieński.

– Trzeba się modlić, żeby była jak ty, a nie Jasia – powiedziała wtedy matka.

– To za Jasię musimy się modlić – Zocha miała głos pełen oburzenia. – Jasia potrzebuje modlitw. Bronka sobie poradzi.

Miała wątpliwości, czy poradzi sobie bez modlitw, mając za wstawiennictwo u Boga li tylko słowa księdza o obdarowaniu potomstwem. Czemu Bóg jedne błogosławi, a inne nie?

– Poradzi albo i nie poradzi – to znów matka.

Matka nie powiedziała jej nic o byciu kobietą. Ani o rozrodzie, ani o chwili, kiedy spomiędzy nóg zacznie ciec jej krew. Pamiętała, jak to było. Stało się to późną jesienią, w szkole. Była najlepszą uczennicą w klasie i nauczycielka, panna Leokadia Maszkówna, zawsze ją chwaliła i stawiała za wzór. Panna Leokadia była guwernantką we dworze w Książenicach, ale po kryjomu uczyła brwinowskie dzieci w budzie za kościołem. Płacił jej za to Piotr Marylski, pan na Książenicach. Nie wszystkie dzieciaki uczyły się pisać i czytać. Te najbardziej ambitne chodziły na nauki przez dwa, nawet trzy lata. Bronka jako jedna z nielicznych uczyła się czwarty rok. Panna



Leokadia bardzo ją do tego namawiała, poszła nawet do jej rodziców, a Wielichnowscy dali przyzwolenie, dziwiąc się, że ich najmłodsza córka taka uzdolniona. Chodziła zatem Bronka na nauki, jak mówiła złośliwie Zocha, ale nie siadała z małymi dziećmi, tylko z boku, a panna Leokadia dawała jej do przeczytania fragmenty książek o zwierzętach, roślinach, dalekich krajach i wojnach na świecie. Kiedy dzieciaki wypuszczała do domów, podchodziła do Bronki i wtedy wszystko omawiały, po kolei, zatrzymując się na tym, co Bronkę najbardziej ciekawiło, albo na tym, na czym zależało pannie Leokadii. Nauczycielka pożyczała jej także książki, a potem dyskutowała z Bronką, prawie jak równy z równym, o bohaterach, sytuacjach, o tym jak pisarz książkę pisał, o czym wtedy myślał.

Tego dnia od rana bolał ją brzuch, co jej się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nie mogła skupić się na rachunkach i kiedy przychodziły skurcze, łapała powietrze jak ryba.

– Co tobie? – w bok szturchnęła ją Krysia Wiela, która przychodziła do panny Leokadii uczyć się rachunków, bo jej ojciec sklep chciał otworzyć, a Krysia miała w nim sprzedawać, zatem musiała dobrze liczyć.

– Brzuch mnie boli – wyznała Bronka.

– Coś zjadłaś? – dociekała Krysia.

– Dziewczynki! – rozległ się głos panny Leokadii.

– Przepraszam – powiedziała ze wstydem Bronka, a do Krysi szepnęła: – Ćśśś...

Krysia wzruszyła ramionami i skupiła się na przepisywaniu zadań do zeszytu tak, aby nie narobić kleksów. Bronia ledwo doczekała do dzwonka i pobiegła za budynek szkoły, gdzie kucnęła i wtuliła głowę w ramiona. Chwilę potem przeszła ją fala bólu i coś jakby w niej pękło, po czym przyniosło chwilową ulgę. Wstała i musiała przytrzymać się ręką pnia drzewa, bo zakręciło się jej w głowie. Poczowała ciepło między nogami i przestraszyła się. Rozejrzała na prawo i lewo, ale nie było żadnego z dzieciaków, zatem podwinęła spódnicę i włożyła rękę tam, gdzie czuła tę dziwną maź. Czerwona jak maki latem, lepka ciecz przeraziła ją. „To krew. Umieram”, pomyślała. Panna Leokadia zawołała dzieciarnię znów na lekcje

i Bronia wróciła do szkoły, usiadła w ławce, następnie pilnie pisała, aż do końca dnia starając się nie myśleć o tym, jak bardzo nie chce umierać. Niewiele wiedziała o śmierci, chociaż ta była wszechobecna w Brwinowie. Jej babka zmarła kilka lat temu i Bronia pamiętała, jak mówiono o tym w domu. Ponoć babka była na wykopkach. Pracowała ramię w ramię z innymi kobietami, nagle wyprostowała się i powiedziała:

– Słońce tak świeci w oczy... – po czym zachwiała się, upadła i już nie wstała.

Pojechali na pogrzeb w rodzinne strony mamy. Mama płakała na pogrzebie. Płakały Zocha i Jasia. Bronka zmusiła się do płaczu, chociaż babcia jej nie lubiła, ona z kolei się jej bała.

– Zabierzcie tego dzieciaka ode mnie – mawiała, a Bronka, która latami starała się babci przypodobać i zasłużyć na dobre słowo, w końcu przestała się starać i zrozumiała, że babka ma w sercu miejsce tylko dla ich matki oraz Zochy i Jasi. Dla niej już zabrakło. Pocałowała z szacunkiem martwą i zimną rękę babki, zanim zamknięto wieko trumny i zasypano ziemią. Ją też tak zasypią, skoro krew jej cieknie z dołu. I nikt jej w rękę nie pocałuje jak małego Jasia, który urodził się kilka lat po niej, a po miesiącu zaczął nagle strasznie płakać, zsiniał i umarł. Jasia nikt nie całował ani w rękę, ani w główkę. Pewnie z nią też tak będzie.

– Broniu, już lekcje skończone – panna Leokadia usiadła koło niej na ławce.

– Tak, panno Leokadio – dziewczynka próbowała się uśmiechnąć.

– Czemu nie idziesz do domu? – zapytała nauczycielka. – Chciałabym zamknąć szkołę.

Bronia zrobiła wtedy coś, co z jednej strony było najbardziej wstydliwą rzeczą na świecie, z drugiej – najodważniejszą, na jaką się pokusiła w swoim młodym życiu.

– Umieram, panno Leokadio – wyznała. – I chciałabym umrzeć tu, w szkole. Nie w domu.

Młoda nauczycielka stężała na twarzy.

– Co ty mówisz, dziecko? – spytała w końcu.

– Umieram – powtórzyła Bronia. – Nie chcę iść do domu.

– Ale dlaczego...? – panna Leokadia była tak wstrząśnięta, że nie sprecyzowała, czy jej pytanie dotyczy śmierci, czy tego, że Bronia nie chce opuścić szkoły i zamierza wyzionąć ducha w salce lekcyjnej.

Bronia spojrzała na nią z rozpaczą.

– Leci mi krew – wyszeptała. – Z dołu.

Ulga, która odbiła się na twarzy panny Leokadii, była dla Bronki niezrozumiała. Tak jak jej śmiech, który rozbrzmiał chwilę później. Przeciwnie, była urażona tym, że ukochana nauczycielka, najważniejsza niemalże osoba w jej życiu, śmieje się z niej i z tego, co ją spotkało.

– Nie martw się tym – powiedziała w końcu panna Leokadia. – Nie umierasz. Wiem to z całą pewnością.

Niby skąd mogła to wiedzieć, pomyślała Bronia, ale nauczycielka miała tak pewną siebie minę, że nie chciała z nią dyskutować.

– Nie? – spytała.

– Nie – potwierdziła z mocą panna Leokadia. – To normalne. To znaczy, że jesteś kobietą. U nas, kobiet, tak już jest. Mama powinna ci o tym powiedzieć. Albo siostry.

Ani matka, ani siostry nie wspomniały o czymś takim nawet słowem.

– Chodź ze mną – dodała panna Leokadia.

Bronia wstała. Spomiędzy tego miejsca, które zawsze okryte było wstydem, wypłynęła nowa strużka krwi. Bronia czuła, jak spływa jej po wewnętrznej stronie ud.

– Dokąd idziemy? – spytała.

Nie do końca wierzyła w zapewnienia panny Leokadii. Wolałaby w takim stanie nie iść do domu. Czuła, że zaplamiła nie tylko nogi, ale co najmniej wewnętrzną spódnicę.

– Pójdziemy do mnie. Umyjesz się i dam ci coś. A potem odprowadzę cię do domu.

Nigdy wcześniej ani potem nie czuła wobec nikogo takiej wdzięczności, jak wtedy, kiedy nauczycielka wręczyła jej dziwne majty, w których kroczu umieszczono kilka warstw miękkiego płótna.

– Kiedy płótno przesiąknie krwią, musisz je wymienić – powiedziała łagodnie. – Musisz pamiętać, kiedy przychodzi na ciebie pora. Bo będzie przychodziła co miesiąc.

Panna Leokadia nie wróciła do nich po wakacjach. Synowie pana Marylskiego podrośli i nie potrzebowali już nauczycielki. Jej miejsce zajął stary i nudny pan Zajączkowski, z dworu Uzdowskich w folwarku Marysinek. Zajmował się nauczaniem niechętnie i tylko dlatego, że Uzdowscy mu za to płacili. Pan Zajączkowski uważał bowiem, że wszystkie wiejskie dzieci są takie same, czyli głupie i zdolne tylko do pracy w polu, nie miał więc ulubieńców.

Kiedy zakrwawiła pierwszy raz, po powrocie do domu zwierzyła się Zosi i Jasi, co ją spotkało. Matce nie miała odwagi powiedzieć. Zocha spojrzała na nią z niechęcią.

– Tak późno? – rzuciła tylko.

– Późno? – nie zrozumiała Bronka.

– No, w latach późno zaczęłaś krwawić. Jak pani, nie chłopka. My w twoim wieku z rok żeśmy już krwawiły.

– Czemu mi nie powiedziałyście? – spytała, zastanawiając się, jak przez tyle lat obie siostry mogły to przed nią ukryć. Jak mogły myć się potajemnie i prać bawełnę, żeby ona nie widziała tych pasków materiału.

– Myślałyśmy, że wiesz – Jasia wzruszyła ramionami. – Teraz już wiesz.

Chciała wykrzyknąć im swój strach, wyjawić, że się bała, że jest śmiertelnie chora, ale dała spokój. Jak będę miała córkę, to wszystko jej powiem, postanowiła. Żeby nigdy się nie bała.

Siedziała teraz przy stole z Antonim i ponownie płakała rzewnymi łzami. Antoni odsunął miskę, podszedł do niej i znów wziął za ręce, ale tym razem nie oglądał jej przegubów, tylko pocałował najpierw jedną, potem drugą dłoń.

– Poczekaj chwilę – powiedział i poszedł do izby, gdzie spali. Wrócił zaraz z organkami w rękach. Przyłożył je do ust i zaczął grać. Zaskoczona, nagle przestała płakać i uśmiechnęła się blado. To zachęciło Antoniego. Zagrał jeszcze bardziej skoczną melodię, nogami przebierał, tułowiem kręcił, aż wreszcie Bronia otarła łzy i podeszła do niego. Położyła swoje dłonie na ramionach męża i razem z nim zaczęła tańczyć skoczego mazura. Nagle izba wypełniła się śmiechem obojga i radością, a potem Antoni przyciągnął Bronkę do siebie, pocałował mocno, głośno i powiedział:

– Masz się śmiać! Bo wtedy jesteś najpiękniejsza na świecie!

Bronka roześmiała się.

– Tak, moja piękna, tak! – klaskał w ręce Antoni.

– Myślałam, że się będziesz gniewał – powiedziała wieczorem, kiedy położyli się do łóżka.

Antoni przycisnął się do żony, ale pouczony, że jak krwawi, to wtedy nic z małżeńskiego obowiązku, pozostał przy tym uścisku.

– Za co ja mam się gniewać? – spytał.

– Józek gniewa się na Jasię – powiedziała cicho. – Że gorsza, że pusta.

– Skąd wiesz? – spytał.

– Słyszałam, jak matce się żaliła, a matka kazała się modlić.

Antoni znów ją pocałował.

– Będziemy się modlić – powiedział z wiarą. – A jak Pan Bóg nam dzieciątka nie ześle, to będziemy wiedzieli, że w ten sposób nas doświadczył. I że taki nasz krzyż.

Wiele lat później, gdy wkoło niej biegało pięciu chłopczków, wracała do tamtej nocy i tych słów pełnych wiary w Boga i miłości do niej. I kiedy noce przepłakiwała, bo Antoni znów nie wrócił do domu, kiedy bała się, że kto mu krzywdę zrobi, jeśli zasnął gdzieś pod karczmą albo zamarnie w lesie na śmierć, przypominała sobie to, co powiedział i zwracała się do Pana Boga:

– Wiem, że w ten sposób mnie doświadczasz. I że taki jest mój krzyż.

Jeszcze raz zakrwawiła, ale już nie płakała. Już się nie bała, że ktoś nazwie ją pustą. Jak miałyby to uczynić, skoro wypełniała ją miłość? Potem krwawienie nie przyszło, a Antoni nie posiadał się ze szczęścia.

– Moja kochana – mówił, kiedy wracał z pracy, a ona czekała na niego z obiadem. – Moja piękna.

Rzeczywiście brzemiennosc czyniła ją piękniejszą, a jej uroda jaśniała niczym słońce, aż Zocha cmokała z niezadowoleniem, że brzemienna nie powinna tak się pysznić, raczej zasłaniać, żeby kto dziecka nie przeklął. Matka chyba też tak myślała, ale nie powiedziała nic o przekleństwach, tylko prosiła, żeby przy Jasi brzucha nie wypinać, bo przykrość to dla niej wielka. Jasia jednak przyjęła jej ciężę z wielką radością, aż Bronce było wstyd, że matka tak mogła o Jasi pomyśleć. Kiedy Zocha była przy nadziei, Jasia razem z nią tkala płótno na kaftaniki i z wełny robiła ubranka dla dziecka. Teraz to samo czyniła dla Bronkowego maleństwa. Tak je nazywała. Maleństwo Bronkowe. Antoni, chociaż przyjął sprawę po męsku, czyli powściągliwie, cieszył się w szczególny sposób. Nie pozwalał jej nosić wody ani dźwigać węgla.

– Ja to mogę zrobić, od dźwigania dzieciak słabnie – mówił stanowczo, a ona była mu wdzięczna, bo w ciąży czuła się dość słabo. Łatwo się męczyła i serce biło jej czasem tak szybko jak ptakowi, którego kiedyś uwolniła z pyszczka kota i któremu małe serduszko zatrzepotało prędko, zanim zmarł w jej reku. Pod koniec ciąży to nawet do kościoła nie chodziła, bo ledwie nogami powłóczyła, opuchnięta jakaś była na ciele, chociaż na buzi wciąż ładna i świeża.

Romek urodził się po dziesięciu miesiącach księżycowych i wtedy zrozumiała, że rodzenie dzieci to nie jest łatwa sprawa. Zocha jej wprawdzie mówiła, że boli i wrzeszczeć trzeba, ale jak kto na własnym grzbiecie kija nie doświadczy, to i wyobrazić sobie nie umie, co to znaczy, że boli. Znów myślała, że umrze, bo jej ciało aż dygotało od tych skurczów. Felicjanka musiała w końcu w twarz jej dać, bo Bronka po kilkunastu godzinach męczarni nie miała już siły oddechu zaczerpnąć, a kiedy zaczęły się jeszcze boleśniejsze skurcze, krzyczała strasznie i płakała jednocześnie.

– Przyj, durna! – policzek ją otrzeźwił.

I Bronka naprężyła zmalretowane ciało kolejno trzy razy, kiedy przychodził ból, skupiając się tylko na tym, żeby Felicjanka była z niej zadowolona i broń Boże nie dała jej ponownie w twarz.

– No! – powiedziała zadowolona akuszerka, unosząc umazane krwią i śluzem dziecko. – Chłopczyk.

– Chłopczyk? – Antoni wdarł się do izby, kiedy usłyszał płacz dziecka. – Chłopczyk?

Usiadł zaraz przy łóżku koło Broni, objął ją i powiedział:

– Moja Bronka, moja kochana...

Felicjanka załamała rękę.

– Jeszcze łożyska nie urodziła! Poszedł mi stąd!

– Chłopczyka urodziła, mnie to wystarczy! – Antoni śpiewał i tańczył po izbie, pijany tym razem szczęściem, nie wódką.

– Won mi stąd, Antoni! – krzyczała Felicjanka. – A Bronki to dopiero po połogu możesz dotykać!

Antoni zupełnie jak za panińskich czasów skradł całusa żonie, a potem uciekł z chałupy, bo Felicjanka ściera się na niego zamierzyła.

– Niedobrze, że on taki – powiedziała.

– Kto? Dziecko? Coś z nim nie tak? – spytała przestraszona Bronka.

Felicjanka pokręciła głową.

– Niedobrze, że Antoni taki pański jakiś przy dziecku – stwierdziła. – Mąż to inak się powinien zachowywać wobec położnicy.

Bronia nie chciała jej powiedzieć, że Antoni wobec ciężarnej zachowywał się po pańsku, więc i wobec położnicy był inny niż wszyscy znani jej brwinowianie.

– A jak się powinien zachowywać? – spytała, jak łożysko już z niej wyszło.

– Już ty nie mędrkuj, tylko dziecko nakarm – zgasiła ją akuszerka, chowając łożysko do drewnianej skrzyneczki. – Myj się z dołu ciepłą wodą



z dodatkiem skrzypu polnego. Masz skrzyp? – spytała.

Bronka pokiwała głową. Zasadziła skrzyp, lebiodę, lubczyk, dziurawiec i wiele innych ziół.

– I sześć niedziel niech Antoni ci pod spódnicę nie zagląda, rozumiesz?

Bronka i tym razem pokiwała głową. Tam w dole wszystko jej pulsowało i bolało bardzo. Nie wyobrażała sobie, że może sama chcieć z mężem spółkować. Antoni też nie był z takich, co to siłą babę będą brać. Co prawda to prawda, do tej pory nie musiał, ale mimo wszystko.

– Poza tym dzieciak wygląda akuratnie, drze się jak się patrzy, cyca dudli jak trzeba. Będzie dobrze – zakończyła Felicjanka.

A Broni wtedy było tak dobrze, że nawet palenie w dole brzucha ustąpiło na chwilę.



Zaciężyła znów niemalże zaraz po położu. Poród był mniej męczący niż ten Romkowy, ale też i Władzio był mniej męczący niż Romek. Romek potrafił pogryźć jej piersi do krwi, krzyczeć całe noce, a potem w dzień domagać się uwagi akurat wtedy, kiedy robiła na poletku przy domu albo potrzebowała chwili wytchnienia. Władzio był spokojny, jadł raz na jakiś czas, dużo spał, a jak nie spał, to nie płakał, tylko wodził oczami wokoło, jakby chciał zrozumieć, w jakim świecie przyjdzie mu żyć. Romek, jej pierworodny, był dziwnym dzieckiem. Gdyby miała powiedzieć, jaki jest, chociaż nikt jej nie zadawał podobnych pytań, toby powiedziała, że Romek nie lubi świata. Wyobrażała sobie, że gdzieś tam w górze było jasne wielkie pomieszczenie z mnóstwem dzieci, które czekały na to, żeby Pan Bóg je do rodzin posłał. Romek siedział pewnie w kącie, naburmuszony, nie chciał bawić się z innymi. Pan Bóg pewnie zastanawiał się, co tu zrobić z takim Romkiem. Już miał go wysłać do jakiejś rodziny królewskiej, za morzem czy za górami, żeby mu inni ludzie usługiwali i żeby nic nie musiał robić, kiedy usłyszał jej prośby i modlitwy. Tak się wzruszył, że wziął za kołnierz Romka, który był na króla przeznaczony, i włożył go do jej rodziny. Takie fantazje przynosiły jej ulgę.

– Daj spokój, synku, daj – prosiła, ale to nie pomagało, więc jak była szczególnie zmęczona albo w polu trzeba było robić od świtu do nocy, wręczała małemu Romkowi szmatkę nasączoną wódką do possania. To go uspokajało. Kiedyś będzie miała o to do siebie żal, ale wytłumaczy sobie, że przecież wszystkie kobiety tak robiły, wszystkie podczas żniw czy wykopków w ten sposób uspokajały swoje dzieci. Władzio takiego uspokojenia nie potrzebował. Szczególnie wtedy, kiedy Bronia szła w pole, wydawał się rozumieć, jak ważne jest posadzenie kartofli na czas, wyjęcie buraków, odpowiednie przygotowanie kiszonek na zimę. Brała kołyskę, przykrywała dziecko kocykiem, jak było chłodno, i ustawiała ją tak, żeby Władek widział matkę przy pracy. On unosił rączki i zaczynał swoisty taniec paluszkami, którymi poruszał raz niczym krawiec obrębiający dziurki od guzików, innym razem jak tamten akordeonista na zabawie, kiedy byli narzeczonymi z Antonim. Romek, odkąd nauczył się chodzić, chodzeniem swoim wyrażał złość do świata i matki. Nieraz, mimo że prosiła i groziła, Roman szedł przed siebie na małych nogach i zatrzymywał się na drodze albo co gorsza na przejeździe kolejowym. Zanim się zorientowała i zaczęła chłopca szukać, bywało, że któraś z sąsiadek przyprowadzała jej syna i mówiła:

– Pani Winna, znów na torach chłopaczek był i na pociąg czekał! Pewnie kolejarzem zostanie.

A Bronia załamywała ręce, straszyla złojeniem skóry, chociaż rzadko po tę metodę sięgała, bo pamiętała po pierwsze, że ojciec ich nie bił, po drugie, jak bardzo chciała mieć dzieci i jak o nie prosiła Najświętszą Panienkę, Pana Boga i wszystkich świętych, przecież nie po to, żeby teraz wymodlonego dzieciaka bić.

– Trzeba było prosić nie tylko o dzieci, ale i o grzeczne dzieci – utyskiwała, kiedy nikt nie słyszał. – Albo o dziewczynki – dodawała.

Wreszcie zwierzyła się Antoniemu z kłopotu, wyraziła zdumienie, że mały taki kawał drogi umie pokonać, i podzieliła się obawą, że któregoś dnia pociąg go przejedzie. Ledwie go odwiodła od stłuczenia chłopaka na kwaśne jabłko, bo Antoni tak jej prośbę pojął, i nakazała wymyślenie

czegoś takiego, co by chłopaka zatrzymało, żeby nie sprowadzał na siebie niebezpieczeństwa, a na nich śmiechu ludzkiego.

– Trzeba przywiązać – zdecydował w końcu.

– Bój się Boga, Antoni! Jak przywiązać? – Bronia załamała rękę. – Jak kozę na postronku?

– Nie jak kozę ani nie jak krowę. Zobaczysz.

W najbliższą niedzielę Antoni wziął się do pracy i wybudował drewnianą konstrukcję wysoką na wzrost dorosłego, a szeroką na tyle, że można było po niej swobodnie biegać.

– I co to jest? – spytała Bronia.

– Nie pamiętam, jak się to nazywa, ale widziałem u jednego górala – wyjaśnił jej Antoni. – Owce w tym trzymał, młode owce – dodał.

– Przecież Roman górą wylezie – powiedziała Bronka. – I jeszcze kark skręci.

– Sieci na górze się położy i przywiąże dobrze. To nie wylezie – stwierdził Antoni.

– Sieci? – zdumiała się Bronka.

– Robiłem piec u Nalepów – odpowiedział. – On tu ryby łapie na stawach w Mosznie, u tego bogatego dziedzica, to ma sieć. Pogadam z nim, żeby odsprzedał trochę. Może ma jaką uszkodzoną. Dla niego bezwartościowa, ale my naprawimy i dla Romka jak znalazł.

Krzyk Romana rozdarł ciszę. Antoni zatarł zadowolony rękę.

– Zadziała – upierał się przy swoim. – Zobaczysz.

Nie działało tak, jak Antoni zakładał. Sieć wprawdzie Nalepa odsprzedał i w zamian za to zażyczył sobie, żeby Antoni mu piec w domu naprawił, co ten uczynił, potem chciał, żeby we dworze duży piec na wędzonki przedmuchać, co Antoni także uczynił, wreszcie zażądał zapłaty i ją też dostał. Antoni okręcił kojec siatką, pozostawiając jeden z rogów niezwiązany. Potem włożył do środka wierzgającego i wrzeszczącego wniebogłosy Romana i zawiązał końce na solidny supeł.

– Aaaaaa! – darł się Roman, a Bronka zęgnęła się raz za razem.

Antoni wydawał się niewzruszony, ale Bronka, która go znała dobrze, widziała, jak kulił ramiona za każdym razem, kiedy Roman objął się o sztachety.

– Wypuśćmy go stamtąd – poprosiła, kiedy zobaczyła, że dzieciak zranił się w rękę i leci mu z niej krew.

– Nie – zdecydował Antoni. – Odejźmy. On to robi, bo my patrzymy.

Bronka zastanowiła się chwilę i odeszła na bok. Wzięła małego Władka na ręce, chociaż i on już umiał chodzić, i przeszli z drugiej strony domu, tam gdzie rosły jabłonki, wiśnie i jedna czereśienka.

– Zrywaj te, co nisko rosną – pokazała dziecku, a Władek małymi palcami rwał wisienki i wrzucał je do koszyka. Oddawał się tej czynności z upodobaniem, a kiedy Bronka zachęcała go, żeby skosztował, wahał się, jakby żał mu było, że z koszyka ubędzie, ale apetyt przeważył i Władek wkładał wisienkę do ust, krzywił się, że owoc taki kwaśny, ale przeżuwał powoli, potem wypluwał pestkę. Bronka śmiała się razem z nim.

Krzyki dobiegające z kojca w pewnej chwili ucichły i Bronka z trudem stłumiła chęć podbiegnięcia na tył domu i sprawdzenia, co tam Roman robi. Dopiero kiedy zebrali wiśnie, poszła zobaczyć, co się dzieje. Widoku, który ujrzała, nie zapomniała do końca życia.

– Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić – westchnął Antoni, kiedy wieczorem opowiadała mu o wszystkim.

– Jak zobaczyłam tę dziurę w ziemi, to się przestraszyłam – wyznała.

– Trochę piachu pojadł, to na brzuch dobre – skwitował Antoni.

– No nie wiem – nie zgodziła się Bronka. – Myślałam, że jak już dziurę wykopał i na drugą stronę przelazł, to pójdzie na kolej czy do wsi, ale on nie. Usiadł obok i siedział spokojnie. Ten piach to mu zaszkodzi.

– Toż to dobra ziemia, zdrowa – dumiał Antoni. – I Roman spokojniejszy.

– Wieczorem kąpiel mu musiałam zrobić i z buzi tyle piachu wyciągnęłam...

– Dołem reszta wyjdzie, przecież w nim nie zostanie.

Nigdy więcej nie wsadzili dziecka do kojca, ale też i Roman więcej nie uciekł z domu, nie krzyczał, nie płakał i nie utrudniał Bronce życia. Raz go tylko złapała, jak małego Władka usiłował do klatki zawlec, ale wtedy Władzio rozdarł się tak, jak na przerażone dziecko przystało, zaalarmował Bronię i ta biedaka z rąk brata wyratowała.

– Cóż żeś chciał zrobić? – spytała. – Przecież Władek nic ci nie zawinił.

– Nic nie robi, to niech se pokopie – burknął czteroletni Roman.

Bronia kazała Antoniemu konstrukcję zlikwidować, ale wzięła sobie do serca słowa pierworodnego i zorganizowała Władkowi małą grządkę, na której pozwoliła mu posadzić trochę marchwi.

W tamtym czasie znów była brzemienna. Zocha zaś nie miała już więcej dzieci. Po tym jak powiła Karolka, Gutka i Henia, nie zaszła w ciążę po raz czwarty. Wtedy stał się cud. Jasia przyszła któregoś dnia, a wyglądała, jakby słońce połknęła, i oświadczyła, że jest w stanie błogosławionym.

– Skąd wiesz? – spytała Bronia, może niezbyt mądrze. Później przyszło jej żałować tych słów.

– Jak to skąd? – roześmiała się Jasia. – A ty skąd wiedziałaś?

– Nie przyszedł na mnie czas, a i zaraz mnie rano takie mdłości brały, że nic nie mogłam zjeść – odparła szczerze.

– No to ja tak samo, tylko mnie żadne mdłości nie biorą – odpowiedziała pewnie Jasia.

– Nie wszystkie biorą – dodała później Zocha, kiedy spotkały się w domu rodzinnym na wspólne modły dziękczynne. – Mnie przy Karolku to tak szarpało, że mało trzewi nie wyplułam, przy Gutku mniej, a już przy Heniu to nic nie poczułam. Dopiero jak się ruszać zaczął, to już wiedziałam.

– U mnie też tak było – potwierdziła Bronia. – Przy Romku to bardzo...

– Bo i Romek to dzieciak z piekła rodem – przerwała im matka. – Nie daj Pan Bóg jak go zostawisz i z innymi dzieciakami ma ganiać. Goni, tłucze, wrzeszczy... Po kim on taki? Przecież nie po tobie ani nie po Antonim, bo przecież ten spokojny człowiek.

– Wyrośnie – bąknęła Bronia.

– Albo i nie wyrośnie – powątpiewała Zocha.

– Ale ty, Jasiu, leciwa jesteś i skoro już Pan Bóg się nad tobą pochylił, to na pewno dobre dziecko ci ześle.

Spotykały się co tydzień kolejno u Bronki, Zochy, Jaśki, przy darciu pierza, wspólnych pracach gospodarskich czy ot tak, żeby szyć lub haftować. Wcześniej śpiewały przy pracy, a najładniejszy głos z nich trzech miała Jasia. Teraz jednak nie intonowały już wiejskich piosenek, a modliły się żarliwie o szczęśliwe rozwiązanie dla Jasi. Któregoś dnia, kiedy Bronia była w czwartym księżycowym miesiącu, coś jej wnętrzościami szarpnęło, coś ją tak strasznie z dołu zabolowało, a potem życie, które miała w sobie, nagle wypłynęło.

– Mama! – jeszcze zdążyła usłyszeć, jak Władek i Romek głośno krzyczą z przerażenia, zanim spowiła ją ciemność.

Następne, co pamiętała, to że w łóżku leżała i że nad sobą zobaczyła Felicjanę.

– No, śpiąca panienko – powiedziała szorstko akuszerka, ale w jej głosie pobrzmiwała wyraźna ulga. – Teraz będzie już dobrze.

– Ale co się stało? – spytała słabo Bronia.

Wszystko ją bolało w środku, nie tak jak przy porodzie, wyżej i bardziej w głębi, ale natężenie bólu było takie samo. I jeszcze to opadnięcie z sił, którego nie doświadczyła nawet w połogu.

– No – burknęła Felicjanka. – Dzieciaki wyszły z ciebie, kochana, za wcześnie. To się zdarza.

– Dzieciaki? – spytała.

– Ano dzieciaki, bo dwoje było – potwierdziła Felicjanka.

– Chłopcy? – spytała jeszcze.

– Tego nie wiem, bo za malutkie były – akuszerka machnęła ręką. – Ochrzciałam, chociaż nieżywe. Pan Antoni je pogrzebie.

Bronka zaczęła płakać.

– Nie płacz mi tu! – zdenerwowała się kobieta. – Mówiłam. Zdarza się. Pan Bóg do siebie od razu powołał, żeby na ziemskim padole się nie

męczyły.

– To co ja mam robić? – spytała.

– Jak to co? – Felicjanka nie patrzyła jej w oczy. – Odczekać ze cztery niedziele i znów można zaciężać.

Bronka wciąż płakała, Felicjanka wstała i okryła się chustą.

– Idę, bo już nic tu po mnie.

– Doktora wołać nie trzeba? – spytał Antoni.

Felicjanka się przeżegnała.

– A na cóż tu doktor? – spytała i wzruszyła ramionami.

Antoni dzieci pochował, ale nie chciał powiedzieć żonie gdzie. Wiele lat później wyznał jej, że do księdza poszedł i o pochówek chrześcijański poprosił, argumentując, że dzieci były ochrzczone. Dowiedział się tylko tyle, że ochrzczone być nie mogły, skoro martwe się urodziły.

– Jakże to tak? – spytał, miętosząc czapkę w dłoni. – Felicjanka powiedziała, że ochrciła.

– To wiejska baba, panie Antoni, nawet nie zakonnica – wyjaśnił mu ksiądz. – Pochować w świętej ziemi nie mogę, choćbym chciał.

– Tylko że ksiądz nie chce – zauważył trafnie Antoni, po czym uklonił się i wyszedł na kościelny dziedziniec.

Tam odczekał chwilę, potem wyjął chustkę z kieszeni i zamoczył w kropielnicy. Prędko do domu wrócił i to, co zostało z jego dzieci, w tę chustkę zawinął. Wykopał pod dębem niewielki grób i tam je z szacunkiem złożył. Na kopczyku postawił krzyżyk. Wiedział, że ziemia niepoświęcona, a chrzest nieważny, ale nie umiał inaczej. Myślał wprawdzie pod osłoną nocy wybrać się na cmentarz i tam niebożęta pochować w grobie, który należał do wielkiej pani Cecylii Mazur, zmarłej niedawno, ale po namyśle zrezygnował. To już lepiej u nas, stwierdził, bo co będą z obcą babą leżeć, nawet bogatą i bogobojną. Przecież to nie jest byle jaka ziemia, tylko nasza, a więc w jakimś sensie święta, mimo że ksiądz wodą święconą nie kropił. Upił się wtedy strasznie, tak że w stodole zasnął. Sam nie wiedział, czemu tak bardzo do gorzałki mu było blisko. Bo przecież czuł żal, ale nie taki

znów straszny. Takie rzeczy się zdarzają, mówił do siebie. Źle by było, gdyby Bronia przy porodzie umarła i sierotami nas zostawiła, ale tak? Pan Bóg wziął, zanim dał, to po cóż się gryźć? Widać jednak jakiś robak go podgryzał, bo zalał go obficie i dopiero następnego dnia do domu wrócił, nie troszcząc się o to, czy Broni i chłopcom czego nie potrzeba.

Z Bronką o tym nie rozmawiał, powiedział jej tylko, że dzieci już u Pana Boga, bezpieczne, a ona ma się zająć tymi, co są na świecie, czyli Romkiem i Władkiem. Bronka kiwnęła głową i słowa nie powiedziała, że wczoraj Antoniego w domu nie było. Sama kopczyk znalazła i od czasu do czasu chodziła pomodlić się za te dwie duszyczki, o których nie wiedziała, czy w niebie są, czy w czyścicu, ale ufała, że dobry Bóg jakiś cel w tym miał, żeby je do siebie powołać. Kiedy minęły dwie niedziele, wybrała się do rodziców, żeby im powiedzieć o zajściu. W progu powitała ją Jasia z wielkim brzuchem i kiedy tylko Bronia zaczęła mówić, natychmiast uciekła do panińskiej izby.

– A czemu ona tak...? – zdumiała się Bronka.

W domu rodzinnym przebywały wówczas same kobiety, bo Józek Jasi i Tadek Zochy byli w pracy, a ich ojciec w polu robił.

– Zły sen miała i nie chce słuchać o niczym, co dzieciom się wydarza.

– Jaki sen? – spytała Bronka.

– Krew spływała rzeką i do morza szła – wyjaśniła jej matka i przeżegnała się.

– Sen mara, Bóg wiara – powiedziała Bronka, po czym dodała niezbyt mądrze: – Ten sen to mnie nieszczęście zwiastował, nie jej. To mnie dzieci zabrał.

– Dzieci? – zdumiała się matka.

– Tak, bo dwoje było – wyznała Bronia i siłą powstrzymała się od tego, żeby się nie rozpłakać.

Zocha położyła jej rękę na ramieniu.

– Dwoje było – powtórzyła matka i wpatrzyła się w święty obraz wiszący nad łóżkiem.



– Podwójna radość by była, a tak... podwójny smutek – powiedziała Bronia i dodała: – Jasia z izby nie wyjdzie?

– Spytam – odpowiedziała Zocha i poszła do siostry.

– Jak się mama czuje? – spytała Bronia, kiedy zostały same.

Matka spojrzała na nią uważnie.

– Mnie nic, ale ojciec niedomaga.

– A co ojcu? – przestraszyła się Bronia. – Przecież młody jest.

– Już nie taki młody, ale zawsze był bardzo silny. Chłop jak dąb – westchnęła. – Teraz już takiej siły nie ma.

– Przecież nie choruje – stwierdziła Bronia i matka otworzyła usta, żeby jej coś odpowiedzieć, ale wtedy wróciła do nich Zocha.

– Jasia nie przyjdzie – powiedziała. – Płacze bardzo i mówi, że ta krew i wszystko inne to jej się śniło już po tym, jak ciebie nieszczęście spotkało.

– No dobrze, to pójdę – Bronia wstała, lekko urazona, bo przecież ona tu po pocieszenie przyszła, a nie żeby jej własna siostra mówiła, że nieszczęście sprowadza.

– Nie gniewaj się na nią, córuchna – powiedziała matka. – My się o to jej dziecko tu tak modlimy, tak modlimy...

Zocha także pokiwała głową. Bronka stłumiła żal i nie przypomniała, że po pierwsze, ona też się modliła za Jasię, po drugie, jakże to tak, jej nieszczęście na bok spychać. Że niby jak już dzieci ma, to i żal mniejszy odczuwa po stracie?

– Wszystko będzie dobrze – ucałowała siostrę i matkę w oba policzki.

Pomyliła się jednak. Nie było dobrze. Jasia następnej nocy znów miała swój sen o krwi w rzece i o pożodze, która strawiła jej dom. Rano wstała cichcem i pobiegła do kościoła, żeby się pomodlić. Wróciła do domu i położyła się do łóżka, a wieczorem Józek wybiegł przed dom i krzyczał tak bardzo, że pół wsi się zleciało. Potem doktor, którego wezwano, powiedział, że wiele nieszczęścia w życiu widział, ale czegoś takiego nie.

– Mój Boże – wyszeptała Bronka i poszukała ramion Antoniego, który o tragedii usłyszał, kiedy kończył w domu kafle wypalać dla syna pani

Cecylii z Moszny, tego samego, co chciał piec przedmuchać, ale w końcu zmienił zdanie i Antoni teraz mu nowy piec stawiał, z pięknymi kaflami. Drugi, z wielkim paleniskiem, miał stanąć w nowej wędzarni, bo stara za mała była, tyle ryb dziedzic miał w stawach i tyle słać trzeba było do Warszawy, do różnych restauracji.

– Straszne nieszczęście, straszne – powtarzał Antoni i przytulał do siebie Bronkę i Władzia, który się matczynej spódnicy trzymał. Wprawdzie nic nie rozumiał, ale wiedział, że coś rodziców trapi i trzeba być cichym i posłusznym, bo kto wie, jakie to nieszczęście.

Romek też stał spokojnie, tylko to umiał zrobić, zamiast rozrabiać. Czekał cierpliwie, aż mu wyjawią, czemu to matka łyzy roni, a i ojciec ma taką minę, jakby się miał popłakać. Strzępki rozmów, które do niego dotarły, nie wyjaśniły wcale sytuacji. Zresztą nikt do końca nie wiedział, jak było. Ksiądz powiedział, że Jasię w kościele zobaczył na porannej mszy i ona go o spowiedź prosiła. Co mówiła, tego powtórzyć naturalnie nie mógł, ale modlił się z nią długo, żeby jak się wyraził, wiary nie straciła. Doktor powiedział, że pewny nie jest, czy Jasię wydawało, że dziecko nie żyje, bo się w niej ruszać przestało, czy też naprawdę nie żyło, dość, że rozcięła sobie brzuch, żeby je wyjąć i pewnie sprawdzić, bo cóż by innego miało jej przyświecać. Pewnie to pierwsze przypuszczenie było prawdziwe, że dziecko umarło, bo w innym przypadku przecież ksiądz by nie chciał pochować nieszczęsnej, samobójców i dzieciobójczyń nie chowano na brwinowskim cmentarzu. Na pogrzeb przyszło niewiele osób. Nie dlatego, że mało kto Wielichnowskich znał, tylko dlatego, że ludzie się bali. Bo gdyby diabeł paluchów w tej tragedii nie maczał, toby się przecież Janina nożem nie pocięła i nie wykrwawiła jak cielak od Żyda, co to go koszernie zarzyna. Ten i ów mówił, że w samym zaciężeniu w tak późnym wieku mogło być coś diabelskiego albo złe czało się gdzieś w Brwinowie i rzuciło okiem na biedną Jasię. Tak czy owak ludzie gadali całkiem jawnie o tym, czyja to wina i co zrobić, żeby na całą wieś nie spadły nieszczęścia. Na wszelki więc wypadek w ostatnią drogę dziewczyny nie przyszli wyprawić. Bronia podtrzymywała matkę, a Antoni ojca, za to Tadek

trzymał pod rękę Józka, który wyglądał jak pół człowieka, złamany nieszczęściem, jakie ich spotkało.

– Módlmy się – powiedział ksiądz i Wielichnowscy powtarzali sobie to przez cały czas najpierw pogrzebu, a potem stypy, ale poza tymi słowami żadna modlitwa nie wychodziła z ich ust.

– Jasia wiarę straciła – powiedziała wieczorem Bronia do Antoniego.

– Nie straciła – mruknął Antoni. – Ty nie straciłaś, a ona podobna do ciebie.

– Może i ona podobna do mnie, ale nie w tym, co ją spotkało – odpowiedziała.

Antoni już zachrapał, więc mu nie tłumaczyła, że jej Pan Bóg dzieci wprawdzie odebrał, ale mniejsze niż Jasine i to po tym, jak dwóch zdrowych chłopczków jej dał. Zaraz też zaczęła się gorliwie modlić, bo pomyślała sobie, że Pan Bóg jeszcze ją usłyszy i ukaże, zabierając jej Romka i Władka.

Józek powiesił się w Niedzielę Wielkanocną, zaraz po rezurekcji. Na mszy świętej był z rodzinami sióstr żony i teściami, a potem powiedział, że na chwilę do siebie pójdzie i później na śniadanie przyjdzie. Antoni chciał z nim iść. Nie żeby był tknięty jakimś przeczuciem, ale tak po chłopsku.

– Może coś tobie pomóc trzeba? – spytał.

– Nie trzeba – uśmiechnął się Józek. – Zaraz przyjdę, tylko do krowy zajrzę, bo mi się wydawało, że wczoraj kulała.

Tadek też się zapatrzył za oddalającym się szwagrem, ale koniec końców na ławce przed domem teściów usiadł z Antonim i popatrzył w niebo.

– Powinien inną żonę sobie wziąć – powiedział.

Antoni, któremu to nie przyszło do głowy, podrapał się po czole.

– Jak się skończy żałoba, to pewnie weźmie – dodał.

– U niektórych żałoba nigdy się nie kończy – odparł Antoni.

– A ty skąd wiesz? – zdumiał się Tadek.

– Nie wiem – Antoni wzruszył ramionami. – Obym się nie dowiedział. I ty obyś się też nie dowiedział.

– Co Bóg da... – zamyślił się Tadek.

Antoni także zastanowił się głęboko. Jasię to Bronka i matka do trumny szykowały, bo Tadek żonie zabronił na to patrzeć. Antoni spalił zakrwawiony siennik, a potem jeszcze łóżko porąbał, bo Józek go o to prosił. Zbił mu z desek następne, nawet lepsze niż to małżeńskie, i dobrego siana upchnął, żeby Józkowi chociaż trochę lżej było. Tadek nie przyszedł wtedy do Józka i Jasi, a gdyby przyszedł i zobaczył, ile tam smutku było, toby nie mówił tak lekko, że trzeba przyjmować wyroki boskie.

– Chodź – poprosił go Antoni. – Matka i Bronka krzyczą, że żur już wrze, a Józka nie ma.

Wisiał w kuchni, na żerdzi. Jeszcze ciepły, ale już martwy tak, że nic się nie dało zrobić. Tadek wybiegł na dwór i Antoni usłyszał odgłosy torsji.

– Józek, coś ty zrobił? – spytał, odcinając trupa ze sznura.

Potem przeniósł go na łóżko, co to je dla niego zbił, i położył go na sienniku. Zmówił krótką modlitwę.

– I co ja teraz twoim powiem? – pytał, bo mu lżej było, kiedy do Józka gadał. – Że do Jasi chciałeś iść? A skąd wiesz, że w to samo miejsce trafisz? Skąd wiesz, Józek? Kara boża pewnie cię nie minie i trafisz dokładnie tam, gdzie iść nie chciałeś. Tak będzie, Józek...



Następny urodził się Kajtek. Akurat w czas, kiedy były wykopki. Antoni prosił, żeby Bronia nie szła w pole, bo opuchnięta była jak przy Romku i zła jak osa, co do niej było zupełnie niepodobne, ale ona się uparła. I faktycznie, razem pozbierali wszystko jak trzeba, do piwnicy Antoni ziemniaki zatargał, a potem Bronia się położyła i w trzy godziny powiła następnego chłopaczka. Antoni dosłyszał tylko, że to chłopiec, że zdrowy, i poszedł się napić na tę okoliczność do karczmy. Ostatnio dobrze mu się powodziło, wszyscy wiedzieli, że zdun z niego jakich mało. Panowie i wieśniacy czekali w kolejce, aż Antoni skończy pracę w jednym miejscu, żeby taki znakomity fachowiec i u nich piec postawił.

– Gdzie ojciec? – spytała Romka, jak już niemowlę było obmyte i dudliło z piersi.

Romek wzruszył ramionami.

– Poszedł – rzucił zwięźle.

Bronia westchnęła.

– A toto skąd przyszło? – spytał Władek, głaszcząc główkę dziecka paluszkami.

– Pan Bóg je nam zesłał, jak kiedyś ciebie i Romka – powiedziała Bronia i uśmiechnęła się najpierw do Romka, potem do Władka, ale tylko ten ostatni odwzajemnił jej uśmiech.

– Taki miły, ale futerka nie ma – powiedział Władek.

Bronia się roześmiała, chociaż wszystko ją w środku bolało. Przyciągnęła kołyskę i ułożyła w niej dziecko.

– Będzie się nazywało Kajetan – zdecydowała.

Antoni wrócił nad ranem, pijany, i upadł w sieni. Bronka przeżegnała się i zdjęła mężowi buty, chociaż Bóg jeden wie, ile ją to kosztowało, bo

ledwie chodziła. Następnie przemyła mu twarz zimną wodą. Antoni otworzył jedno oko, potem drugie. Zobaczył Bronię i wyciągnął ku niej rękę.

– Bronia moja – powiedział. – Broneczka moja...

Potem zasnął ponownie. Nie miała siły, żeby go dźwigać, więc położyła mu poduszkę pod głowę i okryła kocem. Całe szczęście, pomyślała, że gdzieś w połowie drogi nie upadł, boby zapalenia płuc dostał. Już chciała iść do izby, bo Kajtuś zakwilił, ale zawróciła i z kieszeni płaszcza męża wyjęła skórzany portfel, który Antoni dostał jako prezent ślubny. Portfel był pusty. Bronce zachciało się płakać. Piec Antoni miesiąc stawiał, miał dostać dobry pieniądz, tymczasem przepił wszystko. Pewnie nie sam, tylko z darmozjadami, co to w karczmie przesiadują i okazji wypatrują, żeby za cudze pić. Ręce się jej trzęsły. Rzuciła portfel obok leżącego Antoniego, żeby rano, kiedy wytrzeźwieje, zobaczył, że ona nie taka głupia i wie, co się stało. Potem wróciła do sypialni, do nowo narodzonego dziecka.

Antoni spał do południa, potem wstał i przyszedł nowego syna zobaczyć. Cieszył się przy tym tak, jakby nic się w nocy nie stało, aż Bronka nie wytrzymała i go z sypialni przegoniła.

– A czemuż ty mnie jak raroga jakiego traktujesz? – zdumiał się Antoni.

Wykrzyczała mu swoją złość, chociaż przecież posłuszna miała być mężowi, ale o to nie dbała. Nie bała się też, że Antoni się rozżłości. Niechby ją uderzył, toby inaczej pogadali, myślała. Antoni nie tylko jej nie uderzył, ale wysłuchał pretensji ze wstydem. Potem przysiadł na łóżku, ujął trzęsącą się rękę żony w swoją i pocałował kilka razy.

– No wybacz, Bronka, wybacz. Napiłem się za dzieciaka zdrowie.

– Akurat za zdrowie dziecka nie trzeba pić, tylko się pomodlić – sapnęła. Złość jej wcale nie przeszła.

Antoni pokręcił głową.

– Trzeba – stwierdził. – Po to się przecież chrzciny wyprawia.

Bronka popatrzyła z niedowierzaniem. Wstała z trudem z łóżka i podeszła do okna, żeby je otworzyć. Było już chłodno, ale od Antoniego

cuchnęło gorzałą i potem, a nie chciała, żeby Kajtek w takim zaduchu leżał.

– Po pierwsze – powiedziała wolno – chrzest służy temu, aby dziecko Panu Bogu ofiarować i poprosić o wszelkie dla niego łaski.

– Ja wiem, po co... – zaczął Antoni, ale Bronka, całkiem nie jak posłuszna kobieta, przerwała mu:

– Najpierw ja skończę, potem ty będziesz gadał – uniosła palec ku górze, po czym kontynuowała swój wywód. – A po drugie, chrzcin nie ma za co urządzić, bo żeś przepił wszystko, co dostałeś za piec.

I w tej chwili coś ją tak za serce szarpnęło, że nie wytrzymała i rozplakała się głośno i rzewnie. Za pieniędzmi, bo z czegoż teraz będą żyli? Miała wprawdzie w puszcze na sól parę odłożonych groszy, co to je zarobiła, sprzedając kurze jaja i masło na targu, ale ileż tego było. Antoni schylił głowę, po czym sięgnął za pazuchę, pogmerał ręką pod koszulę i wyjął przyszyty od wewnątrz woreczek. Bronia zmarszczyła brwi, bo nie przypominała sobie, żeby coś takiego wszywała mu w koszulę. Antoni wydobył z woreczka zwitek rubli i podał Bronce.

– Masz – powiedział. – Nie przepiłem.

Wzięła do ręki banknoty, ale nie przeprosiła. Zresztą mąż wcale na przeprosiny nie czekał.

– Wiem, że słaby jestem, dlatego część grosza schowałem, niejako przed sobą – przyznał ze wstydem. – Dobrze zrobiłem, bo dużo z tego, co miałem w pugilaresie, przepiłem, a resztę chyba mi ukradli.

– Szczęście, że pugilaresu nie wzięli – mruknęła Bronka prawie całkiem udobruchana. – Przecież to pamiątka.

Antoni uśmiechnął się.

– Ja nie chcę tak pić – wyznał. – Ale ja nie wiem, co mnie tak ku temu pcha.

– Ja ci powiem, co cię pcha – rzuciła Bronka na nowo zdenerwowana. – Diabeł jaki cię pcha.

Antoni znów schylił głowę.

– Może i diabeł – powiedział. – Mnie się coś takiego stało, jak te dzieciaczki z ciebie wypłynęły, a potem Jasia i Józek...

Bronia nie zamierzała okazać zrozumienia.

– Te dzieciaczki ze mnie wypłynęły, jak powiadasz. Nie z ciebie. A co do Jasi i Józka, to ja też ich opłakałam, a nie przepijam pieniędzy na chleb.

Potem wystosowała długą przemowę, w której przypomniała Antoniemu, co było po odcięciu Józefa ze sznura, jak z księdzem walczyli o to, żeby pochował po chrześcijańsku, a nie pod płotem, jak Hankę Kądziałę, która zaciężyła z jakimś parobkiem, a potem, jak ją ojciec wygnał, to się do Utraty rzuciła. W końcu użyła argumentu, że skoro chłop na siebie rękę podnosi, znaczy, że go Pan Bóg do tego skłonił, bo wiadomo, baba to zawsze w kłopoty się wpędzi albo szatan jej rozum zmąci, a chłop, jak się wiesz, to widać Bóg tak chciał. Wtedy ksiądz uległ i pogrzeb chrześcijański wyprawił, w jednej mogile z Jasią i z ich nie do końca narodzonym dzieckiem spoczywają.

– A potem to łatwo było, jak matka się całkiem w sobie zapadła, a Zocha i Tadek nic innego nie robili, tylko dybali, żeby chałupę i większość zwierząt po Józkach dostać? – przypominała sobie. – Na szczęście ojciec i matka nie pozwolili. Chałupa stoi, jeść nie woła, a zwierzętami podzieliliśmy się sprawiedliwie.

– Jak sprawiedliwie, kiedy nam się koza trafiła, a im krowa? – spytał Antoni.

– My mamy mniejsze dzieci i bardziej koziego mleka potrzebują. Niech im ta krowa na zdrowie idzie. Ona mało mleczna. A koza co inszego, tyle mleka daje. I jaki ser dobry. I kury wzięliśmy nioski, bo Zocha kur nie cierpi. Gdyby nie jaja z tych kur, to co ja bym nieraz dzieciom do jedzenia dała, jak ty pieniądze przepijasz?!

– No przecie tych nie przepiłem – mruknął. – I teraz zawsze od razu ci będę oddawał, sobie tylko trochę zatrzymam. Bo ja dla rodziny...

Bronka znów pokiwała niechętnie głową.



– Dla rodziny, dla rodziny – sarknęła. – Nawet dzieciaka dobrze nie obejrzałaś. Nawet nie wiesz, jak mu na imię dałam.

– Mama mówiła, że Kajtuś – Bronia ze zdumieniem spostrzegła, że spod łóżka wylazł Władek.

– A co ty tu, smyku, robisz? – wykrzyknęła, martwiąc się, czy nie powiedziała czegoś, co by uszy biedaka nie zniosły.

– Romek mnie bije – poskarżył się Władzio. – I zimno na dworze, to przyszedłem tu.

– Czemu cię bije? – spytał Antoni, a Bronia przystawiła Kajtka do piersi.

– Bo ja wiem. Bo to Romek jest?



Kiedy Kajtuś miał dwa latka, znów urodziła martwe dziecko. Tym razem siedziało w niej tylko trzy miesiące księżycowe. Ból był taki sam jak przy tamtej dwójce, ale odcień inny. Wszystko odbyło się też szybciej. Wstała do kur i jakby ją kto w brzuch uderzył, a potem wypłynęła z niej krew. Stłumiła szloch i poszła się umyć. Potem zbudziła Antoniego i opowiedziała mu, co się stało. Antoni bez słowa przytulił żonę i wyszeptał jej do ucha, żeby się nie martwiła. Też tak pewnie musiało być. Potem poszedł do kościoła, umoczył, jak kiedyś, chustkę w wodzie święconej i pochował to, co z dziecka zostało, obok tamtej dwójki. Księdzu nic nawet nie mówił, bo skoro tamtych niebożąt pochować nie chciał, to tego biedaka tym bardziej. Pomyślał wprawdzie, że może by tak całą trójkę przenieść w nocy do grobu Jasi i Józka, ale zrezygnował. Niby teraz grób rodzinny na cmentarzu był, ale dla nienarodzonych dzieci, które nawet imion nie miały, Jasia, Józek i ich biedne dzieciątko to nie najlepsza kompania. Już lepiej niech tu leżą, koło nas, blisko, nie z obcymi. Felicjanki nie wołali, bo i po co. Bronka pamiętała, że nie powinni przez cztery niedziele z Antonim spółkować, a potem znów można. Matce i ojcu nic nie mówili, że się spodziewają, wychodząc z założenia, że jak będzie widać, to się powie, albo mówić nie trzeba, bo sami przy którejś niedzieli zobaczą. I tylko

zdumiała się, kiedy Zocha spytała, czy „to znów się stało”, bo nie sądziła, że siostra wyczuje nieszczęście. Bronka przytaknęła.

– Myśmy na trójce poprzestali, chociaż Tadek mój robotny i mamy więcej ziemi niż wy – powiedziała.

Bronka poczuła się urażona.

– U nas będzie, jak Pan Bóg zdecyduje – powiedziała. – Ja bym dotychczas nie trójkę miała, tylko szóstkę.

– Trochę rozumu trzeba mieć i chłopu nie dawać co chwila.

Bronka przełknęła ślinę i zastanowiła się, jak siostrze odpowiedzieć najlepiej i najdosadniej.

– Ty swojemu przez rozum dawaj, a ja swojemu z serca.

Zocha stanęła jak wryta.

– Gołąbeczka – wykrztusiła w końcu. – Myślałby kto. I pyskować umie.

– A niby czemu ja mam twoje życie za swoje brać, co? – spytała Bronka. – Ty robisz, co ci Tadek mówi, i twierdzisz, że to twoje mądrości, a ze mną Antoni rozmawia o tym, co ma być i jak.

– Czyli ciebie ślubny pyta, czy mu dasz, czy nie? – wyzłośliwiła się Zocha.

Bronia nie chciała jej odpowiadać pochopnie. Nigdy nie zazdrościła Zosze Tadka, chociaż chłop był jak się patrzy. Sama też nie oglądała się za innymi, zanim Antoniego nie zobaczyła i nie zrozumiała, że on właśnie dla niej do Brwinowa przyjechał. Gdyby chciała być złośliwa wobec Zochy, toby jej przypomniała, jak na ich weselu Tadek nie chciał Bronki z rąk wypuścić, chociaż ta mu mówiła, że nie wypada tylko z jedną siostrą panny młodej tańcować i swoją własną żonę zaniedbywać. Nie była jednak złośliwa i nic takiego nie powiedziała. Zocha na pewno była świadoma tego, że Bronka podoba się Tadkowi, i niemalże słyszała, jak Tadek utyskuje na Antoniego, że pijak i nie zasługuje na taką żonę. Zocha, kiedy się rozzłościła, to oczy jej całkiem ciemne się robiły, a gdy komuś czegoś zazdrościła, to jeszcze powiekami tak mrugała, jakby jej paproch wpadł. Teraz oczy jej i szerniały, i mrugała raz za razem.

– Czego ty mi tak zazdrościsz? – spytała w końcu Bronka. – Przecież Tadek jednak, bogaty, ziemię macie i dzieci zdrowe. Nikt po twoje ręce nie wyciąga. Po śmierci Jasi zwierzętami podzieliliśmy się też po połowie. Nikt nie mówił, że my mamy wziąć więcej, bo jesteśmy biedni.

– Jeszcze by tylko tego brakowało – rzuciła coraz bardziej zła. – Żebyś po nie swoje rękę wyciągała.

– A to może twoje? – zdumiała się Bronka. – Zwierzęta po zmarłej siostrze?

– Mama z ojcem mogli wziąć.

Bronka przyglądała się siostrze uważnie. Coś musiało się między Zochą i Tadkiem popsuć, skoro ona taka zła jak osa. Bądź co bądź Bronia przysłała tu jako matka zbolą, po pocieszenie, nie, żeby ją napadać. I nie było powodów do pretensji, bo nawet zwierząt Jasi wtedy przecież nie chcieli.

– Każdy swojego pilnuje – powiedziała. – Ty mi dzieci nie licz i do piwnicy nie zagłądaj.

Nie powstrzymało to jednak Zochy od dalszych komentarzy.

– Dzieci trzeba wykarmić – wzięła się pod boki.

– No ale moje głodne nie chodzą – Bronka przełknęła ślinę. Coraz bardziej miała dość tej wizyty.

– Jak w połogu z Kajtkiem leżałaś, to nie raz Władzia trzeba było nakarmić – wypaliła Zocha.

W Bronkę jakby piorun strzelił.

– Nigdy! – wstała i podstawiała Zośce pięść pod nos. – Nigdy moje dzieci nie chodziły głodne! Nawet jak Antoni pił! Może kielbasy nie było czy słoniny, ale nigdy chleba i kaszy nie brakowało!

Zocha nie wydawała się przestraszona. Co więcej, nie była także przekonana co do siostrzanej prawdomówności, bo perorowała dalej.

– A pewnie! Nigdy, nigdy, nigdy... Kiedyś go sama zobaczyłam, jak do matki i ojca przybiegł taki blady i pajdę chleba wsunął. Sokiem z malin popił, bo siny z zimna. I bosy na dodatek! Jak jakiś najbiedniejszy wieśniak! A my Wielichnowskie jesteśmy! Szlachta!

– No to raczej ty go nie karmiłaś, skoro matka go chlebem musiała poratować – burknęła Bronka, po czym wstała roztrzęsiona i skierowała się ku drzwiom.

– A obraź się, obraź... – stękała Zocha. – Bo ci mąż pijak bliższy niż cała rodzina.

– Zapamiętaj sobie – powiedziała Bronka na odchodnym – że mąż to teraz moja rodzina najbliższa. Murem za nim stanę i on za mną też.

– Teraz ty Winna jesteś, nie Wielichnowska – krzyczała za nią siostra.

Bronia wróciła do domu w takim tempie, że jej potem sąsiadka, Zosia Kaminka, mówiła, że tylko pięty biały było widać, jak drogą biegła.

Wpadła do domu niczym furia i zaraz złapała za rękaw Romka.

– Siadaj mi tu! – krzyknęła i siłą posadziła syna na krześle, po czym krzyknęła: – Władziu!

– Co mama krzyczy? – spytał Władzio, wychylając jasną głowę. – Kajtuś się zbudzi.

– Jak się zbudzi, to jeść mu dam. Chodź no tu.

Władek przyszedł przestraszony, bo jeszcze w swoim życiu tak zdenerwowanej matki nie widział. Usiadł grzecznie za stołem i złożył rączki.

– Gadaj mi tu zaraz. Czemuś ty był głodny i do babki po chleb chodził, co?

Jasna buzia Władzia zaczerwieniła się po czubki pszenicznych włosów.

– No bo tego... – bąkał.

Obok siedział Roman z uśmiechem na pociągłej twarzy.

– Przecież w domu zawsze chleb jest i nie przypominam sobie, żebyś was tu na głodzie trzymała.

Po policzkach Władka pociekły łzy.

– Mazgaj – podsumował krótko Roman.

– No to może ty mi powiesz, czemu on głodny chodził, co? – przeniosła wzrok na starszego syna.

Ten wzruszył ramionami.

– Ja mu sam oddałem swoje – wydusił w końcu Władek.

Bronia miała jasność, kto komu chleb zabrał, nie wiedziała tylko czemu, a właśnie tego chciała się dowiedzieć, zanim zdecyduje o wymierzeniu kary.

– Romka pytam – nawet nie spojrzała na Władka, który chlipał już całkiem jawnie.

Roman po raz kolejny wzruszył ramionami, a wtedy Bronka wstała i podeszła do pierworodnego. Wciąż patrzył hardo.

– Zabierałeś dziecku jedzenie?

– Zabierałem – stwierdził Romek obojętnym tonem.

– Czemu? Sam głodny byłeś?

– Nie byłem – wycedził.

– Czyli zabierałeś ot tak, co?

Roman pokiwał głową.

– I co potem z tym jedzeniem robiłeś? Dałeś biedniejszemu?

Roman się roześmiał.

– Sam zjadałem, kogo mam karmić? Dziada pod kościołem?

Bronka pokręciła z niedowierzaniem głową. Mój Boże, pomyślała. Roman ma osiem lat, a taki niedobry. Władzio siedmiolatek, a przy Kajtusi pomoże i w domu można na niego liczyć. Oczyma duszy zobaczyła, jak Roman odbiera chłopcu chleb, który im dawała co rano, i sam zjada. Poczwała straszny wstyd. Nie złość właściwie, a wstyd, że jej dzieciak, o którego się modliła i na piersi hodowała, jest taki podły. Może i dobrze się stało, że się w taki sposób dowiedziała, pomyślała sobie, a głośno powiedziała:

– Inaczej sobie teraz pogadamy.

Roman nie wyglądał już tak butnie jak przed chwilą. Widziała, jak marszczy czoło i przymyka oczy. Ojca nie było w domu, więc i pasa

naturalnie brakło. Matka jednak mogła złać go rzemieniem albo wziąć kija, co by bolało o wiele bardziej niż ojca słabe razy. Oblał go zimny pot.

– A co mi mama chce zrobić? – próbował jeszcze utargować cokolwiek, ale Kajtuś zakwilił i Roman wyraźnie odetchnął z ulgą.

Matka pójdzie się dzieciakiem zająć, a on sobie tu z Władziem pogada. Nie zabierze mu już jedzenia i nie zmusi, żeby ten klęczał i go o nie prosił, ale pięść pójdzie w ruch. Im wcześniej życia się nauczy, tym lepiej dla niego, dywagował. Matka jednak nie reagowała na płacz dziecka, przynajmniej nie tak, jak sobie Roman wyobrażał.

– Władziu, zabaw Kajtusia, ja zaraz przyjdę.

Władek poszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Ja ci powiem, co ci zrobię – wycedziła, patrząc dzieciakowi prosto w oczy. – Odpracujesz ten chleb, coś mu go zabierał. Będiesz za mnie pole obrabiał i w sadzie pracował.

Roman był tak zaskoczony, że aż buzię rozdziawił. Jak to? On ma w polu robić? A co matka będzie w tym czasie robiła?

– A ja zajmę się robieniem serów – powiedziała, jakby mu w myślach czytała. – Weźmiemy więcej kur i jaja będziemy sprzedawać. Pójdę na służbę do kogoś i dostanę pieniądze.

– Ale po co? – spytał szczerze Roman.

– Kupimy buty dla wszystkich – stwierdziła kategorycznie Bronia. – Nie będziemy chodzić boso.



– Hej ty, Winny – śmiały się z niego dzieciaki. – I ha ha! I ha ha!

Zaciskał zęby i szedł za pługiem. Kiedy matka obrabiała pole, patrzył obojętnie, jak ciężko pracuje. Teraz jednak było inaczej. Kara dotknęła go bardziej niż bicie. Jakby miał być szczery, toby wołał pasem dostać, nawet na goły tyłek. Dlaczego oni nie mieli konia jak inni chłopcy?

– I z czego się śmiejesz, śmieciu? – splunął przez ramię i obiecał sobie, że jutro po szkole zaczeka na Gutka Nurka i obije mu gębę.

– I ha ha! I ha ha! Wio, koniku! – wydzierał się Gutek, a inne dzieciaki mu wtórowały.

Nie pomagało zasadzanie się na Gutka i Heńka, nabijanie im guzów. Śmiali się z niego i tak. Wzbierała w nim złość. Wszystko przez tego małego gnoja, który nie mógł z głodu wytrzymać i musiał do babki na skargę polecieć. A ta matce wygadała. Albo ciotka, czort ją wie. Nie cierpiał ciotki. Właściwie to nikogo nie lubił. Jeden Karlik, ciotki syn, był dla niego miły. Romek lubił za nim chodzić. Karlik uczył go, jak ryby łowić na stawach, jak szalas budować, i opowiadał o szerokim świecie. Kiedyś stąd wyjedzie. Zostawi ich wszystkich, matkę, ojca, braci.

– Romek, mama mnie z zupą dla ciebie przysłała – usłyszał koło siebie głos Władka.

Władek zostawił garnczek z zupą i pajdą chleba, i oddalił się na bezpieczną odległość. Romek pomyślał, żeby braciszka dogonić i uderzyć albo chociaż postraszyć, ale niczego takiego nie zrobił. Był tak zmęczony pracą, że nie chciało mu się nawet palcem kiwnąć. Podszedł do pozostawionych wiktuałów, rozsiadł się tyłem do Władka i zaczął jeść. Nigdy nie miał w gębie czegoś smaczniejszego. Matka przysłała mu najzwyczajszą kartoflankę, ale ta wydała mu się tak pyszna jak świąteczne zupy, szczerze zabielaone śmietaną, z dużymi kawałkami mięsa. A chleb, mimo że zwyczajny, smakował niczym bożonarodzeniowe ciasto, które uwielbiał, chociaż nigdy matce dobrego słowa o jej gotowaniu nie powiedział.

– Chodź tu! – krzyknął do Władka.

– Nie chcę! – odkrzyknął chłopiec i odszedł jeszcze dalej. – Jak zjadłeś, to zostaw obok garnek. Zabiorę.

Roman westchnął. Szczerze mówiąc, chciał oddać Władkowi ostatni kęs chleba, bo pewnie mały jest głodny, ale skoro taki niewdzięczny, to nie, niech nie je.

– Chleba ci chciałem kawałek dać! – krzyknął. – Nie bój się!

– Nie podejść! – upierał się Władek. – A chleba mama mi dała. To dla ciebie jest!

Roman westchnął i rzucił garnczkiem w brata, ale ten uchylił się i naczynie wylądowało na ziemi. Władek podniósł je i obejrzał dokładnie.

– Cały! – krzyknął i pognął z powrotem.

Roman stał i patrzył za bratem, potem wrócił do pług. Zupa i chleb przyjemnie ciążyły mu w żołądku.



Bronia tymczasem stawiała się do pracy u pana Dobrosława Mackiewicza z Moszny. Nie był to tak wielki pan jak Krotoszyński albo Kuncewicz, ale posiadał kilka stawów i ryby hodował. Pracę załatwił jej Antoni, który piec do wędzenia Mackiewiczowi zrobił. Pan był zadowolony, dobrze zapłacił, a Antoni zgodnie z umową większość pieniędzy dał Bronce, resztę podzielił na pół. Połowę schował do schowka w piecu, bo tam nikt szukać nie będzie. Pozostałe włożył do portfela, ale postanowił, że na picie nikomu namówić się nie da, bo wiadomo, jak się to skończy. Antoni miał świadomość tego, że jest słabym człowiekiem, ale zamierzał z ową słabością walczyć. Dla Broni, która nie zasługiwała na to, żeby jej własna siostra wypominała, że dzieci głodne chodzą, a oni sami butów porządnych nie mają.

Mało się nie rozplakał, kiedy Bronia streściła mu rozmowę z Zochą. Zaraz chciał Romana lać, ale żona powiedziała, że na pole chłopaka zagnała, gnojówkę kazała wynosić i ten pracuje jak się patrzy.

– Ojciec dupę powinien zlać – mruknął. – Bo praca to nie kara.

– A ja uważam, że dupę to nie sztuka obić. A praca to nauka. Popracuje, zobaczy, że chleb łatwo nie przychodzi, to nie będzie innym żałował – powiedziała Bronka stanowczo. Po chwili dodała: – Spytaj dziedzica, czy w kuchni nie znajdzie się jaka praca dla mnie.

Spytał więc, kiedy już się rozliczyli:

– Tak sobie myślę, panie Mackiewicz, czy by pan żony mojej zatrudnić nie chciał...

– A żona umie pokoje sprzątać? – odpowiedział pytaniem pan Mackiewicz, zastanawiając się, jakby tu grzecznie odmówić dobremu



zdunowi.

– Umie, ale ona chciała w kuchni pracować, wspaniała kucharka z niej – powiedział Antoni.

Pan Mackiewicz się zamyślił. Nie dalej jak dwa tygodnie temu na zakażenie krwi umarła dziewczyna podkuchenna i kucharka jego żonie zgłaszała, że nowa jest niezdarna i tępa okropnie. Rzeczywiście potrawy jakby nieco gorsze były, na pewno sosy nie miały takiego smaku jak dawniej.

– Właściwie to mamy tu taką potrzebę w kuchni – odrzekł wolno. – Żona moja się tym zajmuje.

– To pan żony spyta – poprosił Antoni.

Pan Mackiewicz zmarszczył brwi, bo nie zwykł polecenia od chłopca przyjmować, ale przypomniał sobie, że Maryna także narzekała na jakość potraw i postanowił wyjątkowo grzeczności nie egzekwować.

– Niech pan poczeka chwilę – rzucił, po czym poszedł do pokoiów małżonki, zapukał i przekonawszy się, że żona już ubrana, wyłuszczył krótko co i jak.

Pani Maryna zastanowiła się.

– Niech przyjdzie – zdecydowała w końcu. – Wezmę ją na okres próbny. Jak nasza Dawidkowa powie, że się nada, to zostanie. Jak nie, to nie. Gorsza od tego garkotłuka nie będzie.

Dobrosław Mackiewicz pokiwał głową i wrócił do Antoniego, żeby mu przekazać dobre wieści. Antoni podziękował grzecznie, zapewnił, że nie będą żałować i wrócił do siebie. Mackiewicz nie raz tę rozmowę wspominał, bo nie tylko nie żałował, ale też wdzięczny był jak nie wiem co. Bo nie szło jedynie o to, że już po kilku dniach odczuł różnicę w potrawach, żona była zachwycona, a kucharka wreszcie przestała narzekać. Ta dziewczyna była zupełnie inna, niż się spodziewał. Po pierwszym tygodniu zachęcony zachwytem Maryny i zadowoleniem Dawidkowej zapłacił kobiecie za próbny tydzień i osobiście powiedział, że może zostać.

– Bardzo dziękuję – odrzekła kobieta. – Cieszę się, że pan zadowolony.

Nie spuściła przy tym wzroku, tylko patrzyła na niego jasnymi, pięknymi oczami. Przyjrzał się jej. Była raczej drobna, miała małe ręce o delikatnych, cienkich palcach, a na sobie dość skromną, ale wyprasowaną sukienkę. Na głowie chusteczkę w żywych kolorach. Spojrzał dyskretnie na jej stopy obute w chodaki, z których wystawały pocerowane pończochy. Zrobiło mu się żal kobiety.

– No – powiedział stropiony. – Ja jestem zadowolony i moja żona. Przede wszystkim żona.

Kobieta pokiwała głową i nadal stała nieruchomo. Dobrosławowi przyszło do głowy, że czeka pewnie na to, żeby pozwolił jej odejść.

– Możecie odejść – powiedział. – Chyba że coś jeszcze?

Sam nie miał wiele do czynienia ze służbą, raczej wszystko ustalał z zarządcą. Nie bardzo wiedział, co mógłby powiedzieć nowej kucharce, żeby rozmowę zakończyć i do swoich zajęć wrócić.

– Chciałam jeszcze o coś spytać – odparła tymczasem kobieta.

– Możecie resztki do domu zabierać – domyślił się. – Ustalcie z Dawidkową co i jak.

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Dziękuję, ale nie potrzeba – powiedziała. – Tu dość ludzi do wykarmienia. Chociaż jak się co ma zmarnować, to chętnie wezmę. Grzech wyrzucać. Chciałam pana zapytać o coś innego.

Dobrosław był coraz bardziej zdumiony. Jeszcze nie słyszał, żeby chłopka wyrażała się tak ładnie.

– Słucham.

– Czy mogłabym książki pożyczyć?

Mniej by się zdumiał, gdyby zażądała wielkich pieniędzy albo chciała z dzieckiem do pracy przychodzić. Ale książki?

– Umiecie czytać? – spytał niezbyt mądrze, przeczesując palcami bujne włosy, kiedyś w płomiennym kolorze, teraz całkiem siwe.

– Tak – odpowiedziała kobieta spokojnie. – Umiem czytać. Nie zniszczę książki. Oddam po przeczytaniu.

Mackiewicz kilka razy pokiwał głową, bo nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Po namyśle dodał jeszcze:

– Proszę przychodzić z tym do mnie. Zaprowadzę panią do biblioteczki, a kto wie, może doradzę jakąś pozycję. – Już nie miał odwagi zwracać się do niej jak do chłopki.

Po raz pierwszy kobieta się uśmiechnęła.

– Dziękuję – powiedziała po raz kolejny.

– Jak się pani nazywa?

– Bronisława Winna – odpowiedziała. – Z Wielichnowskich.

Wielichnowscy. Coś mu zaświtało w głowie.

– Wielichnowscy? To miejscowa rodzina?

– Nie, proszę pana – odpowiedziała. – Przyjezdni, ale w Brwinowie od lat.

– No tak – odpowiedział. – Do widzenia pani.

Patrzył za nią, jak odchodzi. Była w tej kobiecie jakaś niezwykła duma. Chociaż zachowywała się usłużnie i z szacunkiem, widać było, że nie będzie się poniżać ani pracować za kilka groszy. Nie było także w jej zachowaniu żadnej demonstracji. Kiedy zakończyła rozmowę, wyszła tylnym wyjściem, dla służby. Tak jak ustalili, raz w tygodniu, w piątki, oddawała książkę, która wydawała się nietknięta, i brała kolejną, zawsze bardzo grzecznie dziękując. Za każdym razem tłumił chęć zaproszenia jej na rozmowę na temat przeczytanej powieści, bo Bronisława Winna nie wyglądała na osobę, która ma ochotę z panami dyskutować.

– Oby została z nami jak najdłużej – powiedziała Maryna. – Takiej kucharki to nie mają nawet w Warszawie.

Dobrosławowi pozostało tylko zgodzić się z żoną.



Antoni aż puchł z dumy.

– To był wyjątkowy rok – powiedział, ściskając świątecznie żonę przy nadziei i swoich trzech synów.

Roman jak zwykle się odsunął, jak tylko ojciec go wyściskał, a Władek przylgnął do brzucha matki. Mały Kajtek siedział przy stole i ciekawie spoglądał na stół pełen wigilijnych potraw.

– Podziękujmy Bogu za tyle dobra – rzekła Bronka.

Roman sapnął, ale nawet on musiał przyznać, że za swoją pracę otrzymał dobre wynagrodzenie. Ojciec sprawił mu porządne buty, nie skórzane wprawdzie, bo przecież noga mu rosła, ale gumiaki jak się patrzy, ocieplane w środku. Nie musiał już w chodakach biegać i słomą ich wypychać. Dostał też nowe ubranie, kożuszek na zimę, który matka mu uszyła ze skórek zajęczych, i spodnie, które wkładał do kościoła. Matka skróciła i zwęziła stare portki ojca. Roman już nie wyglądał jak dziad i dzieciaki nie śmiały się z niego, zwłaszcza że wyrósł bardzo i chociaż chudy był jak wiór, to żyłasty i pięść miał mocną.

– Dziękujemy ci, Boże, za rodzinę. Prosimy cię o zdrowie i spokój dla wszystkich – powiedziała.

Władek odziany w nową koszulę i spodnie, także w porządnym butach, uczesany starannie, najgłośniej śpiewał kolędy.

– Pięknie śpiewasz, synku – wzruszyła się Bronka.

– Za tych, którzy nie usiądą z nami przy wigilijnym stole – powiedział Antoni.

Miał przy tym na myśli Zoche, która wraz z mężem i dziećmi spędzała Wigilię z rodzicami. Bronka poszła zaprosić ich wszystkich do Winnych, ale Zocha sapnęła, że najlepiej będzie, jak oni do siebie starych rodziców

wezmą na wieczerzę, a wszyscy spotkają się u Winnych w pierwszy dzień świąt.

– Niech i tak będzie – stwierdziła Bronka, przetykając przykrość, jaką odczuła, bo przecież nic nie stało na przeszkodzie, żeby byli razem i w Wigilię, i następnego dnia.

Zazdrość Zochy musiała być duża, skoro nie chciała wspólnie cieszyć się z narodzenia Pana Jezusa. Niedawno zawitała do domu Winnych i była zdumiona tym, jakie zmiany zaszły w ubogiej dotąd chałupce.

– No, no, no – powiedziała, rozglądając się dokoła.

Bronia zaprosiła ją, żeby usiadła przy stole, wyciągnęła konfitury i wstawiła wodę na herbatę. Pamiętała, że Zocha bardzo lubi popijać wywar z dziurawca, dlatego wyciągnęła ususzone kwiaty i nasypała do kubków.

– Ładne kubeczki, prawda? – spytała. – Antoni robił piec do ceramiki u Gontka. I zamówił dla nas takie kubki. Czyż nie piękne?

Zocha pokiwała głową, a Bronce wydawało się, że siostra spojrzała na kubek z niechęcią. Pamiętała, kiedy Antoni je przyniósł. Sprawilo jej wielką przyjemność, że pomyślał o niej, o tym, żeby było ładnie. Kubki były piękne, brązowe, z białymi kwiatkami. Do kompletu był jeden z dziubkiem, na śmietankę.

– A skąd takie coś? – siostra wskazała kredens.

– Antoni zrobił – wyjaśniła Bronka z dumą. – On ma złote ręce.

– Jak nie pije, to ma złote – kiwnęła głową Zocha.

Bronia przełknęła przytyk.

– I firany w oknach nowe – rzuciła Zocha, nie kryjąc zazdrości.

– Jeździliśmy po nie do Grodziska – wyjaśniła Bronia i dodała radośnie: – Żeby u nas ładnie było. A obrus sama wyhaftowałam. Kapy na łóżkach też sama obszyłam i obrębiłam szydełkiem.

Postawiła na stole dzbanek z herbatą z dziurawca i odkroiła kawałek ciasta drożdżowego.

– A nie szkoda tej wełny? – spytała Zocha. – Można by sprzedać.

– Można – pokiwała głową Bronia. – Pomyślałam jednak, że jako Wielichnowska powinnam mieć ładnie w domu. Mam dzieci, dobrego męża. Dom to jest bardzo ważna rzecz.

Zocha położyła sobie na talerzyk kawałek ciasta i ugryzła kęs.

– Ładnie wyrosło – pochwaliła. – I cukru nie żałowałam.

– Wolę zrobić mniej, ale żeby było smaczne – stwierdziła Bronka i sięgnęła po swój kubek. Dziurawiec dobry na smutki, to i na złośliwości siostry się nada, pomyślała. Zocha ujęła uszko, uniosła kubek do ust i wypła łyk.

– Co to jest? – spytała, krzywiąc się.

– Dziurawiec – wyjaśniła Bronia. – Zawsze lubiłam, dlatego zaparzyłam.

– To Jasia lubiła dziurawiec – Zocha odsunęła kubek. – Ja wolę miętową.

Bronia już miała zaproponować, że zrobi w takim razie miętową, bo przecież ususzyła wystarczającą ilość ziół, ale się powstrzymała. Wizyta Zochy była jakaś przykra. Siostra rozglądała się po domu z wyraźną niechęcią, krytykowała, co mogła, a jeśli nawet chwaliła, to w taki sposób, żeby odebrać jej radość z tego, co zdołali osiągnąć pracą własnych rąk z Antonim i Romanem.

– Przykro mi, że ci nie smakuje – powiedziała spokojnie Bronka. – My z Antonim bardzo dziurawiec lubimy.

– A te talerzyki to pewnie od dziedzica? – spytała po chwili znów Zocha. – Nie wyglądają na wypalane w piecu.

– Tak – potwierdziła Bronka. – Dostałam za dobrą pracę. Pan Dobrosław i pani Maryna wielce mnie cenią, a Dawidkowa nachwalić się mnie nie może.

– I kucharką będziesz u panów? – indagowała Zocha.

– To odpowiednia praca. Dobre pieniądze dostaję i mogę pomóc Antoniemu. Jemu się szczęści teraz, ludzie piece chcą mieć z prawdziwego zdarzenia, ale ja, póki mam siłę i ręce zdrowe, też mogę dorobić, nie tylko w domu siedzieć.

Zocha nic na to nie powiedziała.

– Czyli szczęśliwa jesteś? – spytała wreszcie.

– Tak – potwierdziła Bronka i położyła rękę pod sercem. – Bardzo. I przy nadziei. Daj Bóg, na wiosnę dzieciątko się urodzi. Może córeczkę nam da?

– To ja już pójdę – powiedziała Zocha nieco sztywno i odsunęła talerzyk z okruchami ciasta.

– Już? – Bronka odczuła żal. – Nie powiedziałaś nawet, po co zaszłaś...

– Chciałam cię odwiedzić, głupia... – mruknęła Zocha. – Nie można?

– Pewnie, pewnie, że można – tłumaczyła się Bronka, bo wyszło na to, jakby pomyślała, że siostra nie może przyjść bezinteresownie, tylko musi mieć jakiś powód, żeby ją odwiedzić.

– No to zobaczyłam, że u was zmiany i teraz idę. Z Bogiem, Bronka.

Długo patrzyła za siostrą, przekonana, że nie przysłała do niej ot tak sobie. Wieczorem Antoni pocieszał ją, że Zocha ma taki charakter, że jak czegoś chce, to zawsze znajdzie sposób, aby to wypowiedzieć, więc trzeba poczekać, aż sama wyjawia, co ją trapi. Bronia może dałaby się przekonać, tyle że wyszła przykra sprawa z Wigilią.

– Wiem, Broniu, że tobie smutno bez rodziny przy wspólnym stole – powiedział Antoni, jakby czytał jej w myślach.

– Wy jesteście moją rodziną, ale bez mamy i ojca bardzo smutno – powiedziała, lecz zaraz uśmiechnęła się do Antoniego, Romana, Władka i małego Kajtka.

– A do nas wszyscy jutro przyjdą, tak? – spytał Władek.

– Zgadza się – potwierdziła Bronka. – Dziś jeszcze na pasterce się spotkamy.

Przed kościołem od razu podeszli do Wielichnowskich i Zochy z rodziną. Razem weszli do kościoła i usiedli obok siebie. Wszyscy zgodnie przywitali Dzieciątko Jezus. Ksiądz Tadeusz tak pięknie mówił w kazaniu o narodzeniu Zbawiciela, o tym, że wszyscy muszą zjednoczyć się w modlitwie. Bronia zerkała ukradkiem na brwinowian stłoczonych w kościele. Przed nimi siedziała rodzina Denków. Kasia Denek była jej koleżanką ze szkoły. Uczyła się słabo, ledwie pisała i właściwie nie umiała

czytać, chociaż się starała. Wyszła za męża, kiedy miała niecałe siedemnaście lat, za chłopca z sąsiedniej wsi. Do tej pory mieli już sześćoro dzieci, które teraz siedziały koło nich. Obok siedzieli jej rodzice. Stary Denek przysypiał co chwila, a Denkowa budziła go kuksańcem w bok i Bronka zastanawiała się, czy to ze starości tak przysypia, czy od gorzałki, której nie odmówił sobie nawet przy Wigilii.

Z drugiej strony siedzieli Galicowie. Stary Galica przyjechał do Brwinowa spod samiuśkich Tatr. Mówiło się we wsi, że był tam zamieszany w jakąś sprawę kryminalną. Swoje ponoć odsiedział, ale kto tam wie. Kiedy Galica wchodził do karczmy, to Mosze od razu mu piwa nalewał i bez gadania stawiał przed nim kufel. Inna sprawa, że Galica tylko groźnie wyglądał, pewnie przez krzaczaste brwi, a był dobrym człowiekiem, pracowitym i zdolnym cieślą. Sam swój dom postawił w góralskim stylu i wszyscy niechętnie przyznawali, że jest najładniejszy w całym Brwinowie. Galica gorzałki nie pijał, tylko piwo w karczmie. Babę miał brzydką, ale dobrą. Miała na imię Marta. Cóż to za imię Marta? – gadały brwinowskie kobiety. Marta nie była miejscowa, Galica przywiózł ją ze sobą. Dzieci nie mieli. Oboje grzeczni, zawsze się kłaniali pierwsi. Bronia nie raz zastanawiała się, coż takiego mógł zrobić ten spokojny, mrukliwy człowiek, że go w kryminale zamknęli. A może to tylko plotki były, z zemsty, że Galicowie nikogo do domu nie zapraszają ani innych nie odwiedzają. Kto to może wiedzieć.

Za nimi siedziała rodzina Janiaków. Młody Jasio Janiak też chodził z Bronką do szkoły, ale kiedy byli w drugiej klasie, kopnął go w głowę koń i Jasiowi od tego czasu brakowało piątej klepki. Chodził, gadał do siebie, ślinił się i do trzech nie zliczył. Bronce było go bardzo żal, podobnie jak Janiaków, którzy jego jednego mieli i wiadomo było, że żadna dziewczyna go nie zechce, a gdy starzy pomrą, to gospodarstwo na zatracenie pójdzie. Pewnie jakaś bida go zechce poślubić, dla tej ziemi, co to ją odziedziczy, ale czy to warto na takie życie się skazywać? – dumiała.

– Bronka, o czym ty myślisz? – skarcił żonę Antoni.



– Księżdz słuham – odpowiedziała, ale na wszelki wypadek przestała się rozglądać dokoła i już z uwagą chłoneła słowa księdza Tadeusza.

– A jak są jakie między wami waśnie – mówił duchowny – to w tę noc, kiedy Bóg w swojej łaskowości Mesjasza nam zesłał, musicie wybaczyć sobie wszystkie winy.

– Amen – odpowiedzieli zgodnie wszyscy, a potem, kiedy przyszło do przekazywania sobie znaku pokoju, matka pocałowała najpierw Zochę, potem Bronię, Tadka, wreszcie Antoniego. Tę samą kolejność zachował ojciec. Bronia uścisnęła siostrę mocno i powiedziała jej na ucho:

– Wybacz, jeśli czynem albo zaniedbaniem tobie uchybiłam.

– Wybaczam – powiedziała Zocha, ale sama nie poprosiła Bronki o wybaczenie.

Bronka, która uważała, że przeprosiny muszą być szczere, czyste i nie ma miejsca na targi „ja ciebie przeproszę, kiedy ty też mnie poprosisz o wybaczenie”, rzekła tylko:

– Dziękuję.

Wydawało się, że nie ma już między nimi nijakich nieporozumień, a jeśli coś tam było, to nieważne, albo tylko tak, na chwilę, jak to w rodzinie, ale kiedy pasterka się skończyła, Zocha szybko pożegnała się z siostrą i pociągnęła rodziców za sobą.

– Co ludzie powiedzą? – skarżyła się rozżalona Bronka Antoniemu, kiedy wrócili do domu. – I dlaczego ona taka?

Antoni, który lata temu spostrzegł, że Bronka od siostry tysiąc razy ładniejsza, miłsza i lepsza dla ludzi, pogłaskał Bronkę po rękę.

– Zazdrości pewnie... – mruknął.

Bronka szcztokowała swoje piękne włosy, a Antoni patrzył z zachwytem. Mało która kobieta w Brwinowie miała takie cudne warkocze jak jego Bronia.

– Ale czego ma zazdrościć? Przecież dom mają większy i Tadek majątek rodzinny posiada. Synów chce do miasta na naukę posłać, czeladnikami mają być.

– Ja moje dzieci też posłę – Antoni zacisnął ręce w pięści, jakby się do bicia szykował.

– Zobaczmy, zobaczymy – łagodziała Bronka, bo widziała, że mąż się denerwuje, ilekroć mowa o jakiejś inwestycji na przyszłość. – Nie wiadomo, jak się ułoży. Czy ja do Mackiewiczów będę mogła wrócić albo u innych służyć.

– Może ty nie powinnaś u ludzi służyć? – rzucił nagle Antoni. – Jak urodzisz, to koniec z tym gotowaniem dla obcych.

Bronka spojrzała na Antoniego osłupiała.

– Co ty mówisz? Przecież sam mnie tam posłałeś. Pracuję, ile mogę. W domu też wszystko wyszykowane. Nikt głodny nie chodzi. Czemu ty zły nagle o to jesteś?

– Ganasz taki kawał, a brzemienna jesteś – odparł, patrząc w bok. – Jeszcze jakie nieszczęście będzie.

Bronka zakręciła warkocze wkoło głowy, zdmuchnęła świecę i weszła pod pierzynę do męża.

– Daj spokój. Nie co dzień chodzę, a państwo ludzcy. Teraz nie potrzeba pieniędzy, ale grosz odłożony trzeba mieć na jakie gorsze czasy. I należy o dzieciach myśleć. Żeby się uczyły.

– Ja powinienem o dzieciach myśleć, a ty jedynie w domu zamiatać – rzucił i odwrócił się do niej plecami.

Antoni istotnie poczuł złość. Trudno powiedzieć, skąd to się brało, bo nie miał nic przeciwko temu, że Bronka u Mackiewiczów pracuje, sam przecież prosił o jej zatrudnienie. Wiele kobiet służyło w bogatych domach w Mosznie i Książenicach. Czemu Bronka miałaby nie pracować, skoro chciała? Zresztą nikt mu nie wypominał, że rodziny nie umie utrzymać, bo i nie było to prawdą. Odkąd nie pił, no może odkąd nie pił tak dużo jak kiedyś, tylko przy szczególnych okazjach, zaoszczędzili dość pieniędzy na nowe ubrania, buty dla niego i Bronki. Kupili też kilka owiec, dla których Antoni zbudował zagrodę. Miała Bronka z czego wełnę robić. Część sprzedawała, z reszty robiła dla nich ubrania. I w domu też się wiele

zmieniło. Antoni nie tylko piec zbudował, ale też porządne łóżka zbił dla nich i dla chłopców. Mały Kajtek jeszcze w kołysce spał, ale już patrzeć, jak mu będzie trzeba kolejne łóżko zbić, bo kołyska potrzebna dla dzieciątka. Jak mały się urodzi, to Bronka przestanie u Mackiewiczów pomagać, tylko będzie dziecka pilnować. Wtedy też więcej zrobi koło domu. I za następne pieniądze konia się kupi, co by w polu było lżej robić – dumiał Antoni, zamiast spać.

– Konia kupię – oświadczył nagle.

– Kup – odpowiedziała szybko Bronka, która mimo głębokiej nocy też jeszcze nie spała, tylko zastanawiała się, o co tak naprawdę Antoniemu idzie. Przytaknęła, bo mąż wyraźnie chciał coś postanowić, zarządzić, zmienić, a ona musiała go posłuchać, chociaż wydawało się, że co innego owce na wełnę i więcej kur, żeby jaja sprzedawać, co innego koń.

– Jak mnie mówiłeś wtedy w kościele, że się rozglądam, to patrzyłam na Jasia Janiaka, tego, co gada do siebie – powiedziała.

Sen za nic nie chciał przyjść.

– I co z nim? – spytał Antoni.

– Koń go kopnął i on dlatego taki – wyjaśniła. – Wcześniej był inny. Wesoły, lubił dokazywać. Pływał bardzo dobrze. Kiedyś chłopaki chcieli psa utopić, krzyczałam wtedy strasznie i Jasio do wody się rzucił, znalazł worek, wyciągnął na brzeg i psinę uratował.

– Chłopaczyska okropne – mruknął Antoni.

– A potem koń go kopnął – nie ustępowała Bronia.

– U mnie na wsi też był taki Leszek. Wiejski głupek. Jego też koń kopnął. Zanim to się stało, chciał księdzem zostać. I nawet poszedł na braciszka. Do zakonu. Ale go zaraz odesłali, bo głowa go w kółko bolała, robić pewnie nie mógł. Włóczył się potem po ludzkich polach i modlitwy gadał. Tylko że nie takie normalne, a dziwne jakoweś, wymyślane chyba. Niby dobre słowa mówił, ale ludzie gadali, że diabeł przy tym kopniaku do głowy mu wszedł.

– No sam widzisz, Antoni – Bronka przyglądała koszulę na pękatym brzuchu. – A jak coś zrobi naszym dzieciom?

– Uważać należy, i tyle – Antoni uśmiechnął się w ciemności. – Z koniem trzeba umieć postępować. Ja umiem. Nauczę ciebie i naszych chłopców.

Westchnęła głęboko. Chciała coś powiedzieć, ale dosłyszała równy oddech męża i zgadła, że Antoni w końcu zasnął. Sama długo jeszcze leżała, ale sen nie nadchodził. Chodziło o to, że nie do końca była przekonana co do tego pomysłu. Przecież koń to nie tylko koń. Trzeba mu miejsce przyszykować, siana musi mieć i obroku. Nie wiadomo, czy zdołają udźwignąć taki ciężar. Chociaż przecież jakby taki koń u nich był, to zaraz by można o wozie pomyśleć i na targ jeździć, a nie dźwigać na plecach towar do sprzedania albo co gorsza wóz od Tadka i Zochy pożyczać.

Antoni sapnął i nagle usiadł na łóżku. Przestraszyła się, że co złego.

– A kto to była ta kobieta, która się na mszę spóźniła? – spytał. – Nigdy jej w Brwinowie nie widziałem.

– Wiesia Dębicka – wyjaśniła Bronka. – Nie widziałeś, bo ona pod Figusinem mieszka. I dziwna jest.

– Wmaszerowała do kościoła jak do swego – stwierdził Antoni i uśmiechnął się na samo wspomnienie miny księdza Tadeusza i pozostałych wiernych.

Bronka przywołała w pamięci Wiesię Dębicką i coś ją zakłuło w boku, więc się odwróciła na plecy, żeby je rozprostować. Wiesia to była dziwaczka. Chusty tkła, haftowała i gadała do siebie. Ładna, ale trzymała się na uboczu. Według Bronki Wiesia nie była żadną szeptuchą, tylko leniwą kobietą, która bałamuciła mężczyzn. Drew jej narąbali, jedzenia przynieśli, a w zamian pomigdałiła się trochę, ziółek dała niby to na męskość czy choroby i tyle tego. Kilka lat później, kiedy Wiesia będzie już żoną Batalki, cała wieś zacznie gadać, że Batałka ma rogi niczym jelen na rykowisku. Tyle że żadna baba na chłopca nie naskoczyła jawnie, bo czarów się bały. Do kościoła chodziły, ale guseł Wiesinych się obawiały.

– Czemu ty nie śpisz i mnie nie dasz? – spytała zmęczonym głosem.

– Zasnąłem, ale coś mnie męczy. Ten koń pewnie – odpowiedział, po czym znów się położył, tym razem nie odwrócił się do ściany tylko do niej, a ona jak zawsze, kiedy brzemię miała duże, umościła się plecami do niego. Antoni przerzucił rękę i położył ją na brzuchu Bronki. Lubiła, kiedy jego oddech drażnił jej szyję.

– Nie znam jej dobrze – powiedziała. – Ona dużo młodsza ode mnie. Do szkoły nie chodziłyśmy razem. Widuję ją czasami na targu. Chusty tka. Śliczne.

Antoni wspomniał, że istotnie dziewczyna miała na głowie piękną chustkę. Pomyślał, że może by taką Broni kupić.

– Śpij już, bo noc ciemna – poprosiła. – A rano wstać trzeba, chociaż święto.

Mąż pogłaskał ją po brzuchu.

– Bo ja – powiedział na koniec – o swoją rodzinę zawsze będę dbał. I nigdy, Bronka, słyszysz, nigdy wam chleba nie zabraknie. Ręce sobie spracuję, a moje dzieci też do szkół pójdą.

Odwróciła głowę i napotkała tak żarliwy wzrok, że zrobiło się jej gorąco i zaczęła się zastanawiać, czy to wypada w ciąży takiej zaawansowanej i przy Wigilii, ale uznała, że przecież o rodzinie jest mowa i w rodzinie wszystko zostaje, zatem położyła się na wznak, podciągnęła koszulę i położyła rękę na piersi męża.

– Nie gadaj tyle, tylko chodź tu do mnie – powiedziała.

A Antoniemu przeszło przez myśl, że i Wigilia, i po pasterce, ale Bronia taka piękna była, zwłaszcza przy nadziei, że odegnał wszelkie wątpliwości, czy to przy Chrystusowym narodzeniu wypada robić pewne rzeczy, i zrobił to, na co naszała ochota i ją, i jego.

A potem wreszcie zasnęli oboje, dziękując Bogu, że mają tyle dobra.



Następnego dnia Bronia dołożyła wszelkich starań, żeby rodzinny świąteczny obiad przebiegał w miłej atmosferze. Biały obrus był

wykrochmalony, stół ugiął się od specjałów. Bronia i dzieci przywitali wszystkich serdecznie, Antoni wyjął wódkę, a jakże, chociaż Bronka się nieco skrzywiła, ale cóż mogła poradzić. Postawiła na stole gar z czerwonym barszczem i półmiski z rybami.

– To za co pijemy? – spytał Tadek, unosząc kieliszek.

– Za wolną Polskę – odpowiedział ojciec.

– Za zdrowie i szczęście naszej rodziny – dodała czym prędzej Bronia i pogłaskała się po brzuchu.

– Za dobytek nasz – matka Bronki i Zochy także uniosła kieliszek. – Żeby Pan Bóg go pomnażał.

Bronka zerknęła na Zochę. Siostra siedziała spokojnie, wodziła oczami po jedzeniu rozstawionym na stole. Koło niej siedzieli Karlik, Gutek i Henio. Romek i Władzio zostali usadzeni z drugiej strony stołu. Dla Kajtka krzesła zabrakło, ale pewnie i tak by przy stole nie usiedział.

– A co to takiego? – spytała Zocha, wskazując na jeden z talerzy.

– To karp – wyjaśniła jej Bronka. – Pieczony w piecu z orzechami i cebulą.

– Karp pieczony? – zdumiał się z kolei Tadeusz.

– Tak – Bronka pokiwała głową i zerknęła na Antoniego. Antoni polał kolejną porcję wódki.

– Jest także smażony – wskazała inny talerz.

– Częstujcie się – sapnął Antoni. – Ziemniaki z olejem lnianym i kapusta z grzybami.

– Pierogi i pasztet – Bronka uśmiechnęła się zachęcająco do siostrzeńców. – Jedzcie, kochani.

– A grzyby sam zbierałeś? – spytała Zocha, nakładając sobie na talerz porcję smażonego karpia i podając półmisek dzieciom. Tylko Karlik wziął, reszta pozostała przy kapuście z grzybami. Wszyscy jednak zgodnie zajadali się pierogami, które stanowiły Bronki specjalność. Na co dzień przygotowywała je głównie z kaszą gryczaną albo tartą marchwią, od wielkiego święta z mięsem. Wigilijne robiła z samymi grzybami,

drobniutko pokrojonymi, z dodatkiem pieprzu, którego odrobinę dała jej Dawidkowa, kucharka Mackiewiczów, mówiąc, że to taki niby piołun, ale bardzo dobry, jak się doda go tylko troszeczkę.

Antoni się roześmiał.

– Myślisz, że ja was tu potruć chcę? – spytał. – Rodzinę mojej ukochanej żony?

– Po co takie żarty? – sprzeciwiła się Bronka, kładąc chłopcom Zochy i Tadka podsmażonej cebuli do pierogów.

– Romuś – zwróciła się do najstarszego – barszczu tobie i Władziowi naleję.

Władek podsunął swój talerz. Romek pokręcił głową.

– Dziękuję za barszcz – mruknął. – Grzybów zjem.

Bronka uśmiechnęła się, po czym poszła do kuchni i przyniosła smażone rydze.

– Ho, ho, ho! – wykrzyknął ojciec. – Toś Antoni dużo grzybów nazbierał, skoro tak częstujesz bez kapusty.

– A nazbierałem. W tym roku obrodziło i to nielicho. Grzybów, że kosą kosić. I wszystkie. Podgrzybki, prawdziwki – perorował Antoni. – A jak byłem w Owczarni, to natknąłem się na polankę i tam rydze jak okiem sięgnąć.

– Nie bał się wujek, że pan ten czy inny przegna? – spytał Karlik.

– A czego się miałem bać? – Antoni wzruszył ramionami. – Jak piec robiłem u Mackiewicza, ten na wędzarnię, to pytałem gospodynię, czy im grzybów nie nazbierać, to się roześmiała, bo panowie ponoć grzybów nie jedzą.

– Otrucia się pewnie boją – stwierdził Roman.

– Otruć byłoby dobrze tego i owego – roześmiał się Tadek. – Tylko potem gorszy może przyjść.

– Otruć się każdy może – zgodził się Antoni.

– W zeszłym roku to się przekręcił jeden mój kolega – znów odezwał się Karlik. – Sromotników nazbierał, myślał, że to kanie.

– To głupi – stwierdził jego ojciec bez ogródek. – A taki to zawsze ziemię gryzie. Daj, Bronka, tego karpia po pańsku.

– Proszę – Bronka podała kawałek szwagrowi.

Ten skosztował i spojrzał na nią z uznaniem.

– A ja myślałem, że orzechy to tylko dla ptactwa warto posadzić.

– A nie, nie... – Bronka się rozpromieniła. – Orzechy dobre do ryb bardzo, do mięsa.

– Po żydowsku rybę się podaje z orzechami – powiedziała matka.

– Bardzo smaczna – Zocha wreszcie się rozchmurzyła. – Muszę i ja taką przyrządzić.

Bronce zrobiło się nieco lżej na sercu. Siostra uśmiechała się i nakładała sobie wszystkich potraw z półmiska.

Ojciec jednak pokręcił głową odmownie, patrząc na półmisek z rybą.

– Dziękuję, córko, ale pozostanę przy tradycji – powiedział. – A te karpie skąd?

– Pan Mackiewicz hoduje – wyjaśniła Bronka. – Na stoły do restauracji w Warszawie te ryby idą.

Nagle matka upuściła widelec.

– To ty u Mackiewicza pracujesz? – spytała. – Mówiłaś, że w Książenicach.

– Nie – wyjaśniła Bronka. – W Mosznie. U Mackiewicza. On ma stawy hodowlane i...

– Wiem, co on ma – powiedziała matka nieoczekiwanie. – Żona jego to była niedobra kobieta.

Wszyscy przy stole nagle umilkli.

– Napijmy się – Antoni znów zaczął nalewać do kieliszków.

– Napijmy – zgodziła się Bronia, ale nie wypła wódki, bo przy brzemieniu zaraz ją usypiała. Zresztą alkoholu nie lubiła, nawet nalewek,



które robiła z jarzębiny, i orzechówki, mimo że dobra na żołądek.

– Karlik, ty się nie zapatruj na wódkę, bo lat jeszcze nie masz – skarcił syna Tadek, bo widział, jak młody oczami za butelką wodzi.

– Co ojciec... – Karlik zrobił się czerwony, a Roman prychnął wzgardliwie.

– A praca tam ciężka? – wróciła do tematu dorosłych Zocha. – Dużo ludzi do wykarmienia?

– Nie dużo – odparła Bronka i zaczęła wyliczać: – Państwo i panna Basieńka, pani zubożała krewna, dama do towarzystwa, zarządca z rodziną i pięć osób służby. Rzadko mają gości. Raz jeden stryj pana zajechał z liczną rodziną, bo on ma dwie córki, identyczne, kropla w kroplę do siebie podobne, a każda z nich też, wyobraźcie sobie, bliźniaczki ma...

– Pytałam, czy żona Mackiewicza nadal jest taka okropna – przerwała jej matka.

– Ja z nią nie mam do czynienia – odpowiedziała szczerze Bronka. – Nawet do pracy mnie nie przyjmowała, tylko pan Dobrosław. On jest bardzo miły. Do ludzi przyjazny.

– Ze służbą się spoufala? – spytała Zocha.

– Nie spoufala, ale zna ludzi, którzy u niego pracują – stwierdziła Bronka, po czym kazała Władziowi po kompot dla dzieciaków pójść, bo zapomniała o nim. Sama też chętnie by się napiła.

– Broni książki pożyczka, bo moja Bronka taka mądra – uśmiechnął się Antoni i wychylił kolejny kieliszek.

– Coś takiego – powiedział ojciec, ale z jego tonu nie można było wywnioskować, czy popiera czytanie córki, czy zażyłość z panem.

– Ja ciebie, szwagierko, zawsze podziwiałem za to twoje czytanie – powiedział Tadek, ale umilkł, bo Zocha prychnęła.

– I co jej z tego czytania przyjdzie, jak w polu haruje...

– Nie w polu robi, tylko sery robi i sprzedaje na targu przecież – łagodził Antoni, bo dyskusja znów przyjmowała niebezpieczny obrót.

– A czemu ty jej pozwalasz czytać? – spytał Antoniego ojciec, jakby Bronki nie było w pokoju.

Bronia nalewała kompotu dzieciom. Ręka jej trochę przy tym drżała.

– Ona mojego pozwolenia nie potrzebuje – burknął Antoni. – Mnie nie przeszkadza, że żona o dalekich krajach czyta.

– Przecież wszyscy czytać umiemy, bo nie jesteśmy byle kto, tylko Wielichnowscy – stwierdziła.

– Ciociu, ja też bym chciał tego karpika – poprosił Henio, a Bronka uśmiechnęła się i nałożyła kawałek najmłodszemu z siostrzeńców.

– Proszę, Heniu – powiedziała. – Skosztuj. To oścista ryba, ale bardzo dobra. Bardzo.

Nie chciała się do tego przyznać, ale jego lubiła najbardziej. Henio był podobny do Władka i z wyglądu, i z charakteru. Też taki jasny, płowowłosy i niebieskooki, i uśmiechał się zawsze. Karlik i Gutek przypominali jej Romana – ciemnoocy i ciemnowłosi, podobnie jak on, szorstcy, ale silni i do roboty chętni.

– Pismo Święte wystarczy czytać – powiedziała Zocha i poszukała aprobaty w oczach męża, ale jej nie znalazła, bo Tadek odpowiedział:

– Widać Bronce nie wystarczy i nie ma w tym nic złego.

– Grzech mówić, że Pisma Świętego nie trzeba czytać – nie ustępowała Zocha.

– Moja Bronia Pismo czyta codziennie – wziął ją w obronę Antoni. – I nam wszystkim przed snem. Nie o Pismo pewnie tobie idzie, Zosiu.

– Moje czytanie nikomu nie przeszkadza – ucięła spór Bronka. – Niczego mi nie trzeba zabraniać. Wiem, kim jestem. A czytam, kiedy już wszystko w domu i obejściu zrobione.

– Z tego czytania to tylko tęskno do lepszego świata – nie ustępował ojciec.

– Mnie na tym świecie dobrze – zapewniła ojca Bronka. – A daleki świat wcale nie taki inny. I we Francji, i w Anglii, a nawet w Ameryce, są panowie i słudzy. Tacy, którzy się w lepszym miejscu urodzili, i tacy, co

w oborze na świat przyszli. Tylko innymi językami mówią. Ale ludzie tacy jak my.

– To też w książkach wyczytałaś? – spytała Zocha, ale bez złośliwości w głosie, widać słowa Bronki zrobiły na niej wrażenie.

– Też – potwierdziła Bronka. – Sama lubiłaś czytać. Teraz już nie?

Zocha pokręciła głową i zacisnęła wargi.

– Czytam też dzieciom – wyznała Bronka.

– Tego akurat nie pochwalam – skrzywił się Antoni. – Bo ty, Bronka, mądra jesteś, ale taki Władzio może zapragnąć lepszego życia.

– Mama mnie czyta bajki o smokach! – Władzio nie wytrzymał. – O Bazy... Bazylu...

– O Bazyliszku – poprawiła go Bronia i wyjaśniła pozostałym: – To taki stwór, co jak na niego spojrzysz, to w kamień się zamieniasz.

– A Mackiewicz nie boi się, że mu książki zniszczysz? – spytała matka. – Ona nie pozwalała wchodzić na pokoje. Niczego dotykać.

– Już mówiłam, że nie mam z panią do czynienia. A pan Dobrosław sam mi powiedział, żebym też bajki dla dzieci wzięła i poczytała im. W szkole nie czytają. Zresztą taka szkoła... – Bronka machnęła ręką.

– Nie ma szkoły – przypomniał Antoni.

– Ano nie ma – westchnął ojciec. – W moich rodzinnych stronach była szkoła. Po rosyjsku wszystko, ale była. A tu nawet rosyjskiej szkoły nie ma.

– Po powstaniu... – zaczęła Bronka, ale ojciec jej przerwał.

– Wiemy, co było po powstaniu – skrzywił się, a Bronka zamilkła, bo ojciec strasznie skrzywdzony i rozczarowany walkami do domu wrócił i musiał się ukrywać, żeby go Rosjanie na Syberię nie wysłali.

– I dlatego książki od pana Dobrosława biorę – odezwała się znowu. – I mówię wam, że on dobry człowiek. Ludzki pan. Miły bardzo.

– Patrz, jak Mackiewicza broni – roześmiał się Tadeusz.

Bronia wstała, żeby bażanta przynieść i przy okazji chwilę w kuchni posiedzieć i odpocząć. Dopiero głęboką nocą zasnęła po harcach z mężem

i teraz była zwyczajnie zmęczona. Poza tym dziecko się w niej ruszało jak nigdy i zastanawiała się, czy to co złego nie znaczy.

– Antoni! – krzyknęła w głąb głównej izby, a kiedy przyszedł, poprosiła: – Podaj no bażanta, a ja chwilę posiedzę.

– Co tobie? – przestraszył się Antoni.

Brzuch miała przecież duży, tamte dzieciątka odchodziły do Pana Boga, jak ledwie ciężę było widać, więc to raczej nic złego.

– Może Pan Bóg się pogniwał, bo my przy narodzeniu Pańskim tak... ze sobą...

Antoni odłożył bażanta na piec i objął żonę.

– Bronka – powiedział łagodnie. – Jak się Pan Bóg może gniewać? Przecież my w małżeństwie jesteśmy. I z Władkiem my... robiliśmy te rzeczy i...

Bronka zatkała uszy.

– Nie mów tego – poprosiła. – Nie mów.

Antoni znów wziął naczynie z pieczonym bażantem.

– Zaniosę i pokroję, a ty chwilę odsapnij i przyjdź do nas.

Usiadła ciężko na stołku. Róg serwety zanurzyła w wodzie i przytknęła do skroni. Otarła z nich pot. Serce jej mocno biło w piersi. Oparła się o ścianę i oddychała głęboko. Potem zakręciło się jej w głowie. Zamknęła oczy i na chwilę przysnęła. Natychmiast przyszedł sen, kolorowy i bardzo intensywny. W tym śnie ludzie biegali w panice, wszędzie pełno było dymu. Na ziemi leżały zabite zwierzęta. Bronka też pobiegła do kościoła. Ołtarz, co ją przeraziło, był ogołocony ze świętych obrazów. W tabernakulum nie było monstrancji. Złapała się za brzuch, ale ten był zupełnie płaski. Nie było w nim dziecka. Zebrało się jej na płacz. Kiedy podniosła wzrok, już nie była w kościele, tylko na brwinowskim rynku. Przed nią stało w rzędzie dziesięciu młodych mężczyzn. Usłyszała szcęk ładowanej broni.

– Bronka, Bronka... – stali nad nią Antoni i Władek z zatroskanymi minami. – Goście w domu, a ty śpisz sobie w kuchni.

– Mama... – Władziowi prawie zbierało się na płacz. – Mama chora jest?

Oszołomiona spojrzała na męża. Potem przypomniała sobie sen i sięgnęła ręką pod pierś. Wymacała wypukłość brzucha i odetchnęła z ulgą.

– Bogu dzięki – powiedziała, po czym sięgnęła ręką i pogłaskała Władka po głowie.

Antoni pomógł jej wstać i razem poszli do izby.

– Zasłabłam trochę – usprawiedliwiła się.

Zocha i matka patrzyły na nią spod zmarszczonych brwi. Bronka usiadła ciężko na krześle. Władek zajął miejsce koło niej.

– Ale już dobrze? – spytała Zocha.

– Bo to jeszcze nie czas? – dopytywała matka.

Bronka pokręciła głową. Tadek i Antoni z ojcem znów mieli pełne kieliszki. Karlik jadł aż mu się uszy trzęsły. Podobnie Roman, ale on nie tykał karpia, tylko łykał ziemniaki, jakby się gdzieś spieszył.

– Nie czas.

– Może to dziewczynka? – Matka nieoczekiwanie klasnęła w ręce. – Jak z wami chodziłam, to cały czas spałam.

– Gdzie tam cały czas spałaś, Jadziu – ojciec zaśmiał się tak głośno, że mu się wąsy trzęsły. – Pracowałam jak zawsze, aż byłem zły, że niczym prosta baba w ogóle nie odpoczywasz. W nocy spałaś.

Matka uśmiechnęła się jakoś melancholijnie.

– Tylko przy Zosi pracowałam w polu – powiedziała. – Jak rodziłam Jasię, to brzuch miałam taki wielki, że wiadra z wodą nie mogłam ze studni wyjąć. A potem pracowałam u państwa.

– U Mackiewiczów właśnie – potwierdził ojciec.

– Dlatego tak Mackiewiczowej nie lubię – wyjaśniła.

Wiedziała, że matka w bogatych domach służyła, ale właściwie nigdy o tym nie opowiadała, a one z siostrami nie pytały. Właściwie to o co tu pytać? O tajemnice pańskie? O to, co lubili jadać na obiad? Jak ich zarządcy, a kto wie, czy i nie oni sami, chłopki bałamucili? Praca ciężka,

niewdzięczna, owoce tej pracy słodkie dla państwa, którzy na stołach mają obfitość, w piecach napalone i wszystko na kiwnięcie palcem podane. Dla niej też dobrze, bo jak państwo zadowoleni, to życia sobie nie wyobrażają bez takiej Bronki czy Dawidkowej i dobrze płacą, żeby tylko to, co mają, utrzymać. A gdy pracodawca spokojny jak Mackiewicz i szacunek okazuje, to już w ogóle nie ma się na co oglądać, tylko Bogu dziękować za taką robotę.

– A mama u pani Marylskiej nie pracowała?

– U Marylskiej też – potwierdziła matka. – I u Romańskich, Leśniewiczów...

Ojciec zaczął zagryzać wąsa.

– Za to, żeby nie było panów! – Zocha wzniosła kieliszek.

Dziwny to był toast, ale wszyscy unieśli swoje i wychylili. Tym razem Bronia też. Dziecko nieco się w niej uspokoiło. Może zasnęło, pomyślała.

– Romańskim to syna własną piersią wykarmiłam – powiedziała znów matka. – I Leśkiewiczówny. Obie.

– Jak babcia te dzieci karmiła? – spytał Władzio ciekawie. – Tak samo jak mama Kajtusia?

– Tak samo – przytaknęła Jadwiga Wielichnowska.

– Jedz, nie gadaj – Antoni nie wytrzymał, a Władek nie zaprotestował, tylko spojrzał pytająco na brata, ale ten mruknął:

– Głupi jesteś. Cicho siedź.

Władek nadąsał się, bo nie rozumiał, czego ojciec i brat go uciszają, jak on tylko wiedzieć chciał co i jak, bo bardzo lubił wiedzieć i dużo się dopytywał. Jak mu mama czytała, to ciągle jej przerywał i pytał o to czy tamto, a mama nigdy się nie gniewała, tylko mu wszystko tłumaczyła. W szkole też tak było. Panna Danusia bardzo go lubiła i chwaliła na każdym kroku. Sapnął i pochylił się nad talerzem. W pokoju znów zapadła cisza, którą przerwał dopiero śmiejący się nagle w niebogłosey Kajtuś. Jakby tym śmiechem jakąś zasłonę rozsunał i światło wpuścił, bo wszyscy się rozchmurzyli.

– A tego bażanta to gdzie ustrzeliłeś? – Tadek zwrócił się do Antoniego.

Bronka zmarszczyła brwi, bo Antoni nie upolował bażanta, tylko ona dostała go od Dawidkowej. Tyle że nie chciała, żeby Antoni o tym rodzinie powiedział, bo zaraz będzie, że nędzne okruchy ze stołu pana. Bo to honor upolować gdzieś pokątnie albo kupić od kłusownika, ale jak dostanie się od pana, to śmiać się będą. A Bronka kiedy brała bażanta, to wdzięczna była, bo przecież panom zbywało. Pan Mackiewicz urządził polowanie i wystrzelał tyle ptaków, że znajomym do Warszawy posłał i jeszcze kazał dać służbie z okazji świąt. Dawidkowa przekazała jej piękny okaz i powiedziała: „Pan lubi strzelać. Woli sam ustrzelić więcej i ludziom dać, niż żeby kłusownicy mieli. Zresztą sama wiesz”.

Dobrze wiedziała. Zeszłej jesieni pożegnali Lucjana Borowego, który kłusował w okolicznych lasach. Gdzie mógł, tam wnyki kładł, zające łapał, do bażantów strzelał i kuropatw, a potem sprzedawał. I któregoś dnia przysła kryska na Matyska. Strzelił do niego zarządca z Książenic, bo niby pomylił go ze zwierzęciem. Nie zabił go na miejscu, na nieszczęście dla Luśka, który dostał w brzuch. Do doktora nie poszedł, bo doktor Stanisławski zaraz do kryminału by go wsadził. Doktor dobry był człowiek i fachowiec, ale wyciągnąłby śrut z brzucha Luśka i osobiście do rewirowego zaciągnął. Lusiek już lata temu w kryminale siedział, nie za kłusownictwo, ale za kradzież drewna z tartaku. Wrócił do domu wychudzony, z liszajami na skórze i w karczmie przysięgał, że już kraść nie będzie. Na kłusownictwo się przerzucił, bo to według niego nie była kradzież. A w ranę wdało się zakażenie i Lusiek w męczarniach skonał. Do grobu poszedł, żeby go w kozie nie zamknęli.

– U Mackiewicza ustrzeliłem – powiedział nieoczekiwanie Antoni, a chociaż Bronce nie podobało się to kłamstwo, przyjęła je, bo nie chciała usłyszeć, że bażant nieszczercze dany, jako ten ochłap od pana dla biednej sługi. Sama tak tego nie widziała. Pan Mackiewicz miał więcej, niż mógł zjeść, ale zamiast na zmarnowanie zostawić, to ludziom dał, kiedy widział, że uczciwi.

– Panów trzeba wydymać, bo oni nas dymajom – śmiał się Tadek nieprzyjemnie.

– Nie wszyscy panowie tacy są – odezwał się ojciec.

– Ja wiem, że ojciec o Żychlińskim mówi – Tadek machnął ręką. – Mój ojciec też w jego pułku służył.

– I o Nowosielskim – odpowiedział ojciec i dodał uroczystym tonem: – Podpułkownik, kawalerze Virtuti Militari. Tym samym, co fundację stworzył i broń kupował z Anglii, Belgii i Francji.

– On jeszcze w poprzednim powstaniu brał udział – powiedział Antoni. Tadeusz przytaknął.

– Dlatego wiedział, że bez karabinów to możemy sobie wiersze recytować. I tyle z naszych walk. Przelew krwi, polska specjalność – skrzywił się.

Broń odbierano w Łowiczu, Skierniewicach, Grodzisku i Pruszkowie, to Bronka wiedziała. Ojciec nie raz jeździł i pomagał ładować do wagonów, a potem snopkami przykrywał, drewnem, czym miał. Pod nosem Ruskich to robili, z Dębskim, Meisnerem i Rozwadowskim.

– A Żychliński też broń przewoził? – spytała.

Bronka pamiętała opowieści o pułkowniku Ludwiku Żychlińskim, który zorganizował tajną siatkę pracowników Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Namówił do współpracy urzędników, zawiadowców stacji i kilku telegrafistów. To było ogromnie ważne dla powstańców. Tadeusz Wielichnowski też był członkiem tajnej organizacji Żychlińskiego.

– Tak – opowiadał ojciec. – Na stacji Pruszków osobiście go zaopatrzyłem w czterdzieści pięć sztucerów i ponad sto pistoletów i rewolwerów. A jak chłopaków pod wodzą Pawła Gąsowskiego puścił pod Grodzisk po nowy transport broni, to płakałem rzewnymi łzami, że nie mogę z nimi iść.

– Bo ojciec zaczął walczyć później – odezwała się do Tadka Zocha, a Bronka, która pamiętała, jak było, zaprzeczyła oburzona:

– Walczył od początku, tylko najpierw na kolei, jako tajny...



– Wiem przecież – przerwał jej Tadek.

– Ale zaraz poszedł, jak tylko ta sprawa ze Znajewskim wyszła – wtrąciła matka. – Już nie miał czego w domu szukać. Poszedłeś, chyba z Ulatowskim, Bychowcem i z kim tam jeszcze?

– Z Michałem Brodzkim – powiedział ojciec.

Przy stole ucichło. Nie minęło wiele lat, niektórzy ze zsyłki wrócili, inni bezimienne mogiły zasilili, a oni wciąż pod ruskim butem.

– Dajcie spokój – ojciec machnął ręką. O bohaterstwie swoim nigdy gadać nie chciał. Wystarczyło mu, że na Sybir nikt go nie zesłał. Inni nie mieli tyle szczęścia. Cyprian Januszewski trafił do więzienia, Stanisław Siedlecki i Jan Dębski – na Sybir. Obaj z zesłania wrócili i na powrót w Brwinowie osiedli.

– A co ze Znaniem było? – spytał Antoni, który coś niecoś od Bronki usłyszał o bohaterskim teściu, ale niewiele, bo i Bronka nie wszystko wiedziała.

Kiedyś razem z brwinowianinem telegrafistą Znajewskim, który pracował w Grodzisku, mieli do wykonania ważną misję. Otóż Znajewski odbierał i nadawał szyfrowane rozkazy od naczelnika powstania Romualda Traugutta, a potem od Rządu Narodowego. Ojciec Bronki wywiedział się, że Ruscy po niego jadą, bo ktoś depeszę przechwycił. Nie odczytali na szczęście zaszyfrowanej treści, ale wiedzieli, że coś się szykuje. Ojcu doniósł o tym jeden z Ruskich szpiegów, ale dobry, swój. Ojciec, niewiele myśląc, wszystko rzucił i dryndą do Grodziska pojechał. Zdążył w samą porę, żeby Znajewskiego uprzedzić i wszystko zlikwidować. Jak Ruscy wpadli, to ich od razu pod mur chcieli razem z dwoma innymi, co na kolei wtedy byli, ale ojciec zagadał, że jak ich zabiją, to nikt zwrotnicy nie przestawi i pociąg się wykolei. „A w tym pociągu Rosjanie głównie jadą”, powiedział wtedy Znajewski, który domyślił się, że wszystko trzeba na jedną kartę postawić.

Ruscy podumali, że albo zabiją jednego z nich, albo poczekają, aż pociąg przejedzie i dopiero potem, albo aresztują wszystkich i do więzienia

wsadzą. W końcu wódkę wzięli, kilka pęt kiełbasy, co było przygotowane na transport, i pojechali.

– Było, minęło – podsumował ojciec. – Wszystko po staremu. Panowie zapomnieli, niektórzy bardziej, inni mniej chłopom życzliwi. Nie ma co gadać. Mackiewicz, Mirski, ten z Książenic, zapomniałem, jak mu było, chociaż nie walczyli, to wspomagali finansowo naszą sprawę. I teraz też wiem, że żyć dają.

– Karp także z hodowli Mackiewicza – powiedziała Bronka.

– Nie można było z naszego stawu nałapać? – zdumiał się ojciec.

– Jakbyś, Antek, powiedział, że wędki nie umiesz trzymać, tobym ci przyniósł rybkę – uśmiechnął się Tadek.

– Na ryby to ja wędki nie potrzebuję – burknął Antoni. – Gołymi rękoma łapię.

– To czemuś nie nałapał? – spytał znów ojciec. – Ryb zabrakło w stawie?

– Nie zabrakło, tylko że pan... – wyrwała się Bronka, ale mąż jej przerwał.

– Cicho, Bronka – powiedział.

– Dajcie spokój, chłopcy – Zocha postanowiła zakończyć temat. – Święta są. Klócić się będziecie.

Antoni rozlał do kieliszków resztę wódki.

– Przynieś nową butelkę – poprosił Bronkę, a ona bez słowa poszła do piwnicy po trunek.

– Rybka lubi pływać – powiedział zadowolony Tadeusz, kiedy wróciła, a Antoni polał kolejną porcję gorzałki.

– Nie wiedziałam, że mamusia była mamką – odezwała się Zocha.

– Byłam – potwierdziła matka. – Miałam dużo mleka. Jak chłopka. To karmiłam pańskie dzieci.

Ojciec zmarszczył brwi, bo wciąż nie mógł się pogodzić z przyrównywaniem Wielichnowskich do chłopstwa, chociażby nawet to

porównanie miało uzasadnienie. Bronia wzięła do ręki talerz z pasztetem i poczęstowała zebranych.

– Pasztet piekłam, jak mnie mamusia uczyła – powiedziała.

– Pasztecik bardzo dobry, Broniu – pochwalił ją ojciec.

Zocha i Tadek także przytaknęli.

– Smakuje ci, Gustliczku? – spytała siostrzeńca. – Ty słowa nie mówisz dziś.

Gustlik chciał coś powiedzieć, żeby ciotce sprawić przyjemność, ale najwyraźniej nie wymyślił niczego mądrego, bo tylko rzucił:

– Jem i nie mówię.

– Karmiłam Tomaszka Mackiewicza – odezwała się znów matka.

– Co mama powiedziała? – spytała nieuważnie Bronka.

– Daj spokój – ojciec najwyraźniej nie chciał, żeby o tym wspomiano.

– Bo ona wielka pani i po porodzie słabowała – wyjaśniła matka, a w izbie ponownie zrobiło się cicho. – Zresztą panie nie karmią swoich dzieci.

– Nie tylko panie po porodach słabują – stwierdziła Zocha. – Ja też po Karliku słaba byłam.

– I ja po Romku – przyznała Bronka.

– Dzieciaka widzieć nie chciała – snuła dalej wspomnienia matka. – Krzyczała, żeby na oczy go nie pokazywać. A jak się przy porodzie darła...

Zocha i Bronka wlepiły w matkę oczy, ojciec mamrotał: „Daj spokój, Jadziu, daj spokój”, ale matka chciała wyrzucić z siebie to wspomnienie.

– Wcześniej mnie do dworu wzięli, bo ona w każdej chwili mogła urodzić. Stary Mackiewicz kazał po mnie posłać. Z Jasią na rękach poszłam. Dobrze mi dawali jeść, więcej, niż potrzebowałam. Jej nie widziałam, ani młodego pana. Ciągle gdzieś jeździł, ponoć jego ojciec był zły, że w Brwinowie rzadko bywa. Stary pan Mackiewicz więcej się młodą panią zajmował niż własny mąż. I na wnuka się cieszył. Przyszedł i jakieś pieniądze dodatkowo mi do ręki wcisnął, żebym była zadowolona.

I czekałam tak. Czekałam. Kiedy przyszedł jej czas, całą służbę na nogi postawiła, tak krzyczała. Konie się w stajni płoszyły.

– Od krzyków? – zdumiała się Bronia, która wiedziała, że porody nie są przyjemne, ale też że kobieta nie ma siły tak krzyczeć, bo musi tę siłę na wypchnięcie dziecka zachować.

Matka pokiwała głową.

– Od krzyków – potwierdziła. – Była tam taka jedna w kuchni. Dominikowa. I ona powiedziała, że pani Maryna szatana rodzi. Dlatego tak krzyczy.

– Święci pańscy! – krzyknął ojciec, a Władek zaczął płakać. – Co ty też wygadujesz, Jadziu?!

Wszyscy przeżegnali się kilka razy. Matka też, ale kontynuowała opowieść.

– Doktor przyjechał, miejscowy, ale go nie chciała wpuścić. To stary pan sam pojechał po doktora z Warszawy. I przywiózł go. Nie wiem, czy to ten doktor sprawił, czy Pan Bóg się ulitował, ale panicz się w końcu urodził.

– Nie bałaś się karmić, skoro to niczym szatański pomiot miał być? – burknął ojciec.

Matka pokręciła głową.

– To Dominikowa tak mówiła. Dla mnie panicz wyglądał jak każdy dzieciak. Malutki taki. Karmiłam go. Gdyby nie ja, toby umarł. A potem tak mi się odwdzięczyli za serce...

– Nie płacz, Władziu – Bronia przygarnęła synka ramieniem.

Głowa jej ciążyła i jakiś strach dławiał w przełyku. Długo patrzyła za odchodzącą drogą rodziną, aż ją Antoni przywołał, żeby spać poszła, bo on już zwierzęta na noc oporządził i można odpocząć.

– Ty inne rzeczy o tych Mackiewiczach opowiadasz – powiedział.

– Tylko o panu – Bronka wzruszyła ramionami. – Pani nie widuję. Ostatecznie w kuchni jestem. Pan mi książki do kuchni przynosi. Dawidkowa też mówi, że pani dziwna.

– A co z tym paniczem? Musi być w moim wieku – zastanawiał się Antoni.

Bronka westchnęła. Dawidkowa ciągle o paniczu opowiadała, że po zagranicach jeździ, pieniądze trwoni, za żonę miał pojąć jakąś piękną pannę, ale pogoniła na cztery wiatry, jak się dowiedziała, jaki ladaco. I wielki skandal był. Wtedy to Mackiewiczze wyjechali za granicę, do Włoch, żeby trochę się uciszyło. To było, zanim zaczęła pracować. Nigdy panicza nie widziała.

– Nigdy go nie widziałam – odparła. – Dawidkowa mówiła, że do Szwajcarii pojechał i pieniądze rodzinne trwoni.

– Mleko twojej matki mu nie posłużyło – powiedział Antoni, a ona długo zastanawiała się nad jego słowami.

Musi się to wszystko odnosić do człowieka, nie do urodzenia i nie do mleka, skonstatowała w końcu. U nich na przykład każda z sióstr takie samo mleko piła, a wszystkie o innym charakterze. Podobnie rzecz miała się z jej dziećmi. Roman na przykład, pierworodny, więc mleko niby miała najlepsze, a strapienie z nim.

Zasnęła dopiero, jak świtało.



Stefanek urodził się, kiedy stary rok odchodził i witano nowe. Antoni poszedł po Felicjanę późnym wieczorem, ale z tego, co Bronka mówiła, to mogli nie zdążyć, bo dzieciak bardzo się pchał na ten świat.

– To się trzeba by, panie Antoni, zastanowić, czy dzieciaka wpisać jeszcze w tym roku, czy już w przyszłym.

– A jaka to różnica? – spytał Antoni, a Felicjanka aż sapnęła z oburzenia.

– No jak to jaka? Jaka różnica, jaka różnica – utyskiwała. – Jak dziewczynka się urodzi, to by ją trzeba w nowym roku zapisać, żeby młodsza była, jak za mąż będzie wychodzić. A jak chłopak, to też później, żeby do wojska jak najpóźniej wzięli...

– W sumie racja, tyle że i tak wszystko jedno, co się urodzi. Bo jak dziewczyna, to później, jak chłopak, też później...

– Zobaczymy – ucięła akuszerka, bo ośmioletni Roman właśnie drzwi otworzył i oświadczył, że matka jęczy tak, że spać nie można.

– Też coś – sapnęła Felicjanka i obrzuciła Romana złym spojrzeniem. Widziała tego chłopaka, jak z procy do ptaków strzelał, i uważała, że to ladaco i pewnie do kryminału trafi. I chociaż Roman kosił jak stary, żął jak stary i kopał jak stary, to ta robotność najwyraźniej nie szła w parze z życzliwością dla ludzi.

– Roman, wody zagrzałeś? – spytał syna Antoni.

Z sypialni dobiegł ich jęk Broni.

– Zagrzaliśmy, tato – jasna główka Władzia wychyliła się z izby. – Ja Kajtusia pilnuję, bo mama... nie może – dokończył.

Felicjanka spojrzała życzliwie na drugiego z chłopców Winnych. Ten wyraźnie był z innej gliny ulepiony niż Roman.

– I jak tam, gołąbeczko? – Felicjanka weszła do pokoju i zamknęła drzwi. Porody przecież nie dla chłopów były ani nie dla dzieci.

– Zaraz będzie wychodziło – sapnęła ciężko Bronia.

Felicjanka włożyła położnicy rękę pod spódnicę i stwierdziła, że istotnie niedługo się poród zacznie. Głowa dzieciaka nisko była, ale małe dobrze ustawione, dociśnięte, gdzie trzeba i problemu nijakiego nie powinno być. Felicjanka miała na razie dość problemów. Dwa poprzednie porody skończyły się wprawdzie dobrze, ale Renatka Kwaśniaków prawie dwie doby się męczyła, bo tam z dołu się nie otwierało. A znów Jagna Karpiów miała pośladkami ułożone dziecko i co się Felicjanka z nią naszarpała, to tylko ona jedna wie. Jagna wyła i przecie nie chciała. Wreszcie dzieciak sam wyszedł, ale cała rozerwana na dole była i Felicjanka bardzo by się zdziwiła, gdyby jeszcze raz dała radę zaciężyć. Zresztą kto wie, czy połóg przeżyje, bo dużo krwi straciła i jej mąż rano doktora wiozł, widziała, jak z kościoła wracała.

– Wszystko dobrze jest, tfu, na psa urok – stwierdziła Felicjanka, a Bronia pokiwała głową. – Ja tu niepotrzebna.

– Oby Pan Bóg wysłuchał – wysapała Bronka. – Potrzebna, potrzebna, bo ja sama to bym się bała. To już chyba.

– Przyj, aniołku – zachęciła ją położna.

Mały wyskoczył po trzech parciach, akurat kiedy zegar, дума Bronki, pamiątka rodzinna, wybił północ.

– No i się nie określił, czy w nowym, czy starym roku na świat ma przyjść – mruknęła Felicjanka, kiedy wyszła, żeby Antoniemu powiedzieć, że ma syna.

– Syn! – wrzasnął Antoni, jakby co najmniej trzy córki miał, zanim mu się męski potomek urodził.

Czym prędzej władował się do pokoju i Bronkę ucałował. Zrobił też znak krzyża świętego nad główką dziecka.

– Stefan mu będzie – zdecydował.

– Stefan? – zdumiała się Bronka. – Miał być Józef, po ojcu.

– To ja już pójdę – uśmiechnęła się Felicjanka. – Zdrowia życzę i niech Pan Bóg synkowi błogosławi – powiedziała.

– Odprowadzę was – zdecydował Antoni, ale Felicjanka wzięła jedynie zapłatę i ręką machnęła.

– Nie trzeba – powiedziała. – Raz-dwa do domu wrócę. Blisko mam.

Po czym zniknęła w czarnej nocy, brodząc w śniegu.

– Czemu nie Józef? – spytała Bronka, kiedy Antoni do niej wrócił.

– Tak sobie myślałem, że jak damy mu Józef, to Zocha zaraz powie, że chcemy, żeby ojciec nam trochę ziemi przepisał.

Bronka, która nigdy by na to nie wpadła, pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Też masz pomysły, Antoni. Ja tak nie pomyślałam, to czemu oni mieliby tak pomyśleć?

– Już ja tam swoje wiem – burknął i popatrzył w bok.

Nie mówił nic Broni, ale po tamtym świątecznym obiedzie spotkał teścia i ten zaprosił go do siebie. Jak nigdy butelkę na stole od razu postawił i perorować zaczął, jak to oni z Bronką tyle dzieci mają, że ich nie wykarmią i że może by tak trochę ziemi na nich przepisać, bo teść przecież już wiekowy i nie ma siły w polu robić, a parobkowie to zawsze gorzej u starego gospodarza robią. Antoni nie wiedział wtedy dokładnie, o co Józefowi idzie, ale kiedy sobie jeszcze popili, to mu teść wyznał, że Tadek zażądał od niego, żeby jemu i Zofii trochę ziemi dał, i ten pomyślał sobie, że jak dawać, to obu córkom po równo. Antoni nie wiedział, co o tym myśleć. Ziemia to ziemia, zawsze w cenie i jeszcze nie było tak, żeby komu za dużo tej ziemi było. Tyle że on przecież był zdunem, a Bronka z Romkiem nie mogła sama w polu robić. To po co im tyle tej ziemi? Chyba żeby od razu na chłopaków pisać w urzędzie, żeby oni wiedzieli, że ich. A parobka się najmie, bo to mało ludzi do pracy chętnych? I już miał porozmawiać o tym z Bronią, ale doszedł do wniosku, że poczeka, aż żona spokojnie urodzi i wtedy ustalą, jak by to miało być. No ale jeśli ona sama będzie chciała chłopaka Józef nazwać, to zaraz rozpęta się awantura.



– Antoni... – Bronka złapała męża za rękaw.

– Co takiego? – Wciąż na nią nie patrzył.

– Ty coś wiesz Antoni i zaraz mi tu mów, o co ci chodzi. Jak cię znam, to ty byś nie wpadł na takie... coś z ziemią.

Westchnął i powiedział jej o tamtej nieoczekiwanej rozmowie. Bronka przystawiła ledwie urodzonego chłopczyka do piersi, od czasu do czasu krzywiła się i łapała za brzuch.

– No to będzie Stefan Józef – stwierdziła na koniec przemowy Antoniego. Potem usta zacisnęła, bo najwyraźniej było jej przykro, że własna siostra ze szwagrem przeciwko nim spiskują.

– To ja jutro z rana do parafii pojedę i tam go zapiszę do ksiąg – uśmiechnął się Antoni i pogłaskał dziecko po rzadkich włoskach, ale zaraz rękę odjął, bo skóra na główce dziecka zaczęła pulsować.

– Nic takiego – uspokoiła go żona i przystawiła małego do piersi. – Tak ma każde dziecko.

– I jeszcze jedna rzecz, Bronka – Antoni przypomniał sobie rozmowę z Felicjaną.

Bronka i tej przemowy wysłuchała, a potem powiedziała:

– Święty rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty trzeci – przeżegnała się. – To będzie dobry rok. A o wojnie myśleć nie będziemy. Już wystarczająco dużo nasz naród w powstaniach wycierpiał.

– To ty nie chcesz wolnej Polski? – spytał Antoni, chociaż może to nie miejsce i nie czas były na takie pytania.

– Mówią, że wolna Polska będzie tylko wtedy, kiedy cały świat na wojnę pójdzie. Wojna powszechna... Chłopcy się rodzą, boją się, że to Pan Bóg nas na wojnę szykuje.

Antoni westchnął, ale nic nie powiedział.

– Wojna to zło. Niech moi chłopcy nie walczą na wojnie. Ani ich dzieci. Ani dzieci ich dzieci... – wyszeptała, patrząc z czułością na nowo narodzone dziecko.

– Amen. To odpoczywaj teraz, Bronka...

– A ty dokąd?! – krzyknęła nagle, aż dziecko drgnęło.

Antoni, który właśnie miał ochotę skoczyć na jednego, żeby narodziny kolejnego syna świętować, nieco się stropił. Przecież nie mogła mu bronić napić się z takiej okazji. W ogóle nie mogła mu bronić. Przecież baba z niej była, a on chłop, w spodniach w domu chodził. Do tej pory Bronka nie robiła mu specjalnych wyrzutów, że czasami pije. Patrzyła tylko smutno i modliła się żarliwie, kiedy wracał do domu zamroczony wódką. Trzeba przyznać, że od czasu do czasu Antoni ulegał dawnej pokusie. Zwykle miała ona wygląd jakiegoś Jaśkiewicza czy Kality albo Gawryły, tudzież wszystkich trzech.

– Tylko na jednego – bronił się. – Bo rok nowy i dzieciak nowy...

Łza potoczyła się po jej policzku i Bronka odwróciła głowę.

– Dobrze wiem, że na jednym się nie skończy. A ja nie mam siły jutro rano wstać do krów.

– Roman wstanie – powiedział Antoni i zaraz ugryzł się w język, bo Bronka już całkiem zaczęła płakać.

– Idź, idź, pewnie – chlupała. – Niech się wszyscy dowiedzą, że ja sama, a ty pieniądze przepijasz.

Antoni zastanowił się, co by go uczyniło bardziej męskim we własnych oczach i oczach żony oraz synów. Długo myśleć nie musiał.

– Nie pójdę – oświadczył. – Nie pójdę. Niech mówią, że na pasku u baby chodzę. Niech mówią, co chcą. Nie idę.

Bronka złapała go za rękę i ścisnęła mocno, a przy tym popatrzyła takim wzrokiem, że Antoni uczynił twarde postanowienie, że będzie rodzinę chronił ze wszystkich sił i pił zupełnie nie będzie. Ani kropli, chyba że z okazji chrzcina czy wesela, wiadomo, że są okazje, przy których się nie odmawia.



Ochrzcili Stefka następnej niedzieli. Z tej okazji znów chcieli zaprosić rodziców i Zochę z mężem i synami na obiad, ale ci wymówili się, że

w połogu się hucznych chrzcin nie urządza. Bronia stwierdziła, że w sumie racja, jak nie chcą, to nie. Znów jej żal było, bo Antoni przecież nie miał swojej rodziny tu blisko, a w swoje strony rodzinne jeździć nie chciał. O przepisywaniu mórg na tę czy inną siostrę mowy nie było. Wprawdzie Antoni nie raz mówił, żeby tej sprawy tak nie zostawiać, ale ona machała ręką. Jak tacy pazerni, to niech mają, twierdziła, i to zamykało dyskusję. Do Mackiewicza Antoni pojechał, zaraz jak się mały urodził, żeby mu przypomnieć, że zalega z opłatą za grudzień i powiedzieć, że Bronka pewnie nie wróci na służbę. Przy okazji chciał o piec spytać, czy dobrze chodzi, czy przeczyścić tego czy innego komina nie trzeba. Oczywiście, poszedł do zarządcy, przecież do pana pokojów stukał nie będzie. Zarządca Nowiński, porządny człowiek, ucieszył się na widok Antoniego.

– Z pana piecami, panie Winny, to jest wszystko w najlepszym porządku – powiedział. – Ale w starym piecu na pokojach pani w jednym napalić się nie da, cugu żadnego.

– Trzeba pewnie przeczyścić – stwierdził Antoni.

– Przeczyścić to myśmy przeczyścili – odpowiedział mu Nowiński. – No co pan, panie Winny. Przeczyścić to umiemy...

– No to niech mnie pan prowadzi do tego pieca – zdecydował Antoni. – Może ja co poradzę.

– Wicek! – zawołał Nowiński. – Idź do Kasi, paninej pokojówki, i powiedz, że przyszedł ktoś do pieca. Dowiedz się, czy pani pokój opuści, żeby mógł wejść.

Antoni ledwie się powstrzymał, żeby nie przewrócić oczami. Całe szczęście, że Bronka nie miała z ową panią do czynienia. Ci panowie i panie... – myślał, kiedy go Nowiński do jakiegoś pomieszczenia prowadził, pewnie żeby tam poczekać na wieści, czy pani łaskawie przeniesie się do jednego z wielu tutejszych pokoi, żeby „ktoś do pieca” mógł sprawdzić, czemu cugu nie ma.

– To pani w zimnym śpi? – spytał może niepotrzebnie, ale przyszło mu do głowy, że skoro napalić nie można i cugu nie ma, to pewnie i dymi, i zimno w pokoju.

Nowiński spojrział na Antoniego nieodgadzionym wzrokiem.

– Ja tu pracuję, panie Winny, od dziesięciu lat. To dobra praca – mruknął.

– No tak – Antoni nie miał więcej pytań.

Nowiński gdzieś poszedł, po chwili wrócił.

– Pani z panną Basieńką w bierki grają – zaanonsował. – Kasia mówi, że można iść.

Antoni oczywiście nie spytał, kim jest panna Basieńka, bo po cóż miałyby to robić. Weszli do pokoju, w którym na środku królowało wielkie łoże z baldachimem. A na nim, co Antoni dostrzegł przez przezroczyście muśliny, leżało mnóstwo poduszek. Obok stała toaleta, a na niej mnóstwo słoiczków, flakoników, szczotek i grzebieni.

– To piec – powiedział Nowiński, jakby Antoni sam nie wiedział.

Piec był solidny, piękny, z kaflami najwyraźniej sprowadzanymi z zagranicy, gdyż nie wyglądały na wypalane w okolicach.

– No to zobaczmy, co mu dolega – stwierdził i otworzył drzwiczki.

Tak jak myślał, palenisko było wyczyszczone, popiół wyniesiony, a dysze przepuszczały powietrze.

– Znaczący się przeszkoda musi być wyżej – zawyrokował i wcisnął się prawie cały w otwór.

Badał wewnątrz cal po calu i wreszcie trafił ręką na przeszkodę. Była to solidna metalowa skrzynka, którą ktoś umocował we wnętrzu pieca, a która przesunęła się i zatykała komin. Wysunął się. Wziął do ręki pogrzebacz i wsadził go do otworu. Skrzynka ustąpiła już po pierwszym szarpnięciu. Antoni chwycił ją mocno i wyciągnął, po czym wręczył oniemiałemu Nowińskiemu.

– Teraz cug będzie – stwierdził.

– Ja zaraz panu powiem – Nowiński trzymał skrzynkę przyciśniętą do marynarki, nie zważając na to, że mu smoliła mankiety, po czym odwrócił się i wyszedł.

– Ja już pójdę – zawołał za nim Antoni.

Nie doczekał się odpowiedzi, usłyszał tylko tupot nóg. Rozejrzał się zatem po pokoju, jeszcze raz popatrzył na łożę z poduszkami, flakoniki i słoiczki, stwierdził, że nie ma na co patrzeć, bo co by Bronka z takim czymś zrobiła, gdyby się zdecydował cokolwiek z tego dla niej kupić, i wyszedł.

Zszedł sam na dół, do samej kuchni. Nikogo po drodze nie spotkał.

– Pani Dawidkowa – poprosił. – Pani mnie da jakiej wody, bo jak zapustowy diabeł wyglądam.

– A dam panu, panie Winny, dam – roześmiała się stara kucharka. – Rzeczywiście tak pan wygląda. Cały usmolony. Komin pan jaki przetykał, czy co?

– Piec – odparł i zdjął kapotę, żeby ręce i twarz umyć.

– To niech pan siada, zje i napije się czegoś – powiedziała kucharka, jak już się umył.

– Ja tu przyszedłem nie do roboty ani do jedzenia, tylko żeby powiedzieć, że Bronka pewnie nie wróci do dworu, ale tak się jakoś zgadało, że piec nie ciągnie...

– Jak to nie wróci?! – Dawidkowa znieruchomiała, a na twarzy miała wypisaną grozę. – Jak my tu bez niej damy sobie radę?

Antoni wzruszył ramionami.

– Czwórka dzieciaków w domu, pani Dawidkowa. Przecież ona nie da rady tak.

Kucharka postawiła na stole kawałek mięsa, ziemniaki i naląła Antoniemu piwa do kufla.

– A jak mały podrośnie? – spytała, przeganiając z kuchni jakąś dziewczynę, która przyszła się dopytywać, czy ciasteczka już gotowe. – Jak będą gotowe i wystygną, to przecież pani i pannie Basieńce na górę poślę! – krzyknęła, a dziewczyna w jednej chwili wybiegła z kuchni.

Antoni jadł w milczeniu. Mięso było wyborne, polane sosem chrzanowym, a piwo jasne i świeżo warzone.

– No? – spytała jeszcze raz Dawidkowa. – Jak mały podrośnie, to wróci? Czy znów zacięży? Co rok prorok?

Zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Zobaczymy – Antoni wytarł wąsy. – Tymczasem, pani Dawidkowa, nie wiem, gdzie zarządcy szukać, bo gdzieś pobiegł. A ja chciałem Bronki pieniądze za grudzień odebrać. Te, co się za pracę należą.

Dawidkowa rozłożyła ręce.

– Do pana to ja nie radzę iść – powiedziała. – Jakieś kłopoty państwo mają, z sądami, czy co tam. Pan do Warszawy w kółko jeździ. Pani tylko bóle głowy ma i doktor wciąż przychodzi. A moim zdaniem to ona za dużo ciastek je i tego likieru swojego pije.

Przy ostatnim zdaniu Dawidkowa ściszyła głos. Antoni wstał i pożegnał się. Wyszedł na pusty dziedziniec i zaszedł jeszcze dla porządku do stajni. Tam spytał stajennego o zarządcę, ale ten wzruszył ramionami.

– No nic – mruknął Antoni. – Trzeba będzie jeszcze raz przyjść upominać się o swoje.

Nie musiał przychodzić, bo jeszcze tego samego dnia wieczorem przyjechał osobiście Nowiński i wręczył mu pieniądze dla Bronki – dwa razy tyle, co się umawiali, za odetkanie pieca i jeszcze zwinięte dwieście rubli. Antoni naturalnie nie mógł wiedzieć, że owe dokumenty stanowiące o własności stawów i części lasu w Mosznie zagubiły się lata temu. Teraz były przedmiotem sporu między Mackiewiczem a jego sąsiadem Józefowiczem. Stary pan Mackiewicz pod koniec życia słabował na umyśle i część dokumentów „ukrył” przed „wrogiem” w jednym z pieców. Czemu właśnie w tym, Bóg jeden raczy wiedzieć. Józefowicz wstąpił na drogę sądową, domagał się oddania stawów, wypłacenia rekompensaty z tytułu tego, że Mackiewicz je latami zarybiał i z dobrodziejstw korzystał. A teraz dokumenty się znalazły, wszystkie, których brakowało. Pan Mackiewicz był wniebowzięty i upił się zaraz stuletnią starką, którą trzymał na specjalne okazje, bo przecież okazja była większa jak ślub syna, do którego znowu raczej nie dojdzie, bo syn wolał hulać w Szwajcarii niż jakąś miłą dziewczynę do Moszny przywieźć.

– Ale... – protestował Antoni, bo był honorowy i wiedział, ile się należy za pracę. Poza tym zwitek banknotów mu w ręku ciążył, bo Antoni miał wątpliwości, czy te pieniądze na pewno z prawego źródła pochodzą. Przecież państwo ot tak pieniędzy chłopom nie rozdają...

– Panie Winny... – powiedział mu zarządca Mackiewiczów, klepiąc go po plecach. – Powiem jedno. Niech Pan Bóg panu zdrowie da. A jakby pan czegokolwiek potrzebował, to pan idzie do Mackiewiczów. Pan Dobrosław gotów pana ozłocić.



Wiosna przyszła późno tego roku. Bronka co dzień chodziła oglądać kwiaty na jabłonkach i wiśniach, martwiąc się, że zmarzną i drzewka nie dadzą owoców.

– Ogień by trzeba zapalić, wtedy się ogrzeją – doradzał praktyczny jak zawsze Władek, a Roman wzruszał ramionami, ale i on odczuwał żal jakiś przez to, że jeszcze w czerwcu bywało tak zimno, że woda zamarzała w nocy w korycie, a kiedy chodził rano do krów, to z ich pysków buchała para, chociaż ojciec uszczelnił oborę na zimę.

– Jak ogień? – uśmiechała się Bronka do młodszego syna. – Drzewka się spalą.

– Nie spalą – upierał się Władzio. – Trzeba by kilka takich małych ognisk w sadzie zapalić, śniegiem obłożyć, żeby na drzewka nie przeszło, i wtedy zimno nam ogień przegoni.

Bronka zastanowiła się chwilę, wreszcie uznała, że warto Antoniemu napomknąć o tym, co Władek wygaduje. Antoni najpierw się śmiał, ale potem poszedł do sadu, pomyślał, wreszcie wziął Władka na stronę i powiedział:

– Spróbujemy, synu.

I mały Władek ułożył wieczorem w sadzie dziesięć stosików, obłożył je kamieniami i podpalił. Roman początkowo się śmiał, ale wreszcie nie wytrzymał z ciekawości i wyszedł do sadu.

– Ciepłej jakby – mruknął, patrząc z niedowierzaniem na ojca i brata. – Ale tylko wkoło ognia.

– Byłoby jeszcze ciepłej, gdyby wiatr gorąc rozganiał – dumiał Władek. Antoni się roześmiał.

– Trzeba by skrzydła takie mieć, jak u aniołów, i tymi skrzydłami ciepło rozprowadzać.

Bronka, która wyszła w środku nocy do sadu, bo zasnąć nie mogła, zastała ich, jak biegają dokoła drzew i machają rękoma, na których najpewniej Antoni zamocował rękawy ze słomy. Bronka się przeżegnała.

– Co wy robicie? – krzyknęła. – Przecież ta słoma zaraz ogniem zajdzie! „Anioły” przestały machać skrzydłami.

– Nie bój się, Bronka! – odkrzyknął Antoni. – Nic się nie zajmie! A jutro lepsze skrzydła znajdziemy!

Bronka znów się przeżegnała, bo dziwne to było widowisko i jakieś niepokojące, jak czary czy gusła. Wróciła jednak do domu, do Kajtka i Stefanka, którzy spali snem, jakim tylko dzieci spać potrafią.

„Skrzydła” wykonały swoje zadanie, ale nie tak, jak Władzio planował. Grunt, że przywołały wreszcie cieplejsze dni. Bronka śmiała się, że to ze względu na jej modlitwy, bo tak się bała, że skrzydła ogniem się zajmą i dzieci się poparzą.

Latem, kiedy wiśnie się pokazały na drzewie, i jesienią, kiedy z Władkiem i Kajtkiem jabłka zbierali, a Stefanek spał w cieniu, wspominała biegających Antoniego, Władka i Romana z przytroczoną słomą do ramion i uśmiechała się w duchu. Potem przytulała Władzia do serca i mówiła:

– Tobie ziemia rodzić będzie owoce.

Romana nie przytulała, bo tego nie lubił, ale kiedy widziała, że złościło go to okazywanie uczuć Władkowi, uśmiechała się i mówiła:

– Romek pracował dziś najlepiej i najciężej, dlatego pierwszy dostanie jeść.



I Roman udawał, że nic go to nie obchodzi, ale na zaciętej twarzy miał wypisane zadowolenie, kiedy pierwszy nabierał ziemniaków i polewał je największymi skwarkami z miski, a dopiero po nim brał ojciec.



Jesień jednak nie była szczęśliwa dla Wielichnowskich. Któregoś dnia do domu Winnych podeszła Jana Muraszew, koleżanka Broni jeszcze ze szkoły, i krzyknęła, zwieszając się przez płot:

– Broniaaaa!

Bronka wyszła przed dom.

– Twoja mamusia po targu chodzi i tego... – Jana uderzyła się wnętrzem dłoni w czoło.

– Co takiego? – Bronka nie zrozumiała.

– No chodzi i gada od rzeczy – podsumowała Jana, po czym wyszczerzyła zęby w mało stosownym uśmiechu.

Bronka chwyciła się za serce. Ostatnimi czasy matka rzadko wychodziła z domu, a kiedy ją Bronka odwiedzała, to ciągle wracała myślami do starych czasów, kiedy dziewczynki były małe, albo jeszcze starszych, kiedy w bogatych okolicznych domach służyła. Raz pomyliło się jej coś i myślała, że Jasia żyje. Bronka najdelikatniej, jak umiała, przypomniała, że Jasia odeszła lata temu i spoczywa na brwinowskim cmentarzu. Matka nie okazała smutku, tylko pokiwała głową i obojętnie powiedziała: Ano tak, tak... Bronka pomyślała wtedy, że może by doktora spytać, czy coś da się na to poradzić, lecz po chwili matka znów była taka jak dawniej i Bronia, zajęta dziećmi, zapomniała po jakimś czasie o całym incydencie, aż do dziś.

– Roman! – krzyknęła Bronia, ale zaraz sobie przypomniała, że Roman w polu. – Władziu!

Władek wybiegł z domu i spojrzał pytająco na matkę.

– Pójdiesz na targ, znajdziesz babcię i przyprowadzisz do nas – zarządziła. – Tylko załóż coś na siebie, bo zimno.

Władek kiwnął głową, wbiegł do domu, zaraz wypadł z niego w kożuszku i czapie i pognął na targ, mówiąc w przelocie Janie: „Dźbry ani”.

– Dziękuję – zwróciła się do Jany i już chciała wrócić do siebie, kiedy Jana zrobiła kilka kroków i znalazła się przy furtce.

Bronka wiedziała, że nie ma w Brwinowie bardziej wścibskiej i złośliwej osoby niż Jana.

– Drogi nadłożyłam, żeby tu przyjść – sąsiadka wyszczerzyła zęby.

– A ja podziękowałam – Bronka wciąż stała w progu i czekała, aż Jana sobie pójdzie, ale najwyraźniej było to życzenie daremne, bo Jana ani myślała odchodzić.

– Tak za dziękuję, to wiesz...

Bronka nie miała ochoty zapraszać jej do środka. Nie lubiła tej kobiety, nie chciała słuchać rozpowiadanych przez nią plotek. Zwykle po wizycie Jany u kogoś w domu nagle cała wieś dowiadywała się, co tam w garnkach się gotuje, stoi po kątach czy pod stołem, że bogato albo brudno i biednie.

– Z Bogiem, Jana – krzyknęła i już chciała wrócić do domu, bo za długo małe były same, kiedy Jana znów się odezwała.

– Sama nie pójdiesz po matkę?

Bronka miała napalone w kuchni i gotowała kartoflankę, więc pokręciła głową.

– Władek przyprowadzi – odparła krótko.

– Idę do ciebie – oznajmiła Jana i wtarabaniła się jej do domu bez zaproszenia, po czym zdjawszy chustę, zasiadła przy stole.

– Daj jakiej gorzałki czy co – zażądała.

Bronka spojrzała na gotującą się zupę, zerknęła na Kajtka, który bawił się żołnierzykami, które mu Antoni wytopił z ołowiu w piecu, i na Stefanka, który spał, i kiwnęła głową. Wyjęła z kredensu butelkę wódki, wyciągnęła jeden kieliszek i naląa gościowi.

– Na zdrowie! – Jana uniosła kieliszek.

– Na zdrowie – odpowiedziała jej Bronka, ale sama nie tknęła wódki.

– Ty nie pijesz? – spytała Jana.

Bronka lekko się zniecierpliwiła.

– Nie piję – odparła krótko.

– Słusznie, słusznie – skwitowała Jana z dziwnym uśmieszkiem. – Antoni pije za was dwoje...

Bronka wzięła się pod boki.

– O co tobie chodzi, Jana, co?

Jana sama sobie naląła kolejny kieliszek i wychyliła.

– Przecież widzę, że pije.

Bronka zacisnęła usta.

– Twojego nie pije – odpowiedziała, po czym zabrała butelkę, bo widziała, że Jana sięga z zamiarem nalania sobie kolejnej porcji wódki.

– Gorzałki koleżance żałuje. Ze szkolnej ławy koleżance – Jana uderzyła się w pierś. – Daj no jakiego kawałka chleba. Nie odmówisz chyba, co?

Bronka stłumiła irytację i ukroiła kobiecie solidną pajdę chleba, a potem już z własnej inicjatywy naląła do talerza kartoflanki. Jana jadła łapczywie, jakby głodna była, i Bronce zrobiło się wstyd, że może Jana bieduje, a ona jej chleba żałuje.

– A mięsa jakiego nie masz? – spytała. – Kości do ogryzienia?

– Nie mam – powiedziała Bronka i to była prawda, bo mięso u nich było w niedzielę i w święta.

Jana wycelowała paluchem w talerz i rzuciła:

– To daj jeszcze zupy. Cienka, ale dobra.

Bronka naląła. Jana znów rzuciła się do jedzenia. Bronka z trudem stłumiła obrzydzenie, patrząc na rozchlapanie na stole jedzenie i samą Janę ubrudzoną zupą.

– A to co? – kobieta wycelowała palcem w portret Bronki i Antoniego, ten, co go w Warszawie po ślubie zrobili. Początkowo Bronka i Antoni oba powiesili nad łóżkiem, ale z czasem zostawili tam tylko jeden. Drugi

Antoni zawiesił w kuchni, bo jak mówił, było mu przyjemnie patrzeć na piękną żonę i siebie samego w najlepszym wydaniu, a w sypialni, zanim napatrzeć się zdoła, to zasypia.

– To zdjęcie. Ja na nim jestem i Antoni – powiedziała cierpliwie.

– Fiu, fiu, fiu – Jana zaczęła dłużyć w zębach, a Bronka odwróciła wzrok. – Tylko państwo ma takie cosie w domach.

Bronka zmilczała uwagę. Faktycznie, nikt we wsi się nie fotografował. Ludzie pewnie myśleli, że diabeł w takich zdjęciach siedzi. Kilka lat temu któryś z panów z Brwinowa, młody Lilpop bodajże, przywiózł do wsi aparat na trzech nogach i zachęcał ludzi do pozowania do zdjęć. Chciała wtedy iść i z dzieciakami pamiątkę sobie zrobić, ale zanim je poubierała, Lilpop sobie pojechał, bo chętnych ponoć nie było.

– Coś długo nie wracają – stwierdziła Jana. – Może idź, a ja dzieciaków popilnuję.

Bronka, która wolałaby trupem paść niż zostawić dom na pastwę Jany, pokręciła głową.

– Idź do domu, Jana – poprosiła. – My tu sobie poradzimy.

Kobieta łypnęła na nią złym okiem.

– Ja do ciebie z dobrego serca przyszłam. A ty do mnie jak do wroga – stwierdziła, ale wstała i okryła się szalem.

– Toż ja ci jeszcze raz bardzo dziękuję za to serce – powiedziała Bronia i nieco zbyt nerwowo zamieszała w garnku z zupą.

– Ale mnie wyrzucasz, co?

– Nie wyrzucam, tylko proszę, żebyś poszła, bo mam dzieciaki na głowie i zaraz Władek z babcią wróci.

Jana znów usiadła.

– Może ja posiedzę i tobie pomogę, jak wrócą, co? – spytała Jana. – Bo jak ona taka pomyłona, to se nie poradzicie.

Bronia się zdenerwowała. Pomyłona, dobre sobie.

– Moja matka nie jest pomyłona. Świetnie sobie poradzimy – ucięła. – Idź, Jana, do domu!

Jana prychnęła i wreszcie poszła. Potem cała wieś gadała, że się Wielichnowskiej w głowie pomieszało, czy to aby nie diabeł albo kara za to, co Jasia zrobiła. To ostatnie szczególnie oburzało Bronkę, bo chociaż minęło sporo czasu, to wspomnienie nieszczęścia Jasi wywoływało szarpnięcie w jej sercu. A co do matki, to Władzio nie bez trudu przyprowadził ją do domu. Bronka już umierała z niepokoju.

– Mamusiu... – złapała się za głowę, kiedy zobaczyła, że matka jest zupełnie zziębnięta, bez chustki, w cienkim sweterku i bez pończoch.

– Ja do pana przyszedłam prosić o zmiłowanie... – powiedziała nagle matka i Bronia aż się zachłysnęła, tak to było powiedziane, pełnym pokory głosem.

– Zagrzej wody, Władziu – poprosiła, a kiedy wrócił z garem wody i postawił na kuchni, spytała: – Co tam na targu z babcią się działo? Czemu tyle czasu was nie było?

– Babcia to naprawdę... – Władek przełknął ślinę. – Nie chciała iść ze mną. Nie wiedziała, jak mam na imię. Myślała, że jestem jakiś Antek czy kto tam. Mamę wołała. Jaśnie pana...

– Mój Boże – Bronka włożyła matce nogi do miednicy z ciepłą wodą i rozcierała sine z zimna stopy. – Żeby tylko się mama nie rozchorowała – utyskiwała. – Żeby choroby nie było, wszystko inne da się wymodlić.

Matka istotnie choroby nie złapała, jakimś cudem, bo po godzinie ledwie udało się ją rozgrzać, ale już niczego więcej w jej sprawie nie można było wymodlić. Ojciec, gdy po nią wtedy przyszedł, przyznał, że Jadzia od jakiegoś czasu taka. Dzieci nie pamięta, popiół na klepisko wysypuje, jedzenie marnuje.

– Czemu ojciec nic nie mówił? – denerwowała się Bronia.

– A co miałem mówić? – ojciec wzruszył ramionami. – Do kościoła chodziliśmy, bo po spowiedzi się jej lepiej robiło. To nie mówiłem.

– A Zocha wie? – spytała mimochodem, bo zastanawiało ją, czy siostra miała pojęcie o zachowaniu matki, a jeśli tak, to czemu jej nie powiedziała.

Ojciec pokręcił głową.

– Nic nie wie. Na Karlika mówiła Antoś, Romek, Władzio, Henio, Gucio... Wszystkie imiona po kolei wymieniła, aż na końcu przypomniała sobie, że Karlik to Karlik. Śmialiśmy się wtedy.

Bronka nie dowierzała.

– Śmialiście się? Jak to śmialiście się?

– No że w głowie się jej poprzekręcało...

Ojciec matkę do domu zabrał i miał przykazane pilnować, żeby więcej sama nie wychodziła. Bronia od razu poszła do Zochy i powiedziała co i jak. Zocha, o dziwo, nie okazała niechęci, tylko bardzo się przejęła. Rozpłakała się nawet, kiedy we czwórkę przy stole usiedli i zaczęli mówić o matce, jakby jej już na tym świecie nie było.

– No ale co robić? – pytała Zocha.

– Może doktora spytać? – podsunęła Bronia.

– A co tu doktor pomoże? – Tadek machnął ręką.

Faktycznie, doktor Stanisławski nic by tu nie poradził, chociaż stary był i doświadczony, do ludzi przyjeżdżał, w nocy czy kiedy tam trzeba było. Ale na pomieszenie w głowie to raczej by nie poradził.

– Pewnie nie pomoże – zgodził się Antoni. – Ale coś trzeba zrobić.

– Ludzie będą coraz więcej gadać – chlipnęła Zocha.

– Nie dlatego, że będą gadać – wytłumaczył jej Antoni. – Tylko dlatego, że prawie goła wychodzi na mróz.

– Trzeba matki pilnować – podsumowała Bronia, bo Zocha całkiem w rozsypce była, płakała wciąż i powtarzała, że ona nie wie, dlaczego takie nieszczęścia spadają na ich rodzinę.

Bronia uważała, że to, co matkę dotknęło, to nie jest żadne nieszczęście, tylko starość, i można Boga jedynie prosić o zmiłowanie, żeby matka się nie męczyła i sobie jakiejś krzywdy niechcący nie zrobiła. Na

wyzdrowienie matczyne raczej nie widziała szans, ale jako osoba dobra i bogobojna miała zamiar modlić się o zdrowie matki jeszcze żarliwiej niż do tej pory.

– Ojciec sam nie upilnuje – powiedział Tadek.

– To niech się ojciec z mamą do nas przeniosą – zaproponował Antoni, ale wtedy Tadek natychmiast zdecydował, że u nich będzie rodzicom lepiej, bo więcej miejsca mają i bliżej do ich starej chałupy jakby co.

Bronka, której mąż rzucił spojrzenie „a nie mówiłem, że na ziemię czyhają”, powiedziała:

– A nie będzie ci, Zosiu, ciężko się mamą opiekować?

Zocha przestała na chwilę płakać, spojrzała smutno na Bronkę i odpowiedziała:

– Moje dzieci duże, a twój Stefanek osesek. Mnie lepiej będzie się rodzicami zajmować. A jak będziesz mogła pomóc, to chętnie pomoc przyjmę.

Ustalili zatem co i jak, i tylko Antoni wieczorem w łóżku perorował w złości, że oni już tam sobie wszystko umyślili z ziemią, co to ją Bronce zabiorą, bo ojciec pewnie z wdzięczności wszystko na nich przepisze. Bronka go uspokajała, że nie ma co tak w złości mówić, bo ziemi dość dla wszystkich.

– Tadek takiego fachu jak ty nie ma – przekonywała męża.

– No nie ma! – denerwował się Antoni. – Z kolei to on nie odszedł, tylko go wyrzucili!

Bronka usiadła na łóżku.

– Antoni, to grzech tak mówić! – krzyknęła, aż Stefek się prawie rozbudził.

– Nie grzech, tylko prawda – odpowiedział.

– Plotki jakieś! – upierała się Bronka. – Przecież mówiła Zocha, że jego po złości wyrzucił ten kierownik. Poza tym co, w Grodzisku byłeś? Z kolejarzami gadałeś?

– Nie byłem w Grodzisku, tylko jeden z tych kolejarzy do Brwinowa po coś przyjechał i się razem napiliśmy – wyjaśnił jej mąż.

Bronka aż ręce rozłożyła.

– No dobre sobie – utyskiwała. – Obcy kompan od wódki ci na własnego szwagra nagadał. Na własnego szwagra.

– On nie wiedział, że to mój szwagier. Nie mówiłem ci, bo nie chciałem...

Bronka położyła się i odwróciła plecami do Antoniego.

– Plotki! – mruzczała. – Jak baba będzie gadał...

– Bronka... – Antoni zrozumiał, że żonę rozeźlił nie na żarty.

Położył rękę na jej ramieniu, a potem sięgnął pod koszulę, ale rzuciła się tak gwałtownie, że nieprzyjemnie mu się zrobiło.

– Nie chcesz, to nie – powiedział i też się odwrócił.

Zastygła na chwilę, ale po chwili powiedziała cichym głosem:

– Nie żebym nie chciała...

Znowu się do niej odwrócił. Jeszcze miała zaciętą od gniewu twarz, ale patrzyła już łagodniej. Zanim jednak zaczął małżeńską robotę, przyciągnął ją do siebie i powiedział:

– Ty pamiętaj, Bronka, że teraz ja jestem twoją rodziną. Ja i chłopcy. A Zochy rodziną jest Tadek. Ona nie będzie twego pilnowała, tylko weźmie, co nie jej. Potem powie, że dla dzieci chciała. A ziemia najważniejsza.

Bronka już miała się znów odwrócić, ale uznała, że Antoni ma rację i zdecydowała się ustąpić. W końcu dobra żona mężowi ustępuje, a przy tym może coś ugrać dla siebie.

– No dobrze – powiedziała i podwinęła koszulę. – Ja będę pilnowała naszego, ty będziesz pilnował naszego, ale do karczmy nie chodź tak często, bo ludzie gadają, że pijesz za dużo.

Antoni znów się zachnął, że on rzadko pije, bo obiecał przecież, ale Bronka zasłoniła mu usta ręką i przyciągnęła go do siebie, bo Stefek się



niespokojnie kręcił i tylko patrzeć, jak się rozbudzi i trzeba go będzie karmić, a wtedy z łózkowych harców nici. A nic gorszego nie ma, jak chłopa w połowie roboty odsunąć albo skończyć przy wtórze krzyków głodnego dzieciaka.



Tadek i Zocha słowa dotrzymali. Rodziców do siebie wzięli, ich chałupę zamknęli na cztery spusty. Łatwo Zośce nie było. Matka z osoby miłej i pracowitej najpierw zmieniła się w niemłą, a potem przestała być pracowita. Bywało, że nie poznawała ani Zochy, ani Tadka, ani nawet własnego męża, co Józef bardzo przeżywał, bo brał to na karb gniewu Bożego, czy też innych ciężkich grzechów, które popełnił w powstaniu.

– Niech się tata tak nie martwi, to choroba – przekonywała Bronka, kiedy przychodziła, żeby odciążyć siostrę.

– Jak choroba? – denerwował się na to ojciec i łapał matkę za rękę, ile razy chciała coś wylać albo rozsypać. – Choroba to jest, jak leży w łóżku i ledwie dycha. A ona nie leży w łóżku, tylko biega po chałupie.

– Kto wy jesteście?! – krzyknęła nagle matka tak przeraźliwie, aż Bronia się przestraszyła. – Gdzie ja jestem?! To nie mój dom!

– Cicho, mamusiu, cicho... – Bronka gładziła ją po rękę, ale matka strąciła jej dłoń.

– Kto ty jesteś? – spytała. – Gdzie moja córka?

– Mamusiu, to ja, Bronka – przemawiała łagodnie, chociaż zbierało jej się na płacz.

– Nie mam córki! – odparła matka i nagle zaczęła szlochać. – Ona umarła. Wyszła już nieżywa. Sina cała.

Ojciec nie ruszył się z miejsca, ale Bronka dopadła rodzicielki i objęła ją mocno.

– Cicho, cicho, kochana. Wszystko dobrze. To ja tu jestem, Bronia. Zaraz Zocha przyjdzie. Twoje córki, mamusiu. Kochamy cię...

Ramionami matki wstrząsał szloch, aż Broni się serce krajało.

– Wszyscy poszli do powstania – powiedziała nagle i spojrzała na Bronkę przytomnym wzrokiem. – Meisner, Rozwadowski, Bychowiec.

– Jadziu... – westchnął ojciec.

– Mój Józek też poszedł – kontynuowała matka i z niepokojem rozejrzała się po izbie. – Z Janem Dębskim poszedł. Nawet się nie pożegnał. I nie wrócił.

– Wróciłem – mruknął zirytowany ojciec. – Przecież siedzę tu.

– Tato... – prosiła Bronka. – Nie trzeba się denerwować.

Ojciec z gniewną miną palił fajkę, tę, którą dostał od swojego ojca i która była dla niego najcenniejszą pamiątką rodzinną.

– Wiedziałam, że pójdzie i mnie z dziewczynkami na pastwę Rosjan zostawi. – Matka westchnęła, otuliła się szalem i skuliła. – Co miałam robić? Musiałam dzieci wyżywić.

– Mamo...

Bronka nie chciała pamiętać tamtej rozpaczki, kiedy ojciec nie wrócił z pracy do domu, a Ruscy jeździli po domach i ludzi wyganiali na mróz. One się ukryły w piwniczce. Siedziały tam we cztery, ściśnięte, zziębnięte i przerażone przez kilka godzin, aż wszystko ucichło, aż nie słyszały już nawet dalekich strzałów. Kiedy toczyły się walki, ludzie zamykali się w domach. Pełno było szpiegów. Nie szło się dowiedzieć nic o bliskich. Czy żyją, czy zginęli, dokąd poszli.

– Ja wdowa, nic nie wiem, panie... – powiedziała matka po rosyjsku, a Bronkę przeszył dreszcz.

– I ona tak cały czas – poskarżył się ojciec. – Nie ma już mojej Jadzi...

– Tato... – Bronka o mało co sama nie wybuchnęła płaczem.

– Jak się jej nie upilnuje, to wychodzi – powiedział nagle, jakby matki obok w pokoju nie było. – W dzień nie pozwalamy, ale w nocy... Wyszła w zeszłą niedzielę. Całe szczęście, że do kościoła poszła i księdza zbudziła.

– I co ksiądz Tadeusz na tę wizytę? – spytała Bronka.

– No zły był. Ale matkę do nas odprowadził. I pilnować kazał.

– Czemu nie powiedzieliście? – spytała Bronka z żalem w głosie.

– Zosia zakazała – wyznał ojciec. – Żebyś nie pomyślała, że matki źle dogląda. O wilku mowa...

Do domu weszła Zocha, najwyraźniej usłyszała ostatnie słowa ojca, bo zaraz płaczącej matki dopadła i pełnymi pretensji słowami zwróciła się do ojca i Bronki:

– A wy co? Pierwszy raz się zdarzyło! Spała zawsze spokojnie. Teraz bywa, że w dzień śpi, a w nocy trzeba pilnować.

– Czemu nie przyszłaś z tym do mnie? – spytała łagodnie Bronka. – Mówiłam, że chętnie pomogę. Przecież to i moja matka.

Zocha uspokoiła się trochę.

– Teraz pilnujemy w dzień i w nocy – zapewniła.

– Może ona taka, bo u was w domu? – spytała Bronka. – Może u siebie byłoby jej lepiej?

– Mówiłem, że starych drzew się nie przesadza – sapnął ojciec.

Zocha westchnęła.

– No ale tu nas więcej i zawsze ktoś jest w izbie. Jak nie ja, to ojciec, Karlik albo Gutek...

– Też racja – przyznała Bronka.

– Dajcie mi jeść! – nieoczekiwanie odezwała się matka, ale Zocha, najwyraźniej przyzwyczajona, od razu odpowiedziała:

– Już daję, już.

Wyciągnęła kawałek chleba i garczek smalcu. Posmarowała pajdę, posypała solą i podała matce. Ta chwyciła chciwie kromkę i wgryzła się w nią, jakby od dłuższego czasu nie jadła.

– Nie oddam – rzuciła niewyraźnie, przełykając wielkie kęsy chleba, aż Bronka się przestraszyła, że matka się zadławi.

– Nikt mamusi nie zabierze – powiedziała spokojnie Zocha. – Zaraz zupki ugotujemy, klusków nagniotę...

– Złodzieje! – krzyknęła nagle matka, zerwała się z krzesła i uciekła w głąb domu. – Mordercy! – dobiegł ich krzyk.

Bronka i Zocha spojrzały na siebie bezradnie. Zocha chciała pójść po matkę, ale ojciec ją powstrzymał:

– Ja pójdę. Już tylko mnie czasem poznaje.

Siostry zostały same.

– Tak mi przykro – powiedziała Bronka. – Tak mi przykro, że mateńka taka. I że już nie będzie jak dawniej.

Zocha objęła ją, a Bronia zamknęła oczy. Ileż to czasu minęło od chwili, kiedy się kochały, kiedy się razem bawiły i dzieliły wszystkim. Bronka zawsze się gniewała, że Jasia Zosze bliższa, że ona zawsze sama, a one dwie, ale przecież tak nie było. Kochały się. Ale ślub Bronki i śmierć Jasi całkiem je rozdzieliły.

– Nic to, nic – odpowiedziała jej Zocha. – Mateńka jest jedna, potrzebuje nas...

Bronia pokiwała głową.

– Pamiętaj, siostro, ja ci nigdy wrogiem nie będę. – Otuliła się chustą. – To ja już pójdę – powiedziała.

– Z Bogiem, Bronka – pożegnała ją Zocha. – Z Bogiem, siostro.

Od tego czasu, chociaż nie padły żadne wyjaśnienia i nikt nikogo nie przeproszał, było między nimi lepiej. Zaraz jak wyszła, zamiast do domu poszła prosto na plebanię i zastukała do księdza Tadeusza. Otworzył od razu i zdumiał się na widok Bronki.

– Coś się stało? – spytał zaniepokojony.

– Nic złego – uspokoiła go Bronia. – Porozmawiać chciałam chwilę z księdzem.

– Jak spowiedź, to do kościoła pójdziemy – powiedział i sięgnął po biret.

– Nie spowiedź – Bronka pokręciła głową. – Porozmawiać chciałam o mojej mamie.

Ksiądz Tadeusz wpuścił ją do środka. Bronka weszła, zdjęła chustę i zajęła wskazane jej miejsce. Dyskretnie rozejrzała się po księżym salonie. Minęło wiele czasu, od kiedy była tu ostatni raz, jeszcze przed narodzinami Kajtusia. Gospodyni wtedy zachorowała, pojechała w swoje strony i ksiądz potrzebował kogoś, kto by u niego posprzątał i ugotował coś dobrego na obiad, bo gości sprosił. Bronka wywiązała się z zadania jak to Bronka, czyli doskonale. Goście księdza bardzo chwalili potrawy, a gospodyni, kiedy wróciła i o wszystkim usłyszała, była o to zła. Wtedy też ksiądz Tadeusz sownie Bronce zapłacił i pożyczył trzy piękne książki autorstwa niejakiego Henryka Sienkiewicza – *Starego sługę*, *Hanię* i *Selima Mirzę*. Bronka przeczytała je jednym tchem, a kiedy przyszła oddać książki księdzu, z torbą pełną konfitur i różnego dobra, ten zaprosił ją znów do środka, kazał gospodyni zrobić herbaty i rozmawiał z Bronią o tych powieściach jak równy z równym, ubolewając po raz setny, że Bronka nie urodziła się chłopcem i nie mogła się uczyć na księdza.

– W czym ci mogę, Broniu, pomóc? – spytał teraz.

Bronka opowiedziała mu o swojej wizycie u siostry i o stanie matki, a na koniec wyznała:

– Ja przyszłam przeprosić, że mamusia księdza niepokoiła.

– Nie trzeba przeproszać – odparł natychmiast ksiądz Tadeusz, który myślał, że Bronka chciała prosić o modlitwę za swojego męża, żeby nie pił więcej niż inni. – To nie twoja, Broniu, wina, ani tym bardziej pani Jadwigi.

– A ksiądz myśli, że to kara za grzechy? – zapytała i dodała szybko: – Zocha tak uważa.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

– Zosia rozżalona, bo przecież żał patrzeć, jak taka miła i spokojna kobieta jak pani Jadwiga tak się zmienia. Rodzinie ciężko.

Zamyślił się wtedy, bo nie dalej jak dwie niedziele temu zaprosił na rozmowę Dominiaków, którzy starą babkę, ledwie dychającą, do komórki wygnali, jeść rzadko dawali, aż kobiecina musiała żebrać pod kościołem. Jak ją ksiądz Tadeusz zobaczył, to aż mu krew do głowy uderzyła i z kazania, co to miał już przygotowane, zrezygnował, aby przypomnieć

wiernym o przykazaniu „czcij ojca swego i matkę swoją”. Potem kazał Dominiakom do siebie przyjść i udzielił im reprimendy. Myślał, że to wystarczy, ale rodzina wcale się nie przejęła ani nie zawstydziała, przeciwnie, upierali się, że tak musi być, nikt chleba darmo nie je. Babka stara, głucha, nie może robić w polu, nawet kapuchy nie poszatkuje i do beczki nie trafi, bo też i ślepa, dowodził Dominiak, to i jeść ma tyle, co by z głodu nie paść. Ot, ciemnota, podsumował w myślach i spojrzął na Bronkę, która była całkiem inną osobą, absolutnie wyjątkową, prawą i dobrą.

– Pani Jadwiga w kościele spokojna – powiedział niepewnie. – Straszny żal poczułem, kiedy w nocy przyszła i była taka dziwna.

Bronka westchnęła.

– Żal żalem – stwierdziła – ale czy można coś na to poradzić?

– Ja nie wiem, Broniu – odpowiedział, bezradnie wzruszając ramionami. – Może niech Bronka doktora spyta?

– Myślałam o tym – złożyła ręce jak do modlitwy. – Ale ojciec powiedział, że doktor od gorączki jest, nie od pomieszania w głowie. Bo mnie, proszę księdza, o to pomieszanie w głowie idzie.

Ksiądz milczał chwilę, potem popatrzył jej prosto w oczy i zaczął mówić wolno, ważąc każde słowo.

– Kiedy Bronki mama przyszła tu do mnie w środku nocy, chciała się wyświadczyć. Nie, nie odniosłem wrażenia, że pomieszało się jej w głowie. Była raczej bardzo wzburzona, przestraszona czymś...

Zamilkł, a Bronia poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

– Czy ksiądz udzielił spowiedzi? – spytała cicho.

– Tak – pokiwał głową. – I zrozumiałe jest, że nie mogę wyjawić, czego się dowiedziałem. Mogę tylko powiedzieć, że to nie było wyznanie osoby chorej na umyśle czy opętanej przez szatana.

– Czy ta... tajemnica, to, co wyznała – Bronka przełknęła ślinę – może być przyczyną tej choroby?

Ksiądz miał niepewność wypisaną na twarzy.

– Nie wiem, Bronko. Nie umiem powiedzieć. Wiele nad tym myślałem, ale... nie wiem.

W takich chwilach był wdzięczny Bogu, że może się zasłonić tajemnicą spowiedzi. Bo jak miałby Bronce powiedzieć, że Jadwiga Wielichnowska wyznała mu, że wiele lat temu, kiedy do dworu Mackiewiczów chodziła panicza karmić, to młody pan któregoś dnia wszedł do pokoju, kazał dziecko od piersi odjąć i odłożyć do kołyski, a potem położył się na niej i wykorzystał. Robił to wcale nie po pańsku, tylko zwyczajnie, jak zwykły chłop, tyle że miał na sobie koszulę białą i czystą, a ona leżała spokojnie, bo nie wiedziała, czy może powiedzieć panu „precz”. Po wszystkim dał jej pieniądze, nie patrząc w oczy, a ona kiwnęła głową, zabrała Jasię i wróciła do domu. Więcej do dworu nie poszła, chociaż stary pan Mackiewicz dwa razy po nią posyłał i obietnicą dobrej zapłaty kusił. Wtedy już w połogu nie była i z Józefem też spółkowała, więc kiedy poczuła, że znów zaciężyła, nie do końca była pewna, czyj jest dzieciak. A przy porodzie modliła się o jakieś, nomen omen, dobre rozwiązanie w tym rozwiązaniu, ale Pan Bóg widocznie nie zrozumiał, bo najpierw urodziła się Bronka, a po niej jeszcze jedna, martwa dziewczynka. Jadwiga zmuszona była znaków szukać w tej dziwnej śmierci jednej z córek i wreszcie wytłumaczyła sobie, że lepiej jedno mieć z nieprawego łoża niż dwójkę. Chociaż pewności do końca nie miała, bo co jej serce mówiło, to zaraz rozum zagłuszał. Tyle że Bronka rosła taka grzeczna, śliczna i mądra, do ksiązek się garnęła i Jadwiga po kilku latach miała już pewność, z kim ją Pan Bóg pobłogosławił. Józef nie raz żartował, że Bronia to pańskie dziecko, po tym przodku, co za żonę pojął dwórkę, a Jadwiga uśmiechała się krzywo i dziękowała Bogu, że przeżyła podobna do niej Bronka, a nie druga, do pana Mackiewicza podobna i z rudymi włoskami

– Ja wiem, że ona o powstaniu mówiła – odezwała się Bronka. – Tyle lat cisza była. Zapomnieliśmy...

– Takich rzeczy się nie zapomina – powiedział łagodnie ksiądz Tadeusz.

Sam właśnie przez powstanie sierotą został, bo ojciec nie wrócił i nawet nie wiedzieli, gdzie jest jego grób. Matka zaraz tamtej zimy zamarła, bo

chałupa niedogrzana, jedzenia mało. Już wtedy w seminarium był i pamięta jak dziś, kiedy wiadomość o śmierci matki przyszła. Do tej pory czuł się winny. Bo gdyby w domu był, toby o wszystko zadbał i matka by żyła.

– To modlić się, tak? – spytała na koniec rozmowy Bronka.

– Tak – odparł, znów bezradnie, ksiądz Tadeusz. – Człowiek strzela, ale Pan Bóg kule nosi.



Matka zgasła kilka miesięcy później. Wyszła z domu, czego nikt się nie spodziewał, bo ostatnimi czasy tylko leżała nieruchomo, patrzyła w sufit i nic nie mówiła. Rzuciła się do stawu i byłaby utonęła, gdyby jej nie uratował chłopak Józwiaków. On też przyprowadził ją do domu, mokrą, słaniającą się na nogach.

– Mamusiu, co tobie? – pytała Bronka, która zaalarmowana przez Gutka przybiegła, żeby pomóc siostrze.

Matka wodziła wkoło przerażonym wzrokiem i milczała uparcie. Na szczęście nie utrudniała przy tym córkom pracy, a ta była ciężka – trzeba było zdjąć z matki mokre rzeczy, osuszyć ją i natrzeć ciało, bo mimo że jesień była tego roku ciepła, to woda w stawie zimna. Bronka drgnęła na widok chudego ciała rodzicielki i zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

– Nic jeść nie chciała – tłumaczyła się Zocha. – Siłą jej wciskaliśmy, ale i tak wszystkim pluła.

Bronka patrzyła na zwisające piersi matki, z bladymi dużymi sutkami, które ledwie kolorem oddzielały się od skóry. Potem jej wzrok spoczął na brzuchu, zapadniętym i bladym. Włosy łonowe były rzadkie, jakby ktoś je wyskubał, i zupełnie siwe. Na nogach, białych jak całe ciało, Bronka dostrzegła liczne wybroczyny, rozszerzone żyły, poskręcane niczym postronki. Aż się wzdrygnęła.

Zocha ubrała matkę w czystą i suchą koszulę, spódnicę i gruby sweter, który kilka lat temu zrobiła dla ojca z wełny własnych owiec.



– Ja też pamiętam, jaka piękna z niej była kobieta – powiedziała cicho, jakby odgadując myśli siostry.

– Była najpiękniejsza w całym Brwinowie – przyznała Bronka i uśmiechnęła się smutno.

Matka leżała w łóżku przykryta wełnianym kocem i patrzyła to na jedną, to na drugą córkę. Układała przy tym usta w dziwny dziubek.

– Ona chce coś nam powiedzieć. – Zocha odgarnęła matce kosmyki włosów ze skroni.

Matka faktycznie wyglądała, jakby zamierzała coś przekazać córkom albo mężowi, który przyszedł na krótko, stanął w drzwiach, po czym odszedł smutny. Uniosła rękę i wycelowała palec w Bronkę, a potem w Zoche.

– Co, mamusiu? – spytała Bronka.

Matka jeszcze chwilę wodziła palcem w powietrzu, ale wreszcie się zmęczyła i położyła rękę na kocu.

– Może mogłaby napisać? – zastanawiała się Bronka, ale Zocha pokręciła przecząco głową.

– Napisać – mruknęła. – Też masz pomysły...

Bronia już nic nie powiedziała, tylko usiadła na stołku przy łóżku i głaskała chudą, bladą dłoń, przez którą prześwitywały niebieskie żyłki.

Matka nie powiedziała więcej ani słowa. Następnego dnia Bronka pojechała po doktora Stanisławskiego, bo Gutek przyleciał i powiedział, że babcia ma znów gorączkę i cała się trzęsie. Doktor przyjechał, matkę obejrzał, ale nie miał dla nich dobrych wieści.

– Zapalenie płuc – zawyrokował.

– Wyjdzie z tego? – spytała Zocha, chociaż gołym okiem było widać, że matka jedną nogą już na tamtym świecie.

Doktor ze smutkiem pokręcił głową.

– No ale coś chyba można zrobić? – rozpaczała Zocha.

– Spirytusem kamforowym nacierać – powiedział doktor. – Gorączkę zbijać, ale raczej...

Bronka sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej monetę. Doktor wziął pieniądze, wstał, popatrzył ze współczuciem na obie siostry oraz Józefa i wyszedł.

Nic nie pomagało. Gorączka rosła mimo kompresów i spirytusu. Wezwana babka Majchrzakowa odprawiła wprawdzie jakieś gusła i dała zioła, ale Bronka wiedziała, że nie ma po co parzyć owych ziół, to i tak na nic. Matka nie przełknie nawet łyka wody. Następnego dnia twarz się jej zrobiła żółta, jakby pokryta woskiem, i Bronia już wiedziała, że to koniec. Zocha krzyczała, nie chciała matce pozwolić na tamten świat odejść. Chora otworzyła szeroko oczy, spojrzała zupełnie przytomnie na córki i męża, a po jej policzku popłynęła łza. Bronia zaczęła się modlić:

– Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie...

– Dokąd ty idziesz, mamusiu? – płakała Zocha, myjąc trupa matki. – Dokąd idziesz?

Nie mogli pochować jej razem z Jasią, bo kiedy grób rozkopano, okazało się, że trumna Józka jest wysoko i wciąż cała, dlatego matka spoczęła obok. Ojciec mówił, że to dobrze, bo on przecież niebawem do żony dołączy i już by się w tak zatłoczonym grobie nie zmieścił. Ksiądz Tadeusz odprawił nabożeństwo żałobne i pokropił trumnę święconą wodą. Potem, kiedy wychodzili z cmentarza, podszedł do Broni i powiedział:

– Pan Bóg ją do siebie przyjął i siedzi teraz ramię w ramię z aniołami.

Bronka pokiwała kilkakrotnie głową.

– Ksiądz teraz nie może powiedzieć, co to za tajemnica była? – spytała nagle.

Zaskoczony ksiądz Tadeusz położył rękę na ramieniu Bronki.

– Wiesz, Broniu, że nie mogę. Tajemnica spowiedzi nie ustaje wraz ze śmiercią grzesznika...

Podeszła do nich Zocha.

– Prosimy księdza na stypę – spojrzała niepewnie na rozmawiających Bronkę i księdza.

– Dziękuję wam bardzo, ale nie mogę. Ksiądz Torbicki z Grodziska ma mnie odwiedzić. Błogosławię wam z całego serca, będę się modlił za duszę świętej pamięci Jadwigi.

Odszedł, a Zocha spytała:

– O czym wyście tak konferowali?

Bronka uciekła wzrokiem.

– Ksiądz, kiedy mama do niego przyszła w środku nocy, udzielił jej sakramentu namaszczenia chorych i odpuścił grzechy.

– Przecież wiem – powiedziała Zocha. – Ale chyba nie o tym mówiliście.

– O tym – odparła Bronka, bo przecież to nie było kłamstwo, chociaż też nie prawda.

– Całe szczęście, że ksiądz Tadeusz zna nas od dziecka – westchnęła Zocha. – I mamę. Bo pewnie głupot jakichś mu naopowiadała, co jej w głowie siedziało i ją męczyło... Aż strach pomyśleć...

– Strach pomyśleć... – powtórzyła Bronka z zadumą.

– Chodźmy – siostra wskazała na czekających nieopodal Antoniego i Tadka z dziećmi oraz ojca.

– Tak, chodźmy – Bronia westchnęła i nagle, jakby to właśnie teraz matka umarła, zaczęła płakać. Łzy lały się jej strumieniami po policzkach, jakby ktoś jezioro całe uwolnił.

– Bronka! – dopadł do niej Antoni. – Bronka, nie płacz, cicho...



Ojciec przeżył matkę o niespełna dwa miesiące. Po pogrzebie żony wrócił do siebie, do chałupy, którą mu Bronka z Zochą ogarnęły i wyszykowały. Nie chciał za nic w świecie ani u Zochy zostać, ani do Bronki pójść, chociaż obie go przekonywały, że samemu ciężko mu będzie.

– Nie – mówił twardo. – Pora na samotność.

Przychodzili do ojca i dziadka co dzień, przynosili jedzenie, prali ubrania. Ojciec przyjmował tę pomoc z wdzięcznością, ale nie chciał, żeby jak to się wyrażał, siedziały i gadały po próżnicy albo co gorsza płakały. Na wciąż ponawiane pytanie, czy by nie chciał do którejś z córek się przenieść, odpowiadał niezmiennie: „Nie. Pora na samotność”.

Nie pozwalał przy tym ruszyć żadnych ubrań po matce ani jej osobistych rzeczy.

– Jak pomrę, to sobie je weźmiecie – mówił.

– Tato, my chciałyśmy zabrać, żeby tobie mamy nie przypominały – tłumaczyła Bronka.

– A ja chcę, żeby mi Jadzię przypominały – ucinał temat ojciec.

Bronka i Zocha wzdychały i zostawiały wszystko, jak jest.

– Niech będzie, jak tata chce – mówiły. – Jakby ojciec zdanie zmienił, to my...

– Nie zmienię – przerywał im zniecierpliwiony i prosił, żeby sobie poszły.

Ojciec umarł we śnie. Rano Zocha go znalazła, zimnego i sztywnego zupełnie. Od razu posłała po Bronkę i po księdza. Na pogrzebie było jeszcze smutniej niż wtedy, kiedy grzebali matkę.

– On już przy niej w niebie – podsumowała Zocha i otarła łzy, po czym całą rodziną udali się na stypę do domu Broni.

Przy obiedzie Tadek postanowił poruszyć palącą kwestię tego, kto odziedziczy dom i całą ziemię. Zwierzęta wcześniej podzielili, kiedy matka nie mogła już ani kur macać, ani krowy doić.

– Jak to kto? – spytała Bronka. – To wspólne teraz jest.

– Ale do naszej ziemia przytknięta – burknął Tadek, jedząc rosół.

– I co z tego, że do waszej? – postawił się szwagrowi Antoni. – I tak wspólne.

– Do sądu przecież nie pójdziemy – łagodziła Bronka.

– Jeszcze ojciec z matką w grobie nie wystygł, a wy już chcecie swego? – spytała Zocha zaczepnie.

– Jak to babcia nie wystygła? – spytał Władek, ale Antoni go natychmiast uciszył.

– Głupi jesteś – zdążył powiedzieć do kuzyna Karlik.

– Nie odzywać się! – Tadek uderzył pięścią w stół. – Żadne z was, smarkacze!

Cała siódemka chłopców w milczeniu pochłaniała rosół.

– Porozmawiamy o tym jutro – odezwał się w końcu Antoni. – Dziś pogrzebaliśmy ojca. Zdążymy się jeszcze dogadać.

Nie przyniosło rozstrzygnięcia ani jutro, ani kolejne dni i Bronka zaczęła się martwić, że trzeba będzie albo ustąpić, na co nie chciał się zgodzić Antoni, albo rzeczywiście do sądu iść. Na razie postanowiła poprosić księdza Tadeusza o mediację, bo ksiądz, wiadomo, mądry był i Wielichnowskim życzliwy. Ksiądz się rozmów podjął, do Zochy i Józefa poszedł i wytłumaczył im, że prawo to prawo, a skoro za życia nikt nic na nikogo nie przepisał, to po śmierci krewni dziedziczą po połowie, i tyle. Nic tu do ustalania nie ma, można jedynie zdecydować, którą połowę ziemi weźmie Bronka, którą Zocha i jak się domem podzielą. Zocha twierdziła, że ojciec obiecał im tę lepszą, przy stawach, ale z kolei ta przylegała do ich własnej ziemi jedynie wąskim pasem. Bronia wzruszała ramionami, bo dla niej ziemia była ziemią, każda tak samo cenna, i czekała, aż wreszcie siostra wskaże, co chce, żeby mogli z Antonim wziąć, co zostanie. Antoni z kolei denerwował się, bo przecież nie mógł pozwolić, żeby siostra żony ze szwagrem po głowie im skakali i dyktowali warunki, zwłaszcza że w kółko zmieniali zdanie. Raz chcieli tę gorszą, ale przylegającą, innym razem lepszą, ale leżącą dalej. Wreszcie Bronka uderzyła pięścią w stół i powiedziała:

– Podzielimy ziemię po równo. Każdy skrawek stosownie do przeznaczenia obejrzymy trzy razy i przetniemy na pół. Żeby nikt nie miał pretensji, że mógłby zboże siać, a za kartoflami chodzi.

Tadek wahał się chwilę, wreszcie podał rękę Antoniemu, nie Bronce, i powiedział, nie patrząc na szwagra i szwagierkę:

– Zgoda.



– Co się ma stać, to się stanie – powiedziała Bronka któregoś dnia do Antoniego, po tym jak ją mały Stefek za spódnicę szarpnął, Bronka się odwróciła i strąciła przy tym cały gar rosołu. Rosół rozlał się po kuchennej podłodze, a Bronka aż jęknęła dwukrotnie, raz z ulgą, że na Stefka nawet jedna kropla nie spadła, Bóg tylko wie jakim cudem, drugi raz z żalem, bo to był świąteczny obiad. Specjalnie kurę zarznęła, żeby na rocznicę śmierci matki było, i dodała ostatnie przyprawy, co Dawidkowa jej dała ze dworu.

– A niech to dunder świśnie... – zaklął Antoni, widząc, że cała kuchnia upaprana rosołem.

Bronka załamała ręce.

– No i co ja teraz zrobię?

Antoni nie miał pojęcia, co żonie doradzić, bo nawet gdyby zaproponował, żeby drugą kurę zarznęła, to po pierwsze, nie stać ich było na takie marnowanie, po drugie, nie zdążyłaby przecież kolejnego rosołu ugotować.

– Poślę Władzia, niech im powie, co się stało – zaproponował.

– Żarty się ciebie trzymają, Antoni, wolne żarty – zdenerwowała się Bronka. – Pomóż mi, dobrze?

Antoni pokiwał głową, bo co miał nie pomóc. Planował wprawdzie, że jak się szybko wspominki skończą, to jeszcze zdąży na jednego do karczmy, za duszę teściów oczywiście. Bronka przekazała mu Stefanka i zarządziła:

– Idź mi z nim, bo złość mnie bierze, kiedy na niego patrzę.

A kiedy Antoni wyszedł z roześmianym Stefanem zawołała za nim:

– I zawołaj mi tu Władka i Romka!

Sama zmówiła modlitwę, taką przeprosną, bo może Pan Bóg miał w tym zmarnowaniu rosołu jakiś cel i ona nie chciała złością tego celu przeganiać.

– Roman, pobieraj ziemniaki i marchew i zanieś świniom – poprosiła. – Władek, dawaj mi tu wody i piasku, trzeba to sprzątnąć.

Roman gwizdnął przeciągle i zaczął zbierać porozwalane dobro do miski, a Władzio wybiegł po wodę i piasek. Bronka zaś zajęła się kurą, która na szczęście nie wypadła z gara, tylko tkwiła na jego dnie z resztką zupy.

– Świnie dziękują mamie za posiłek – burknął Roman i roześmiał się, ale zaraz umilkł, bo Bronka popatrzyła takim wzrokiem, że śmiać mu się odechciało.

– Obierz kartofli – nakazała.

Pochyliła się nad kurą i zaczęła dumać co i jak. Wreszcie postanowiła, że pokroi nieszczęśnicę i upiecze w ziołach od Dawidkowej, nie tych rosołowych, tylko tych, co pachniały dalekimi krainami, gdzie słońce świeci mocniej niż w Polsce i gdzie ludzie Ruskim nie muszą się kłaniać na każdym kroku. A kiedy przyszli Zocha z Tadkiem, to podała zapieczone kawałki kury z ziemniakami i kapustką, do tego oczywiście grzybki, marynowane, a jakże, te co zawsze, i rydze zasmażane z grubymi kryształami soli.

– Pańskie jedzenie – skwitował Tadek, ale nie złośliwie, tylko życzliwie. – Chyba ty, Bronka, znów na służbę pójdziesz.

– Mamusia takie zrobiła, bo Stefek rosół wylał – wygadał się Władek, a Antoni pacnął go łapą po głowie, żeby nie wyjawiał rodzinnych tajemnic.

– No co?! Tak było! – wrzasnął Władek, a Bronia spojrzała groźnie. Na szczęście Karlik, Gutek i Heniek zaczęli się głośno śmiać i w sumie zrobiło się wesoło.

– Za ich dusze – Antoni uniósł kieliszek.

– Za ich dusze – zawtórowali Zocha, Bronka i Tadek.

Było jej lekko na sercu. Z Zochą rozmawiały swobodnie o tym, żeby znów razem siać, razem zbierać, najpierw pola jednych, potem drugich. Antoni z Tadkiem ustalali, żeby nowe piwnice wykopać, bo stare już się



całkiem zapadały. Później Bronka zastanawiała się, czy to przez te piwnice nieszczęście się stało, czy też tak miało być, bo ktoś tam w niebie uznał, że jeszcze mało im nieszczęścia i trzeba ich jeszcze ciężiej doświadczyć.

Zocha nic z początku nie poczuła, kiedy ją Karlik widłami drasnął w nogę. Mężczyźni byli w trakcie kopania nowej piwnicy dla Winnych, bo dla Tadka i Zochy już wykopali i deskami podparli. Obie z siostrą i chłopcami w oborze gnojówkę zbierały i siano obracały. Bronka chciała do chaty z siostrą iść i obmyć jej nogę, bo to przecież brudy, ale Zocha podeszła do koryta z wodą, zaczerpnęła kilka razy, ranę porządnie, w swoim mniemaniu, obmyła. Była zadowolona, bo i krwawienie ustało i z draśnięcia taka malutka, cienka kreseczka została, to przecie nic takiego. Dokończyli zatem, co mieli dokończyć, wróciły do mężczyzn, jeszcze w stawianiu belek stropowych im pomogły, bo kopanie już było skończone. Kiedy Zocha po dwóch dniach powiedziała, że noga ją rozbolała, Bronka od razu wiedziała, że źle się stało, że wtedy tak nierozważnie postąpiły i nogi nie przemyły spirytusem. Zocha nie chciała do doktora iść, bo co tu doktor pomoże, ale siostrze pozwoliła ranę wyczyścić, spirytusem zalać i posiekana cebulą obłożyć.

– Ropy nie ma – powiedziała, kiedy już obwiązała chorą łydkę.

– Ano nie ma – potwierdził Tadek, który pierwszy nogę obejrzał i stwierdził, że „do wesela się zagoi”.

– I chłopaki! – przykazała Bronka Karlikowi, Gutkowi i Heńkowi. – Mama musi leżeć i nogę wysoko trzymać. Ja wam obiad dam i pomogę we wszystkim, póki nie wydobrzeje.

– Lepiej rozchodź, a nie leżeć – mruknął Tadek, ale umilkł pod groźnym spojrzeniem Bronki.

– Poślę tu zaraz Romka z jedzeniem – powiedziała. – A sama przyjdę wieczorem opatrunek zmienić.

– Nie trzeba – zaprotestowała Zocha. – Wczoraj placków nasmażyłam i kasza jeszcze jest.

– To przyjdę wieczorem – powiedziała Bronka i wyszła, a przez całą drogę do siebie odmawiała modlitwy, żeby się Zosi polepszyło.

Wieczorem na brzeźkach rany pojawiły się białe punkciki.

– Ropa jest! – krzyknęła Bronka. – Natychmiast trzeba po doktora.

Tadek tylko pokiwał głową i znów powiedział, że rozchodzić trzeba, ale Zocha gwałtownie zaprotestowała.

– Nie! – jęknęła. – Tylko mi oczyścić lepiej tę ranę.

Bronka pochyliła się nad nogą siostry. Skóra na brzegach była zaczerwieniona, jakby rozciągnięta, a rana, chociaż zasklepiona, nie wyglądała najlepiej. Z wierzchu były tylko pojedyncze kropelki ropy, ale Bronka podejrzewała, że pod spodem najpewniej jest jej więcej i należałoby nogę otworzyć i porządnie oczyścić.

– Trzeba po doktora, bo ja takich narzędzi nie mam, żeby głęboko dotrzeć.

– Gliny jej trzeba – zdecydował Tadek i wziął czapkę, żeby z Heńkiem razem na gliniankę pojechać.

– Mówię, że jej doktora trzeba, a nie gliny – zaprotestowała Bronka. – Glinę się na złamaną i opuchniętą nogę kładzie, a nie na ranę.

– Na ranę też – stwierdził Tadek. – U nas we wsi tak leczyliśmy wszystkich, którzy ręce czy nogi łamali, i zawsze było dobrze.

Po czym kiwnął na Heńka i obaj wyszli. Bronka dotknęła czoła siostry.

– Masz gorączkę – stwierdziła.

– E tam – Zocha machnęła ręką.

Bronka wyjęła z torby czyste paski płótna. Ze starych opatrunków wyrzuciła cebulę i włożyła je do miski, żeby od razu przeprać i rozwiesić.

– Sama zobacz – poprosiła. – Popatrz na zdrową i chorą. Ta chora dwa razy większa. Po doktora trzeba.

Zocha zacisnęła usta.

– Nie trzeba – ucięła. – Tadek z Heniem gliny przywiozą i będzie dobrze.

– Ale czemu ty nie chcesz doktorowi nogi pokazać, Zosiu? – Bronka nie mogła tego zrozumieć.

– Doktor zaraz mi każe nogę odjąć – burknęła siostra i uniosła ostrożnie chorą nogę, żeby położyć ją na poduszce, którą podsunęła jej Bronka.

– Pij – podała siostrze kieliszek bimbrowy. – Bo będzie bolało.

Zocha wypiała niechętnie. Bronka bez słowa polała spirytusem zakażone miejsce. Chora zaczęła się trząść i jęczeć cicho z bólu, ale Bronka mruzczała:

– Płacz, kochana, płacz, tylko nogą nie ruszaj...

Uniosła ostrożnie brzegi rany i znalazła niewielki ropień, który przecięła sprawnie, i wypłukała ropę. Siostra trzęsła się i płakała, ale po tych zabiegach wyraźnie jej ulżyło.

– No widzisz – powiedziała, kiedy już Bronka skończyła i przykryła nogę czystym płótnem. – Będzie dobrze.

Bronka pokiwała głową, zmawiając kolejną modlitwę. Uspokoiła się przy tym nieco, bo Zocha zdecydowanie mniej cierpiała. Potem pomogła Tadekowi i Heńkowi glinę na nogę położyć i trzymała Zochę za rękę, aż ta zasnęła.

– Jak się obudzi, niech coś zje – nakazała, widząc, że placków sobie nałożyli i po kawałku kiełbasy z chrzanem wzięli.

– Jak jest choroba, nie trzeba jeść – stwierdził Tadek. – Nie bój się, Bronka, przejdzie jej. Tę glinę to z tydzień trzeba trzymać, a potem noga jak nowa.

Glinę trzymali jednak tylko trzy dni, bo gorączka wzrosła i noga bolała Zochę tak bardzo, że krzyczała z bólu. Bronka kazała wszystko z nogi zdjąć, a kiedy Tadek niechętnie wykonał jej polecenie, oczom Bronki ukazała się wielka zaropiała rana o porozrywanych brzegach, trzeszcząca przy dotyku.

– Matko Przenajświętsza! – krzyknęła Bronka.

– Ale co to... – Tadek wpatrywał się w nogę z mieszanką obrzydzenia i zdumienia w oczach. – Czemu się tak zrobiło?

Bronka zawsze miała, jak to się mówi, dobrą rękę do lekarskich spraw. Do Wielichnowskich ludzie przynosili ptaki z utraconymi skrzydłami,

wiewiórki z przegryzionymi przez psy łapkami, nawet kury, których lis nie zdołał zadusić. Ludzi nie ośmielała się leczyć, ale złamanie potrafiła nastawić, zwichniętą rękę wyprostować, ranę oczyścić i opatrzyć. Słowem, Bronka zawsze wiedziała, co trzeba zrobić, żeby pomóc, ale też umiała ocenić, kiedy umiejętności jej nie wystarczy i należy posłać po doktora. Doktorów szanowała najbardziej na świecie, zaraz po księżach, a gdyby miała jakąkolwiek szansę, żeby się kształcić – zostałaby lekarzem.

– Jedź po doktora, Tadeusz! – krzyknęła wielkim głosem.

Tadeusz wybiegł z izby, a Bronka tymczasem wytarła nogę Zochy z resztek gliny i położyła na czoło zimny okład.

– Mówiłaś... – wyszeptała Zocha. – Mówiłaś, żebym ja...

– Mówiłam, żeby po doktora posłać – Bronka wytarła siostrze czoło i wygoniła z izby chłopców, żeby nie patrzyli na rozchełstaną i chorą matkę.

– Ja nie to... – wyszeptała Zocha. – Boli...

Noga śmierdziała zgnilizną, a kiedy Bronka jej dotknęła, zatrzeszczało, rozdęta skóra pękła i pokazały się pęcherzyki powietrza.

– Dlaczego nie pozwoliliście posłać po doktora? – Bronka z trudem powstrzymywała płacz. – Nie byłoby nieszczęścia...

– Ojciec mówił – powiedziała cichym głosem Zocha. – Ojciec mówił, że jedna przeżyła. Tylko jedna.

– Co takiego? – Bronka moczyła w miednicy płótno i wycierała siostrze czoło.

– Dwie były. Pańskie córki – szeptała Zocha, ale Bronka ją uciszyła:

– Cicho, kochana, cicho...

Do izby wszedł doktor i Bronka wiedziała, że wystarczy mu jeden rzut oka, żeby stwierdzić, że jest bardzo źle.

– Czemu, ludzie, po mnie wcześniej nie posłaliście? – spytał.

Natychmiast jednak podszedł do chorej, rękawy zakasał i położył dłoń na czole.

– Wysoka gorączka – westchnął, po czym wyjął z torby lekarskiej dwa woreczki z jakimś proszkiem.

– Pani Bronko – zarządził, podając pierwszy woreczek. – Niech pani rozrobi ten proszek z małą ilością wody, wystudzi i daje chorej do ust, ale tak, żeby się nie zakrztusiła.

Bronka pokiwała głową.

– A to drugie to proszę zaparzyć, do miednicy wlać wywar i tu przynieść.

– Co z nią, panie doktorze? – odważył się spytać Tadek.

– Źle z nią, człowieku. Przez waszą ciemnotę źle z nią! – krzyknął doktor.

– Ale... – zaczął Tadek, ale Sławiński mu przerwał.

– Idź mi po jakiś kołek drewniany, co między zęby można będzie wsadzić. I przynieś sznurek, musimy ją związać.

– Po co? – spytał struchlały Karlik, ale doktor nawet na niego nie spojrzał.

– Chodź ze mną – Tadek skinął na syna.

Bronia przyniosła wywar w miednicy i poszła po drugi. Usiadła u wezłowia chorej, tak żeby doktorowi nie przeszkadzać, i łyżka po łyżce wlewała płyn z lekarstwem do ust siostry. Ta krzywiła się, ale piła posłusznie. Wreszcie położyła głowę na poduszkę i zamknęła oczy.

– Zasnęła – powiedziała cicho.

– To dobrze, ale zaraz się zbudzi, jak tylko skórę przetnę – powiedział doktor Sławiński, po czym otarł pot z własnego czoła i spytał: – Czemu po mnie nie posłaliście wcześniej...? Przecież pani nie jest ciemną kobietą...

Bronia spuściła głowę.

– Od razu mówiłam, że po doktora trzeba posłać, ale oni nie i nie. To co miałam robić?

– Nie słuchać, tylko posłać jednego z synów! – krzyknął doktor.

Do izby weszli Tadek i Heniek. Jeden trzymał w ręku spory kołek, drugi sznur.

– Na stół chorą – komenderował doktor, a widząc zdumione spojrzenia, wyjaśnił: – Na łóżku tego nie zrobię. Potrzebuję twardego podłoża.

– Wyzdrowieje? – spytał Henio, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo doktor był zajęty przygotowywaniem narzędzi.

Bronka zebrała wszystko ze stołu, a Tadek wziął na ręce półprzytomną Zochę i ostrożnie położył na deskach.

– Chłopcy – zarządził sprawnie doktor – przywiążcie ręce i kostki matki do nóg stołu. Tylko nie za ścisło, żeby krew dochodziła.

Karlik, Gutek, Henio i Tadek wykonali polecenie.

– Dobrze – kiwnął głową Sławiński. – Teraz idźcie mi stąd, chłopaki, bo będziecie przeszkadzać.

Chłopcy stali nieruchomo, ale ojciec brodą wskazał im, że mają wyjść przed izbę, a wtedy jeden po drugim opuścili dom.

– Pani Bronko, niech pani tu przyjdzie. Będę potrzebował pomocy. Da pani radę?

– Dam radę, doktorze – zapewniła go, chociaż bała się strasznie tego, co miało nastąpić.

– A ja co mam robić? – spytał znekany Tadeusz.

– Pan niech włoży żonie kołek między zęby, a potem trzyma ją mocno. I niech pan nie puszcza, żeby nie wiem jak krzyczała.

Tadek wykonał pierwsze polecenie, po czym złapał żonę za ramiona i ścisnął mocno.

– To w imię Boże – doktor się przeżegnał i zaraz szybko przeciął skórę.

Zocha wrzasnęła, a Tadek odwrócił głowę. Bronce drżały ręce i zrobiło się niedobrze, kiedy z rany obficie zaczęła wypływać ropa.

– Nie można odjąć tej nogi? – spytała Bronka, bo każdy krzyk bólu siostry rozdzierał jej serce.

– Za późno – odparł szybko doktor i mimo krzyków pracował nieprzerwanie, aż wreszcie uznał, że zrobił, co mógł, i reszta w rękach Pana Boga.

– Teraz na łóżko ją trzeba przełożyć i modlić się – westchnął, po czym wyjął z torby fiolkę z morfiną i zrobił chorej zastrzyk.

– Pani Bronko, niech pani tu podejdzie i zobaczy, jak to się robi – poprosił.

Bronka posłusznie podeszła.

– Następnie pani zrobi, jeśli chora przeżyje – powiedział cicho i dodał, widząc, że łzy jej z oczu leczą jak grochy: – Niech pani nie płacze. Zrobiłem, co mogłem. Głęboko oczyściłem ranę, ale choroba do krwi już poszła.

– Będziemy się modlić – Bronka nie mogła opanować szlochu.

Doktor zaczął zbierać swoje narzędzia. Tadek podszedł do łóżka żony i pogrążył się w modlitwie.

– Siostra będzie gorączkowała – dodał lekarz. – Trzeba gorączkę zbijać. Proszę robić zimne okłady na czoło i dawać do picia wodę z tamtym proszkiem. Jest bardzo gorzki, ale musi go pić, bo to jedyne lekarstwo na gorączkę.

Bronka za każdym razem kiwała głową.

– Przyjdę do was jutro, chyba że... – rozłożył bezradnie ręce. – Zostańcie z Bogiem.

Kiedy wyszedł, Bronka uświadomiła sobie, że nie zapłacili mu za usługę, ale machnęła na to ręką. To dobrze, pocieszała się. Przyjdzie jutro, to się zapłaci.

Do izby weszli chłopcy.

– Co z mamą? – spytał Gustlik.

Bronka wskazała im Tadka.

– Módlcie się o nią.

Chłopcy uklękli przy ojcu i dołączyli do modlitwy. Ona sama zaczęła zbierać brudy z podłogi.

Przez kolejnych kilka godzin modlili się przy Zosze wszyscy, także synowie Broni i Antoniego. Zocha od czasu do czasu w przeblysku przytomności dołączała do modlitw, szepcząc pojedyncze słowa, ale nie

miała siły nawet na to, żeby się przeżegnać. Wieczorem Antoni z chłopcami poszli do siebie. Bronka została, żeby zbijać gorączkę i robić zastrzyki z morfiny. Nad ranem gorączka się utrzymywała, okłady nie pomagały, a chinina wylewała się chorej z ust, bo już nic nie łykała. Bronka podała resztkę morfiny.

– Idź po księdza – poprosiła Tadek.

– Może najpierw po doktora pojedę? – spytał z nadzieją w głosie. – Może jeszcze nie czas?

– Idź, niech odpuści jej grzechy – poprosiła cicho.

– Może jeszcze nie czas? – powtórzył.

– Czas – powiedziała Bronka. – Pospiesz się.

Tadek zamiast wyjść, ukląkł tym razem przed Bronką, jakby była co najmniej księdzem.

– Jakże to tak? – spytał. – Czemu Pan Bóg nam ją odbiera?

Bronka położyła rękę na głowie szwagra. Chciała powiedzieć, że gdyby wcześniej po doktora posłali, może by inaczej było, ale wiedziała, że Zocha niedługo odejdzie i to nie czas na wypominanie, żale i pretensje. Co się stało, to się nie odstanie.

– Ja nie wiem, Tadek. Ja nie wiem...

Spojrzała na siostrę, na jej wyostrome rysy, które podobnie jak u matki, zwiastowały śmierć.

– Jedź – poprosiła. – Jej już niewiele czasu zostało.

Zocha zmarła po ostatnim namaszczeniu, jakby czekała na księżą posługę. Była przy niej Bronka i Tadek z synami. Nawet ksiądz został i do ostatniej chwili modlił się z nimi wszystkimi.

– Bóg zabrał naszą siostrę do siebie – powiedział, kiedy cichy oddech zupełnie ustał.



– Nie ma Jasi, nie ma Zochy, nie ma rodziców – powiedziała Bronka, kiedy wróciła do domu.



Usiadła ciężko na stołku i dopiero teraz dała upust całemu swemu żalowi, całej samotności, którą nagle odczuła, chociaż w jej domu przecież byli Antoni i ich czterej synowie.

– To nie twoja wina, Bronka – powiedział cicho Antoni, a ona aż się wzdrygnęła.

– Moja, bo ja mogłam po doktora pójść, nie Tadka słuchać.

Objął ją za ramiona.

– Cicho, cicho... – powtarzał.

– Teraz mam tylko ciebie – powiedziała do Antoniego, a on zrozumiał, co miała na myśli, przyjął to wyznanie i jeszcze mocniej przycisnął ją do piersi.

– Jestem przy tobie – odpowiedział.

Bronce nagle przypomniał się dzień ślubu, kiedy dławił ją strach, czy aby ten Antoni Winny będzie dobrym mężem. Jasia i Zocha miały dobrych mężów, pracowitych, bogobojnych i co ważniejsze, miejscowych. Wszystko o nich było wiadomo. A Antoni wziął się nie wiadomo skąd, goły jak palec, tylko w gębie mocny, bo od razu zaczął się chwalić, że jest dobrym zdunem i nigdy jej chleba nie zabraknie. Prawdą było, że przez jego picie nie raz płakała, ale w Brwinowie byli gorsi od niego. Taki Czeladek na przykład. Pił i żonę bił, o parę groszy na wódkę żebrał. Albo Poronek. Dzieci głodne chodziły i obdarte, a on w karczmie siedział albo przy drodze na Figusin i tam świętek piątek pił bimber, którego nie zdołał przehandlować. Gdy lata temu Zocha jej wykrzyczała w twarz, że ma męża pijaka i dzieci chodzą bose, Antoni się opamiętał. Co rok w czasie adwentu w kościele ślubował, że ani kropli do ust nie weźmie aż do Narodzenia Pańskiego. Słowa dotrzymywał przez jakiś czas. A potem, cóż... Piec kończył, cieszył się, że jest robota i do kieliszka zaglądał. Można było to znieść. Grunt, żeby przed ludźmi wstydu nie było. Nigdy na nią palca nie zakrzywił. Czasem pas zdejmował, jak któryś z chłopaków nie chciał się uczyć albo pyskował, ale dobry był z niego ojciec.

Nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy to, co opisane w książkach, może zdarzyć się naprawdę. Przecież żadna z bohaterek, o których czytała,

nie istniała. Były tylko na kartach powieści, tam kochały i nienawidziły, rodziły dzieci i umierały. Przecież nie naprawdę. A Antoni był koło niej, żywy, prawdziwy i najbliższy na świecie.

– A jeśli i ja umrę? – spytała go.

– Nie umrzesz – powiedział z mocą. – Już dość nieszczęścia.

Wzięła jego rękę i położyła na swojej piersi.

– Antoni... – zaczęła, ale nie powiedziała już nic więcej, bo do izby weszli ich synowie, którzy już usłyszeli złą nowinę.

– Ciocia w niebie? – spytał Kajtek.

Bronia pokiwała głową.

– W niebie, synku, w niebie...

– A czemu ciocia umarła? – spytał z kolei Władek.

– Już mówiłam – odpowiedziała mu Bronka. – Ciocia w nogę się zraniła i wdało się zakażenie.

– Ja nie raz się w nogę zraniłem i żyję – burknął Roman.

Bronka spojrzała na dzieci z niepokojem.

– Właśnie – powiedziała dobitnie. – Jak się który zrani, to trzeba ranę oczyścić. Nie może być w niej ziemi ani tym bardziej gnojówki. Słyszycie mnie? Romek, słyszysz?

– Słyszę – odpowiedział Roman, zdumiony, że matka się przy tym upiera.

Nigdy nie przejmował się skaleczeniami. A ze dwa lata temu spadł z brzozy i złamał rękę. Nawet nie zapłakał. Matka go chciała do doktora prowadzić, ale on wzruszył tylko ramionami. Ojciec go obejrzał, powiedział, że nie ma przemieszczenia, rękę unieruchomił, a po tygodniu on sam deszczułkę i bandaż zdjął, bo dzieciaki się z niego śmiały.

– Obiecuj mi, słyszysz? – powtórzyła Bronka.

Roman pokiwał głową.

– I wy też – Bronka wycelowała palec kolejno we Władka, Kajtka i małego Stefka, który ledwie mówił i w oborze przecież jeszcze nie

pracował ani tym bardziej na polu.

– Bronka... – poczuła rękę męża na swoim ramieniu. – Nie bój się, Bronka... Nam jeszcze nie czas odchodzić. Ani tobie. Cicho, Bronka...

Odwróciła się do Antoniego i przytuliła mocno.



Tadek przyszedł do nich któregoś dnia. I choć to był pierwszy słoneczny dzień owej wiosny, szwagier był jakiś taki uroczysty, że Bronka od razu uznała, że to, co powie, na pewno się jej nie spodoba. Pewnie babę ma, pomyślała i serce się jej ścisnęło.

– Do Ameryki jadę – oznajmił.

Bronka aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Gdzie? – spytała, sądząc, że się przesłyszała.

– Za ocean, do Ameryki – powtórzył. – Daj wódkę, Antoni.

Antoni stał jak słup i po wódkę nie sięgał, tylko oczy wytrzeszczał na Tadeka. Na twarzy miał wypisane, że nie wie, czy się śmiać, czy szwagrowi odradzać, czy może zachęcać do wyjazdu.

– Kiedy? – Bronka wciąż nie mogła otrząsnąć się po tej nowinie, ale postanowiła wywiedzieć się, czy to konkretne plany, czy tylko takie gadanie. – Kiedy jedziesz?

– Kiedy spieniężę majątek, żeby mieć pieniądze na podróż i tam na początek.

– Czyli już postanowiłeś? – spytał Antoni i wyciągnął wódkę z kredensu.

– Owszem. I wiem, co robię.

– Ty nic o Ameryce nie wiesz, to jak możesz być pewien? – powiedziała Bronka, usiadła i sama sobie naląła wódki, co nigdy dotąd jej się nie zdarzyło. Wypiła i skrzywiła się, ale w głowie wcale się jej nie rozjaśniło.

– Pewien jestem, że wyjeżdżam. I że do Ameryki – stwierdził Tadek. – Tam potrzebują ludzi do pracy w fabrykach.

Wszystkich wyjaśnień Tadek udzielał spokojnym głosem, jakby opowiadał o tym, ile ma ziarna na zasiew czy że kury słabo niosą. Antoni

połał wódki całej trójce, ale Bronka pokręciła głową i odsunęła kieliszek.

– Dokąd wujek jedzie? – spytał Roman, który stał w progu pokoju i patrzył z powagą na Tadeka.

– Do Ameryki – powtórzył z dumą Tadek. – Tam jest kraj wielkich możliwości. Nawet złoto tam można znaleźć.

– Złoto? – Roman wytrzeszczył oczy. – Gdzie?

– Na ulicy przecież nie leży. Daj spokój, Roman – powiedziała Bronka.

– Na zachodzie jest – stwierdził Tadek. – Ale ja chcę do Chicago jechać. Tam mają fabryki. Dużo naszych tam robi.

– Jak dużo? – zainteresował się Antoni.

– Mówią, że milion – wyjaśnił Tadek.

– A kiedy wrócisz? – spytała jeszcze Bronka, chociaż domyślała się odpowiedzi.

Tadek wypił kolejny kieliszek.

– Raczej tam się urządzimy – stwierdził i dodał: – chłopaków biorę ze sobą.

– Nie rób tego! – krzyknęła nagle tak głośno, że Antoniemu drgnęła ręka i trochę wódki wylało się na stół. Gniewnie starła plamę fartuchem.

– Bronka... – powiedział Tadek. – Przecie ja mam prawo...

Nagle jego pewność siebie ulotniła się, a przy stole siedział przerażająco smutny wdowiec.

– Tadek, jeśli pojedziesz, to ty nigdy nie wrócisz. – Bronka chwyciła go za rękę. – My już was nigdy nie zobaczymy! Już nigdy!

Zerknęła na Antoniego.

– Powiedz mu coś, Antoni! – zażądała.

Myślała, że mąż bezradnie rozłoży ręce, ale myliła się. Antoni odsunął wódkę na bok.

– Ja wiem, że tobie ciężko... – zaczął, a kiedy Tadek chciał mu przerwać, poprosił: – Daj powiedzieć!

Tadek kiwnął głową, a Antoni wziął Bronię za rękę i kontynuował, ważąc każde słowo:

– Nawet sobie nie wyobrażam, że mógłbym Bronkę stracić. I nie chcę mówić, że wiem, co czujesz. Nikt nie wie. Tylko ty sam. Ale zastanów się. Zastanów się, czy dobrze robisz.

Tadeusz wypił kolejny kieliszek i skrzywił się.

– Nie mogę tu zostać – powiedział. – Nie mogę. Jeśli tu zostanę, to znienawidzę dom, ziemię i wszystko dokoła.

– To jedź do Warszawy, Grodziska... Tam praca dla kolejarza – przekonywał Antoni. – Nie do Ameryki.

– Im dalej pojedę, tym lepiej dla wszystkich – Tadek nie dawał za wygraną.

– Co na to chłopaki? – spytał nagle Roman.

– Wszyscy chcą jechać – odpowiedział szybko Tadek, ale zaraz zawahał się i dodał: – Prócz Henia, ale on młody, przyzwyczai się.

– Nie zmuszaj go, skoro nie chce.

– Przecież go tu nie zostawię – zachnął się Tadek. – Dom muszę sprzedać, a on co? Dzieciak sam będzie? Albo z wami?

– Pewnie, że z nami – odpowiedział Antoni.

– Nie – rzucił Tadek.

– Może z nim pogadam? – spytał znów Roman, ale Antoni wyraźnie zły, że Roman się wtrąca, kazał mu wyjść i pilnować swego, kiedy starsi rozmawiają.

– Dla nas lepiej, mówię – powtórzył Tadek, ale jakoś tak niepewnie. – Tam nowe możliwości, tu stara bieda. I Ruscy.

– Dla nas nie lepiej – wtrąciła cicho Bronka.

Tadek sięgnął po kolejną butelkę, ale Bronka uprzedziła jego ruch i zagarnęła wódkę. Potem wzięła kieliszek Antoniego, naląła sobie i wychyliła na raz. Alkohol był mocny. Druga wódka to było dla niej aż nadto. Tylko patrzeć, jak zacznie ją głowa boleć.

– Jeśli wyjedziecie, to nigdy nie wróćcie – powiedziała raz jeszcze. – I ty dobrze o tym wiesz.

Tadek wstał.

– Pojedziemy! – powiedział twardo. – Wam nic do tego. Tylko uprzedzić chciałem, że będę ziemię sprzedawał.

Kiedy wyszedł, Bronka długo klęczała i odmawiała modlitwy. Nie w intencji, aby szwagrowi się odmieniło, ale o najlepszą decyzję dla ich rodziny. Tymczasem Antoni uznał, że nie będzie się modlił, tylko pójdzie do Tadka i u niego w domu, z dala od płaczu Bronki, przemówi szwagrowi do rozumu. Napijemy się, pogadamy, dumał po drodze, chociaż ledwo szedł, bo już w domu sporo wypili. Już miał wejść do środka, kiedy za drzwiami dosłyszał znajomy głos.

– Niech mnie wuj weźmie ze sobą – prosił Roman.

– Zdurniałeś całkiem – odpowiedział Tadek.

Coś upadło na podłogę.

– Ja mogę robić wszystko – Antoni niemalże widział błagalną twarz syna i zacisnął dłonie w pięści.

– Idź, dzieciaku, do domu! – zagrzmiał Tadek. – Do rodziny!

– Nie chcę! – wrzasnął Roman. – Nie chcę tu być!

Antoni chciał się wycofać i wrócić do chałupy, ale nie mógł się ruszyć, nogi jakby mu wrosły w ziemię. Tymczasem Roman wrzeszczał wielkim głosem:

– Nienawidzę ich!

– Nie wiesz, co mówisz – głos Tadka drżał.

Coś znów stuknęło, jakby Roman padł na kolana.

– Zrobię wszystko, ja... – dosłyszał Antoni.

– Nie mogę cię wziąć, rozumiesz? – krzyknął Tadek. – Nie mogę! I nie chcę! Wynocha!

Przez chwilę panowała cisza, potem drzwi gwałtownie otworzyły się i wybiegł przez nie Roman. Kiedy zobaczył Antoniego, jego zapłakaną

twarz wykrzywiła wściekłość. Staął jak wryty.

– Roman... – wykrztusił Antoni.

Syn odwrócił się gwałtownie i pobiegł drogą w przeciwną stronę niż ich dom. Antoni oparł się o ścianę. Było mu duszno i serce waliło niczym młot.



Bronka siedziała i patrzyła na opadające liście z drzew.

– Wszystko mija – powiedziała do Antoniego. – Wszystko mija.

– Takie życie – westchnął.

– A jakie życie oni tam będą mieli? – spytała.

Antoni nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Tamtego wieczoru nie rozmawiał z Tadkiem. Wrócił do domu i zaczekał na Romana. A kiedy syn wrócił, złapał go za ramię i zaciągnął do stodoły, bo nie chciał w domu przy Bronce mówić, co usłyszał za Tadka drzwiami. Roman spojrzął na ojca hardym wzrokiem.

– Co? Bił mnie ojciec będzie? Proszę bardzo!

– Nie będę cię bił – odpowiedział mu. – Zapytam tylko: dlaczego?

– Co dlaczego? – Roman się zjeżył. – Co dlaczego? Dlaczego chcę jechać do Ameryki?

– Tak – przytaknął Antoni. – O to cię pytam. Czemu chcesz jechać do Ameryki?

Chłopak splunął.

– Byle dalej stąd – powiedział.

– Dlaczego? – nie ustępował Antoni.

– Co dlaczego?! – wrzasnął Roman. – A jakie ja życie z wami mam? Robić jak wół, żreć jak świnia, warować tu jak pies!

– Urodziłeś się na wsi. Tu jest takie życie – odpowiedział Antoni z zadziwiającym spokojem w głosie. – Takie tu jest życie, synu.

– Nawet Polski nie ma – burknął Roman.

– A to ty z miłości do ojczyzny chcesz wyjechać? – W głosie Antoniego zabrzmiała kpina. – I co tam zrobisz? Legiony stworzysz?

Roman uderzył się pięścią w pierś.

– Może i stworzę – powiedział. – Wy wszyscy myślicie, że będę robił w polu jak wiejski głupek, a może ja do wielkich rzeczy jestem stworzony? Co? Do wielkich może jestem stworzony?

Antoni przyjrzał się pierworodnemu. Roman był wyrośnięty jak na swój wiek, chudy, ale żyłasty niczym chłop. Jakby kto go nie znał, a tylko popatrzył, toby powiedział, że jest stworzony do pracy na roli.

– I myślisz, że te wielkie rzeczy w Ameryce znajdziesz? Wiesz, co tam będziesz robił? Wiesz? – pytał Antoni.

– To co wuj! – zaperzył się Roman. – To samo!

– Aaaa – Antoni cmoknął kilka razy. – To co wuj... Czyli jak za kilka miesięcy, kiedy do tej Ameryki dotrzecie, to powitają was niczym królów i zaraz do pałacu zaproszą, co?

Roman uciekł spojrzeniem.

– W fabryce będę pracował – nie ustępował.

– I będziesz robił dla kapitalisty tak? Lepszy niż zaborca?

– Właśnie że lepszy!

Antoni pokręcił z niedowierzaniem głową. Może lepiej byłoby stłuc syna, żeby mu się raz na zawsze odechciało tak mówić do ojca, ale Antoni uznał, że bicie nie sprawi, że Roman zacznie go szanować. W uszach dźwięczały mu słowa o nienawiści. Spróbował jeszcze raz. Po dobroci.

– Mówiłeś, że nas nienawidzisz. Czemu, Roman?

Syn odwrócił głowę. Nabrał głęboko powietrza i zaraz je wypuścił. Znów stali w milczeniu, niczym dwa słupy albo zapaśnicy, którzy szykują się do walki. Antoni nic nie mówił. Czekał, aż Roman się odezwie.

– A co ja cię obchodzę, ojciec? – Usłyszał w końcu. – Co się obchodzi, co ja myślę?

– Obchodzi – stwierdził Antoni.



Roman roześmiał się szyderczo.

– No to posłuchaj, skoro cię to tak obchodzi – skrzywił się. – Robisz piece u obcych, a w chałupie porządnego nie ma. Moczymorda z ciebie. Matka tylko płacze i się modli. Znowu do obcych chodzi, żeby dorobić, bo więcej gąb do wyżywienia. Nie skarży się, bo myśli pewnie, że Bóg ją doświadcza takim mężem i takim synem. Władzio dobry, Kajtuś mały, ale zaraz dorośnie i w pole pójdzie. Stefanek tylko je i sra. Co to za życie?

Mierzyli się chwilę wzrokiem. Antoni uniósł pięść. Roman znów się roześmiał.

– No, uderz mnie!

Antoni opuścił pięść.

– Twoje miejsce jest tutaj – powiedział w końcu. – Czy tego chcesz, czy nie.



W ciągu najbliższych miesięcy mówili głównie o Tadku i jego synach. Zastanawiali się, czy udało im się przedostać do Ameryki. Bronka modliła się o to w kościele i przed Najświętszą Panienką w domu, aż Antoni zaczął się złościć, że przecież nie chciała, żeby jechali, a teraz modły wznosi, żeby ocean szczęśliwie przepłynęli.

– Skoro już pojechali, to chciałabym wierzyć, że szczęśliwie dotarli, znaleźli pracę.

– Na pewno dotarli i znaleźli pracę – pocieszał ją Antoni.

Bronka wzdychała i wracała do modlitw, bo tylko one ją uspokajały. Chciała coś poczytać na temat Ameryki, ale ksiądz proboszcz nie miał żadnej książki o tym wielkim kraju za oceanem, a do Mackiewicza wstydziła się iść i prosić o książkę.

– Skąd wiesz, że tam jest praca? – pytała. – Dziesięć lat temu była wielka wojna. Mówiłam ci. I u proboszcza w gazetach czytałam, że oni teraz kraj odbudowują po zniszczeniach.

– Ja też czytałem – przerwał jej Antoni – że ludzi do pracy potrzebują w fabrykach i przemysł kwitnie. To dlatego właśnie Tadek Amerykę wybrał. I tylu tam naszych. Ponoć z milion.

– Trzy miliony – poprawiła Bronka i zaraz dodała: – Potrzebują do pracy, pewnie. Tylko że w tych fabrykach to gorzej jak u nas pańszczyzna. Pracują od rana do nocy za głodowe stawki, aż nie padną. Nie wiem, co Tadek wyczytał i gdzie wyczytał, ale tam dopiero kolejne pokolenie może się czegoś dochrapać. Może dzieci Tadka albo nawet ich dzieci.

Umilkła, bo Stefek zaczął gadać przez sen. Najmłodszy syn często się budził w nocy z powodu jakichś strachów, potem długo nie mógł zasnąć. Bronka spojrzała na Antoniego i położyła palec na wargach.

– I złoto... – dodał cicho Antoni i wspomniał, jaki dreszcz go przeszedł, kiedy Tadek o tym wspomniał. Sam nigdy nie widział na oczy niczego złotego. Pierścioneł, który dał Bronce po swojej matce, był niby pozłacany, ale Antoni w to nie wierzył. Postanowił, że kiedyś, kiedy będą mieli trochę więcej pieniędzy, pojedzie do Warszawy i kupi jej broszkę albo złoty krzyżyk na łańcuszku i w ten sposób zrekompensuje tę nędzną obrączkę, którą założył jej na palec w dniu ślubu.

– Złoto? – Bronka odłożyła zacerowaną skarpetę i cisnęła mężowi ciężkie spojrzenie.

– Ano złoto – potwierdził.

– Antoni – powiedziała groźnym szeptem, który nieuchronnie zwiastował awanturę, więc lekko się przestraszył, bo Bronka złościła się bardzo rzadko, tylko wtedy, kiedy niepomny przysięg zbył dużo wypił. – Antoni – powtórzyła. – Złoto? Ja czytałam o tym złocie! Oni to złoto mają na Dzikim Zachodzie! Dzikim, słyszysz? Tam jest pełno Indian, którzy zabijają białych. Poza tym Tadek z chłopakami jadą do Chicago, a tam nie ma ani Indian, ani złota!

Antoni po raz kolejny się zadziwił, że jego żona tak wiele wie. Wprawdzie Tadek mówił coś i o fabryce, i złocie, ale może Antoni źle zrozumiał i chodziło o obróbkę tego złota, co to go wyrwą Indianom, czy jak im tam.

– A ten Wichniak to wygląda na swojego chłopca – zmienił temat.

Mowa była o nowym sąsiedzie, tym, który kupił część ziemi od Tadka i dom, w którym mieszkali z Zochą. Winnym udało się tylko część ziemi nabyć. Schowanych na czarną godzinę pieniędzy, w tym znaleźnego od pana Mackiewicza, nie starczyło na wiele i trzeba było sporo ziemi pod zasiew między ludzi puścić.

– Po naszym chodzi – mruknęła niezadowolona Bronka, ale przynajmniej zapomniała o gorączce złota, a Stefek się uspokoił i na powrót zasnął, posapując od czasu do czasu.

– Kupił od Tadka to znaczy, że już po swoim chodzi – upomniał ją Antoni.

– Oj, wiesz, o czym mówię. Gdy widzę, jak jego żona z chaty wybiega, pranie rozwiesza, to mnie coś aż skręca – zdenerwowała się na nowo i dała znak mężowi, żeby rozmowę dokończyli na zewnątrz.

Bronce najbardziej żał było domu, który teraz obcy ludzie wypełnili gwarem. Oni sami mogli sobie pozwolić jedynie na dom po Jasi, który był mniejszy niż Tadcowy, i chatę rodziców, która się chyliła ku ziemi. Bronka nigdy nie przeboleła tej straty.

– A mnie tam się podoba, że puste nie stoi. – Antoni wzruszył ramionami.

Bronka usiadła na ławeczce przed chatą tak gwałtownie, że aż zatrzeszczało.

– Ja wiem, co się tobie podoba, Antoni – stwierdziła z sarkazmem w głosie. – Wichniakowa ci się podoba, Antoni, ot co.

W Antoniego jakby grom z jasnego nieba strzelił. Miał jedynie nadzieję, że nie zrobił się czerwony, bo istotnie, kiedy myślał o nowych właścicielach domu, to przed oczami stawała mu młoda gospodyni, która miała dwa czarne jak smoła warkocze i szeroki uśmiech, którym hojnie wszystkich obdarzała, także Antoniego.

– Co ty mówisz! – wrzasnął, aż kilka ptaków zerwało się z gałęzi. – To nie po chrześcijańsku!

Bronka się nie przejęła jego krzykiem.

– To aż tak ci się podoba, że zaraz chrześcijaństwo i dziesięć przykazań bożych na myśl ci przyszły?

Antoni uciekł wzrokiem.

– Bronka! – Uderzył się w pierś. – No co ty?

Bronka nie ustępowała, tylko świdrowała Antoniego wzrokiem.

– Sam mówiłeś, że to takie... inne, kiedy baba śpiewa – powiedziała wolno.

– Ja wiem, że wy śpiewacie przy darciu pierza czy innej babskiej pracy, ale jak razem jesteście, jak tego... – plątał się Antoni.

Bronka uśmiechnęła się krzywo. Kiedy jeszcze stanowili szczęśliwą wielką rodzinę, zawsze matka intonowała przy wspólnej robocie jakąś pieśń. Bronka to uwielbiała. Potem, gdy spotykały się z sąsiadkami, żeby kapustę szatkować czy ogórki kisić albo pierze drzeć, też starsze baby śpiewały. Nigdy jednak nie słyszała, żeby sama jedna kobieta wyśpiewywała od rana do wieczora i co ważniejsze, nigdy jej pieśni nie zabrakło.

– Pięknie śpiewa – bąknął Antoni. – Co w tym złego, że lżej się na sercu robi.

Antoni uspokoił się nieco. Faktycznie, od czasu kiedy się sąsiedzi wprowadzili, za płotem słychać było niemalże nieustanny śpiew. Choć dziewczyna była ładna, to najbardziej niezwykle w niej było właśnie to, że śpiewała. Przy rozwieszaniu prania, przy karmieniu kur, podczas pracy w polu, a nawet jak szła drogą do domu, podśpiewywała sobie. I to jak ładnie. Ludzie się zatrzymywali, żeby posłuchać. Sam nawet raz jeden powiedział jej, że ładnie, a wtedy ona się roześmiała. Zęby miała białe jak twarożek. I patrzyła na niego zupełnie nie jak mężatka, co się Antoniemu podobało. Choć żadne baby go nie kusily, bo jego była piękna, rodna i pracowita, to przecież nawet Pan Bóg nie zabronił patrzeć. Brać cudze zakazał, ale patrzeć i słuchać pozwolił.

– Mówiłem, bo prawda. Ja nie słyszałem, żeby ktoś tu śpiewał – tłumaczył się Antoni. – Ale to nie znaczy, że ja cudzej żony... Co to to nie.

Bronka się roześmiała.

– Ona za młoda dla ciebie – skwitowała. – No i ten jej chłop jak drwał wielki. Przewróciłby cię jednym palcem.

– Bronka! – Antoni pogroził żonie pięścią, ale ona nic sobie z tego nie robiła, tylko dalej spokojnie siedziała i wpatrywała się w noc.

– No co, Antoni, co? – Wydęła wargi, a jego bardzo to rozczuliło, bo tak robiła, kiedy panienką jeszcze była, kiedy nie wiedziała, czy Antoniemu naprawdę na niej zależy, czy podchodzi do niej na zabawie tylko ot tak.

– Ano nic, Bronka – skwitował jej mąż. – Niech sobie śpiewa. Nikomu nie wadzi.

– Pewnie, że nie wadzi – Bronka uśmiechnęła się do niego smutno. – Tylko ona zamiast Zochy jest. Wszyscy się moi zawinęli na tamten świat. Tyle rodziny było. Trzy chałupy... Teraz dwie pochylone stoją, pole puste...

Antoni chciał powiedzieć, że bez Wichniaków jeszcze puściej by było, ale nie chciał żony denerwować. Nie ma co gadać, pomyślał, trzeba pole obrobić, obsiać, do chałup chłopaki z żonami się wprowadzą, najpierw jeden, potem drugi, niby młodzi, ale przyjdzie zaraz ich czas. Teraz Bronka zrozpaczona, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, dumął, aż w końcu oderwała oczy od gwiazd, spojrzała na niego i spytała:

– Co tobie na myśli, Antoni?

– Nic, nic, przecież nic nie mówię – stwierdził i rzucił, że do kurnika musi jeszcze zajrzeć, bo ostatnio lis się pojawił, kury podusił u Radomskich i Janiaków, wprawdzie to po drugiej stronie, ale co to dla takiego lisa.

– Idź, idź, sprawdź, czy lis się nie czai – powiedziała bardziej do siebie niż do Antoniego i wróciła do swoich myśli.

Coś ją męczyło, tylko nie wiedziała co. Do głowy jej nie przyszło, że Antoni mógłby oczy zwrócić ku innej kobiecie. I to nie dlatego, że w kościele przysięgał, tylko nie wydawał się jej takim człowiekiem. A czy ona mogłaby Antoniemu rogi przyprawić? Nie po to właśnie jego wybrała,

żeby go teraz zdradzać. Kiedy przyjechał do Brwinowa, przychodził do niej w konkury Stasiek Mańk. Lubiała go nawet, bo miły był i pracowity. Matka i ojciec jej mówili, że Stasiek dobra partia, jednak i po rodzicach spore gospodarstwo odziedziczy. Wprawdzie Mańkowie nie mieli najlepszej ziemi, w większości łąki i lasy, pól pod zasiew mało, ale przecież można kilka krów kupić, mleko i sery sprzedawać, a ziarno mieć jedynie dla siebie. Gdyby wtedy Antoni nie zjawił się we wsi, kto wie, czy by za Staśką nie poszła. Wszyscy wiedzieli, że Mańk smali cholewki i chciałby na zapowiedzi dawać. Jakie życie by z nim miała? Czy takie jak z Antonim, bo może to wszystko jedno, z kim się życie dzieli, może „wszystkie chłopcy jednakie”, jak mawiała Dawidkowa, która miała trzech mężów. Antoni jednak zjawił się w Brwinowie, a ona Mańka już za nic by nie chciała. Nie raz się zastanawiała, dlaczego tak się między dwojgiem ludzi dzieje, że spojrzą na siebie i zaraz dom, dzieci, noce, dni, płacz i śmiech. Co ona wiedziała o uczuciach? O tej poździe w ciele i myślach pełnych pasji, które wydają się udziałem jedynie bohaterów książkowych? Wtedy nic. Wróciła myślami do panięskich czasów. Przypadkiem się dowiedziała, że Stach zaczął Antoniego, mówiąc, że Bronka jego, a ten dał mu w zęby i powiedział, że dziewczyna nie rzecz, żeby ją sobie przywłaszczając, i że jakby była jego, toby Antoni nic nie wskórał. Stasiek Mańk czekał na nią, jak na mszę szła, i rzucił, że życzy jej szczęścia, bo im nie było widocznie pisane. Wzruszyła się wtedy bardzo, bo rzadko chłopak ze wsi umiał się w takiej sytuacji zachować i z honorem oddać pole rywalowi. Potem nie raz myślała, że może on nie taki szlachetny, tylko zębów nie chciał więcej stracić albo nie była dla niego wiele warta. Bo Mańk szybko ożenił się z Olutką i zaczął jej dzieci robić. Olutka była dobrą żoną, dzieci Winnych i Mańków razem do szkoły chodzą, kłaniali się sobie na mszy, więc wszystko wydawało się dobrze urządzone. Wprawdzie jedna z dziewczynek, Jasia, wlaźła na dach, spadła na głowę i potem już nie mogła do szkoły chodzić, ale takie rzeczy się zdarzały. Nic to nie miało wspólnego z Bronią i Antonim. I tylko wiele lat później, zaraz po wojnie, wszystkie dzieci Mańka po kolei wymierały na hiszpańską gripę, aż została tylko głupia Jasia, a wtedy Olutka sznur wzięła i powiesiła się w stodole,

a Stasiek zwariował. Ale tego, dumając teraz nad kwestią dobierania się w pary, Bronka nie wiedziała.

– Lisa nie ma. U Wichniaków cicho. Przyjdzie się przyzwyczaić, że sąsiedzi obcy – Antoni przerwał jej wspomnienia.

– Cicho, bo śpią, a ja się nie przyzwyczaję – burknęła, chociaż to była nieprawda, bo wspomnienie Jasi zatarło się niemal natychmiast, potem obraz matki i ojca uleciał gdzieś daleko. Wreszcie Zocha wyblakła w pamięci niczym płótno, które ktoś zbyt długo trzymał na słońcu. I chociaż Bronka zawsze wspominała o bliskich w modlitwach i ich twarze nosiła w sercu, to już przestała po nich płakać. Nie lubiła jednak, jak Antoni dolewał oliwy do ognia.

– Jak Zocha żyła, to ty, Bronka, nie chciałaś ziemi po rodzicach. Nie trzeba być chciwym, właśnie rodzinne to grzech. Niech oni sobie uprawiają, bo ty zdun. Tak mówiłaś, Bronka – przypomniał jej.

Bronka nie oponowała.

– Słusznie mówisz – zgodziła się. – Jak żyła Zocha, to ja nie chciałam im zabierać. Tadek z chłopcami uprawiał. O chałupę po Jasi dbał. A myśmy z tą po rodzicach co zrobili? Zmarnowali!

Już chciał coś ostro żonie odpowiedzieć, ale Roman stanął w progu domu. Antoni dostrzegł ironiczny uśmiech na twarzy syna i nic już nie powiedział. Bronka przecież miała rację.

– A ty dokąd w nocy? – spytała.

Chłopak wskazał domek z serduszką.

– Chatę doprowadzę do porządku – obiecał Antoni, przypomniawszy sobie słowa syna. – Nowy piec zrobię. A jak się Roman ożeni, to będzie miał gdzie mieszkać.

– O czyjej żeniaczce mowa? – spytał Roman i nie czekawszy na odpowiedź, ruszył do wychodka.

– O twojej – rzuciła za nim Bronka i wstali z Antonim, żeby wrócić do łóżka.

– Żenić się nie zamierzam – burknął chłopak następnego dnia przy obiedzie.

Antoni się roześmiał, a Bronka przewróciła oczami.

– Teraz nie, bo młody jeszcze jesteś, ale przyjdzie i na ciebie kolej.

Roman spojrział na Antoniego i wziął sobie chleba i łyżkę do ręki. Strasznie był głodny.

– Czekaj – upomniała go matka. – Wszyscy siądziemy i modlitwę zmówimy.

Roman już chciał uprzeć się, że będzie jadł, kiedy chce, ale stwierdził, że z matką nie warto zaczynać. Odłożył łyżkę na bok i poczekał, aż Kajtek, Władek i Stefek usiądą przy stole. Po rozczarowaniu, które przeżył, kiedy go wuj wyśmiał i nie chciał zabrać ze sobą za ocean, miał w sobie jeszcze więcej złości niż zwykle. Nawet praca w tartaku nie pomagała. Roman zgłosił się do roboty, chociaż matka utyskiwała, że lepiej by było, gdyby jakiegoś rzemiosła się wyuczył. On jednak wolał pracować i żyć po swojemu, tak miał, odkąd pamiętał. Teraz machał siekierą, jakby chciał nie tylko drzewo powalić, ale też odpłacić mu za zawód, którego doznał. Po co by ci było tam jechać, mówił do siebie podczas bezsennych nocy. Tu matka z jedzeniem, ojciec, jaki jest, taki jest, ale przecież traktował go niemal jak dorosłego i matce o tamtym zdarzeniu nic nie powiedział. Romek nabrał wtedy do niego czegoś na kształt niechętnego szacunku. Już go tak bardzo nie nienawidził. Czuł tylko złość i czasem dopuszczał do siebie myśl, że być może ojciec ma rację. Jemu pewnie pisane życie na wsi, na roli, jeśli pójdzie na swoje, albo w tartaku, jeśli się nie ożeni, a rodzice nie dadzą mu części ziemi. Potem znów myślał, że jednak nie, że wystarczy trochę pieniędzy zgromadzić, samemu ruszyć do Ameryki albo jeszcze lepiej do Kanady. Mówili mu, że tam same lasy i do końca życia miałby robotę przy wyrębie.

– ...i Ducha Świętego, amen – dokończył modlitwę z rodziną i zaczął jeść.

– Czternasty rok idzie mi dopiero – burknął po dokładce. – Mama to by chciała, żebym się wyniósł?



Bronka uśmiechnęła się do niego.

– Za młody jesteś – powtórzyła. – Ale oboje z ojcem uważamy, że chata Jasi tobie się należy.

– A mnie po starszeństwie po babci i dziadku? – spytał Władek i uśmiechnął się promiennie.

Bronka pokiwała głową.

– A tobie po starszeństwie po babci i dziadku – potwierdziła.

– A nam co? – spytał Kajtek i miał przy tym taką minę, że Bronka musiała się roześmiać.

– A ty ile lat masz, smarku, co? – śmiał się i Antoni.

– Dziewięć – Kajtuś popatrzył hardo. – I ja się ożenię. A jak Roman nie chce, to wezmę chatę po ciotce.

Bronka śmiała się serdecznie po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczęli odchodzić jej bliscy. Tego śmiechu było dużo i nawet Roman się uśmiechnął, najpierw krzywo, potem trochę szerzej, aż wreszcie i on się śmiał z ojcem i braćmi. Bronka pomyślała, że to harde, niedobre dziecko jeszcze się odmieni.

Tadek nigdy nie napisał. Prawie dwie dekady od ich wyjazdu przyszedł nieoczekiwanie list od niejakiego Witolda Seta, który w pełnym błędów piśmie informował Bronkę, jedyną krewną Tadeusza, Karola, Gustawa i Henryka Nabelaków, o tym, że wszyscy zginęli w pożarze teatru w Chicago 30 grudnia 1903 roku. Pan Set donosił niepotrzebnie, że pożar zaczął się podczas drugiego aktu komedii muzycznej *Sinobrody*, a przyczyną pożaru była iskra z lamp łukowych znajdujących się na scenie. Dodał także, że wraz ze szwagrem i siostrzeńcami Bronki zginęło sześćset osób i pytał, czy Bronka słyszała o tym strasznym nieszczęściu. Bronka naturalnie nie słyszała o niczym takim, bo niby skąd. Nie mogła też panu Setowi odpisać, bo adres na kopercie był całkiem zamazany. Co zresztą miałyby napisać temu człowiekowi? O majątek pytać, o to, czy ktoś groby odwiedza? Tamtego dnia, kiedy wszyscy w Brwinowie jej zazdrościli, bo pierwszy list zza oceanu we wsi dostała, było jej czarno na duszy. Żeby nie

pogrążyć się w nieszczęściu, postanowiła, że zapomni o tym, że miała dwie siostry, a one miały swoje rodziny. Nawet na cmentarzu nie zrobili symbolicznej mogiły, bo nikt by ziemi nie przywiózł z Ameryki. Tak było lepiej. Dali na mszę z Antonim, za duszę Tadka i chłopców, na zapomnianych grobach palili w Zaduszki świece. Jedyne Romek wspominał czasem Karlika, swojego ulubionego kuzyna, ale i on w końcu przestał. Kiedyś Antoni spytał go, czy dalej mu żal, że do Ameryki wtedy nie pojechał. Sądził, że Romek przyzna mu rację, powie, że Bóg strzegł, i jeszcze mu podziękuję, ale Roman roześmiał się tylko i rzucił:

– Teraz jeszcze bardziej mi żal.



– Antoni! – Bronka weszła do obory, gdzie jej mąż przewracał siano.

– Co tam? – spytał.

Nie przerwał przy tym pracy, bo jeszcze miał dużo do zrobienia, a jakoś tego dnia mu dobrze szło i pomyślał sobie, że jak tu wcześniej skończy, to jeszcze do chaty Jasi zajdzie i wymieni dwie spróchniałe deski w podłodze.

– Ja znów zaciężyłam, Antoni – powiedziała Bronka.

Antoniemu mało widły nie wypadły z ręki.

– Ale jak? – spytał.

Bronka skrzyżowała ręce na piersiach.

– Chyba nie pytasz mnie, jak się dzieci robi, co?

Antoni nie o to pytał, bo doskonale wiedział jak i co, tylko że nie przypuszczał, że po Stefku coś jeszcze może im się przytrafić. Chociaż właściwie czemu nie, zastanowił się. Przecież ja swoje robię, a ona też chętna, dlatego kolejne w drodze.

– No to Pan Bóg nas pobłogosławił – Antoni oparł się na widłach i zaczął dumać, gdzie piąty dzieciak się zmieści.

– Jak my ich wszystkich wykarmimy? – martwiła się Bronka.

– Co ty mówisz, kobieto? – zdenerwował się Antoni. – Ziemię mamy, zboże, zwierzęta. Powóz kupiliśmy zeszłej jesieni. Ludzie mają nas za

bogaty.

Bronka zastanowiła się. Antoni miał rację. Całkiem dobrze im się powodziło. Tylko czy ona w tym wieku da radę jeszcze jednego niańczyć? I kto jej pomoże? Romek niechętny, pewnie na Władka i Kajtka będzie musiała liczyć, Stefek ledwie od ziemi odrósł.

– Bronka! – Antoni ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy. – Pan Bóg nas pobłogosławił...

– Pobłogosławił... – westchnęła Bronka.

Nie żeby była niewdzięczna albo się nie cieszyła, ale po czterech chłopakach miała znacznie mniej siły. Poza tym wróciła do pracy i gotowała u pana Jaśkiewicza z Żółwina, który miał piękną bibliotekę i miłą żonę, Krystynę. Pani Jaśkiewiczowa po pierwszym zdumieniu, że służąca umie w ogóle czytać i na dodatek pyta, czy książki mogłaby pożyczyć, chciała wiedzieć, co by Bronka najchętniej poczytała. Bronka wahała się chwilę, a potem powiedziała, że o życiu w Ameryce najchętniej, bo lata temu szwagier tam pojechał z synami i już nie wrócił. Pani Krystyna pożyczyła jej *Chatę wuja Toma*. I to było, można powiedzieć, jak kulą w płot. Bynajmniej nie uspokoiło Bronki, kiedy przeczytała o tym, jak się tam Murzynów traktuje, gorzej niż zwierzęta, a nawet można takiego zatłuc na śmierć. Bronka wprawdzie z księżycy nie spadła i coś niecoś wiedziała o tym, jak na pańszczyźnie się pracuje, że można było z głodu paść albo pod pańskim batem, ale nie przypuszczała, że w kraju, w którym ludzie szukali wolności, takie rzeczy miały miejsce. Po tej lekturze płakała bardzo i wyobrażała sobie, jak Tadek, chociaż nie miał czarnej skóry, też pracuje niczym niewolnik. Wreszcie pan Jaśkiewicz, poproszony przez żonę o pomoc w wyjaśnieniu sytuacji niewolników za oceanem, wytłumaczył Bronce, że to tylko książka i że po wojnie secesyjnej uwolniono wszystkich Murzynów i już nikt nikogo nie zabija. Wiedział wprawdzie, że to nie jest takie proste, ale nie chciał wdawać się w polityczne dywagacje ze służącą. W skrytości ducha był pełen podziwu dla tej kobiety, która stanowiła dla niego zagadkę. W jego domu gotowała, swoje miejsce w szeregu znała,

a jednak wyrażała się pięknie i nie brakowało jej szlachetności tak w wyglądzie, jak i w obyciu.

– No chyba że prezydentów. Ich to zabijają – dodał nieopatrznie, a wtedy Bronka odważyła się spytać, co pan ma na myśli. Jaśkiewicz wyjaśnił, że w sześćdziesiątym piątym był zamach na prezydenta Lincolna, właśnie tego, który uwolnił Murzynów. Podobno w teatrze aktor do niego strzelił. Na koniec Jaśkiewicz zauważył, że Bronka bardziej jest zainteresowana tym, co się na świecie dzieje, niż jego matka i żona, które tylko romanse czytają. Od tego czasu sam jej książki wybierał i Bronka musiała przyznać, że trafiały się jej same wspaniałe powieści. Niektórymi się zaczytywała, tak jak *Trzema muszkieterami*, o których nawet rozmawiała z panem i razem się śmiali, że to przecież o czwartym muszkieterze, a nie o tych trzech, co w tytule.

I jakże ona teraz panu Jaśkiewiczowi powie, że do pracy nie przyjdzie, bo dziecko będzie miała? Wtedy sobie przypomniła ze wstydem, że już trójkę straciła i rozpaczała przy tym okropnie, a teraz kolejną ciężę za dopust boży uważa.

– Już Zocha przy Stefku mi mówiła, że za dużo dzieciaków mamy – przypomniała Antoniemu, który widły odłożył, czapkę zdjął i patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

Antoni litościwie nie wspomniął, że Zochy uważania co do świata nie mają nijakiego uzasadnienia, bo ona w grobie, a oni żywi i zdrowi.

– Wychowamy, Bronka – Antoni objął czule żonę. – Nie bój się.

Bronka pomyślała, że głupia była, kiedy myślała, że jak nie krwawi, to znaczy, że jest już stara i nie zacięży, i brała mdłości za chorobę żołądka, jakby wcześniej nigdy przy nadziei nie była.

– Nie boję się, tylko... – westchnęła, po czym spojrzała ciepło na męża. – Tylko starzy jesteśmy. Ja trzy krzyżyki mam na karku, a ty cztery.

Antoni się roześmiał.

– Nie jesteśmy starzy – zapewnił ją. – A może dziewczynka się trafi? To by ci w domu pomogła.

Trafił się jednak znów chłopczyk, śliczny jak z obrazka. Bóle ją chwyciły z rana, posłała po Felicjanę, a ta przyszła z córką, Antoniną, żeby się zawodu uczyła. Bronce w tych bólach śmiać się chciało, bo dziewczyna bardziej zwracała uwagę na wszystkie rytuały okołoporodowe niż na samą położnicę. Tak czy inaczej Bronka przy porodzie miała dwie położne, jak jakaś pani, nie wieśniaczka, i była z tego powodu nawet zadowolona.

– No patrz tam, Antosiu, nie bój się – pouczała Felicjanka, a dziewczyna czerwona ze wstydu wkładała głowę pod Bronki spódnicę i badała ręką krocze.

– Ona jeszcze panienka, dlatego taka wstydliva – tłumaczyła Felicjanka. – A do pani, pani Bronko, ją przyprowadziłam, bo dzieciak piąty, więc łatwo będzie.

– Oby Pan Bóg dał, żeby łatwo było – stęknęła Bronka, gdyż bóle robiły się coraz mocniejsze.

– Łatwo będzie. Jak do pani szłam, to pięć razy dzięcioł pukał, znaczy się piąty synek się zdrowo i szybko urodzi.

Bronka znów stęknęła.

– Synek? A ja córeczkę chciałam.

– Dzięcioł pięć razy pukał – stwierdziła Felicjanka.

– Może na piąte dziecko, nie na chłopca – Bronia próbowała targować się z dzięciołem Felicjanki, ale stara położna machnęła tylko ręką.

– Patrz tu, Antosiu, patrz – pouczała dziewczynę. – Brzuch taki twardy to dobrze i jak się dzieciak mniej rusza, to też dobrze.

Antosia kiwała głową raz za razem.

– No i, pani Bronko – zagadywała Felicjanka – pani to jakby się nie chłopką urodziła, tylko panią.

– To znaczy? – wyjęczała Bronka, bo znów jej skurcz powietrze odjął.

– To znaczy, że pani chłopca nie klnie i nie wrzeszczy, że więcej sobie wsadzić nie da – wyjaśniła bezceremonialnie, aż Bronka się zawstydzila, a Antosia zastygła w niemym przerażeniu. Myślała dotąd, że porody

polegają tylko na patrzeniu, jak dziecko wychodzi, co już było dostatecznie brzydkie, a nie na wysłuchiwanie szczegółów na temat zapłodnienia.

– Teraz to już nie dam – mruknęła Bronka przy kolejnym skurczu, bo na samą myśl, że na starość mogłaby mieć więcej dzieci, robiło się jej słabo.

– Pani tak nie mówi, pani Bronko, bo Antosia mi się przestraszy. Ona dobre dziecko, ale jeszcze nie wiem, czy do położnictwa się nadaje. Bo do porodów, pani Bronko, to trzeba mieć serce – gadała Felicjanka. – Ja sama, o, serce miałam do innych, a samej tylko tę jedną Antosię Pan Bóg mi zesłał. I to się ledwie urodziła. Kurczaczek taki była. I pokarmu nie miałam, ale koza wykarmiła. A teraz baba jak się patrzy.

Antonina sprawiała wrażenie osoby, która specjalnie do porodów serca nie ma, ale Felicjanka za to była wspaniałą nauczycielką i Bronka między skurczami pomyślała, że dziewczynie to jedynie chłopca trzeba i własnego dziecka, a będzie położną jak złoto.

Nie myliła się. Antonina wyszła za Karwasia, a kiedy jej matka nieoczekiwanie zmarła na tyfus, Karwasiowa przejęła całą działalność akuszerską i słynna skrzyneczka na łożyska zakopywane potem pod drzewem co i raz wypełniała się nowymi świadectwami narodzin. Jako Antosia dziewczyna może miała maślane ręce, ale jako Karwasiowa okazała się położną całą gębą. Z tego, co Bronka słyszała od innych bab, w tym swoich własnych synowych, to mało która tak dobrze umiała dziecko na świat przyjąć, ocenić, czy głowa przoduje, czy pośladki, oszacować czas porodu, a nawet przyjść potem i przy piersiach masażę jakieś odprawiać, jeśli mleka dla dziecka mało było.

– No to już będzie, pani Bronko – uznała Felicjanka i rozkazała: – Przyj!

Stanisław urodził się szybko i lekko, po raz pierwszy Bronka nie była też osłabiona po porodzie. Całe szczęście, bo Antoni dumny był bardzo i od razu poszedł się napić, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Kiedy wreszcie do domu na dłużej wrócił, wszystko było już ułożone, zorganizowane i ustalone. I najbliższa przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Pan Jaśkiewicz jakoś się pogodził z tym, że traci najlepszą kucharkę w okolicy, Roman wyniósł się do świeżo wyszykowanego domu po Jasi, żeby zwolnić

niecو miejsca, a Stefkiem zajął się Kajtek. Dalsza przyszłość pokazała, że najlepszym bratem dla małego Staszka był Władek. Bronka śmiała się, że gdyby cyca miał, toby go mlekiem jeszcze nakarmił.

– Kiedy, mama, on taki ładny jest... – mówił Władek i robił przy dziecku, co tylko mógł.

– Żeby ojciec jeszcze tak uważał... – uśmiechała się kwaśno Bronka.

Z Antonim działo się coś złego. Znikał z domu na całe dnie, nie zważając, że był potrzebny. Zamiast pomagać w polu Romanowi i w domu Bronce, pograżał się w swojej słabości. Pił dużo, trzeźwiał głośno, aż wreszcie wszyscy we wsi wiedzieli, że Antoni Winny jest próżniakiem i pijakiem. Nie był rzecz jasna jedynym pijącym w Brwinowie, ale pijaństwo Antoniego do tej pory było ciche. Głodni nie chodzili, Bronka sińców pod oczami nie miała jak inne kobiety. Gospodarka jak złote jabłko, ona matka przy dzieciach, a Antoni przecież z roboty do roboty chodził, bo jak jeden piec skończył, to zaraz jakiś inny zaczynał, a wszyscy go cenili, bo piece Antoniego wytrzymałyby nawet wojnę. Po raz pierwszy, odkąd wyszła za mąż, Bronka słyszała szeptu za plecami, ale wyprostowana, z głową wysoko, dumnie szła przez Brwinów. Prawie każdy chłop tak ma, że sobie czasem popije, myślała. Niektórzy to są przecież tacy, że z domu wyniosą, dzieciom od ust odejmą, a kobiety biją tak, że te z domu nie wychodzą miesiącami, bo co jeden siniak zniknie, to drugi zaraz im robią.

W końcu jednak szeptu i krzywe uśmiechy stały się nie do zniesienia, więc Bronka postanowiła coś z tym zrobić. Pewnego dnia, kiedy mąż do domu wrócił, nie zważając na to, że ledwie stał na nogach, gorzkimi słowami przemówiła, że albo pić przestanie, albo niech idzie precz. Antoni nic na to nie powiedział, usiadł ciężko na stołku i rozsłochał się okropnie. Bronka ani myślała go pocieszać, bo sama wymagała pocieszenia, więc stała nad nim i czekała, aż mąż jej trzeźwość obieca albo zabierze swoje rzeczy i pójdzie w cholerę. Antoni nic nie mówił, nie obiecywał ani nie szedł z domu. Poszedł jedynie spać do stodoły, a kiedy wytrzeźwiał, stanął przed Bronką, uderzył się w pierś i powiedział, że z Bożą pomocą pić przestanie.

Poszli zatem do kościoła, do spowiedzi u księdza Tadeusza. Sędziwy ksiądz długo przemawiał mężowi do rozumu, a Antoni raz za razem kiwał spuszczoną głową. Bronka odmawiała modlitwy po prawej, pod obrazem Świętego Floriana, który stanowił dumę księdza Tadeusza, bo jakiś znany malarz specjalnie dla brwinowskiego kościoła Świętego wymalował. Co i raz to zerkła na swojego męża, ale spowiedź czy też rozmowa, wciąż trwała. Bronka przeprosiła zatem patrona kościoła i przeniosła się na lewy ołtarz, gdzie wisiał Święty Antoni Padewski. Święty Antoni był między innymi patronem małżeństw, a Bronka jakimś szóstym zmysłem czuła, że picie Antoniego ma związek z ich małżeństwem. Prosiła zatem Świętego o światło, wstawiennictwo i zrozumienie, słusznie pojmując, że jeśli zrozumie, o co Antoniemu idzie, to będzie mogła jego problem rozwiązać. Dopuszczała do siebie myśl, że nie jest to takie proste, jak by się mogło wydawać, ale póki co właśnie ta myśl trzymała ją przy życiu.

Podczas wieczornej wspólnej modlitwy Antoni przeprosił Bronkę za smutek, którego jej przysporzył. Było to dziwne i do Antoniego niepodobne, dlatego Bronka się domyśliła, że ksiądz Tadeusz musiał mu taką pokutę zadać. Winy Antoniego były pewnie znaczne, bo przeproszał ją jeszcze następnego dnia i kolejnego, i jeszcze przez następne. Pracował wtedy od rana do wieczora, każdą robotę przyjmował, kropli wódki do ust nie wziął, a jak mu się trafiła robota u piekarza, przy piecu chlebowym, to zarobione pieniądze wziął, do Warszawy pojechał i Bronce przywiózł *Ballady i romanse* Adama Mickiewicza. Na przeprosiny. To wcale takie znów proste nie było, bo Antoni nie wiedziałby, gdzie jechać, żeby taką książkę kupić, no i nie miał pojęcia, która podobałaby się Bronce. Na szczęście przypomniał sobie Mackiewicza, pojechał więc najpierw do niego, przedstawił się, chociaż pan świetnie pamiętał, że mu tamte dokumenty znalazł, i wyłuszczył sprawę. Pan Mackiewicz się nie dziwił, podumał chwilę, potem wziął papier, napisał na nim tytuł i autora książki, a także adres, pod którym rzezoną pozycję zakupi. Żeby Antoni żadnych trudności nie miał, to jeszcze skreślił do księgarza kilka słów od siebie.



– Ja tobie winy odpuszczam, Antoni – powiedziała Bronka, patrząc ze zdumieniem i miłością to na książkę, to na męża i przypomniała sobie, jak po raz pierwszy usłyszała, jak przystojny kawaler ma na nazwisko. Wtedy ją to rozśmieszyło, a potem pomyślała, że przecież i ona tak się będzie nazywała. – Tylko żebyś nie czynił tak więcej.

– Ksiądz mi odpuścił – burknął Antoni i uciekł wzrokiem.

– Mam nadzieję, że pic ci zakazał – ośmieliła się spytać Bronka i chociaż mąż posłał jej groźne spojrzenie, to w końcu głową pokiwał.

– Zakazać nie zakazał – wyjaśnił w końcu. – Ja sam postanowiłem, że nie.

Bronka się nie odezwała, tylko jeszcze raz poszła i podziękowała Świętemu Antoniemu za to, że jej rodzinę wspomógł i za książkę. Nie była jednak do końca spokojna, bo jeśli nie szło jedynie o picie, czego była pewna, to nie wiedziała o co więcej.

Antoni westchnął i po raz tysięczny postanowił, że od tej chwili znów będzie przykładnym ojcem, pieniądze co do grosza do domu przyniesie, żeby chłopcy i Bronka nie świecili oczami. Znów chodził wyprostowany, sąsiadom się kłaniał, do śpiewającej sąsiadki się uśmiechał i pytał, jak się jej dzieci chowają, bo od czasu, kiedy się sprowadzili, urodziły im się dwie dziewczuszki. Zaraz też uznał, że najlepsza na wszelkie zgrzyoty jest praca, więc zabrał się za chałupę po rodzicach Bronki. Dach trzeba było naprawić, żeby jeszcze większych szkód nie było, ramy okienne odnowić i wstawić nowe szyby, bo stare popękane już były w kilku miejscach. Czasem tylko przypominał sobie o tej kobiecie, która tak nieoczekiwanie wtargnęła do jego życia i zburzyła wszelki spokój, ale zaraz tę myśl odganiał, bo prowadziła prościutką drogą do myśli o gorzałce. Antoni zaś już nie chciał pić ani wspominać, jak się zatracił, o przysiędze najświętszej zapomniał i zapałał pożądaniem do niejkiej Wiesi Batalki, która nie była ani tak urodziwa jak Bronka, ani taka pracowita. W dodatku miała go za nic, ale coś mu takiego dziwnego w sercu zrobiła, że rozum stracił.



Bronka wpatrywała się w wieczorne niebo.

– Pełnia i nów, pełnia i nów – powtarzała.

– Co ty tam mruyczysz? – spytał Antoni.

– Nie mruczę, tylko głośno myślę – odpowiedziała. – O tym, że tak szybko czas płynie.

Antoni jedynie uniósł brwi ze zdumienia. Jemu czas mijał na budowaniu pieców, pracy w polu i wkoło domu. Nie myślał, czy to szybko, czy wolno.

– Czas mija – Antoni zdobył się wreszcie na filozoficzne wyznanie. – Czas leczy rany.

– Rany... – podjęła Bronka. – Wiesz, Antoni? Młody pan doktor uczy mnie oczyszczania ran.

– Przecież umiałaś już rany oczyścić i zeszyć... – zauważył.

Bronka pokręciła głową.

– Ale nie jak trzeba, tylko tak po wiejsku. A to co innego.

– W miastowy sposób inak się rany zeszywa? – Antoni nie ukrywał zdumienia.

Bronka poważnie pokiwała głową.

– Zupełnie inaczej – przyznała. – Nie leje się na ranę wódki, tylko dużo wody, a potem inaczej się postępuje przy brzegach, inaczej w środku, gdzie żywe mięso...

– Już dobrze – wzdrygnął się Antoni, który nie przepadał za widokiem ludzkiej krwi.

Nie uważał się za wrażliwego, przy świniobiciu robił, co musiał, bez żadnej przyjemności, szybko, skutecznie, żeby zwierzę nie cierpiało. Kiedy krew ciekła, wychodził z rzeźni. Czerniny nie tykał, chociaż u Bronki w domu się ją jadało i mówili, że dla brzemiennych bardzo dobra. Wykręcał

się, że to żydowska zupa i chrześcijaninowi nie wypada jeść. W rzeczywistości chodziło jednak o ten lepki smak i zapach krwi, który utrzymywał mu się w nozdrzach jeszcze długo po tym, jak wszystko zostało wyczyszczone.

– Dyplomowaną pielęgniarzką już nie będę, ale doktor mówi, że mogłabym u niego pomagać. Jeśli byś się zgodził, Antoni – powiedziała Bronka, a Antoni się zdumiał, jak szybko przeskoczyła od upływającego czasu do pomocy pielęgniarzkiej.

– A chciałybyś? – spytał, chociaż znał odpowiedź.

– Chciałabym – powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

Stary doktor Sławiński zmarł na atak serca i w Brwinowie długo nie było lekarza. Wreszcie zjechał do wsi szczupły młody człowiek w okularach, mrukliwy nieco. Wszyscy mówili, że nie będzie tak dobry jak jowialny pan doktor. Już pierwsze wezwania pokazały jednak, że Jan Tomasz Brzozowski zna się na rzeczy i leczyć umie. Przekonali się o tym i biedni, i bogaci. Najpierw doktora wezwała Kasia Sobotowa. Mały Sobociak kaszlał okropnie i czerwony był przy tym jak wiśnia. Doktor go zbadał, powiedział, że chory jest owszem, ale to nie gruźlica, na płuca jeszcze nie zeszło i kazał dobrze w piecu palić, karmić rosołem i dwie niedziele spod pierzyny nie wypuszczać. Kasia jako wdowa nie była zbyt bogata i kureę zarzynała od święta, więc zrobiła strapioną minę. Gdy doktor spytał, o co chodzi, powiedziała, oczy spuszczaając ze wstydu, że pali tyle, ile może, a mały to się przeziębził, bo kurtka dziurawa, a butów nie ma. Doktor tylko brwi unióś, nie wziął zapłaty za leczenie i poszedł, burknawszy, że coś się wymyśli. Wymyślił tyle, że rozpytał, kto tu w okolicy powóz ma i za dużo drewna, żeby trochę odsprzedać Sobotowej. Tak trafił na Bronkę i Antoniego, która jak się wywiedziała, o co chodzi, to się nie tylko drewnem podzieliła, ale i kureę zarznęła, żeby polecenie doktora wypełnić.

– Dziękuję pani – powiedział zaskoczony doktor Brzozowski. – Może zrobimy tak: ja pani zapłacę, a potem jakoś się policzymy...

Bronka machnęła ręką.

– Sobotową znam – powiedziała. – Policzę się z nią, jak plony będą.

– Jest pani szlachetną osobą... – zaczął doktor.

– To tylko trochę drewna, panie doktorze – przerwała mu Bronka. – I kura nie złoto. A jak kobieta straci jedyne go syna, to nie będzie co zbierać. Po śmierci męża ledwie odżyła.

Witek Sobota zginął rażony piorunem, aż cała wieś gadała, że jakieś straszne pewno grzechy miał, skoro go boski piorun trafił.

– Dziękuję – bąknął doktor.

Antoni od razu pojechał do Sobotów z kurą i drewnem, a Bronka zaprosiła doktora do domu, posadziła przy stole, nakarmiła kapuśniakiem i zaczęła wypytywać.

– Pan doktor z daleka do nas przyjechał?

– Z Otwocka – odpowiedział.

– Tam dużo chorych we wsi?

– Ja praktykowałem w szpitalu.

– A tam szpital ogólny? – indagowała.

– Dla gruźlików – wyjaśnił.

Bronka pomyślała, że albo nie jest zbyt rozmowny, albo nieśmiały, nie umiała jeszcze ocenić.

– A co sprawiło, że przyjechał pan doktor do Brwinowa? – wypytywała.

Nie była wścibska, ale uznała, że biedak sam i nikt go tu nie zna, to warto byłoby wiedzieć coś więcej.

– Przyczyny osobiste – powiedział takim tonem, że Bronka nie pytała już o nic więcej.

Wiedziała, że kupił dom od Rynkowskich, którzy wynieśli się nie wiadomo gdzie, zostawiwszy dworek w opłakanym stanie. Terenia od Nowaków, którą najął do „uprzątnięcia”, mówiła, że tam uprzątnąć nie wystarczy, trzeba by pomalować wszystko na nowo, nowe deski na podłogę położyć i przede wszystkim nowy piec wymurować, bo stary nie ciągnie.

– I ten chudzina zachoruje i zemrze – podsumowała Terenia. – Bo jak się dowiedział, że piec nie ciągnie, to palić przestał i powiedział, że się zajmie

tym sam. Zajmie to się dom pleśnią albo ogniem, jak postanowi jednak napalić.

– A żony nie ma? – spytała wtedy Bronka.

Tereska pochyliła się ku niej i wyznała:

– Nie ma. Ja mu świeciłam cyckami przed nosem pół dnia, a on nic.

Bronka o mało nie upadła na takie wyznanie. Terenia to faktycznie miała czym oddychać, ale to nie powód, żeby wywalać cyce na porządną urzędową, bądź co bądź, osobę. Przecież taki doktor nie ożeniłby się z Terenią, która do trzech nie umiała zliczyć, a pół wsi to już widziało nie tylko jej cyce, ale tamto drugie też.

– Bój się Boga, Tereska! – niemalże krzyknęła, ale Tereska roześmiała się perliście i cmoknęła kilka razy:

– Nie bojaj się, pani Bronko – powiedziała. – Do łóżka mu nie wlałam.

Teraz, u siebie w chałupie, Bronka przyjrzała się uważnie doktorowi, który wyglądał, jakby go od dawna nikt zupą nie poczęstował.

– Panie doktorze – położyła rękę na sercu – jeśli ja mogę coś doradzić... Nie chciałabym urazić...

Doktor spojrzał na nią uważnie.

– Proszę – uśmiechnął się nieśmiało.

– Sobotowa jest praczką. Pięknie krochmali, umie koronki prać, niczego nie zniszczy. Ona jest bardzo honorowa, tylko uboga. Niech ją pan poprosi o pranie, to i pan będzie zadowolony, i ona, że się odwdzięczyła.

– Dziękuję – odpowiedział zaskoczony. – A pani jak się mogę odwdzięczyć?

Bronka się zaśmiała.

– Mnie nie trzeba, naprawdę. Ja się cieszę, że znów mamy doktora. Wszyscy lubiliśmy doktora Sławińskiego, świeć, Panie, nad jego duszą. Dobry był doktor i dobry człowiek.

– Słyszałem o nim wiele dobrego – powiedział doktor Brzozowski. – Mam nadzieję, że i mnie tutaj polubicie...

Popatrzył przy tym jakoś smutno i tęsknie, więc Bronia pomyślała, że coś w owym Otwocku zawód miłosny najpewniej przeżył.

– Zaraz tu pana ożenią – pozwoliła sobie. – Mamy tu piękne, dobre panny, bogate, wykształcone.

– Nie tylko tu panny wykształcone – powiedział, zerkając na książkę, którą aktualnie Bronka czytała.

Bronka zaczerwieniła się, złapała *Ballady i romanse* i przycisnęła do serca.

– Kocham książki – wyznała, a widząc jego minę, dodała: – Pan pewnie myślał, że nie umiem czytać.

– Skąd! – Teraz on się zaczerwienił. – Ja tylko... Ja tylko znałem kogoś, kto kochał Mickiewicza.

Bronka popatrzyła ze współczuciem. Ani chybi ta panna umarła, bo nie wierzę, że dała kosza takiemu mądrymu kawalerowi, osądziła, a głośno powiedziała:

– Ja też kocham Mickiewicza. Ta książka jest moja. Mąż podarował mi ją, kiedy... – Bronka przypomniała sobie o okolicznościach otrzymania książki i umilkła nagle. – Inne przeważnie pożyczam. Od proboszcza, od państwa, jeśli akurat gdzieś służę – dodała szybko.

Doktor pokiwał głową z uznaniem. Poznał proboszcza i wikarego. Książd wydał mu się mądrym człowiekiem, za to wikary nie przypadł mu do gustu, bo o polityce prawił, tyle że bez pojęcia, na modłę polską, czego Brzozowski nie znosił. W Otwocku unikał dyskusji przy popołudniowych herbatkach, które miały na celu omawianie, jak to Polskę trzeba z łap Rosjan wyciągnąć. Owszem, uważał, że zabory to dla ojczyzny nieszczęście i własnej krwi by utoczył, ale mielenie li i tylko ozorem oraz wznoszenie po kryjomu patriotycznych haseł, żeby potem kłaniać się rosyjskim urzędnikom, uważał za niegodne.

– Ile macie dzieci? – spytał nagle.

– Piątkę – odpowiedziała z dumą w głosie. – Sami chłopcy. Najstarszemu idzie na piętnasty rok, a mały, Stasiemek, dopiero stanął na nogi.

– Pięknie – powiedział, po czym wstał i uklonił się. – Dziękuję pani za wszystko, pani Bronko. Będę się zbierał.

– Jeśli pan pozwoli, to przyjdę do pana z Felicjanką – dodała szybko. – To nasza położna. I z jej córką, Antosią Karwasiową. Powinien pan je poznać i się z nimi rozmówić, żeby wiedziały, że mogą pana wezwać, gdyby z porodem coś poszło nie tak.

Doktor pokiwał głową. Bronisława Winna miała rację. Sam powinien o tym pomyśleć i spytać o babkę, która tu porody odbiera. Nie miał wiele doświadczeń z porodami, tyle co każdy inny doktor, ale wiedział, że dobra, doświadczona położna to skarb. Ta pewnie żadnej szkoły nie miała, ale wystarczyło, że mądra, sprytna i sporo porodów za nią.

– A do sprzątanania to niech pan Tereski nie bierze, bo ona nie za dobrze sprząta – poradziła Bronka, a kiedy doktor uciekł spojrzeniem, wiedziała, że cyce zauważył, tylko niezbyt był zachwycony takim rodzajem uwagi.

– To kogo wziąć? – spytał i zaczerwienił się.

– Renatkę Jacków, bo nie tylko sprzątnie i niczego nie potłucze, ale i ugotować potrafi. Ja też chętnie do pana przyjdę, gdyby pan potrzebował. Chciałam też powiedzieć, tylko mi niezręcznie...

– Proszę powiedzieć wprost – poprosił.

– Niech pan doktor uważa, co mówi przy Muraszewie. On z tutejszymi Ruskimi blisko, sam Rosjanin. Będzie pana odwiedzał i za język ciągnął. Żona tutejsza, ale jak ją kto rozzłości, to potrafi grozić, że wyda dzieciaki, że się pisać po polsku uczą.

Doktor pokiwał głową ze zrozumieniem. W Otwocku też byli ruscy i polscy zdrajcy.

– Aha, jeszcze jedno... – Bronka uśmiechnęła się z ulgą, że ją doktor zrozumiał.

– Tak? – doktor stał już w progu i miętoszył kapelusz.

– Mój mąż jest najlepszym zdunem w okolicy – w jej głosie znów pobrzmiwała duma, jak wtedy, kiedy mówiła o synach. – Panu piec trzeba przeczyścić, naprawić albo, kto wie, nowy postawić. Antoni może to zrobić.

– Ja nie wiem, jak się pani odwdzięczę – powiedział Jan Tomasz Brzozowski, wyraźnie wzruszony, że w tej dziwnej wsi ludzie tacy mili.

Nie dalej jak wczoraj wezwał go do siebie Mackiewicz i bardzo życzliwie przyjął. Mówił wprawdzie, że tu wieś i ludzie prości, ale chwalił, że w większości uczciwi i uczynni. Jego żona zaraz mu zaczęła opowiadać o różnych swoich przypadłościach i Tomasz Brzozowski szybko rozpoznał kobiecą histerię, bo jeśli pani Maryna miała wszystkie objawy, które wymieniła, to już powinna dawno w grobie leżeć. Nie dał jednak po sobie poznać, co o tym myśli, i wysłuchał cierpliwie litanii bóleści. Następnie zapisał moc różnych ziółek i proszków, i to tak, żeby przy tym wszystkim było mnóstwo roboty i zachodu. Odmówił zaproszenia na obiad, śpieszył się do pacjentów, między innymi do chłopca, który śrutem oberwał od tutejszego zarządcy, kiedy w lasach wnyki zakładał. Chociaż śrut wydlubał i ranę zszył, to nie był pewien, czy gangrena się nie wda. Wtedy trzeba będzie nogę uciąć. Należało policmajstrom zgłosić i wpakować kłusownika do kryminału, ale Jan Tomasz Brzozowski miał litość w sercu. Co by to dało? We wsi by go znienawidzili, a chłop by w areszcie umarł. Lepiej nogę wyleczyć, a potem księdzu powiedzieć co i jak, niech już się duszpasterz złodziejem zajmie. Z tymi sprawami nie spotkał się w Otwocku, bo chociaż i tam lasy, nawet na większej połaci, to on się trzymał szpitala i po wiejskich chałupach nie chodził. Teraz, kiedy patrzył na ten Brwinów, wydawało mu się, że życia zupełnie nie zna.

– Nie wiem, jak się pani odwdzięczę, pani Bronko – powtórzył, a Bronisława Winna poklepała go po plecach zupełnie jak jakiś kolega.

– Nie trzeba – uśmiechnęła się. – To my się panu nie wywdzięczymy, że pan na taką wieś zawitał.





– Czy ja pojedę kiedyś w świat? – pytał Staszek.

Bronka uniosła głowę znad fasoli, którą właśnie łuskała, i wpatrzyła się w najmłodszego syna.

– A jaki ty świat masz na myśli, Stasińku? – spytała łagodnie.

– Szeroki – odpowiedział chłopiec poważnie.

– Szeroki... – powtórzyła Bronka.

Gdyby miała szczerze odpowiedzieć, toby doradziła, żeby dzieciak o żadnych podróżach nie myślał, bo nijakiego pożytku z tego miał nie będzie, tylko rozczarowanie. Szeroki świat pochłonał już jej szwagra i siostrzeńców. O mało też nie zabrał Romana. Bronka dowiedziała się o tym przypadkiem, sam pierworodny kiedyś w złości jej to wykrzyczał, a ona z kolei nakrzyczała na Antoniego, że jej o tym nie powiedział. Nie miała bowiem żadnych wątpliwości, że i Romka świat by pochłonał, ale szybko wypłuł. – A co byś chciał w tym świecie, dzieciaku, zobaczyć, co? – indagowała, energicznie uwalniając fasolę z łupin.

– Świat – odpowiedział Stach.

Specjalnie rozmowny Staszek nie był. Inaczej niż zawsze wesoły Kajtek, gadatliwy Stefek i roześmiany Władek. Inaczej też niż mrukliwy Roman, który chodził swoimi drogami. Jak po pracy wracał i do stołu siadał, to powiedzieć nic nie chciał, gdzie chodził i co robił. Bronka się zastanawiała, po kim on taki, że żadnych ludzi nie lubi. Stach mówił mało, ale myślał dużo. Na pytania odpowiadał często jednym słowem, które zawierało w sobie nie tylko prostą odpowiedź, ale całą paletę emocji. Bronka musiała się czasem pół wieczora zastanawiać, co się kryje za Staśkowymi słowami.

– A Brwinów ciasny ci się wydaje? – pytała.

Zalała wyłuskaną fasolę wodą i odstawiła, żeby przez noc się moczyła.

– Nie – odparł Staszek po chwili namysłu. – Tylko chciałbym jeszcze inne wsie zobaczyć. I miasta.

Bronka uspokoiła się nieco, bo inne wsie i miasta to zawsze nie to, co szeroki świat. Nie była z tych, co uważali, że ze wsi do miasta nijak nie idzie się dostać, ale swój rozum miała, pół życia przeżyła i doskonale wiedziała, że co w książkach, to jedno, a co w Brwinowie, to drugie.

– No to w sobotę na targ do Grodziska cię z ojcem weźmiemy – zaproponowała, sądząc jednak, że Staszekowi nie będzie w smak wyprawa tylko do miasta oddalonego o godzinę drogi, ale ucieszył się wyraźnie.

– A mogę sprzedać swoje rzeźby? – spytał.

– Możesz, synku – Bronka pogłaskała syna po ciemnej głowie.

Spośród jej dzieci pierwszy i ostatni mieli włosy i oczy czarne jak węgle. Władek posiadał pszeniczną czuprynę i niebieskie oczy, a Stefek i Kajtek włosy w kolorze zachodzącego słońca i zielone ślepie, którymi łypali na dziewczyny.

– A jak dostanę pieniążki, to mogę sobie coś kupić? – spytał.

– Możesz – znów się zgodziła.

Bronka wątpiła, że ktoś w Grodzisku zechce kupić Staśkowe rękodzieło. Chłopak miał wprawdzie zręczne ręce, rzeźbił całkiem ładne łyżki i widelce, sama ich używała na co dzień i chwaliła się przed sąsiadkami, ale żeby sprzedać?

W sobotę na targu przekonali się z Antonim, jak bardzo się mylili. Zajęta sprzedawaniem serów i krążków pasztetów nie zauważyła, że na Staśkowe łyżki, pięknie wykończone i malowane, co i raz znajdują się chętni. Kiedy łyżek zabrakło, Staszek wyjął z worka dziesięć świątków i postawił na wozie, obok gomólek sera. Bronka chciała go ofuknąć, że jej jeszcze sery pobrudzi, ale zamilkła, kiedy zobaczyła wyrzeźbione figurki. Antoni też je dostrzegł i aż gwizdnął.

– Stasiu... – powiedział, unosząc jedną z figurek, na której sędziwy Pan Jezus grał na skrzypkach. – A gdzie ty skrzypki widziałeś?

– Mama mnie na sprzątanie wzięła do państwa i na obrazie widziałem – odpowiedział dzieciak nie bez dumy w głosie.

– Fiu, fiu, fiu – zdołał tylko powiedzieć Antoni i zaraz się uklonił, bo podszedł do nich bogaty chłop i wziął duży kawał sera. Na świętki też spojrzął i uniósł brwi.

– Ile za to? – Pokazał brodą piękną figurkę zadumanego Chrystusa.

Antoni właśnie się zastanawiał, jak wycenić rzeźbę, kiedy Stach odpowiedział pewnym głosem:

– Pięćdziesiąt kopiejek.

Chłop się roześmiał.

– Drogo sobie liczysz, chłopaku – rzucił i odszedł.

– Czyś ty, Stachu, rozum postradał? – ofuknął syna Antoni. – Kto ci da tyle?

Stach wzruszył ramionami.

– Da – powiedział.

Bronka pogłaskała dzieciaka po głowie i zaraz znów zajęła się sprzedażą, bo jakoś, odpukać, wszystko ładnie szło, kiedy nieoczekiwanie wrócił chłop, co pytał Staszka o świętka, i rzucił rubla na wóz.

– Daj mi jeszcze tego drugiego Chrystusika – powiedział. – W kapliczce go zainstalujemy, w Kaniach, żeby na Boże Ciało w procesji koło niego chodzić.

Stach pokiwał ze zrozumieniem głową, wziął pieniądz i schował do kieszeni. Potem z poważną miną podał chłopu dwa świętki i uklonił się.

– Poświęciłem je, jakby co – powiedział jeszcze. – Nie trzeba drugi raz.

Bronka i Antoni przyglądali się scenie w milczeniu.

– Skąd jesteście? – spytał chłop.

– Z Brwinowa – odparł Antoni.

– A jak się nazywacie, żebym wiedział, o kogo pytać, gdybym chciał inne rzeźby u ciebie zamówić? – dociekał chłop.

– Stanisław Winny – odpowiedział Staszek poważnie.

Chłop skinął głową, najpierw Antoniemu i Bronce, potem Stachowi, i odszedł.

– Coś takiego – Antoni gwizdnął raz jeszcze.

Bronka, która nie wiedziała, co powiedzieć, zajęła się strofowaniem męża.

– Co ty tak gwizdziesz i gwizdziesz, Antoni, jakbyś koniem powoził? Przestań mi tu zaraz.

Pod koniec targowego dnia, kiedy już sprzedali wszystko, co mieli na wozie, i posilali się wziętą z domu wałówką, Antoni zwrócił się do syna.

– To ile zarobiłeś? – spytał.

– Dziesięć rubli – odpowiedział chłopak i z dumą rozejrzał się dokoła.

– Hmm... – odezwała się Bronka, bo suma była zacna.

– Bardzo ładnie – pochwalił go Antoni, który był wprawdzie dumny z syna, ale wstyd mu było, że o rzeźbach wcześniej nie wiedział.

– Mówiłeś, że chcesz coś kupić. Cukierków pewnie, co? – spytała Bronka łagodnie.

Staszek pokręcił głową.

– To co takiego chciałbyś mieć? – wypytywał Antoni.

Stach bez słowa pociągnął ojca w głąb targu, gdzie na jednym z wozów leżały narzędzia stolarskie, i wskazał je palcem. Antoni zrozumiał. Spojrzał z uznaniem na syna i zwrócił się do sprzedającego.

– Ile za taki sznycer? – spytał, dając znak synowi, że się będzie targował.

– Rubla – powiedział chłop.

– Rubla? – uśmiechnął się wzgardliwie Antoni. – Za rubla to bym wziął jeszcze pilnik.

Chłop podumał chwilę.

– Może być – powiedział w końcu.

Antoni wysupłał pieniądze i podał chłopu. Chciał odejść, ale syn wciąż stał i wpatrywał się w pozostałe narzędzia skupionym wzrokiem.

– Potrzebuję jeszcze tego – chłopiec wyciągnął palec i dotknął tarnika i sporego zdzieraka.

Chłop spojrzał z uznaniem.

– Już ty wiesz, chłopaku, czego chcesz – uśmiechnął się, prezentując wyszczerbione uzębienie.

– Nie wiedziałem – odparł Stach zgodnie z prawdą. – Ale jak teraz widzę, to już wiem.

Chłop podał wskazane narzędzia i dorzucił gwoździe.

– Wystarczy może – poprosił Antoni, kiedy już zapłacił chłopu kolejnego rubla.

– Ja nie wiem, co ty tam będziesz robił – rzucił chłop.

– Łyżki rzeźbię i świątki – śmiało odpowiedział Stach.

– Łyżki i świątki, tak? – chłop znów się roześmiał. – A drewno umiesz łączyć?

Stach pokręcił przecząco głową.

– Czyli świątka z jednego pieńka robisz, tak? – wypytywał chłop.

Stach znów nic nie powiedział, tylko głową pokiwał.

– To po mojemu jeszcze świdra ci potrzeba – zawyrokował.

Stach podniósł oczy na ojca. Ten niepewnie przytaknął.

– To przyjdźcie za tydzień. Będę miał świder. I korbę. I przynieś coś, co żeś wyrzeźbił.

– Staszek, chodź – nie wytrzymał Antoni i pociągnął syna za sobą.

Staszek pożegnał się grzecznie z chłopem, wsadził do worka narzędzia, zarzucił sobie na plecy i poczłapał za Antonim. Zatrzymał się jeszcze przy straganie z cukierkami i kupił aż dwie tutki dla braci i jeszcze jedną, ślicznie zapakowaną.

– Dla mamy – powiedział.



Do chłopca wrócili w kolejnym tygodniu, a ten jak ich tylko zobaczył, wyjął świder i korbę. Stachowi aż się oczy zaświeciły.

– Panie – zwrócił się chłop do Antoniego, podczas gdy Stach podziwiał swoje nowe nabytki z wyrazem takiego szczęścia w oczach, jakby złoto mu dali albo klejnoty. – Jak on taki jest zręczny, toby go do cieszni może, co?

Antoniemu przemknęło to przez myśl, ale miał nadzieję, że przynajmniej jeden z jego synów zostanie zdunem. Romek robił w polu i tartaku, Władek od najmłodszych lat interesował się wszystkim, co było związane z obejściem, Kajtuś i Stefek jeszcze byli mali, ale obaj tylko o polach i uprawach prawili. Jeden Stach niespecjalnie lubił po polu chodzić i robił jedynie to, co do niego należało, zatem Antoni uznał, że właśnie jemu przekaze całą swoją wiedzę i fachu go nauczy. Tymczasem Stach strugał godzinami swoje świątki, łyżki i miski. Umiał wszystko, co drewniane, naprawić, nie tylko zrobić od nowa. Nawet koryto dla świń tak zasklepił, że nie trzeba było nowego robić.

– To się jeszcze zobaczy – burknął Antoni, bo co z niego był za ojciec, że mu obcy chłop mówi, co z dzieckiem ma być.

– Jak pan tam sobie chcesz, ale jakby co, to u nas, w Grodzisku, na Kościelnej jest jeden taki cieśla. Kacper. I Kacper sam w warsztacie siedzi. Żony nie ma, dzieciaków nie ma. W sam raz dla pana syna. Jakby pytał, to pan powie, że Gienek Pacyków was przysłał.

– Ja sędzę, Antoni, że ten Gienek, czy jak mu tam, miał rację – powiedziała Bronia, kiedy jej wieczorem o wszystkim opowiedział.

– Jak ma rację? Ja najlepiej wiem, co dla moich synów najlepsze.

Bronia westchnęła.

– Może twoje wnuki będą piece stawiać, synowie jakoś się nie garną – podsumowała.

– Może przymusić trzeba? – dumał Antoni, ale Bronka fuknęła, aż się szyby w oknach zatrzęsły:

– Może pasa zdejmij albo do pieca przywiąż. Na siłę to Ruscy nas do wszystkiego zmuszają. Żeby jeszcze własne dzieci do czegoś zmuszać!

Antoni zdumiał się, co ona taka zdenerwowana. Zrobił rachunek sumienia. Ostatnio w niedzielę był w karczmie, ale dużo nie wypił, a potem jakoś nogi go same poniosły do domu Wiesi, tej, co to zapomnieć o niej nie umiał. Postać jednak tylko trochę i zaraz do domu wrócił, a pijany w ogóle nie był. W poniedziałek z rana miał robotę we dworze w Grudowie, dużą, bo dwór bogaty, ale zapuszczony okropnie. Liczył na spory zarobek. Już dawno sobie obiecał, że przez jego picie rodzina cierpieć nie będzie. Zresztą lada chwila Romek pójdzie na swoje. Niech tylko wreszcie przestanie dziewczuchy ganiać, a którąś wybierze. Władek też się za swoim zakręci i trzeba będzie pieniądze szykować, żeby na początek dobrze im było.

– Już dobrze, Bronka – łagodził. – Nie złość się tak. Pojedziemy ze Staszkiem do tego Kacpra i rozmówimy się z nim.

– Może tu kogo w Brwinowie znaleźć? – spytała Bronka. – Może do Chędy?

Antoni pomyślał o tym, ale Franciszek Chęda miał trzech synów i na pewno nie potrzebował pomocnika.

– Synów ma, a znów Muraszew...

– Muraszew nie – Bronka aż się wzdrygnęła na wspomnienie męża Jany Muraszew, który może i był dobrym stolarzem, ale jeszcze lepszym poddanym cara. Na swoich donosił, trzeba było ukrywać przed nim dzieciaki, które się uczyć chciały, a jak kto słowo za dużo chlapanął w karczmie, to mógł się spodziewać wizyty Rosjan.

– Sama widzisz, że poza Brwinowem trzeba szukać – stwierdził Antoni.

– A jak się ten Kacper nie zgodzi? – spytała już całkiem udobruchana.

– A jak się nie zgodzi, to znajdziemy innego – podsumował, po czym wyszedł do stodoły, żeby zrobić przegląd narzędzi gospodarskich. Niedługo śnieg stopnieje i w pole trzeba będzie iść.

Majster Kacper się zgodził, tyle że w pierwszej chwili Antoni wcale nie był szczęśliwy z tego powodu. Kiedy zobaczył zabałaganioną stolarnię, brud i nieporządek naokoło, miał nadzieję, że stary cieśla przegna ich na

cztery wiatry albo sam Staszek przerazi się tym bałaganem i nie zechce zostać. Nie stało się jednak ani jedno, ani drugie. Staszek wpatrywał się z zachwytem w stół do robienia mebli i nieliczne rzucone byle gdzie narzędzia, chociaż zachwycać się nie było czym. Kacper Gołąb zaś nie wyglądał na ucieszonego towarzystwem, ale przyjął ich i kazał się na lepkich od brudu krzesłach. Potem począpał gdzieś i przyniósł butelkę samogonu. Antoni odmówił, bo kiedy zaczynał z rana pić, to już nie było siły, żeby do roboty poszedł, a wiedział, że jak te piece w Maryninku zaniedba, to ciężka jego dola.

– Ano to ja się napiję – stwierdził cieśla i wychylił wódkę prosto z butelki.

– Gienek Pacyków nas przysyła – powiedział Antoni i spojrział na Stacha.

– I czego chcecie? – spytał Gołąb.

– Ja bym chciał się u pana ciesiołki uczyć – powiedział gorliwie Staszek, ale Antoni go uciszył.

– Gienek mówi, że pan ucznia potrzebuje. No to przyjechaliśmy z synem. Rozmówić się. Ale widzę, że pan już nie robi...

Kacper skrzywił się i pociągnął kolejny łyk z butelki.

– Robić, robię. Tylko czy ja ucznia potrzebuję? – Roześmiał się.

Zębów nie miał już prawie wcale. Pojedyncze, szerniałe całkiem, sterczały z dziąseł.

– No to my chyba... – Antoni się podniósł.

– Ja bym chciał się uczyć – powtórzył Stanisław, nie zwracając większej uwagi na ojca.

Antoni dużo by dał, żeby Bronka była z nimi. Był przekonany, że nie pozwoliłaby synowi tu zostać. Sam nie wiedział, co ma zrobić. Czy wyjść, chociaż tyle drogi przebyli, czy też układać się z tym człowiekiem, który ostatni mebel zrobił zapewne w dawnych, dużo lepszych czasach.

– A ty wiesz, chłopaku, że to ciężka robota? – cieśla zwrócił się do Staszka.

– Wiem – odpowiedział dzieciak wyraźnie ucieszony. – Nie boję się.



– Dziesięć rubli – burknął Gołąb i ponownie pokazał resztki zębów w upiornym uśmiechu.

Antoni miał wrażenie, że żadnej nauki z tego nie będzie, a dziesięć rubli pójdzie natychmiast na gorzałkę.

– Z synem słówko zamienię – powiedział i skinął na Stacha, który posłusznie wyszedł z nim na podwórze.

– Wracajmy, Stachu – poprosił.

– Kiedy ja chcę się uczyć – powiedział Staszek i spojrzał tęsknie w stronę warsztatu.

– Ale tu jest strasznie. Matka mi nie daruje, jak się dowie.

– Matce nie mów, jak tu jest – upierał się chłopak.

– Jesteś pewien? Może kogo innego poszukamy? – Antoni położył rękę na ramieniu chłopca.

Stach pokiwał głową.

– To jak? – spytał Gołąb, kiedy wrócili. – Zostajesz, chłopaku?

– Tak – odparł krótko Stach.

Antoni westchnął i wysupłał ruble z woreczka wszytego za pazuchą. Kiedy podawał je majstrowi, miał wrażenie, że równie dobrze mógłby je przepić albo wyrzucić w błoto. Majster spojrzał chciwie na banknoty, popluł na nie i schował za koszulę.

– To bywaj, synu – pożegnał się Antoni, ale kiedy wracał do domu, na każdym skrzyżowaniu dróg miał ochotę zawrócić i dzieciaka zabrać, choćby siłą.

– No to bierz się do roboty, chłopaku – rzucił Kacper, kiedy Antoni odjechał, i dodał: – Co się gapisz? Sprzątaj!

Tak się zaczęło terminowanie Staszka. Od sprzątnięcia wieloletnich pokładów kurzu i układania desek oraz narzędzi. Stary majster nic nie robił, tylko pił dużo i mamrotał coś do siebie. Od czasu do czasu zerkał na to, co wykonuje nowy uczeń i albo kiwał głową, albo wyzywał go od głupców i leni.

– Ma być jak trzeba! – krzyczał, ale nie mówił, co dokładnie znaczy „jak trzeba”.

Po tygodniu, kiedy Stanisław przyjechał do domu na sobotni wieczór i niedzielę, Bronka ujrzała go chudego, poszarzałego z brudu, ale szczęśliwego.

– Jak ty wyglądasz? – załamała nad nim ręce.

– Mama grzanego da, to się umyję – powiedział, a potem wyznał, że u starego Gołębia nie ma mycia ani innych takich fanaberii, tylko od świtu praca, praca i praca.

– Jedzenia to tam chyba też nie ma, co? – denerwowała się Bronka.

To też była prawda. Majster Gołąb jadł niewiele, głównie chleb, tylko wódki pił bardzo dużo. Bronka zapakowała Staszkiowi na drogę chleb i trochę smalcu, ale zaraz w trzy dni wszystko zjedli i odtąd Stach chodził głodny.

– Mama zapakuje więcej jedzenia.

– A ty ubranie daj, to wypiorę – nakazała synowi.

Staszek posłusznie zdjął wszystko, pozostał w samych kalesonach. I zaraz zaczął się szorować nad miską. Woda zabarwiła się na czarno. A Bronka załamała ręce.

– Czy ten człowiek ma ciebie za sługę jakiegoś, że o ciebie zupełnie nie dba? – biadała.

Stach pokiwał głową i włożył czyste ubranie. Dopiero wtedy Bronka pozwoliła mu usiąść do stołu. Zjadł dwa talerze zupy i pajdę chleba z boczkiem, popił zsiadłym mlekiem i położył się do łóżka, po czym spał aż do rana, kiedy ze wszystkimi do kościoła poszedł.

– Może niech on tam nie wraca? – Bronia zagadnęła Antoniego, kiedy po kościele i obiedzie wszyscy synowie wyszli z domu. Romek i Władek pewnie dziewczyny ganiać, a pozostali starszych braci podglądać.

– Jak nie wraca? – zdenerwował się Antoni, któremu przez cały tydzień różne myśli kotłowały się w głowie. Raz się bał, że Stach rozchoruje się

i umrze, drugi raz znów mówił sobie, że dobrze się stało, bo życia się nauczy.

– Bo tam za ciężko – stwierdziła Bronka. – On za młody na takie terminowanie. Niech jeszcze ze dwa lata w domu posiedzi.

– Sama chciałaś, żeby się ciesiołki uczył! – zaprotestował Antoni. – A teraz, kiedy już zapłaciłem, to co? Za ciężko mu?

Bronia uważała, że Antoni ma rację, ale nie do końca.

– Te dziesięć rubli można przeboleć, a jak nam dzieciaka zmarnuje, to nie przebolejemy – stwierdziła.

– On się nie skarży! – przekonywał ją Antoni.

Zawołano zatem Stacha i gruntownie wypymano.

– Co robicie cały dzień?

– Uczymy się – odpowiedział, ale to matki nie usatysfakcjonowało.

– Czego się uczycie? – pytała.

– Ciesiołki – odpowiadał nie do końca zgodnie z prawdą.

Do tej pory tylko sprzątał. Wymiatął kurze i szorował podłogę wielką szczotą, aż skóra na palcach mu się fałdowała. O nic nie pytał. Nie śmiał. Chętnie by się dowiedział, do czego służą poszczególne narzędzia i czemu jedne gwoździe są grube, inne cienkie. Czuł jednak, że jeszcze nie czas. Kiedy Stach robił coś dobrze, majster zachowywał się tak, jakby Stacha w warsztacie nie było. Kiedy coś mu się nie udawało, dostrzegał to natychmiast i zaczynał na Stacha krzyczeć. Wieczorami chłopak czekał, aż mistrz wypowie słowa „dosyć na dziś”, co znaczyło, że może liczyć na kawałek chleba i pójść spać na podłodze w kuchni.

– A gdzie ty śpisz, dziecko? – pytała dalej Bronka.

Dom Kacpra Gołębia był jeszcze gorszy niż warsztat. Kiedy go tam wprowadził, Stachowi wydawało się, że zemdleje od smrodu. Wszechobecna woń zgnilizny, brudu i jakiegoś truchła poraziła go. Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że być może stary Gołąb potrzebuje bardziej Stacha niż on jego. Położył się na gołej podłodze, przykrył kocem i zasnął kamiennym snem. Podobnie było w kolejnych dniach.

– Na podłodze w kuchni – uspokoił Bronkę. – Przy piecu.

– Na podłodze. W kuchni – powtórzyła Bronka, po czym zwróciła się do Antoniego:

– Trzeba mu siennik wyszykować.

Antoni wzruszył ramionami.

– To wyszykuj – stwierdził.

– Sam wyszykuję – wtrącił się Stach. – I jedzenia mama mi da na tydzień, dobrze?

Bronka pokiwała głową.

– A myślisz, że jak długo się będziesz uczył, co?

Tego Stach nie wiedział, bo jeszcze nie zaczął właściwej nauki. Szczerze mówiąc, nawet o tym nie pomyślał. Mistrz wziął dziesięć rubli, ale nie określił, ile czasu zamierza poświęcić swojemu młodemu uczniowi. Stach obawiał się, że kiedy sprzątnie pracownię, Gołąb odeśle go do domu.

– Majster nie mówił – odpowiedział matce.

– Antoni – nie ustępowała Bronka. – Spytaj uprzejmie majstra Gołębia, jak długo zamierza trzymać u siebie Stacha.

– Dobrze, Broniu – zgodził się potulnie Antoni i spojrzał na syna ze współczuciem.

Kiedy w poniedziałkowy świt wiózł go znów do Grodziska, spytał po drodze:

– Na pewno chcesz tam wracać?

Syn pokiwał głową.

– A może byś jednak zdunem został?

Stach tym razem pokręcił przecząco głową.

– Niech się ojciec nie martwi – powiedział w końcu. – Dam radę. Roman drzewa ścina, pozostali w polu robią. Ja będę cieślą. Z Bożą pomocą.

Antoniemu nie pozostało zatem nic innego, tylko na miejscu pomóc synowi przenieść z wozu siennik i wałówkę. Nie rozmawiał przy tym z Kacprem Gołębiem, bo Staszek go zawiadomił, że majster jeszcze śpi

i nie wiadomo, kiedy wstanie. Antoni to akurat doskonale rozumiał, a że stary cieśla nie miał ani żony, która by go lamentem z łóżka wyciągała, ani dzieci, które by trzeba wyżywić, to mógł wylegiwać się, ile chciał.

Stach tymczasem usiadł w warsztacie przy sprzątniętym stole, powiódł wzrokiem wokoło i uznał, że wykonał dobrą robotę. Może majster dziś wreszcie coś powie o ciesiołce.

Czekał do południa, ale się nie doczekał, zatem wszedł do domu, stanął w progu i zastanowił się, co dalej. Podumał chwilę, potem śmiało wszedł do izby, gdzie w barłogu spał Kacper Gołąb, i złapał go za ramię.

– Panie Gołąb! – krzyknął.

Majster wydawał się nie oddychać i Stach przeraził się, że cieśla umarł. Po chwili jednak powieki staruszka drgnęły.

– Czego? – wyjęczał.

– No, jestem – powiedział Stach.

– Kto...? – wymamrotał Gołąb.

– No... – Stach aż się spocił ze zdenerwowania. – Stanisław Winny. Uczeń.

Z ust stolarza wydobyło się rżenie, a potem Kacper Gołąb rozkaszał się tak, że ledwie się nie udusił. Stach stał napięty jak struna, czekał na dalszy rozwój wypadków. Zastanawiał się, czy powinien coś zrobić, żeby człowiekowi pomóc, ale nie miał zielonego pojęcia co. Wreszcie starzec wyciągnął do niego rękę.

– Pomóż mi wstać – poprosił.

Stanisław zrobił, o co go poproszono, po czym podprowadził staruszkę na dwór, za stodołę, gdzie ten wysikał się, nie krępując się obecnością młodego człowieka.

– Zagrzej wody – powiedział, kiedy wrócili do izby.

Stanisław wykonał i to polecenie. Stary siedział zamroczony pić i mamrotał coś pod nosem. Stach, instruowany, gdzie ma szukać „ziół na wszystko”, znalazł je i zrobił wywar, tak jak to robiła jego matka, czyli sporą garść zaszuszonego ziela owinał w szmatkę, zanurzył we wrzątku

i przykrył pokrywą. Miał tylko wątpliwości co do czystości szmatki i garnków, ale postanowił na wszelki wypadek do nich nie zaglądać. W chacie na szczęście panował półmrok.

– Znasz się na rzeczy – pochwalił go Gołąb.

– Moja matka przesłała jedzenie – odważył się powiedzieć.

Stary skrzywił się.

– Daj – zażądał.

Stach wyjął pajdę chleba oraz garnczek smalcu, położył to wszystko na stole Gołębia i cofnął się o krok.

– Siadaj i jedz ze mną – powiedział stary. – Przyniosłeś to z domu, nie jestem przecie cham.

Stach usiadł. Gołąb pożarł jedną pajdę ze smalcem, czknął, dopił napor na dolegliwości po picu, rozejrzał się dokoła i wstał. Zachwiał się na nogach, ale kiedy Stach zerwał się i chciał majstra przytrzymać, ten przygwoździł go wzrokiem do krzesła.

– Siedź – nakazał. – I zjadaj, co masz zjeść, bo robota czeka.

Stach mało się nie zadławił swoim chlebem z solą i smalcem. Szybko dokończył, zawinął to, co zostało, przykrył misą i postawił na niej kamień, żeby myszy nie dotarły do wiktuałów, i ruszył za starym do pracowni.

Kacper Gołąb podszedł do poukładanych przez Stacha desek i przyjrzał się im. Świecił sobie przy tym lampą, bo w pracowni też było ciemno. Stach wstrzymał oddech. Majster kazał mu ułożyć drewno gatunkami. Nie był pewien, czy dobrze wykonał polecenie.

– Dobrze – stwierdził stary i podał mu lampę. – Tylko ta deska na złym stosie leży.

Stach postąpił krok naprzód i oświetlił deskę. Stary wziął drewno do ręki.

– To jesion – powiedział. – Nie dąb. Są podobne, tak, ale dąb jest twardszy. Masz – podał chłopakowi. – Sprawdź paznokciem.

Stach dotknął paznokciem kawałka jesionu i dębu. Nie poczuł różnicy. Stary widocznie to przewidział, bo pokiwał głową.

– Nie odróżniasz, co?

Stach pokiwał głową.

– To teraz zamknij oczy i zrób to jeszcze raz.

Teraz była różnica, i to wyraźna.

– Gdy dotykasz dębu, pod palcami masz twardą gładkość, a jesion jest trochę jak... – nie znalazł właściwego słowa.

– Jak jedwab – podpowiedział mu Kacper Gołąb. – Widziałeś kiedy jedwab?

Stach pokręcił przecząco głową. Nigdy o czymś takim nie słyszał.

– No nic – stwierdził majster. – Chodź no tu.

Kiedy Stach podszedł, majster zawiązał mu oczy kawałkiem niezbyt czystego płótna. Potem popchnął w kierunku desek.

– Masz je wyczuć palcami – nakazał. – Nie spiesz się. Jak skończysz, to przyjdź na kolację.

Stach usłyszał oddalające się kroki. Podszedł do sterty desek i zaczął je badać palcami. Myślał, że taka nauka szybko mu się znudzi, ale tak nie było. Dotykał po kolei dębu jesionu, klonu, buku, grabu oraz sosny. Więcej gatunków drewna majster nie miał, a i te kawałki, co leżały, były stare i Stach podejrzewał, że pamiętały dawne, lepsze czasy majstra Kacpra. Nie bacząc na to, że drzazgi wchodziły mu w palce, dotykał drewna całymi dłońmi, ich wnętrzem i stroną zewnętrzną, potem po kolei każdym palcem, aż nauczył się je rozróżniać. Znalazł nawet mały kawałek grabu wetknięty między jesionowe klocki i przestawił na właściwe miejsce. Potem zdjął przepaskę z oczu, wydlubał wszystkie drzazgi, zalał ręce resztką spirytusu, który schował przezornie po Kacprowym picciu i wyszedł na podwórze.

Po lewej stronie stał pusty kurnik. Stach wszedł do środka i zaraz wyszedł, bo nie było tam czego szukać wśród rozwalonych kurzych grzęd, utyłanego kurzymi odchodami klepiska i wszechobecnym pajęczyn. Widać, że kur nie było tu od lat. Poszedł do domu, żeby powiedzieć majstrowi o zakończonym zadaniu. Od progu dosłyszał głośnie chrapanie. Wszedł głębiej. Powiódł wzrokiem po brudnym zlewie. Obok stał spory

kredens. Stach przyjrzał mu się i dostrzegł w zaniedbanym meblu niezwykłą urodę. Chrapanie nie ustawało, zatem Stach zastanowił się chwilę, a potem zakasał rękawy i wziął się do roboty. Przyniósł wiadro wody i miednicę piasku i wyszorował wszystkie brudne garnki. Z kąta kuchni przyglądała mu się chuda mysz.

– Co się gapisz? – powiedział do niej Stach. – Dam ci okruszki, żebyś nie musiała kraść.

Mysz podeszła śmiało, zjadła poczęstunek, spojrzała na Stacha oczkami jak paciorki i uciekła do swojej dziury.

– Ot i taka wdzięczność – mruknął Stach i wrócił do roboty.

Ze stołem nie poszło mu tak łatwo, bo blat pokrywały słoje brudu. Kiedy już zdrapał tłuszcz, sadzę oraz kurz, dostrzegł, że stół jest zrobiony z dębu, ma piękne ozdobne nogi. Po stole przyszedł czas na podłogę. Stach podejrzewał, że jest równie godna stolarza jak kredens oraz stół i nie mylił się. Wymagała jeszcze wielokrotnego szorowania, ale po zużyciu dwóch wiader wody mógł powiedzieć, że również jest dębowa, jak inne meble. Widać Kacper Gołąb nie zawsze był zapijaczonym cieślą.

Ciekawe, czemu mieszka sam i pije, zastanawiał się, układając wymyte talerze i garnki w kredensie. Częściową odpowiedź na swoje pytanie uzyskał, kiedy w jednej z szuflad znalazł zdjęcie przystojnego mężczyzny, pozującego obok uroczej kobiety z dołeczkami w policzkach i dziewczynki z mysimi warkoczykami. Kiedy się lepiej przyjrzał, bez trudu rozpoznał w przystojnym mężczyźnie młodego Kacpra Gołębia. Więcej wyjawiał mu ojciec, który zasięgnął języka w okolicy i dowiedział się, że z Kacpra to był kiedyś mężczyzna jak się patrzy, najlepszy cieśla w pięciu powiatach, złote ręce. Żonę miał najpiękniejszą w Grodzisku, a jak córeczka mu się urodziła, to ołtarz cały w drewnie zrobił dla miejscowego kościoła, taki był szczęśliwy. Dobrze im się powodziło, on robił piękne meble, a żona pracowała w fabryce jedwabiu w Milanówku i malowała bele tej najdelikatniejszej przędzy na świecie. Gdzie się gruźlicą zaraziła, tego nikt nie wie, ale w rok się na tamten świat zawięła i jeszcze córeczkę ze sobą zabrała.



– Ponoć wtedy chłop się posypał, rozpił, a meble robił tylko wtedy, jak mu picia i jedzenia brakowało. Kto tam wie, czemu ten, jak mu tam, Pacyków, postanowił nas do niego wysłać.

Stach był wdzięczny temu Pacykówowi, bo czuł, że on może pomóc Kacprowi, a Kacper jemu. Kiedy sprzątnął majstrową kuchnię, Kacper Gołąb nie powiedział nic, ale też i go nie zganił. Przeciwnie, pozwolił mu spać w izbie, w lepszym miejscu położyć siennik i zanim zasnął, rozprawiał długo o tym, jakie meble i dla kogo robił. Stach nie znał żadnego z wymienionych panów, poza jednym panem, z Książenic, ale był pod wrażeniem opowieści.

Cierpliwie czekał na to, aż majster pozwoli mu wreszcie zrobić jakiś mebel, ale się prędko nie doczekał. Majster wprawdzie co dzień coś tam mu tłumaczył i pokazywał, do czego służą narzędzia, co można z jakiego drewna wyciosać, ale nie pozwalał właściwie na nic. Wreszcie w piątym tygodniu terminowania posadził go na krześle naprzeciwko siebie i spytał, patrząc mu prosto w oczy:

– I co, chłopaku? Nadal chcesz być cieślą?

Stach przytaknął.

– A co chcesz robić?

Stach nie zrozumiał do końca pytania, więc majster sprecyzował.

– Meble chcesz robić czy świątki? Podłogi panom?

Stach przełknął ślinę, a potem odpowiedział szczerze:

– Wszystko.

Majster skrzywił się.

– Jak ktoś chce robić wszystko, to albo do wielkich rzeczy dojdzie, albo nic z niego nie będzie.

Stach znów nie zrozumiał, ale głęboko zamyślił się nad słowami majstra.

– Dlaczego? – spytał w końcu z niemałym wysiłkiem.

– Bo jak ktoś jest od wszystkiego, to jest do niczego – odpowiedział mu majster.

Stach postanowił sobie to zapamiętać.

– No ale – burknął stary Gołąb – do rzeczy. Szkołę jakąś kończyłeś?

Stach pokiwał głową. Szkoły nijakiej być nie mogło w Brwinowie. Po powstaniu to nawet zabronili, żeby rosyjska była. Ale wszystkie dzieciaki chodziły do budy za kościołem, gdzie guwernantka z dworu w Krosnej uczyła czytać, pisać oraz liczyć. Wszystko z dobrego serca, pieniędzy nie brała. To akurat Stachowi nie było potrzebne, bo matka go nauczyła i czytać, i pisać, i nawet liczyć. Chodził jednak na to nauczanie całe trzy lata, bo ojciec powiedział, że tylko w taki sposób przeciwstawią się zaborcy. W Brwinowie był urząd carski, ale dobry człowiek, na Sybir nie wysyłał, za byle co nie karał. A jeśli wiedział, co się w tej budzie odbywa, to udawał, że nie wie. Ojciec mówił, że oni tam z Marylskimi i Lilpopami jakąś umowę mają, że biorą od nich, żeby w Brwinowie był spokój. Od czasu do czasu jakiegoś chłopca, co kłusował, do kryminału wsadzali, żeby ich nikt z Brwinowa nie odwołał.

– Trzy klasy skończyłem – powiedział.

– Czytać i pisać umiesz czy w oślej ławce siedziałeś? – Zarechotał nieprzyjemnie.

– Nie siedziałem – poważnie odpowiedział chłopiec.

W oślej ławce siedział zawsze mały Darek od Chyclów. Ale niedługo, bo po kilku miesiącach z nauki zrezygnował. Z tego, co Stach słyszał, to jego brat Roman był częstym gościem we wspomnianej ławce, ale Roman też ku ubolewaniu matki wytrzymał w szkole tylko dwa lata. To wszystko działo się przed jego urodzeniem, ale przy okazji każdych świąt matka lamentowała, że Roman prawie niepiśmienny i co by było, gdyby jednak nauczył się pisać coś więcej niż swoje nazwisko. Roman nic sobie z tego nie robił, wzruszał ramionami i krzyczał, że szkoła jest dla tych, co nic do roboty nie mają. Ojciec uciszał matkę bo po co się awanturować, kiedy przy stole ma być miło. Władek wtedy przypominał, że on też trzy lata chodził, ale pisać umie i czytać też, Stefek i Kajtek się śmiali, a on obiecywał matce, że nauczy się jakiegoś fachu, żeby miała z niego pociechę. Swoją drogą, matkę ogromnie podziwiał. Mądra była jak pani, na wszystkie pytania

umiała odpowiedzieć. Czy pytał, dlaczego księżyc świeci w nocy, czy też o to, jakie inne kraje są na świecie, czy nawet gdzie król i królowa mieszkają – matka znała odpowiedź. A kiedy mówił, że taka mądra jest, to mu wyjaśniała, że to wszystko dzięki szkole i książkom.

– Zasnąłeś czy co? – zdenerwował się majster Gołąb, kiedy tak siedzieli, a Stach odpowiadał półgębkiem.

– Nie, bardzo przepraszam – Stach postanowił już więcej przy robocie nie wspominać swoich braci, nawet ukochanego Władka, który był dla Stacha jak ojciec i bronił go przed Romkiem, a nierzadko przed ojcem, który jak czasami popił więcej, to w złość wpadał.

– No to pokaż te rzeźby, co żeś je zaraz na początku przytachał – zażądał nagle stary.

Stanisław oblał się rumieńcem, poszedł do kąta pracowni i z jednej z półek zdjął worek pełen świątków, maryjek, ale też ptaszków, żabek oraz myszek. Majster Gołąb długo i dokładnie oglądał wszystko, po czym kazał w piecu napalić i wszystkie świątki, maryjki i zwierzątka wrzucić do ognia. Stachowi płakać się chciało, bo gdyby wiedział, że majster tak źle potraktuje jego pracę, toby dzieciakom w Brwinowie rozdał, niechby się cieszyły.

– No, zaraz mi się tu rozplączesz, jak baba – zakpił majster i dodał całkiem poważnie – jak z tobą skończę, to takie świątki będziesz robił z zamkniętymi oczami.

– A kiedy pan majster zacznie? – spytał hardo Stach, bo żal mu było spalonych figurek.

Gołąb roześmiał się.

– Teraz – powiedział. – Idziemy.



Od tamtej chwili zaczęła się nauka. Stach pracował pod okiem mistrza, bo tak go teraz nazywał, i starał się sprostać jego oczekiwaniom. Wracał do domu na niedzielę ledwie żywy ze zmęczenia, głodny jak wilk, ale

szczęśliwy. Na wszelkie pytania rodziny odpowiadał zdawkowo, jak to on, bo nigdy specjalnie rozmowny nie był. Nie to że mu się rozmawiać nie chciało, ale dlatego, że wiele mądrego do powiedzenia nie miał, chyba że na temat drewna, ale o tym umiał rozmawiać jedynie z mistrzem. Bracia z niego pokpiwali, ale wzruszał ramionami i mówił im, że jeszcze zobaczą, jak im kredensy i komody do domów powstawią.

– A po co komu twoje kredensy? – pytał Romek, ale Władek, który prowadził się z Kazią Krotonówną, już ustalił z bratem, że w prezencie ślubnym, który miał z Bożą pomocą odbyć się, kiedy tylko panna ukończy siedemnaście lat, otrzymają komodę, kredens, skrzynię na bieliznę oraz stół.

– Jeszcze przyjdiesz w łaskę – odpowiadał spokojnie Romanowi.

– Ja się nie ożenię – twierdził Roman, który skończył dwadzieścia cztery lata i matka się martwiła, że wciąż nie na swoim, tylko na garnuszku u rodziców.

– To i dobrze, tylko matki żal – mruknął Władek, ale zaraz musiał uciekać, bo Romana to tak rozzłościło, że rzucił w brata łyżką, a potem zaczął go gonić. Bracia mało stołu nie przewrócili.

– Jak wy się zachowujecie? – załamała ręce Bronia, po czym wybiegła na dwór i wrzasnęła za najstarszymi synami:

– Roman! Władysław! Wracać mi tu natychmiast!

O dziwo, Roman zatrzymał się, odwrócił na pięcie i wolnym krokiem, od czasu do czasu oglądając się przez ramię, poszedł w stronę domu. Za nim w pewnej odległości szedł Władek, czujny, gotów w każdej chwili do ucieczki, gdyby Roman jednak wciąż był zły i znów zaczął go gonić.

– Chłopy jak dęby, a zachowują się jak dzieci – utyskiwała, kiedy bracia ponownie usiedli przy stole. – Powiedziałbyś coś, Antoni – zdenerwowała się na męża, który zatopiony we własnych myślach łykał zupę bez apetytu.

– A co mam powiedzieć? – wzruszył ramionami. – Pas zdjąć? Chleba nie żałujemy, a jak nie chce żony wziąć i iść na swoje, to niech nie idzie.

Roman roześmiał się. Stefan, Kajtek i Stach jedli w milczeniu.

- Ty już, Władziu, nic nie mów – podsumowała Bronka.
- A co ja takiego powiedziałem? – nie wytrzymał Władek.
- Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy – burknął Roman.
- Mnie nie przeszkadza, że wszyscy jesteśmy razem w domu – łagodziała Bronka.

Stach obserwował Romana uważnie. Brat był wysoki, czarny jak Cygan i usposobienie miał cygańskie. Chodził swoimi drogami, w domu rzadko bywał, a nawet kiedy przychodził, to wszyscy mu z drogi schodzili, bo albo był zły po pracy, albo zły po picu w karczmie. Stach go nie lubił. Kochał go jak brata, bo ksiądz w kościele mówił, żeby wszystkich ludzi kochać, a rodzina to przecież najważniejsi ludzie, ale lubić nikogo Kościół nie nakazywał. Kiedy był mały, matka mu opowiadała, jak się modliła o to, żeby Roman się urodził, bo myślała, że nie będzie miała dzieci. Stach zdumiał się wtedy, że o takiego Romana można się modlić, ale nic nie powiedział. Kiedy był już starszy, pomyślał, że matka pewnie modliła się do Pana Boga o jakiegokolwiek dziecko, które w polu pomoże, ale Pan Bóg widocznie był zajęty, bo przysłał im Romana. Zaraz potem Najwyższy najwyraźniej się zmiłował, bo urodził się Władek, którego wszyscy lubili, a potem wesoły Stefek i jeszcze miłszy Kajtek, a wreszcie on.

- Czy ja jestem mamie na pociechę? – pytał matki, kiedy czytała mu różne opowieści w cieniu drzewa.

Matka go wtedy obejmowała i całowała w czoło.

- Oczywiście – mówiła, a jej oczy były pełne miłości. – Jesteś moją pociechą. Moją radością, a przyjdzie czas, że będziesz dumą.

Matka była dla niego niczym gniazdo bocianie. Takiego porównania by użył. W Brwinowie były bociany. Jeden przylatywał do nich, odkąd Stach pamiętał, i siadał w gnieździe na stodole. Wysoko, wysoko. Chłopak nie widział, co się tam dzieje, ale lubił siadywać nieopodal i słuchać klekotania najpierw Wojtka, bo tak go nazwał, potem jego towarzyszek. Kiedy przyszły na świat małe bocianiętka, Stach nie posiadał się ze szczęścia. Pobiegł wtedy do matki i powiedział jej o tym. Ucieszyła się i odpowiedziała mu, że to znaczy, że są dobrymi ludźmi, skoro bociany

założyły tu rodzinę. Wtedy pomyślał, że one to zrobiły dla matki. Nie dla ojca, nie dla jego braci czy dla niego. Dla matki. Bo ona była dobra. Najlepsza na świecie.

Cierpiał, kiedy zobaczył, że ojciec chodzi do karczmy i wraca do domu pijany. Matka płakała, a on modlił się, żeby ojciec przejrzał na oczy i nie chodził tam, gdzie go licho niosło, tylko wracał do domu. Powiedział mu nawet o tym za którymś razem, kiedy jechali do mistrza Gołębia. Ojciec długo milczał i Stach już się bał, że w złości zawrócą do domu i zamiast deski heblować, oberwie ojcowskim pasem. Ojciec jednak popędził konia, a gdy już byli przed domem cieśli, kazał mu wysiadać i bez słowa odjechał. Kiedy znów po niego wyjechał, ani słowem nie wspomniął o tamtej rozmowie, tylko powiedział, że do Grodziska Stach już może sam do majstra koleją jeździć i wracać. Stach tylko pokiwał głową. Niby prawda, że kolej jeździła, ale sądził, że dla ojca to żadna fatyga zawieźć go do Grodziska. Pieniądze na bilet można było oszczędzić, a Stach przy okazji nauczyłyby się powozić. Kiwnął jednak głową i od tamtej pory jeździł koleją. Swoją drogą, miłe to były wyprawy, bo przez okno Stach oglądał pola brwinowskie i ludzi na nich pracujących. Lubił patrzeć na odchodzące w dal drzewa, na kolory, z każdym tygodniem coraz to inne. Zwłaszcza na wiosnę krajobraz zmieniał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wiosna roku tysiąc dziewięćsetnego długo nie chciała nadejść. Pociąg mijają aleję kasztanowców i Stach założył się z Władkiem, że drzewa nie zdążą w tym roku zakwitnąć na rocznicę Konstytucji 3 maja, które to święto w Brwinowie było szczególnie celebrowane, chociaż po kryjomu, jak wszystkie ważne rocznice dawnej Polski. Ksiądz odprawiał wtedy uroczystą mszę i wszyscy wiedzieli, czemu jest taka uroczysta, chociaż udawali, że bez powodu tego dnia gromadzą się w kościele odświętnie poubierani. Stary ksiądz Tadeusz ledwie się trzymał na nogach, ale niektóre msze odprawiał osobiście – nabożeństwa triduum paschalnego, pasterkę oraz właśnie mszę konstytucyjną. Od kilku lat w kościele pod wezwaniem Świętego Floriana zgodnie z rozporządzeniem Soboru Watykańskiego II śpiewano pieśni po polsku, ale tego dnia miało to szczególną wymowę. Carscy urzędnicy nawet nie zbliżali się do kościelnego ogrodzenia, a ichni

szpiedzy, których w Brwinowie niestety nie brakowało, albo rezygnowali tego dnia z uczestnictwa w celebrowaniu święta, albo trzymali gęby na kłódkę. Bo na cóż by się zdał donos, który by brzmiał: cały Brwinów, bogaci i biedni, zgromadził się w kościele i słucha księdza, który peroruje po polsku.

Tego roku święto wypadło w czwartek i Stach poprosił mistrza Gołębia o to, by mógł pojechać do domu wyjątkowo tego dnia. Majster jak zwykle wzruszył ramionami, wciąż wydawał się obojętny wobec tego, czy Stach jest u niego, czy też go nie ma. Stach już się z tym pogodził, że tak jak się pojawił, tak zniknie z warsztatu przy ulicy Kościelnej, a Gołąb pograży się całkiem w picie. On sam pić nigdy nie zamierzał. Widział, co wódka robi z ludźmi. Ojciec to jeszcze o rodzinę dbał i chleba im nie brakowało, ale Kacper Gołąb rodziny nie miał i zapijał się z tego powodu na śmierć.

Wiele lat później, kiedy już się fachu nauczył i w Brwinowie zaczął pracować, pojechał odwiedzić swojego dawnego mistrza, chociaż ten, kiedy kończył nauczanie, zakazał Stachowi powrotu na Kościelną. Niestety Kacper Gołąb nie żył już wtedy od roku, o czym Stach nie wiedział i czego bardzo żałował, bo był pewien, że mistrz się opamięta i do cieszności wróci. Pracownia i dom spaliły się do cna. Jak mu wyjaśnił najbliższy sąsiad, pożar wybuchł jednocześnie w pracowni i w domu, i był zbyt rozległy, żeby można było uznać, że jakieś zaniedbanie, przypadkowa iskra, zaproszyła ogień. Kacpra znaleziono całkiem spopielałego nie w łóżku, tylko przy stole, gdzie siedział spokojnie, czekając, aż go ogień i dym zabiorą na tamten świat.

Teraz Stach nie miał jednak o tym pojęcia, wysiadł na stacji w Grodzisku i od razu poszedł na Kościelną, mijając przy tym warsztat szewski, pracownię garncarską i atelier krawieckie. Zastał majstra w pracowni, pochylonego przy deskach, pogwizdującego przy robocie. Nigdy go takim nie widział.

– Dzień dobry, mistrzu – powitał go grzecznie.

– Chodź no tu, chodź! – przywołał go i pokazał na stół, gdzie leżała kartka zatłuszczonego papieru, na której ktoś, najpewniej on sam, napisał

kopiiowym ołówkiem rzędy cyfr. – Wiesz, co to jest? – spytał Stacha.

Stach pokręcił głową.

– Robota, chłopaku. Prawdziwa robota.

Jeden z Grodziskich bogatych obywateli wywiedział się, że na Kościelnej jest dobry stolarz, który wprawdzie czasy świetności ma za sobą, ale za to jest tani, i zamówił u niego dębowy stół i krzesła.

– To na początek – wyjaśniał Stachowi. – Jak się sprawimy, to nam zleci jeszcze kredens i kto wie, może łóżko sobie nowe zażyczy.

– A te cyfry to co? – spytał Stach.

– To wymiary – wyjaśnił Gołąb i uniósł palec. – Zaraz zatem będzie bardzo ważna lekcja.

Stach zastygł w niemym przerażeniu. Liczenie nigdy nie było jego specjalnością. Jakoś przebrnął przez dodawanie, odejmowanie i mnożenie, ale dzielenie było już dla niego kłopotem. Co, jeśli trzeba będzie dzielić, a on sobie nie poradzi? Majster gotów go odesłać.

– A po co liczyć? – spytał zdenerwowany nie na żarty.

– A ty jak chcesz bez liczenia mebel sklecić, co?

– No... – Stach długo szukał odpowiedzi pod kpiącym wzrokiem Kacpra Gołębia, ale jej nie znalazł.

– No właśnie – sapnął majster. – Teraz pewnie rozumiesz, czemu ci te świątki kazałem spalić.

Stach ciągle nie rozumiał i żał mu jeszcze nie przeszedł, ale pokiwał głową.

– Zobacz – mistrz pochylił się nad papierem. – Krzesło nie tylko musi być ładne. Krzesło przede wszystkim ma utrzymać tego, co na nim siedzi.

Wydawało się to oczywiste, ale Stach słuchał z takim wyrazem twarzy, jakby jego życie od tego zależało.

– Żeby zrobić dobrze krzesło, musisz użyć właściwej grubości desek, porządnie je zahartować. Poza tym proporcje między szerokością siedzenia a długością nóg muszą być właściwe, rozumiesz?



Stach i to rozumiał, ale wiedział, że te proporcje trzeba będzie obliczyć i tego się właśnie obawiał.

– To jest proste, tylko musisz chcieć się nauczyć – tłumaczył mistrz. – A jak raz sobie zapamiętasz, to już zawsze będziesz pamiętał.

Długo tłumaczył co i jak, a wreszcie Stach zaczął pojmować. Żałował, że nie wziął ze sobą jakiegoś kajetu, żeby zapisać majstrowe nauki, ale co się odwlecze, to nie uciecze, pomyślał.

– A teraz jeden z największych przyjaciół dobrego cieśli – majster ponownie uniósł palec. – Miarka.

Stach sięgnął po nią, ale majster uniósł rękę do góry. Drugą pogroził Stachowi.

– Nie dotykaj, to moje! – ostrzegł.

Stach był ciekaw, jak będzie mierzył długość desek, skoro nie może dotknąć miarki, ale majster odpowiedział, zanim chłopak zadał pytanie.

– Zrobisz sobie własną, a tymczasem pożyczę ci moją.

Stach wziął do ręki podany przedmiot i przyjrzał się mu z nabożeństwem. Miarka wyglądała na całkiem zwyczajną.

– Piękna, prawda? – spytał Gołąb.

Chłopak gorliwie przytaknął.

– Więc tak... Najpierw planujesz siedzisko. Długość, szerokość i grubość – tłumaczył majster. – Potem nogi.

Stach słuchał w skupieniu, ale obawiał się, że nie spamięta. Ramiaki, nasadka, siedzisko, oparcie. Wszystko miało swoją długość, szerokość i grubość, które się zmieniały w zależności od rodzaju drzewa i stylu krzesła. Najważniejsze to tak dobrać długość nóg do szerokości siedziska, żeby ten, kto siada na krześle, nie spadł z niego. Kiedyś wydawało mu się to oczywiste. Teraz myślał, że to trudne. Wreszcie zrozumiał, dlaczego majster wyrzucił jego zabawki. Głowa Jezusa była za mała w stosunku do tułowia, ręce za krótkie, a nogi krzywe i zbyt cienkie. W jednej chwili przestał żałować swoich zniszczonych figurek.



Władek też patrzył na kasztanowce. Założył się ze Staszkiem nie dla samego zakładu, miał w tym ukryty cel. Kazia powiedziała, że wyjdzie za niego jeszcze z początkiem jesieni, jeśli drzewa zakwitną na wiosnę. Tak właśnie powiedziała.

– Wyjdę za ciebie już na jesieni, jeśli drzewa zakwitną na wiosnę.

Tymczasem śnieg leżał w Brwinowie jeszcze w kwietniu, a żadne drzewko nie wypuściło kwiecia. Matka się martwiła, że nawet gdyby na jabłoniach wyszły kwiaty, to nocny mróz je zetnie i nie będzie jesienią jabłek.

– Zróbmy tak jak kiedyś – zaproponował. – Zapalmy małe ogniska.

Matka uśmiechnęła się tylko i spojrzała w niebo.

– Mróz już powoli odchodzi, niebawem musi przyjść wiosna – stwierdziła.

Kazię zobaczył w kościele. Znał ją już wcześniej, oczywiście, przecież wszyscy w Brwinowie się znali, ale była od niego kilka lat młodsza, nie chodzili razem do szkoły, więc i nigdy do niej nie zagadał. Co tam miał gadać do smarkatej z perkatym nosem i jasnym warkoczem, który zawsze starannie zapleciony wystawał spod chusteczki i łagodnie kołysał się na plecach. Niedawno jednak inaczej spojrzał na ten kołyszący się warkocz i złapał się kilka razy na myśli, że chętnie by te włosy wziął w rękę. Nie żeby dziewczynę pociągnąć, chociaż i takie grzechy miał na sumieniu, ale żeby... właśnie, żeby co, zadawał sobie pytanie. Chciał po prostu trzymać jej warkocz w rękę. Zaczął dokładniej przyglądać się owej dziewczynie. Najpierw obejrzał sobie ją w kościele od stóp do głów, ukradkiem, żeby nie narazić się przy tym na karcące spojrzenie matki, która chociaż rozmodlona, widziała wszystko dokoła, od Stefankowych psot po Władkowe ukradkowe spojrzenia. Buzię Kazia miała okrągłą, oczy głęboko osadzone, poważne, koloru niebieskiego. Zęby białe jak twarożek, ale rzadko je pokazywała w uśmiechu. Nie była zbyt wysoka, dość szczupła, pod bluzką niewiele się rysowało, ale na to nie zważał, bo nie wydawało

mu się to ważne. Do kościoła Kazia zawsze wkładała białą bluzkę, serdak i korale, spódnicę w kwiaty, w dwóch miejscach pocerowaną, ale zawsze czystą i wykrochmaloną. Pochodziła z niezbyt zamożnej rodziny, od Walków, którzy mieli pod lasem trochę piasków. Chociaż była jedna w domu, to widać, że im się nie przelewało. Jedna krowa, kilkanaście kurek, powozu ani konia nie mieli. Stary Walek pożyczał konia do orki od sąsiadów, czasem nawet od nich, od Winnych. Sadzili głównie kartofle, kapustę i trochę owsa. Kazia pomagała w domu, widział to z daleka, bo często chodził po wsi, żeby choć z daleka Kazię zobaczyć. Ona go nie widziała, zawsze zajęta karmieniem kur, wyprowadzaniem krowy na pastwisko czy porządkami w obejściu. Podśpiewywała sobie przy tym jak ta ich sąsiadka, której śpiewy denerwowały go, bo niekiedy nie milkły od rana do wieczora. Ale nucenie Kazi lubił. Śpiewała pięknym, czystym głosem, śliczne, chociaż smutne piosenki. Po obejściu chodziła zawsze boso, tylko do kościoła zakładała chodaki, trochę zbyt duże na nią. Władek kiedyś sobie postanowił, że kupi jej buty, skórzane, solidne i wtedy zrozumiał, że Kazia, chociaż nic nie zrobiła, żeby przyciągnąć Władkowi wzrok, weszła mu prosto do serca.

– Coś ty taki smutny? – spytała matka którejś niedzieli, kiedy siedzieli przy stole.

Ojciec wyjątkowo nie poszedł do karczmy, Roman nie był zły na cały świat, Stefek i Kajtek dokazywali umiarkowanie, także dało się wytrzymać przy stole, a mały Staszek, najmilszy brat, opowiadał o robieniu karmników dla ptaków, co Władkowi wydawało się jakąś miejską fanaberią. Ptaki przecież wyżerały ziarno z pola! Mieliby karmić je w domkach, niczym kury – to już mu się nie mieściło w głowie. Ale Staszek taki był. W każdym razie wszyscy przy stole gadali jeden przez drugiego, chociaż nie zawsze z sensem, tylko Władek jadł z nosem na kwintę.

– Ja? – Nie wiedział, co matce odpowiedzieć. – Nie jestem smutny.

– Jesteś – upierała się. – Co tam, synku?

Stefan i Kajtek zachichotali. Ojciec oderwał wzrok od żuru i mrugnął do niego.

– Może ty żeś się, synu, zapatrzył w jakąś dziewczuchę, a ona w ciebie nie, co?

– Kto by się tam we Władka zapatrzył? – odezwał się natychmiast Stefek i już się zrywał do ucieczki, ale wzrok matki przygwoździł go do krzesła. Zresztą Władek nie zamierzał brata gonić i bić, był za dorosły na takie bzdury.

– Władka to by każda chciała! – krzyknął zapalczywie Staszek, a brat odwdzieczył mu się uśmiechem.

– Jakby każdy go chciał, toby tu nie siedział i nie mamrotał pod nosem – rzucił złośliwie Roman.

– O kogo chodzi? – zainteresowała się matka. – Powiedz synku, o którą dziewczynę?

– O żadną! – Władek krzyknął z irytacją, czym się zdradził. Stefek i Kajtek zarechotali.

– Z dziewczyną trzeba tak – odezwał się nieoczekiwanie ojciec – na tańce zaprosić, od razu do słowa przejść, rozmówić się, zaklepać, bo jak ładna, robotna i bogata, to ci ją ktoś zaraz sprzątnie sprzed nosa.

– Niech ojciec mi da spokój! – zaperzył się Władek, ale słowa ojca zapamiętał.

– Ty Antoni myślisz, że nic się nie zmieniło od czasów, kiedy mnie na tańcach upatrzyłeś – stwierdziła matka, ale widać było, że to, co ojciec powiedział, nie było jej niemiłe.

– Ja cię już wcześniej upatrzyłem, ale na tańcach zagadałem – uściślił ojciec.

– To o którą chodzi? – spytał Roman. – Może ja ci rad udzielę, co?

– Nie potrzebuję twoich rad – burknął Władek zgodnie z prawdą, bo Roman nie był specjalnie wart naśladowania. Już swoje lata miał, dziewczyny na tańcach zaczepiał. Wszyscy wiedzieli, że jedna z drugą z nim na siano chodzi, ale żenić się nie zamierzał.

– Nie potrzebujesz moich rad, co? – rozeźlił się Roman. – Bierz przykład ze mnie. Mogę mieć każdą, a nie muszę mieć jednej.

– Roman! – wrzasnęła matka. – Tu są dzieci!

– Życia niech się uczą! – roześmiał się Roman.

Kajtek i Stefek znów zachichotali, ojciec skrzywił wargi w uśmiechu. Stach na pocziwej buzi miał kompletny brak zrozumienia dla słów Romana. Tylko matka była wielce niezadowolona.

– Nie sztuka dziewczyny bałamucić – powiedziała w końcu. – W tańcu to z każdą przyjemnie. Byle orkiestra grała. Nie sztuka nawet zaciągnąć... – tu szybko zerknęła na młodszych synów, ale jedli spokojnie, więc kontynuowała – ...tylko ważne, jak się potem po bożemu będzie żyło.

– A kto mówi, że ja po bożemu nie chcę? – Roman wzruszył ramionami i odsunął od siebie pusty talerz.

– Nie żyjesz po bożemu, bo za dziewczynami latasz, a żadnej do chałupy jeszcze nie przyprowadziłeś – przypomniał mu ojciec.

– Jeszcze się taka nie urodziła, co by mnie była warta – rzucił butnie Roman. – Da mama jedzenia wreszcie?

– Wszyscy zupę zjedzą, to dam – odparła stanowczo. – A co do Władka, to niech on sam decyduje, czy dziewczynę na tańce będzie zapraszał, czy na spacer. Jego sprawa.

– Właśnie – odezwał się Stach i popatrzył z miłością na brata. – Jego sprawa. Nie wasza.

Władek postanowił wreszcie do Kazi zagadać. Nie chciał jej zapraszać na tańce ot tak sobie. Chciał, żeby pierwsze ich spotkanie było szczególne. Zbliżał się czas odpustu w Brwinowie. Postanowił, że spotka się z nią właśnie wtedy. Wszyscy uwielbiali odpust. Stragany na brwinowskim rynku zapełniały się wówczas różnego rodzaju dobrem. Dziewczyny oczy wypatrywały za koralami, chusteczkami i pierścionkami z żółtym oczkiem. Dzieciaki biły się o cukrowe koguciki i błagały rodziców o konie na kijku albo drewniane szabelki. Dorośli chodzili i oglądali stragany rymarskie, garncarskie oraz stoiska z narzędziami.

Miał podejść do niej po mszy, ale jak zwykle Kazia ruszyła szybko z rodzicami w kierunku chałupy. Głupio było tak podejść i spytać, czy by

nie odeszła z nim kawałek, bo chciał ją o coś spytać. Własna rodzina zgotowałyby mu piekło kpin i żartów. Poszedł zatem do Walków po południu, ukrył się w gęstwinie drzew przy domu Kazi i czekał, aż dziewczyna wyjdzie. Pocił się obficie nawet w cieniu, ale stał twardo, przeklinając swój pomysł. Wreszcie, kiedy chciał już wrócić do siebie, bo gwizdać na nią przez okno przecież się nie godziło, Kazia wychynęła z domu.

– Kazia! – zawołał.

Obejrzała się zaskoczona.

– Władek? – spytała, a jemu zrobiło się ciepłej na sercu. Przecież mogła nie wiedzieć, jak ma na imię.

– Władek Winny. No. Ja – odpowiedział niezręcznie.

Teraz powinna go zaprosić na podwórze albo do chałupy, ale wciąż stała i patrzyła na niego tymi spokojnymi, niebieskimi oczami.

– Przecież widzę, że ty – powiedziała w końcu.

– Pójdiesz ze mną na odpust? – wypalił.

– Czemu nie... – odparła spokojnie.

Nie wiedział, czy się ucieszyła, czy też uznała, że wszystko jej jedno, z kim pójdzie na odpust. Takie „czemu nie” nieco go rozżłościło.

– Chyba że nie chcesz.

– Przecież powiedziałam, że pójdę – wciąż stała za płotem i przypatrywała mu się spokojnie.

– Ale powiedziałaś „czemu nie”, a nie że chcesz – plątał się.

Przewróciła oczami.

– Powiedziałam, że pójdę z tobą na odpust, Władysławie Winny – stwierdziła nagle z mocą, odwróciła się na pięcie i wbiegła do domu.

Liczył dni do odpustu, a te jakby jemu na złość wolno płynęły.

– Władek! – wołała go matka. – Co z tobą? Drwa trzeba narąbać. Kończą się.

Nie kończyły się. Nigdy się nie kończyły, ale bez słowa wychodził i zabierał się za robotę. Odkrył, że to zajęcie, dawniej tak nie lubiane, przynosi mu ulgę. Długo ostrzył siekierę, żeby jej ostrze wchodziło gładko w drewno. Jeśli skupił się dostatecznie mocno na tym, żeby położyć pień na klocku, potem uderzyć siekierą w sam jego środek i rozłupać przynajmniej do połowy, był z siebie zadowolony, bo potem już łatwo szło. Jeśli w drewnie powstała szczelina, a siekiery nie można było wyjąć, wtedy unosił do góry cały pień, odwracał w powietrzu i uderzał odwrotną stroną. Pień puszczał, a dwa jego kawałki odskakiwały daleko. Musiał uważać, żeby spadający kloc nie uderzył go w nogę. Kiedy Władek rąbał, podchodził do niego Azor, stary pies, który przybłąkał się lata temu od strony Grudowa i został u Winnych. Na niego też uważał. Azor, dawniej szybki jak błyskawica, teraz już ledwie chodził.

– Władek! – Znów dobiegł go głos matki. – Obiad!

– Dopiero zacząłem... – spojrzał na stos porąbanych kawałków i zdumiał się, że czas tak szybko mu zleciał.

Kiedy odłożył siekierę, poczuł się zmęczony.

– Stefek, Kajtek! – zawołał na młodszych braci, których obowiązkiem było układanie drewna w drewutni. Sam umył ręce, matka bardzo na to zwracała uwagę, i siadł do obiadu.

– Jedz, synu – zachęcała go rodzicielka.

Matka była piękna. Mimo swoich lat wciąż pozostała szczupła i wyprostowana, a włosy po dawnemu wiązała w koronę, obecnie już trzy razy zakręcała warkocz wokół głowy. Kazia miała ten sam odcień włosów co matka, może dlatego tak mu się podobała. Chociaż nie, nie były do siebie podobne. Kazia drobniejsza i szczuplejsza, oczy miała innego koloru i na buzi była inna.

– Co ty mi się tak przyglądasz? – Matka naląła sobie zupy.

Rzadko się zdarzało, żeby byli sami w domu. Kajtek i Stefek zajęci byli układaniem drewna, Staszek u swojego majstra w Grodzisku, a ojciec jak zwykle u kogoś piec stawiał.

– Zdawało się mamie – bąknął.

Matka uśmiechnęła się.

– Już ja tam wiem, pytanie tylko dlaczego.

Władek postanowił powiedzieć to i owo, w końcu komu miał się zwierzyć jak nie matce. Z ojcem nie było po co rozmawiać na takie tematy, a Romek postępował z dziewczynami okropnie.

– Bo się zastanawiam, czy taka jedna dziewczyna jest do mamy podobna – wypalił, a Bronka tak się zdziwiła, że mało nie upuściła łyżki do zupy.

– Jaka jedna? – spytała takim tonem, że Władek pożałował, że zaczął ten temat.

– A co? – Uciekł wzrokiem. – Mama uważa, że mnie się dziewczyna nie może podobać?

– Ależ może, synku, może – matka znów się uśmiechała. – Tylko nigdy nie widziałam, żebyś ty za dziewczynami latał.

– Nie latam za dziewczynami – odpowiedział. – Nie jestem Roman.

Matka machnęła ręką. Roman i pod tym względem był dla niej przedmiotem trosk.

– No to o którą dziewczynę chodzi? – spytała łagodnie.

– Kazię Walków – wyznał.

Matka, co go zdumiało, szukała w pamięci albo udawała, że nie wie, o kogo chodzi. Wreszcie spytała:

– Drobna, cicha, z warkoczem?

Pokiwał głową.

– Walkowie to porządni ludzie, tylko biedni – stwierdziła.

– My jesteśmy bogaci – napomknął.

– Tak – kiwnęła głową. – Poza tym my nie panowie, żebyś się zastanawiał, czy dziewczyna dla ciebie urodzeniem i majątkiem odpowiednia.

– Ale czy ona dobra?



Matka zrobiła zafrasowaną minę.

– Nie wiem, synu – powiedziała w końcu. – Ty musisz zdecydować.

Skrzywił się.

– A jak ona mnie nie zechce? – wydusił w końcu uwierające go pytanie.

– Jak nie spytasz, to nie będziesz wiedział – odpowiedziała od razu matka, po czym wstała, żeby nałożyć mu kaszy ze skwarkami i cebulą.

– Zaprosiłem ją na odpust – wyznał.

– Bardzo dobrze – odparła, ale zaraz jej twarz się zmieniła, jakby sobie przypomniała coś szczególnie miłego. – Twój ojciec zapraszał mnie na tańce. Był strasznie zazdrosny.

– Co to znaczy? – Władek nie do końca rozumiał.

– To znaczy, że miałam wtedy adoratora, nie powiem ci kogo, bo go znasz – powiedziała, przypominając sobie Mańka. – Ale ojciec mu wytłumaczył, że ja jestem jego.

Władek uniósł brwi ze zdumienia.

– Pięścią mu pewnie ojciec wytłumaczył. Jak Roman. Też się bije, a potem nie zwraca uwagi na te dziewczyny, co to się niby o nie starał.

– Roman to co innego – stwierdziła Bronka. – Jak spotka odpowiednią kobietę, to przestanie do karczmy chodzić i burdy wszczynać, tylko zacznie pracować jak trzeba w polu i o rodzinę dbać.

– Może tak, może nie – odparł Władek, ale zaraz do swoich spraw wrócił, bo mu się o Romanie nie chciało gadać. – Ja bym też był zazdrosny, ale nie chciałbym nikogo bić. Chociaż potrafię.

Matka położyła mu rękę na dłoni.

– Ja tylko tak powiedziałam o tym biciu – mruknęła. – Ale nigdy nie uważałam, że tak z kobietą trzeba. Siłą. – Zastanowiła się przez moment, wreszcie podjęła przerwany wątek – Bądź dla niej miły, dobry, pokaż, że jest tą jedyną. Jeśli jest.

– I mama nam pobłogosławi?

– A czemu nie? – zdumiała się. – Walki do kościoła chodzą, nikomu nie wadzą, a że nie najbogatsi we wsi? To panna będzie miała przy nas szczęście.

Władek spojrział na matkę z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedział.

Poszedł po Kazię, kiedy tylko zaczął się odpust. Znów stał przy płocie, nie wiedział, czy zagwizdać, żeby wyszła, czy krzyknąć. Na szczęście musiała na niego czekać, bo pięciu minut nie postął, a wyłoniła się z chałupy, tak samo starannie ubrana jak do kościoła, z warkoczem zaplecionym. Tyle tylko, że na jego końcu zobaczył czerwoną wstążkę. Podobały mu się tak ozdobione włosy.

Szli w milczeniu, bo Władek nie wiedział, co powiedzieć, a Kazia nie podejmowała rozmowy. Wreszcie doszli na miejsce odpustu i wtedy dostrzegł zachwyty na twarzy dziewczyny. Plac pełen był kolorowych straganów, jeden ładniejszy od drugiego, a na każdym pełno było różnorakiego dobra, od słodyczy po korale. Władek miał pieniądze. Zarobił je u doktora Brzozowskiego, kiedy z ojcem i Romanem nową stodołę stawiali.

Doktor kilka lat temu pojechał w swoje rodzinne strony i wrócił do Brwinowa z żoną. Całe szczęście, jak mawiała matka, bo już go okoliczne baby swatały, aż się biedak opędzić nie mógł. Widać po nim było, że bardzo szczęśliwy, a pani doktorowa miła i piękna. Tylko dzieci nie mieli, więc w końcu przysposobili małą dziewczynkę z sierocińca w Warszawie i pani Krystyna, zwana czasem przez męża Karoliną, kupiła kucyka, żeby dziecko miało radość. Zaledwie dwa lata później trzeba będzie stodołę rozbierać i kucyka sprzedać, bo dziewczynka zgaśnie na zapalenie płuc, co pogrąży dobrego doktora i jego żonę w ogromnym smutku. Tymczasem jednak stodoła była wyrychtowana, a kieszeń Włada pobrzękiwała pieniędzmi.

Władek ścisnął ją w rękę i nie wiedział, jak Kazi powiedzieć, że kupi jej chustkę albo korale, albo jedno i drugie. Na szczęście jedna baba przy straganie wyręczyła go i zawołała głośno:

– Kawalerze! Kawaler tu pannę przyprowadzi!

Podeszli zatem i zaczęli oglądać, co miała baba na straganie. A miała dużo dobra, bo i korale, i chusteczki, wszystko śliczne, nowiutkie. Kazia dotykała delikatnej tkaniny drżącą ręką. Oglądała korale drewniane i szklane chyba, bo pobłyskiwały w słońcu. Jedne ładniejsze od drugich. Gdyby jego pytali, toby nie wiedział, czy bardziej mu się podobają szklane, czy te zwykłe, drewniane. Nie umiałby też wybrać koloru.

– Śliczności – powiedziała w końcu i już chciała odejść na bok, kiedy Władek spytał:

– Które ci się podobają najbardziej?

– Wszystkie są piękne – odparła z prostotą.

Jednak odeszła kilka kroków.

– No ale wybierz sobie jakieś – poprosił i poczuł się niezręcznie, bo spojrzała zdumiona i spytała:

– Ale ty mnie chcesz kupić?

Pokiwał głową.

– Nie trzeba – stwierdziła.

– Wiem, że nie trzeba, ale ja chcę – męczył się strasznie.

Na szczęście baba znów mu przysłała w sukurs.

– Podejdzie no tu panna i kawaler! – przywołała ich, a kiedy podeszli, zwróciła się do Kazi – Panna sobie wybierze albo korale, albo chusteczkę, bo kawaler nie po to na odpust przyszedł, żeby z pustymi rękami wracać.

Kazia spojrzała niepewnie, a gdy kiwnął głową i uśmiechnął się zachęcająco, ponownie utkwiała wzrok w rzeczach rozłożonych na straganie.

– Sama nie wiem... – spojrzała na babę.

– Panna weźmie tę chusteczkę – baba podała jej delikatną, w niebieskie i czerwone kwiatki. – Pasuje do panny urody.

Kazia spojrzała z zachwytem na cudo, które baba rozłożyła przed nią.

– Ta jest najpiękniejsza – zachęcił dziewczynę Władek. – I korale też wybierzemy.

– To za dużo... – zmieszała się Kazia.

– Nie za dużo – zdecydował i już nie czekał na decyzję baby, tylko wskazał takie, które jemu się spodobały. – Te – pokazał palcem.

Baba pokiwała głową z uznaniem.

– Piękne, błękitne. Jak niebo – stwierdziła.

Wzięła od Władka pieniądze i zawinęła nabytki w papier.

– Panna ma szczęście! – powiedziała na odchodnym. – Szczodry kawaler to skarb!

Twarz Kazi wyrażała najwyższe szczęście i Władek też poczuł się szczęśliwy, chociaż gdzieś z tyłu głowy kołatała mu myśl, że być może Kazię uszczęśliwiają wyłącznie prezenty jako takie, a nie osoba darczyńcy.

– Kupię dla nas po preclu – powiedział, kiedy minęli stragan ze świeżymi preclami, które tak pachniały, że Władowi zaburczało w żołądku. Kazia dosłyszała to burczenie i roześmiała się.

– Wolę z solą niż z makiem – wyznała.

On też wolał te z grubymi kryształami soli. Kupił zatem dla nich po preclu oraz po lemoniadzie, bo dzień był gorący. A kiedy usiedli na trawie i jedli precle, popijając lemoniadą, Władek wypalił:

– Ożenię się z tobą.

– Czemu nie – odpowiedziała, ale widząc jego minę, roześmiała się, pacnęła go delikatnie w pierś i powiedziała – Zgadzam się. Ożeń się ze mną.

Władek zdał sobie wtedy sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że właśnie się oświadczył. Po drugie, że został przyjęty. Pierwsza rzecz przeraziła go, bo nie sądził, że ma tyle śmiałości. Druga zaraz uspokoiła, bo śmiałość się opłaciła. Ośmielił się zatem jeszcze bardziej. Sięgnął delikatnie i ujął w dłoń warkocz Kazi. Potem zamknął oczy. Warkocz był miękki w dotyku, gładki i ciepły. Przeszedł go dreszcz. Kiedy otworzył oczy, jego przyszła żona wpatrywała się w niego poważnymi oczami. Także i do niej dotarło, co tu właśnie zaszło.



Roman patrzył na dziewczyny jak na kłody w tartaku. Niby każda inna, ale koniec końców drzewo nie żelazo. Albo do spalenia, albo do siedzenia. Nie ma co się roztkliwiać. Do żadnej nie czuł mięty. Podobała mu się może bardziej ta czy owa, ale kiedy je zapraszał na tańce albo na piwo, a one szły chętnie, czar natychmiast pryskał. Zaraz się też zorientował, która chętna do pokazania białych piersi, a która pokaże to drugie, nawet da sobie tam rękę wsadzić. Albo i co innego. Roman dostawał wszystko, co chciał. Smagły, gładkolicy, strzelał czarnymi oczami, a dziewczynom miękkie nogi. Bawiło go to.

Była taka jedna Kryśka. Od zawsze chodził za nią Antek od Felków. Kryśka i Antek, Antek i Kryśka. Od dziecka. Wszyscy tylko czekali, aż dadzą na zapowiedzi. Wystarczyło jednak, że Roman rzucił okiem na tę Kryśkę. Nie podobała mu się, ale chciał mieć nad nią władzę. Ona z początku udawała, że zainteresowanie Romana jest jej obojętne. Wtedy zmienił strategię i przestał na nią zwracać uwagę, ale kiedy wracał z roboty, mijał zagrodę Felków. Nie było to po drodze, więc liczył, że Kryśka zauważy. Zauważyła. On przechodził obok jej domu, ona wychodziła wieszać pranie, albo do stodoły, albo wody ze studni nabrać. Śmiać mu się chciało, kiedy ją widział. A już jak raz wyszła i dostrzegł, że burakiem policzki poróżowiła, wiedział, że ją ma.

Spotykał się wtedy po kryjomu z Maryską. Maryśka była spod Józefowa, z rodziny, w której było dziesięcioro dzieciaków. Ojciec był szewcem, ale wykarmić tylu gąb się nie dało. Chciał dwójkę albo trójkę nawet oddać do klasztoru. Mniszka jeść dostaje i wiadomo – nic wielkiego nie ma do roboty, tylko się modlić, od czasu do czasu księdzu posprzątać. Maryśka nie chciała na mniszkę iść, to jej ojciec kazał do roboty do Warszawy jechać. Kiedy przyszła mu o tym powiedzieć, zalewała się łzami. A Roman zamiast

też się zmartwić, to się ucieszył, bo miał już Maryśki dość. Przestało mu się podobać, że taka chętna, że jak go tylko widziała, to spódnicę zadzierała.

– Musimy ojcu powiedzieć, o błogosławieństwo prosić – mówiła i wierzchem dłoni wycierała smarki z twarzy, co napełniało go obrzydzeniem.

Nie chciał hysterii, więc jej nie powiedział, że nie może się doczekać, aż mu z oczu zniknie.

– Maryśka – tłumaczył. – Ojciec ma rację. Młoda jeszcze jesteś. Powinnaś do Warszawy jechać i pracę znaleźć.

– Ty już do żeniaczki gotowy – upierała się, chociaż nie mogła nie zauważyć, że nigdy o ślubie nie mówił i nie snuł marzeń o wspólnym życiu.

– Jeszcze nie gotowy – uciekał wzrokiem.

– I bogaty jesteś – twierdziła. – Wy, Winni, jesteście bogate chłopy.

Kręcił głową, chociaż miała rację. Szkoda tylko, że w domu ziemniaki, kasza i kapucha na stole, myślał, słuchając wywodów Maryśki. A ona miała dużo do powiedzenia w kwestii pieniędzy.

– Dom już stoi, w ty pod spódnicą u matki – przekonywała. – Ja już w latach. Będę dobrą żoną. No i się kochamy...

On jej nie kochał na pewno. Poza tym nie wiedział, co to kochanie. Nie kochał nikogo. Przynajmniej do tej pory. Nienawidził, owszem, ale żeby kochać? Na pewno nie Maryśkę.

– Marysiu... – użył całego swojego uroku. – Jedź do Warszawy, rozejrzyj się trochę. A jak ci się nie spodoba, to wrócisz.

Nie było to zapewnienie o miłości, ale Maryśka słyszała tylko to, co chciała usłyszeć. Poza tym pomyślała sobie, że może ukochany wysła ją do tej Warszawy nie bez powodu. Może w wielkim mieście ogłady nabierze i kto wie, czy nie wielkopańskich manier. Wróci już nie jako wiejska dziewczucha, ale dobrze wychowana panna. A Roman chatę tymczasem przyszykuje i się do niej wprowadzą. Pojechała zatem, a Roman zajął się Kryską.

Mijały miesiące, a Maryśka nie wracała, ale Roman nawet nie zainteresował się dlaczego. Nic go to już nie obchodziło. Jej matka płakała, chodziła po wsi i gadała, że dzieciak na poniewierkę poszedł. Ojciec wzruszał ramionami i dalej szył buty. Nie było mowy o tym, żeby do Warszawy pojechać i córki szukać. Bo i za co? Nigdy się nie dowiedzieli, że Marysia służyła za wikt i opierunek u pewnej zubożalej szlachcianki, jedynej, co to w łaskawości swojej chciała ją zatrudnić i jak się wyraziła, szkolić. A jak już ją wyszkoliła i Marysia zaczęła się skarżyć, że inne dostają pieniądze, to ją czym prędzej z domu wyrzuciła, wymyślając jej od niewdzięcznic. Marysia wróciła do tej pani, która ją do zubożalej szlachcianki wysłała, i przez nią trafiła do innej rodziny, która wprawdzie płaciła, ale tyle co nic i poniewierała dziewczyną jak ścierką. W największy mróz pani wysłała ją do modystki po kapelusz i Marysia wróciła taka zziębnięta i przemoczona, że dostała zapalenia płuc. Doktora do niej nie wezwano, bo nikt za garkotłuka nie będzie płacił. A kiedy zgasła, to pani krzyczała nad trupem, że niewdzięczna, bo kto to teraz z tym zrobi porządek. Pochówkiem zajęły się litościwe siostry zakonne, których o śmierci Marysi zawiadomiły inne służące. Tyle było Marysinego, że w Warszawie umarła, jak chcieli ojciec z matką.

Nikomu nie przyszło do głowy w Brwinowie szukać jakiejś rodziny i listy pisać. Roman więc nawet nie wiedział, kiedy od uciążliwej wieśniaczki się uwolnił. Na Kryśce też mu nie zależało, chciał jedynie Antkowi pokazać, gdzie jego miejsce. Bo Antek z Romanem w tartaku pracował i nosa zadzierał, że najlepiej pracuje, że go zarządca ceni. Roman był pracowity, ale do końca życia nie zamierzał siekierą machać, tylko iść na swoje, ale na własnych warunkach. A na Antku chciał się zemścić, więc ciskał spojrzenia w Krysię, aż w końcu się poddała, wyszła do niego i spytała, co od niej chce.

– Nic – powiedział Roman niezgodnie z prawdą, ale zaraz postąpił kilka kroków w jej stronę i rzucił – Chodź ze mną na tańce.

– Narzeczonego mam – poinformowała go dość oschle Krysia.

Roman się roześmiał.

– Tak? – spytał. – Po słowie jesteście?

Krysia niepewnie kiwnęła głową.

– Na zapowiedzi daliście? – pytał dalej, wbijając w nią bezczelne spojrzenie.

– Nie – zaprzeczyła.

– A czemu nie? – Oparł się o Krysi płot.

Uciekła wzrokiem. Roman wiedział. Antek na pewno chciał zarobić, zanim żonie jakąś chałupę postawi.

– No i sama widzisz – splunął obok stopy. – To co? Pójdiesz na tańce?

Pokręciła głową i czym prędzej uciekła do chałupy. Roman był jednak zadowolony, bo ziarno zasiał. W kolejne dni wciąż chodził okrężną drogą, przechodząc umyślnie wolno koło chaty Kryśki. Zostawiał przy tym a to kilka pięknych gruszek, a to bukiet polnych kwiatów, żeby sobie Kryśka nie myślała, że on tylko w gębie mocny. Podpatrzył to u Władka. Ten swojej biduli z warkoczami ciągle coś kupował, kwiatki zbierał, chociaż już przyrzekła wyjść za niego. Władek mógł mieć każdą, ale widać tylko ta jedna go interesowała. Frajer.

Któregoś dnia w pracy zaczepił go Antek.

– Ej! – zawołał za nim.

– Kup se klej! – Roman wolno się odwrócił.

Antek splunął na ziemię. Roman przyglądał mu się ironicznym spojrzeniem.

– Odczep się od mojej dziewczyny – powiedział w końcu.

Roman stał nieporuszony.

– Ona twoja? – spytał. – Znamię jej na dupie wypaliłeś, czy co?

Antek rzucił się na niego. Roman zdążył zarobić w szczękę, ale sam uderzył Antka w nos, że aż kość chrupnęła, zanim rozdzielił ich zarządca.

– Won mi stąd! – rzucił krótko.

Ponownie starli się już poza tartakiem. Roman, przygotowany na atak, bił się spokojnie, jakby od niechcienia. Antek, wściekły, zalany krwią ze



złamanego nosa, bił się zajadle, ale większość jego ciosów trafiała w próżnię. Wreszcie Roman trafił go prawym sierpowym w brzuch tak mocno, że Antek padł na kolana, stęknął, po czym zwałił się na ziemię. Roman podszedł, żeby sprawdzić, czy dycha, bo mu się nie uśmiechało na stryczek trafić za morderstwo. Antek dychał, więc Winny nabrał trochę wody z nieopodal płynącego strumyka i ochlapał mu twarz. Pobity otworzył oczy i jęknął, więc Roman zostawił go na drodze, a sam poszedł do domu.

Kryśka przyleciała do Winnych po zmierzchu i tak długo stukwała w okno, aż Roman się obudził i do niej wyszedł.

– Ty draniu! – krzyczała i okładała go piąstkami.

– Cicho bądź! – jej też miał ochotę przyłożyć. – Drzesz się, a ludzie śpią!

Kryśka oderwała się od niego.

– Narzeczonego mi zmasakrowałeś! – powiedziała już normalnym głosem.

– On zaczął – odpowiedział jej Roman.

– Ty zacząłeś przychodzić i kwiatki zostawiać – pisnęła. – Jak ci to było niemiłe, to trzeba było mnie przegnać, a nie oczami przewracać i burakiem gębę czerwienić – burknął.

Kryśka złagodniała.

– Doktor powiedział, że trzy żebra mu złamałeś i nos – powiedziała cicho.

– No to tańczyć nie może – zaśmiał się Roman bezczelnie, ale zaraz umilkł, bo w oknie dojrzał światło świecy i zobaczył matkę spoglądającą na niego z dezaprobatą. – Dobra, już dobra – łagodził.

Już chciał iść spać, kiedy Kryśka złapała go za rękaw.

– Mogę iść na tańce – powiedziała.

A to kocica, pomyślał i uśmiechnął się. Najpierw bije, potem chce tańczyć. Antek to mu powinien podziękować. Co by z niej za żona była.

– Dobra – mruknął. – Przyjdę jutro po ciebie.

Na tańcach nie było śladu po Antku, za to orkiestra grała mazura i skoczne walczyki. Kryśka tańczyła wdzięcznie, a Roman trochę się nudził. Tańczył z Kryską, która zachowywała się, jakby jej życie od tego tańca zależało. Inne dziewczyny rzucały jej spojrzenia pełne dezaprobaty. Za to Roman czuł się jak król. Jakby jemu nic nie mogło zaszkodzić. Wszyscy widzieli, a jeśli nie widzieli, to usłyszeli od innych, że Antek pierwszy się na niego rzucił w tartaku. Roman tylko się bronił. Poza tym był mężczyzną, zdobywcą, miał prawo odbić dziewczynę. Widział to w oczach Gutka Danków, tego, co w zeszłym roku został zaatakowany przez dzika. Uciekł mu na drzewo i tam siedział kilka godzin, aż dzik się zniercierpliwił i sobie poszedł. Robek, ten, co to dziedzic z Kań go złapał na kłusownictwie i na czterdzieści batów go skazali, a Robek to przetrzymał, też na Romana patrzył z zazdrością. I Maniek, co obrabiał własne pole i jeszcze innym pomagał, jak nie mogli nastarczyć. I Kajtek, co był najpiękniejszy we wsi, i mówili, że może mieć każdą, a on się jakoś za żadną nie oglądał. Wszyscy patrzyli na Romana jak na zwycięzcę. Tyle że zwycięstwo przestało mu smakować. Głodny był kolejnych wyzwań. Kryśka z jej perkatym nosem już go nie cieszyła. O Maryśce, która w tej chwili w Warszawie klęczała przed srogą panią i błagała, żeby ją zbiła, ale nie wyrzucała z domu i pracy, już nie pamiętał.

– Trzymaj mocniej – usłyszał w uchu głos Kryśki.

Ale on, zamiast złapać ją silniej za talię, puścił dziewczynę.

– We łbie mi się kołuje od tych tańców – rzucił i poszedł po piwo.

Posłusznie podreptała za nim. Kupił sobie duże piwo, dla Kryśki wziął mniejsze. Kazała sobie dolać soku malinowego. Wyszli na dwór.

– Zadowolona? – spytał i zdmuchnął pianę z kufla.

– To co teraz?

Wiedział, o co jej chodzi, ale postanowił udawać głupka.

– A co ma być? – wzruszył ramionami.

– Ożenisz się ze mną? – w oczach miała dziwne ogniki.

Roześmiał się kpiąco, a Kryśka w jednej chwili wszystko pojęła. I pewnie byłaby się odwróciła na pięcie i wróciła do domu, gdyby naraz nie nadszedł Antek z trzema innymi chłopakami. Do tej pory można było całą sytuację jeszcze odwrócić. Antek przegrał z Romanem w uczciwej bitce, Kryśka poszła z Romkiem na tańce. Nic się nie stało. Po tańcach mogła wrócić do domu. Gdy Antek by wydobrzał, daliby na zapowiedzi i żyli długo i szczęśliwie. A tak znaleźli się oko w oko z Antkiem, który miał sinożółte limo pod okiem, i z trzema zakapiorami z kijami w łapach.

– Odsuń się, Kryśka! – zakomenderował Antek.

Kryśka się nie ruszyła. Roman pociągnął kolejny łyk piwa. Dwóch znał z widzenia. Byli z Grudowa, pracowali jako drwale, ale nigdy z nimi nie robił. Trzeciego widział pierwszy raz.

– Co ty tu robisz, Antek? – spytała nieco drżącym głosem.

– Nie twoja rzecz – rzucił Antek wyzywająco. – Odsuń się.

– Ja ci powiem, co on tu robi – odpowiedział spokojnie Roman. – Jeden nie mógł ze mną się mierzyć, to teraz się rzucą na mnie we czterech.

– Odsuń się, dziewczyno! – Antek kipiał ze złości.

Kryśka stała twardo.

– Idź, Antek, do domu – powiedziała. – Wstyd sobie przynosisz.

Antka jakby osa użądliła. Rzucił się w kierunku Kryśki, ale Roman zasłonił dziewczynę i chlusnął Antkowi piwem w oczy.

– Aaaa! – wrzasnął Antek, po czym odwrócił się do towarzyszy. – Bierzcie go!

Chłopaki patrzyli po sobie niepewnie. Roman wywnioskował z ich spojrzeń, że Antek im pewnie naopowiadał, jak to Roman siłą dziewczynę wziął i na tańce zawlókł. Tymczasem widać było, że nikt siły nie użył. Dziewczyna wiedziała, co robi, a opanowanie Romana budziło niepokój.

– Nie gadaj do nas jak do psów – powiedział jeden z chłopaków z Grudowa.

– Chodźcie – zaproponował Roman tym samym spokojnym, lekko kpiącym głosem. – Napijemy się piwa. Moje się zmarnowało, ale co tam.

Antek gotował się ze złości. Krysia stała przy Romanie i patrzyła na byłego chłopaka pełnym pogardy wzrokiem. Z karczmy dochodziła muzyka.

– No dobra, napijmy się – zdecydował drugi grudowianin.

Jego towarzysze zostawili kije pod drzewem. Uszli ledwie krok w stronę karczmy, kiedy dobiegło ich wycie Antka, przypominające ryk zranionego zwierzęcia. W ślepej furii rzucił się z kijem na Romana, ale trafił jedynie w ramię. Cios był jednak silny, Roman stęknął i zatoczył się. Osilki chciały chwycić Antka i odciągnąć go, ale Roman wyjął zza pazuchy pistolet, który ojciec chował w domu, i wycelował w Antka. Kryśka krzyknęła.

– Jest nabity – powiedział cicho Roman. – Jeśli strzelę, to w rękę albo w nogę, żebyś do końca życia nie mógł się spokojnie wysrać albo się podetrzeć.

Antek ukląkł.

– Idziemy, chłopaki – zakomenderował Roman, po czym zwrócił się do Kryśki, która uznała, że też jest zaproszona – A ty dokąd? Do domu!

Dziewczyna wybuchła płaczem. Antek siedział w kucki pod drzewem i ciężko dyszał.

– Zajmij się swoim chłoptasiem, bo się dziś strasznie nawojował – rzucił jej jeszcze Roman i poszedł pić z nowymi znajomymi.

Później mu powiedziano, że Antek chciał stójkowemu zgłosić, że Winny ma broń i grozi nią porządnym obywatelom. Romana pewnie by aresztowano i poturbowanozdrowo, kto wie, czy by do cyrkułu nie trafił albo na Sybir, jeśli Antek przedstawiłby się jako lojalny rosyjski obywatel. Ale on wiedział, co się działo z kapusiami i nie chciał ryzykować. Poszedł więc prosto do domu, nikomu się nie skarżąc. Wydobrzył całkiem po kilku dniach, przemyślał wszystko i postanowił o całej sprawie zapomnieć. Poszedł do Kryśki, dał jej korale, co to je kupił na ostatnim odpuszcie i czekał z nimi na odpowiednią okazję. Kryśka korale przyjęła. Oboje sobie wybaczyli. Wiele lat później Kryśka, już dzieciata z Antkiem, spotykała Romana, jak kuśtykał pijany do domu. Głowę na jej widok odwracał albo uśmiechał się obleśnie, a wtedy ona dziękowała Bogu, że do Antka wróciła.

Roman tymczasem pił z nowymi znajomymi z Grudowa i rozglądał się dokoła. Dziewczyny poszły szeptać w kąt, a chłopaki chciały się z Romanem napić. Pochlebiało mu to, chociaż miał świadomość tego, że w dużej mierze zawdzięcza ten szacunek broni za pazuchą. Od czego jest jednak mężczyzna? – tłumaczył mu kiedyś ojciec. Od tego, żeby rodzinę utrzymać i żeby się inne chłopy do jego baby nie zbliżyły. Ojciec dbał o rodzinę mimo picia. Zawdzięczał to złotym rękom zduna i przytomności umysłu matki, która potrafiła utrzymać go w ryzach i zabrać pieniądze, kiedy było trzeba. Co do tego drugiego, to Roman dobrze wiedział, że chociaż jego baby nikt nie ruszył, to ojciec sięgnął ręką po cudze. Zdumiał się, jak zobaczył kiedyś, do kogo chodzi. Wiesia Batalka to była czarownica, szeptucha, dziwaczka, znana w całej wsi. Ludzie omijali ją z daleka, ale jak się krowa nie mogła ocielić albo doktor nie umiał pomóc, to się do Wiesi biegło, parę groszy zostawiało albo jakieś jedzenie i Wiesia wychodziła za swoją chatę, paliła zioła, mamrotała zaklęcia i sprawy jakoś się układały. To znaczy tylko wtedy, kiedy Wiesia podejmowała się interwencji. Bo czasem mówiła, że nic się nie da zrobić. Wtedy lis wpadał do kurnika i dusił kury, krowa padała, a człowiek umierał na suchoty czy też inną zarazę. Roman zachodził w głowę, czemu właśnie na nią ojciec zwrócił uwagę. Wiesia nie dorównywała urodą matce, ani tym bardziej gospodarnością. Dzieci z Batalkiem nie mieli. Może ojca zaczarowała, żeby do niej chodził, pod domem stał i patrzył w okno niczym stróżujący pies. Roman widział, jak raz go wpuściła do domu, a on miał szczęście wypisane na twarzy. Nie wiedział, co tam robili, nie miał odwagi podejść do okna, może nie chciał tego wiedzieć, ale ojciec nie był długo. Zaraz wyszedł, drwa narąbał, bo nie wiedzieć czemu Batalka tego nie robił. Wody jej naniósł ze stawu, bo Batalki studni nie miały. Roman wstydził się za ojca jak nigdy w życiu. Batalka albo nie wiedział o tych wizytach, albo było mu to obojętne. A może wiedźma wszystkich zaczarowała, żeby nikt ichniej tajemnicy nie poznał? Roman nigdy nie dosłyszał, żeby ktokolwiek inny miał wiedzę w temacie. Gdyby mu jakiś chłop przy piwie chociaż słowo powiedział, toby zabił, nie w ojca obronie, bo o niego nie dbał, ale dla honoru matki. Bo matka to była jedyna kobieta, która dla Romana coś

znaczyła. I chociaż jej nie lubił, tych jej ksiązek i patrzenia w dal, jej służenia panom i uśmiechów, którymi obdarzała miłszych od niego braci, był gotowy dla niej zabić.

W chwili śmierci to właśnie matka mu przysłała do głowy i to jej obraz zobaczył przed oczami. Tymczasem jeszcze daleko mu było do umierania, ale przeznaczenie właśnie go dopadło i to tu, w brwinowskiej karczmie. Stała z grupą dziewczyn, z tymi, co wcześniej tańcowały, ale mógłby przysiąc, że widzi ją pierwszy raz w życiu. O mało się nie zakrztusił piwem. Nie patrzyła na niego, za to on gapił się w nią jak ciele w malowane wrota. Kim była? Na pewno tu nie mieszkała. W Brwinowie nie było takich pięknych dziewczyn. Musiała być sporo od niego młodsza. Wyglądała na jakieś dziewiętnaście lat.

– Kto to jest? – zagadnął Tadek, chłopaka z Grudowa.

Ten wzruszył ramionami.

– Ona nie z naszych – burknął.

Miała czarne falujące włosy, których niesforne kosmyki wymykały się spod chustki. Czarne jak węgiel oczy świeciły niczym ogniki. Kiedy się śmiała, widział rząd równych, białych jak śnieg zębów. Drobna, szczupła, kibić miała wąską, piersi drobne. Lubiał, jak dziewczyna miała duże. Lubiał za nie łapać i miętosić. One też to lubiły. Spojrzała na niego przelotnie, ale nie zatrzymała na nim wzroku, jakby nie istniał. Coś ukłuło go w piersi. Podszedł do niej śmiało.

– Zatańczysz? – spytał, bo znów skrzypki grały.

– Nie – odpowiedziała poważnie.

Nie było to ani prowokacyjne, ani zalotne, ale ostateczne.

– Dlaczego nie? – spytał.

– Bo nie mam ochoty – odpowiedziała.

Dziewczyny wkoło niej spojrzały z niechęcią na Romana. Anka Kicianka skrzywiła się.

– Idź stąd, Roman – rzuciła w jego stronę.

– A bo co? – zeźlił się. – Do ciebie nie przyszedłem.

– Może bił mnie będziesz, co? – kpiła sobie z niego.

Bić jej nie zamierzał, bo szkoda mu było pięści. Anka Kicianka mogła dla niego nie istnieć. Tyle że teraz stała u boku najpiękniejszej dziewczyny na świecie i nie wiedzieć czemu, broniła mu do niej dostępu.

– Piwo wam postawię, dziewczyny – powiedział przymilnie.

– Nie chcemy – odpowiedziała Anka i odwróciła się do niego.

Druga, Karolka od Niechtów, co to jej ojciec na kolei pracował i pod pociąg wpadł, a matka osiwiła w jedną noc, prychnęła pogardliwie. Za nią też się nie uganiał, pewno dlatego tak się zachowywała.

– Ty też nie chcesz? – zwrócił się do pięknej dziewczyny.

Pokręciła głową. Nie pozostawało nic innego jak odejść albo siłą ją do tańca brać i piwem częstować. Roman jednak wyczuł, że w tym przypadku to nie metoda. Ukłonił się zatem tej wiejskiej piękności i wrócił do grudowiaków.

– I co? – spytał ten drugi, bodajże Felek. – Pogoniła cię?

Roman się skrzywił.

– Może tańczyć nie umie – stwierdził.

– Albo pindy nie ma – zarechotał Tadek.

Dziewczyna tymczasem wyszła przed karczmę. Widział ją przez okno, jak stała z dwiema innymi dziewczynami i gadała coś, śmiejąc się od czasu do czasu. Nie chciał wychodzić, bo swój honor miał. Może ona komuś już obiecała, dlatego taka honorna. Chociaż jakby obiecała, toby z nim przyszła. Roman postanowił, że się nie podda. Odczekał swoje, a kiedy dziewczyna pożegnała się z innymi i poszła w stronę wsi, zatrzymał Kiciankę i zaczął wypytywać.

– Z Kotowic jest – odpowiedziała Anka, patrząc na Romana z lekką pogardą.

– A co tu robi? – pytał.

Anka wzruszyła ramionami.

– Przyjechała.

– I tam wraca? – dopytywał się.

– A skąd ja mogę wiedzieć, co? – Anka zżymała się po wiejsku. – Co to ja jestem? Plotkara?

Miał ochotę trzasnąć ją w ucho, ale wytrzymał.

– Przeca gadałyście – stwierdził.

– Gadałyśmy – zgodziła się Anka. – Ale mi życia nie opowiadała.

– A gdzie ona teraz poszła? – zaryzykował pytanie, a Anka roześmiała się.

– A co mi dasz Winny jak ci powiem, co? – kpina w jej głosie była aż nadto wyraźna.

– A co byś chciała? – poczęstował ją jednym ze swoich spojrzeń, które działały na dziewczyny, ale tym razem Anka nie zmiękła. Przeciwnie, odchyliła hardo głowę i rzuciła:

– Mało ci tutejszych dziewczuch? A może ty, Winny, chcesz teraz dziewczyny z Kotowic bałamucić? Tamtejszym chłopakom je wrywać? Ty się Winny nie boisz, że któregoś dnia ktoś ci nóż w plecy wbije, co?

– Nie boję się – powiedział spokojnie. – Jak wbije, to zatańczysz na moim grobie.

– Zatańczę, jak będziesz miał grób – Anka wypowiedziała bezwiednie prorocze słowa, a potem dodała – Ona niedaleko was mieszka. Po sąsiedzku.

Zatem była szansa, żeby dziewczynę dogonić. Podziękował Kiciance, bo w końcu dostał, co chciał. Do karczmy już nie wrócił, niech tam sobie grudowiaki dalej piją. Sam pobiegł ścieżką w stronę domu, licząc, że dziewczyna idzie wolno, nie spieszy się i zdąży ją jeszcze dogonić.

Zobaczył ją z daleka w świetle księżycy. Szła wolno i rozglądała się na boki. Ona też go dojrzała, a raczej usłyszała kroki. Jeśli przelekła się, że to ktoś obcy i może jej zrobić krzywdę, to tego nie okazała.

– Czeka! – zażądał.

Zatrzymała się.



– Na co mam czekać? – spytała.

Może wszystkie kotowickie panny takie były, nie wiedział, ale innej dziewczyny, która by tak obojętnie do niego mówiła, nie widział. Może chodziło o to, że Roman się jej nie podoba? Na wszystkie pytania odpowiadała bowiem grzecznie, ale bez śladu emocji. Nie było w niej ani hardości, ani zalotności. Nie strzelała oczami, nie szczyrzyła zębów w uśmiechu, chyba że wtedy, kiedy rozprawiała z dziewczynami. Była, jak by to powiedzieć, „inna”. Zorientował się, że nie wie nawet, jak ona ma na imię. Ukłonił się jej zatem i powiedział:

– Roman Winny jestem.

– Władka Romaniuk – odpowiedziała tym samym poważnym tonem.

– Przyjechałaś do Brwinowa... – nie wiedział, jak ująć w słowa swoje pytanie – ...na zawsze?

Pokiwała głową.

– Jestem sierotą – stwierdziła tym samym pozbawionym emocji głosem. – Tylko siostra mi została. To przyjechałam.

Wichniakowa była od Władki dużo starsza, własne dzieciaki miała, tylko trochę od niej młodsze. Zachodził w głowę, jak to mogło być, że Władka była jej siostrą.

– Wichniakowa przecież stara baba... – powiedział niezręcznie i zaraz pożałował, bo dziewczyna uniosła ze zdumienia piękne brwi i odwróciła się do niego plecami.

– Nie twoja rzecz – rzuciła lekceważąco i szybkim krokiem ruszyła ścieżką.

– Czekaj! – zatrzymał ją.

Władka wspominała tę chwilę wiele lat później, kiedy Roman obrażał ją i posądzał o najgorsze rzeczy. Jak mogła wtedy nie zauważyć, że nie przeprosił. Jak mogła uznać, że nie trzeba przeproszać, kiedy się mówi o innych źle. Jak mogła o tym Romanie w ogóle myśleć.

– Zostaw mnie! – burknęła, chociaż ją dogonił i szedł z nią ramię w ramię. Kiedy przyspieszała to i on wydłużał krok, a kiedy się w końcu

zatrzymała zmęczona, też się zatrzymał. – Czego za mną leziesz?

– Bo mi się podobasz – rzucił pewnym tonem, przyzwyczajony do tego, że dziewczyny są zawsze dla niego miłe i cieszą się, kiedy do nich zagaduje. Może ona była niechętna tylko tak na początku, dla niepoznaki, żeby sobie nie pomyślał, a pod spódnicą już ją świerbiło, by mu dać. Może jedynie udaje takie niewiniątko, a do Brwinowa zjechała, bo całe Kotowice ją miały. Trzeba się wywiedzieć.

– Ty mi się nie podobasz – powiedziała spokojnie i weszła do domu Wichniaków, a on został w nocy pod płótem, gapiąc się na sąsiedni dom jak głupi.

„Podobam ci się, podobam”, powiedział do siebie, ale wcale nie był tego pewien. Popatrzył sobie jeszcze chwilę na dom z nadzieją, że może gdzieś zapali się światło świecy i w oknie mignie jej cień, ale się nie doczekał. Odszedł, zastanawiając się, jak do takiej Władki się zbliżyć, jak skłonić tę dziewczynę, żeby wyszła z nim na tańce, a kto wie, czy by nie chciała i co innego. W jego pojęciu sierota, która mieszka u siostry, najpewniej na łaskawym chlebie, nie mogła się specjalnie cenić, zadzierać nosa i odmawiać Winnemu, jednemu z najprzystojniejszych i najbogatszych kawalerów w Brwinowie.

– Co to za dziewczucha do sąsiadów zjechała? – spytał matki przy najbliższej okazji.

– To siostra Wichniakowej. Rodzice jej pomarli, dom w Kotowicach między ludzi puściła i do siostry przyjechała.

– Widziałem, jak na dom łypiesz i chodzisz w kółko jak pies – roześmiał się Władek, który wszedł właśnie do kuchni i nie zamilkł nawet pod groźnym spojrzeniem brata.

– A ty do tej dziewczyny? – zainteresowała się matka. – Ona bardzo młoda. Sporo młodsza od ciebie.

Roman zdusił przekleństwo. Po cholerę z rodziną zaczynał dyskusję.

– Spytać się nie można? – burknął, po czym podszedł do kamionki i nalał sobie zsiadłego mleka.

– Można, pewnie – matka wzruszyła ramionami. – Wiem tyle, co powiedziałam. Grzeczna dziewczyna. Spokojna, poważna. Dobrze z oczu patrzy.

– Skąd mama wie? – nie wytrzymał.

Matka uśmiechnęła się lekko.

– Znam się na ludziach.

– Jak się mama tak zna, to mnie mama powie, czy porządna – Roman nie patrzył na Bronkę.

Władek nie wytrzymał i zaniósł się śmiechem.

– Dobrze – powiedział. – Roman co żadnej nie przepuści, pyta, czy dziewczyna porządna. A jak nieporządna, to co?

– Jak nieporządna suka, to niech szcześnie – odparł Roman takim tonem, że Władkowi i Bronce zamarł śmiech na wargach.

– No... – odezwała się Bronka. – Nie mów takich słów. Myślałam, że ta dziewczyna ci się podoba. Jak nie potrafisz uszanować własnego uczucia, to...

– To co? – skrzywił się Roman. – Zleje mnie mama?

Bronka pokręciła głową. Roman był jej synem, ale spośród wszystkich swoich synów jego lubiła najmniej i zupełnie go nie rozumiała. Po kim on miał taką nienawiść do świata? Przecież i ona, i Antoni byli spokojnymi, bogobojnymi ludźmi. Wszyscy w Brwinowie ich lubili. Reszta synów też cieszyła się sympatią. Mili, weseli, może Stach był nieco za poważny, ale jeszcze przecież mały.

– Gdyby to pomogło, tobym cię do krwi zbiła... – powiedziała wolno i wyszła z izby kury oporządzić.

Roman został sam z Władkiem.

– Czego zęby szczerzysz? – spytał zaczepnie.

– Ty tak zawsze – westchnął Władek. – Nie pogadasz jak człowiek z człowiekiem, tylko od razu byś w zęby dawał.

– A co mi z gadania przyjdzie? – spytał Roman nieco łagodniej.

– Widzisz... – Władek popatrzył mu prosto w oczy. – Mnie też we wsi szanują, a burd nie wszczynam. Ludzie mnie lubią i nie muszą się mnie bać. Mogę się napić, pogadać, sprawę załatwić. A ty...

– No co ja?

Roman był dziwnie spokojny. Sam nie mógł tego zrozumieć. Może sprawiła to ta dziwna dziewczyna, która śniła mu się w nocy, może już się zmęczył awanturowaniem i bałamuceniem porządnych panien. Kto wie. Postanowił jednak brata posłuchać. Przynajmniej spróbować.

– A ty nie... – dokończył Władek i już miał też wyjść, bo robota w polu czekała, kiedy Roman złapał go za ramię, wcale nie tak, jakby go chciał uderzyć czy obrazić, ale łagodnie i siląc się na najspokojniejszy ton, powiedział, nie patrząc bratu w oczy.

– A gdybym chciał... – zaczął. – Gdybym chciał z taką dziewczyną, normalnie, jak ty...

Władek czekał, aż padnie pytanie, bo chociaż wiedział, o co bratu chodzi, nie chciał mu niczego ułatwiać. Miał w pamięci ciosy, jakie przez całe dzieciństwo otrzymywał od Romana, słowa niechęci, kpiny i wszystko, co sprawiało, że Władek brata nie lubił i zastanawiał się, co taki gbur robi w takiej rodzinie jak Winni. Bo i podobny nie był. Czarny, smagły. Niby jak Staszek, ale najmłodszy braciszek to było takie miłe, ciche i pracowite dziecko, a ten, który powinien być dla wszystkich wzorem, pomocą dla matki i wyręką dla ojca, w istocie był jednym z najgorszych ludzi w całym Brwinowie.

– Gdybym chciał z tą dziewczyną, no wiesz, zagadać, żeby było normalnie, to co mam zrobić?

Władek pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Normalnie zagadaj – doradził.

– Kiedy próbowałem – wyznał Roman. – Tańczyć nie chciała. Napić się nie chciała. A jak ją próbowałem...

Machnął ręką na wspomnienie słów o jej siostrze, ale Władek to inaczej rozumiał.

– No jak jej chciałeś na „dzień dobry” w gębę dać, to ja ci nie pomogę, stary... – powiedział, ale Roman mu przerwał.

– Zaraz tobie w gębę dam – zdenerwował się, ale szybko się uspokoił. – Zagadać chciałem, ale mi nie wyszło.

– A co powiedziałaś, że ci nie wyszło? – pytał cierpliwie Władek.

Roman się skrzywił, ale mu powtórzył krótką rozmowę.

– Widać drażliwa panna – podsumował Władek, który myślał, że Roman powiedział Władce coś naprawdę obraźliwego. Przecież wiadomo, że siostra stara jest i mogłaby być matką Władki, a nie siostrą. – Trza by jakoś to odkręcić – doradził Romanowi. – Wyjaśnić.

– A co tu wyjaśniać? Przecież ona stara.

Swoją drogą, Władek ogromnie lubił Marynę Wichniakową. Kiedy był mały, zachodził do niej, żeby posłuchać, jak śpiewa. A ona, zawsze roześmiana, miała dla niego coś dobrego do jedzenia, chociaż przecież w domu było co jeść. Ale lubił jej podplomyki, placki z konfiturami i lemoniadę. Kiedy prosił, żeby zaśpiewała, to wiedziała, że jemu nie chodzi o zwykły śpiew, tylko o jedną piosenkę, która go szczególnie wzruszała. Piosenkę o dziewczynie z koralami z jarzębiny. Dziewczyna z piosenki była bardzo biedna, dlatego zrobiła korale z jarzębiny. Zobaczył to jej ukochany i zaciągnął się na statek, żeby zarobić pieniądze na prawdziwe korale. Niestety statek zatonął, ukochany zginął. Dziewczyna czekała, a korale uschły tak bardzo, że zacisnęły się na jej szyi i udusiły ją. Nie wiedzieć czemu ogromnie tę piosenkę lubił. Sąsiadka miała dwójkę dzieci, dwie ciche dziewczynki, Lusię i Antolkę, które podobnie jak matka pracowały w polu, śpiewając. Jej mąż, chłop jak dąb, pracował w tartaku. Dobry był z niego i człowiek, i sąsiad. Władek nie raz korzystał z jego pomocy, jak spróchniałe drzewo trzeba było wykarczować czy jak powóz wpadł w błoto i trzeba było wyciągać. Tylko Roman go nie lubił, bo Wichniak w tartaku pilnował innych i bardzo dbał o to, żeby robota była dobrze wykonana. Roman jednak nikogo nie lubił.

– No ale panna się obraziła, że jej siostrę tak nazwałeś. Trzeba załagodzić – tłumaczył.

– Jak? – spytał krótko Roman.

– Powiedzieć, że nie to się miało na myśli, i zagadać miło.

– Jak? – znów spytał Roman, a Władek przewrócił oczami.

Faktycznie, pojęcie „miło” nie mieściło się w Romkowej głowie. Władek pomyślał chwilę, w końcu powiedział:

– Słuchaj, ja wiem, że ty z Kryską tego... – zaczął.

Roman spojrzał ponuro.

– No i co? – uciekł wzrokiem.

– Mnie idzie o to, że wtedy to ja widziałem, co robiłeś – tłumaczył Władek. – Gruszki jej przynosiłeś, kwiatki zbierałeś. Z tą też tak trzeba. Tylko szczerze.

Roman się zastanowił. Wtedy nie miał czystych intencji, chciał dziewczynę zbałamucić i zagrać na nosie Antkowi, dlatego zachowywał się jak głupek. Teraz jednak zachowywałby się jak głupek na serio. Ryzykował, że owa Władka weźmie go za idiotę i tym bardziej nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego.

– No nie wiem – zastanawiał się.

– Z Kazią zadziało – perswadował Władek.

Roman się skrzywił.

– Ta twoja Kazia – zaczął, ale brat tak się nastroszył, że Roman odpuścił tłumaczenie, że Kazia biedna i niespecjalnie urodziwa, więc taki chłopak jak Władek to dopiero miał szanse. – Ona ciebie chciała – dokończył niezręcznie.

– A ty pierwszy raz byś chciał, tylko ona nie, tak? – brat patrzył na niego z ironią.

– Ona piękna – westchnął Roman. – Może ona pana chce, nie chłopca.

Władek pokręcił głową. Co do urody, to zgadzał się z Romanem. Władka była wyjątkowo piękną dziewczyną. Nawet piękniejszą od Kazi, musiał to przyznać, chociaż Kazia była dla niego tą jedyną. Władka mogłaby jednak zawrócić w głowie nawet panu, jak to Roman powiedział, ale nie wyglądała

na dziewczynę, która komukolwiek chciałaby zawracać w głowie. Jemu także, podobnie jak matce, wydawała się dobra. Przez chwilę pomyślał, że szkoda takiej dziewczyny dla Romana, ale naturalnie nie powiedział tego głośno.

– Ja bym jej siłą nie brał, tylko dobrym słowem, ale zrobisz, jak zechcesz – podsumował Władysław i wyszedł, bo już słońce było naprawdę wysoko.

Roman został w domu, nalał sobie jeszcze kwaterkę mleka, wziął dodatkową pajdę chleba i zaczął dumać, co by tu zrobić, żeby piękna Władka spojrzała na niego łaskawym okiem. I zanim zjadł chleb i wypił mleko, już chciał się zmienić, dobre słowa w sobie znaleźć, zauważyć, że świat wkoło jest piękny. Zaraz też postanowił swoje plany wdrożyć w życie. Na początek wybrał się na przechadzkę i tak sobie szedł niby przypadkiem, aż zaszedł przed obejście Wichniaków. Zwolnił kroku, jak wtedy pod domem Kryśki, spodziewając się, że Władka zaraz wyjdzie. Nic takiego nie nastąpiło. Wreszcie zniecierpliwiony wszedł śmiało do niewielkiego ogródka i udał się prosto na tyły chałupy, bo słyszał dobiegający stamtąd śpiew sąsiadki. Maryna Wichniakowa przycinała właśnie wąsy poziomkom leśnym i śpiewała jakąś piosenkę, jak to ona, o dziewczęciu nieszczęśliwym. Drgnęła na widok Romana.

– Sąsiad? – wyprostowała się. – Stało się coś?

– Z siostrą chciałem porozmawiać – powiedział. – Z Władką znaczy się.

– Kiedy jej nie ma, do Kotowic pojechała – odparła Marynia.

Poczuł rozczarowanie. To on jak idiota polazł do jej domu, krążył niczym sęp, a ta sobie gdzieś jeździ. Zaraz też przestraszył się, że Władka wróciła tam, skąd przyjechała.

– Mówiła, że tu będzie mieszkać – powiedział.

– Tak, ale coś po śmierci tatulka musiała jeszcze załatwić. I pojechała. Jutro wróci.

– Ano tak – stwierdził i już chciał wracać do siebie, kiedy Marynia powiedziała:

– Zapraszam na lemoniadę, do domu.

Poszedł za nią, bo głupio mu było się teraz wykręcić. Po śmierci wujostwa już nigdy nie odwiedził tego domu. A i czasy, kiedy ciotka, wuj i chłopaki tu mieszkali, pamiętał bardzo słabo. Najbardziej chyba tę chwilę, kiedy wuj wyśmiał jego pomysł wspólnego wyjazdu do Ameryki, a potem pojechał bez niego i nie dał znaku życia. Pewnie teraz chodzi po ulicach jak jaki bogacz, a chłopaki mają wszystkiego w bród.

– Siadaj, Roman – zaprosiła go.

Usiadł przy stole i powiódł wzrokiem po izbie. Sąsiad zrobił nowy kredens i na środku stał solidny stół. Na ścianie wisiały inne makatki niż w czasach wujostwa, inny obraz Świętej Rodziny. Westchnął. Sąsiadka postawiła przed nim lemoniadę i miseczkę z konfiturami z poziomek.

– Częstuj się i powiedz no mi, co ty od Władki chcesz – zaczęła bez ogródek.

– Ja? – spytał, jakby przed chwilą o nią nie pytał.

– Ty – potwierdziła. – Przecież gadać z nią chciałeś.

Roman wypił lemoniadę. Była dobra, kwaskowata. Wolałby jednak łyk piwa.

– Gdzie dziewczynki? – spytał.

– Gęsi pasają – odparła, nie spuszczając z niego wzroku. – No to co chcesz od Władki?

Wzruszył ramionami.

– Normalnie – bąknął. – Na tańce iść, na spacer, no, tego...

– Na tańce i na spacer? – powtórzyła po nim. – A po co ci na spacer z Władką chodzić, co?

Roman nalał sobie jeszcze lemoniady, bo mu się jakoś gorąco zrobiło.

– Chciałbym – powiedział niezręcznie.

Marynia pokręciła głową.

– Coś ty mi tu mętnie gadasz – stwierdziła. – Za stary dla niej jesteś.



– Ja? – uderzył się w pierś tak mocno, że aż zadudniło. – Ja za stary? A po co jej młodziak bez grosza przy duszy?

– Jej dopiero na siedemnasty rok idzie, a ty dawno powinienesz być na swoim, żonę mieć i gromadę dzieci. Tymczasem widzę, co robisz. Po wsi latasz i dziewczyny bałamucisz. Wstyd!

Tego to już zdzierżyć nie mógł i byłby wstał, i drzwiami trzasnął, ale przypomniał sobie nauki Władka, swoje postanowienia i stwierdził:

– Ja się już wyszumiałem, chociaż wciąż młody jestem. I będzie jej ze mną dobrze. Ptasiego mleka jej nie zabraknie.

Marynia pokiwała głową.

– Ptasiego mleka, powiadasz? I wystarczy, żeś jeden z najbogatszych we wsi, tak?

– Będzie jej ze mną dobrze – potwierdził.

– Jeśli będzie chciała – nie ustępowała sąsiadka. – Ja tam jej nie zamierzam oszukiwać. Ja cię widziałam nie raz, Romanie Winny.

Milczał, a ona gadała i gadała. O Romana burdach, o tym, że pije, matka przez niego oczy wypłakuje. Bracia tacy mili, porządni, zawsze wpadną, zagadają, a on nie. Matka – lepszej nie ma w całym Brwinowie. Jak dziewczynki chorowały, to zaraz kazała po doktora biec i życie im uratowała, bo Marynia tylko się modliła, a doktor proszki dał i córeczki po kilku dniach wyzdrowiały. I jak trzeba coś pomóc czy poradzić, to Bronka Winna od razu leci. Ojciec też dobry człowiek, chociaż czasami do kieliszka zagląda, ale przynajmniej po pijaku burd nie wszczyna. Jak się o coś poprosi, to Winni zawsze pomogą. Sąsiedzi, że ze świecą szukać.

– I tylko ciebie, Romanie Winny, nie widziałam, żebyś komuś pomagał. Nie tylko nam. Innym też. I nie myśl, że nie słyszałam, jak się śmiejesz z mojego śpiewania i nienawidzisz mojego starego, bo nad tobą w tartaku jest.

Roman spuścił głowę. Jedyne, co mógł zrobić, to milczeć albo zacząć bić. Wreszcie wstał, uklonił się niezręcznie i skierował do wyjścia. W progu jednak stanął, odwrócił się i powiedział:

– Ja z gęby cholewy nie robię. Zmienię się. A na Władkę poczekam, jak będzie chciała. Jak nie, to nie.

I nie czekając na odpowiedź potencjalnej szwagierki, wyszedł na zalany słońcem placyk przed domem.



Władzia wiele nie myślała o mężczyźnie, który do niej zagadał w karczmie, uważała go za zbyt leciwego dla niej. Pochlebiało jej wprawdzie jego zainteresowanie, ale w takim samym stopniu jak zainteresowanie innych młodych ludzi, z którym spotykała się na każdym kroku. Bo Władzia nie była świadoma siły swojej urody. Przeciwnie, uważała, że uwagę ze strony chłopaków i mężczyzn zawdzięcza swojej powściągliwości. Skrytość Władzi zawsze budziła ogromne zdumienie, tak wśród jej rodziny, jak i znajomych, ale rodziła też zaciekawienie. Gdyby ją spytać, czemu taka jest, nie papie z innymi, nie gada po próżnicy, toby nie umiała wyjaśnić. Mogłaby jedynie rzec, że woli czegoś nie powiedzieć niż powiedzieć. Uważała się przy tym za głupią, bo umiała ledwie pisać i liczyć do stu. Ale gdyby można było jawnie do polskich szkół chodzić, Władzia skończyłaby co najmniej szkołę powszechną, jak nie zawodową. Nie brakowało jej ani inteligencji, ani pracowitości. Tyle że kontynuować nauki nie mogła z wiadomych względów. Sama w skrytości ducha bardzo tego żałowała. Jej rodzice nie przywiązywali do nauki najmniejszej wagi. W domu jej przyszłej teściowej nie raz i nie dwa wyrażano żal, że taki potencjał intelektualny się marnuje, podczas gdy rodzina Władki nie miała nic do powiedzenia na ten temat. Zatem po dwóch latach, w czasie których mała Władka uczęszczała do przykościelnej szkoły, z konieczności w kratkę, bo albo carscy urzędnicy rozpędzali chętne do nauki dzieciaki, albo nauczycielka, na co dzień bona u jakichś panów, uciekała, żeby nie zostać wywieziona na Sybir, edukacja się skończyła, a dziewczyna została z marną wiedzą. Umiała wprawdzie pięknie szyć i haftować, ślicznie śpiewała i lubiła tańczyć, ale kiedy musiała podpisać papiery spadkowe po śmierci rodziców, tylko uroda uchroniła ją przed nieuczciwym nabywcą zadłużonej ziemi i lichej chałupy.

Notariusz, do którego się udali, żeby sporządzić dokumenty, spojrział w oczy przepięknej dziewczynie, potem przeczytał dokładnie to, co napisano, i wyjaśnił jej, że nowi właściciele chcą ją oszukać. Władka, zaskoczona niezmiernie, spytała, co mogłaby w takiej sytuacji zrobić, a notariusz, poruszony jak tylko poruszony może być mężczyzna, któremu taka piękność oddaje w ręce cały swój stan posiadania, powiedział, że wszystko wyprostuje. Zatem Władka czekała w starej chałupie kilka dni, aż sprawy nabiorą mocy prawnej i odwiedzała dawnych przyjaciół. Nie miała ich wielu, bo dziewczyny ze zrozumiałych względów unikały jej, a chłopcy w tamtych czasach nie znali pojęcia czystej, bezinteresownej przyjaźni z kobietą. Tak naprawdę była związana jedynie z siostrą, chociaż tyle lat od niej starszą, i z Karolką Mazurówną, z którą łączyła ją niezwykła zręczność palców wykorzystywana w haftach i nic poza tym, bo tak jak Władka była piękna jak dzień, tak Karolka brzydka jak noc. Kiedy zabrakło przy niej siostry, Władka nie mogła sobie w Kotowicach znaleźć miejsca. I chociaż dbała o ojca, matkę i obojciec, to uśmiech zakwitał na jej twarzy tylko wtedy, kiedy siostra zjeżdżała sama albo z rodziną do Kotowic. Brwinowa nie odwiedzała. Nie mogła przecież zostawić zwierząt i starych rodziców. Takie wykręty. Prawda była jednak taka, że matka nie znosiła, jak Władka wyjeżdżała, a nawet gdy na dłużej wychodziła z domu. Kiedy szła gdzie indziej niż do kościoła, matka pojawiała się natychmiast i pytała: „Gdzie znowu cię licho niesie?”.

Potem tak długo utyskiwała, że córka jest leniwa, tylko patrzy, jak by tu wyjść z domu, tylko by oczami w stronę chłopców strzelała i tak dalej, że Władka nawet nie próbowała. Siedziała zatem w chałupie i pracowała ciężko, licząc na to, że kiedyś jej los się odmieni i będzie mogła do ludzi wyjść. I się odmienił, tyle że przez śmierć, najpierw matki, potem ojca. A teraz mógł się znów odmienić, bo przecież Władzia nie wiedziała, co tam nie tak jest ze sprzedażą pola i domu i czy ten uczony mężczyzna, z przedziałkiem pośrodku głowy, w małych okularkach, też jej nie oszuka. Skąd niby to miała wiedzieć. Słowo przeciwko słowu. Zwierzyła się ze swoich rozterek Karolce Mazurównie, a ta nieoczekiwanie powiedziała, że notariusz na pewno ma rację, bo ci, co tu krążyli wkoło chałupy Władki,

jakoś dziwnie zagadywali sąsiadów i wypytywali o różne sprawy, że od razu wiadomo, że nieuczciwi ludzie.

– Ale o co wypytywali? – nie zrozumiała Władka.

– Kto by sprzedał – wyjaśniła jej Mazurówna. – A to ziemię, a to chałupę.

Władka nie zrozumiała.

– I co w tym złego? Może pieniądze mają?

Karolka przewróciła oczami.

– Ty, Władka, nic nie rozumiesz. Janiak to od razu chciał sprzedać swoje, bo mu dobrą cenę dawali, a oni chcieli, żeby podpisał, ale pieniądze to takie niby nie pieniądze. Że w interes włożą. I będzie miał więcej, tylko za jakiś czas.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– No że teraz nie zapłacą, tylko będą z tymi pieniędzmi robili, co chcą, a za jakiś czas niby ma być więcej.

– Jak więcej? – dalej nie rozumiała.

Karolka znów westchnęła.

– Oni by nawet tego Janiakowi nie powiedzieli, ale zaraz chciał się na pniu dogadywać, wziąć ruble i z chałupy się wynosić, to dlatego się dowiedział.

– Mówiłaś, że mieli zapłacić więcej, to czemu Janiak nie chciał? – dopytywała.

Karolka też dokładnie nie rozumiała tych niby przyszłych interesów, tylko słyszała, jak jej ojciec w chałupie się denerwował, że oszuści, że w papierach napisane, że zapłacą później i więcej, ale tak tam stoi, że mogą nic nie zapłacić, a chałupa ich.

– Janiak chciwy, to się pewnie zgodził? – pytała Władka.

– Skąd! – Mazurówna obgryzła paznokieć tak głęboko, że aż się krew pokazała. – Widłami pogonił. Może on i chciwy, ale nie głupi. Każdy wie, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

Władka zastanowiła się.

– To o to pewnie chodziło temu mecenasowi... – domyśliła się i zaraz przestraszyła, że skoro oszuci, to jakby nie patrzył, dom i ziemia niesprzedane.

Karolka Mazurówna też tak myślała.

– I co ja teraz siostrze powiem? – przeraziła się dziewczyna.

Przyjaciółka zaraz ją pocieszać, że na pewno wszystko się rozwiąże i skończy dobrze, skoro ten miejski urzędnik taki Władce życzliwy.

– Ale gadaj mi tu zaraz, jak ci tam jest u siostry – zmieniła temat.

Władka wzruszyła ramionami.

– Jak ma być? – spytała. – Siostra kochana jest, a szwagier dobry człowiek. Dziewczynki przecież też dobre.

– No ale nie tego...? – Mazurówna uciekła wzrokiem. – Na łaskawym chlebie nie jesteś?

Władzia pokręciła głową.

– Nie. Niby czemu?

Już tam Mazurówna swoje wiedziała. Niby siostra, ale zawsze to dodatkowa gęba do wykarmienia, a roboty, którą się wykonuje w domu, nie widać.

– Zaraz zacznę koronki robić, to zarobię jeszcze – dodała, jakby czytała koleżance w myślach.

– No ale powiedz lepiej, jak tamtejsi chłopcy – Karolka Mazurówna znów zmieniła temat.

Władzi przypomniał się nagle Roman z błyszczącymi oczami.

– Chłopy jak chłopcy – stwierdziła obojętnie. – Takie same jak wszędzie.

– No ale tu żadnego nie chciałaś, to może tam?

Karolka była starsza o dwa lata od Władzi i głęboko przekonana, że z powodu braku urody nie czeka jej w tym względzie nic dobrego. Regularnie chadzała na wiejskie zabawy, piekła najlepsze obwarzanki

w Kotowicach, była pracowita i miła, ale nikt na niej oka nie zawiesił. Za to Władka mogła mieć każdego, lecz najwyraźniej nie była zainteresowana.

– Za młoda jestem, żeby o chłopach myśleć – rzuciła obojętnie.

Wtedy znów przywołała w myślach żarliwe spojrzenie Romana i zrobiło się jej jakoś miło i cieplej na sercu.

– Jest taki jeden – powiedziała Karolce. – Nazwisko ma takie...

– Jakie? – chciała wiedzieć przyjaciółka.

– Winny – wyznała Władzia.

– Winny?

– Ano Winny – przytaknęła.

– A jaki jest? – nie ustępowała Władka.

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą. – Dużo starszy. Bogaty.

– Starszy to dobrze, byle nie wdowiec – zastrzegła koleżanka.

– Nie wdowiec – odpowiedziała Władzia.

Właściwie to jego jednego pamiętała z tej wiejskiej potańcówki, pewnie dlatego, że wtedy za nią do domu poszedł i po drodze gadał. No i dlatego, że sąsiad. Siostra zawsze o tych sąsiadach bardzo dobrze mówiła. Szczególnie o sąsiadce. Że miła i dobra, bardzo uczynna, jak coś trzeba, to do Winnych jak w dym. No właśnie, już wtedy padło to nazwisko, ale Władzia przypomniała sobie o tym dopiero teraz.

– Jak bogaty, to pewnie jedynak – dywagowała Karolka.

– Nie, ma braci – zaprzeczyła Władka.

Roman miał kilku braci, nie potrafiła powiedzieć ilu. Niespecjalnie zwracała na nich uwagę. Właściwie w oko wpadł jej tylko jeden. Chyba najmłodszy. Przywołała w pamięci poważnego, szczupłego chłopca, który zwykle siedział na ławce przed stodołą i obrabiał jakieś drewno lub coś naprawiał. Chyba raz ich spojrzenia się spotkały i uśmiechnął się do niej, a potem pomachał ręką. Odmachała mu wtedy, bo tak wypadało, ale niespecjalnie mu się przyjrzała. Poza nim i Romanem było ich jeszcze dwóch lub trzech, zupełnych odmieńców. Z jasnymi głowami, krzykliwych,

głośnych. Siostra mówiła, że ten najmłodszy lubi słuchać, kiedy ona śpiewa. Władzia też chętnie śpiewała, ale robiła to tylko wtedy, kiedy była daleko w polu, żeby nikt jej nie słyszał.

– No ale skoro bogaty, to niech ma i braci – dosłyszała głos koleżanki, który przerwał jej rozmyślenia. Roześmiała się.

– Może który z nich ciebie poślubi, co? Byłybyśmy sąsiadkami.

– Albo siostrami – zauważyła Karolka. – Gdybyśmy poślubiły dwóch braci.

Na twarzy Mazurówny pojawiła się nadzieja. A piękna Władzia współczująco ścisnęła rękę koleżanki.



Notariusz zrobił, co do niego należało. Stowarzyszenie Kupieckie, czy jak mu tam było, musiało obejść się smakiem, a Władzia mogła odetchnąć z ulgą. Udało się bowiem odwrócić umowę kupna w taki sposób, że nie straciła jedyne go majątku, jaki miała, chociaż żadne to było bogactwo. Lepszy jednak rydz niż nic, myślała z ulgą, kiedy siedziała w małym zagraconym pokoiku, który notariusz szumnie nazywał „kancelarią”.

– Proszę bardzo – powiedział, wręczając jej jakieś pisma.

– Nie umiem czytać – wyznała z prostotą, a mężczyzna zmieszał się.

– Przepraszam, nie sądziłem, że...

Zauważyła, że na to spotkanie uczesał się starannie, poprawił przedziałek, tak że teraz znajdował się na samym środku czoła. Wąsy miał wyczesane, starannie przycięte i pociągnięte pomadą.

– Umiem trochę, ale takich papierów nie przeczytam – wyjaśniła, bo się jej go żal zrobiło, że taki zmieszany.

– Podpisała pani jednak tamtą umowę – zauważył.

– Potrafię się podpisać – nużyła ją ta rozmowa.

Czy nie wszystko było jedno temu człowiekowi, czy ona umie pisać swoje imię i nazwisko, czy coś jeszcze? Nie mówiła do końca prawdy. Umiała przeczytać modlitwy z modlitewnika i ogłoszenia parafialne, które

ksiądz zamieszczał w kościele dla państwa, bo państwo, jak wiadomo, umiało czytać. Lubiła rozczytywać tytuły w gazecie, która z rzadka trafiała w jej ręce, albo podpisy pod obrazkami. Przy obrazkach były napisane takie zdania jak: „Płyn do mycia włosów sprawi, że będą lśniły jak jedwab” albo „Coś tam, coś tam – najskuteczniejszy proszek na karaluchy”.

– W takim razie – ciągnął notariusz uroczystym tonem – wyjaśnię pani, co się stało.

Pokiwała głową, a on kontynuował wywód.

– Unieważniłem umowę i doprowadziłem do zawarcia nowej. Dom i ziemia zostały zakupione za gotówkę.

Znów pokiwała głową, patrząc na niego tym samym poważnym, pozbawionym emocji wzrokiem, który rozpalał go do czerwoności.

Kilka lat później Alojzy Sobieradzki pojmie za żonę córkę kupca, Amelkę. Amelka urodzi mu dwóch chłopców i dziewczynkę, a Alojzy będzie się uważał za szczęściarza. W upalne, letnie noce przed oczami pojawiać mu się będzie czasami obraz tamtej prostej dziewczyny o powalającej urodzie i Alojzy będzie budził wtedy swoją żonę Amelkę i kochał się z nią z gwałtownością niezrozumiałą ani dla niej, ani dla niego samego.

Teraz jednak siedział w swojej kancelarii i tłumaczył zawilości prawne dziewczynie, która nie miała pojęcia, że dzięki jego zabiegom i staraniom ocalił ją od jawnej kradzieży. Co więcej, nie wyglądała na wdzięczną. Mimo to Alojzy uważał, że do jego obowiązków należy ochrona prostego polskiego ludu przed takimi „przedsiębiorcami”, którzy oferują ciemnemu ludowi gruszki na wierzbie. Alojzy nie rozumiał chciwości i gdyby ta nieszczęśnica połaszczyła się na nieco większe pieniądze, nie kiwnąłby palcem. Ale przecież tak nie było. Ona po prostu była niepiśmienna i dała się oszukać.

– Dziękuję – powiedziała, a w jej oczach zamigotała wreszcie autentyczna wdzięczność.

Wręczył jej zapłatę za rodzinny dom w banknotach, a ona z pewnym zażenowaniem wepchnęła je za stanik. Odwrócił głowę.



– A panu ile się należy? – spytała.

Nie wziął ani grosza za swoją pracę, nie mógłby tego zrobić, ale z niejasnych dla siebie powodów nie chciał jej o tym mówić.

– Mnie już zapłacono – powiedział.

– Ja panu nie płaciłam – zauważyła.

– Kupujący płaci – odpowiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem wolno pokiwała głową.

– Skoro pan tak mówi – wstała, pożegnała się i już miała wyjść, kiedy zwróciła na niego wzrok. Znów podeszła do stolika, chwyciła go za rękę i przycisnęła ją do ust. Alojzy wyrwał dłoń i powiódł przerażonym wzrokiem.

– Ależ nie trzeba... – zachrypiał.

– Niech Bóg panu błogosławi – powiedziała piękność i wyszła z kancelarii.

– Mój Boże... – Alojzy podszedł do okna i patrzył jeszcze długo na zakręt, za którym zniknęła dziewczyna. Nie wiedzieć czemu miał nadzieję, że wróci, żeby spytać jeszcze o coś, wyjaśnić jakieś kwestie, ale już jej nie zobaczył. – Ot, wdzięczność – stwierdził wreszcie i wrócił do codziennych spraw. I chociaż był dzień, zapalił lampę, bo nagle ciemno się jakoś zrobiło, jakby słońce przygasło.

Władzia tymczasem szła w stronę dawnego domu. Dręczyło ją jakieś niejasne poczucie, że źle zrobiła, że pospieszyła się ze sprzedażą domu. Chciała być bliżej siostry, ale może trzeba było zostać w Kotowicach, dom wyszorować i w nim zamieszkać? Co z tego, że byłaby sama? Do Brwinowa rzut beretem, mogła przyjechać, przybiec nawet, kiedy by chciała. Może należało kawałek ziemi między ludzi puścić, a za zapłatę dach naprawić, kury kupić i w domu gospodarować? Byłaby na swoim, a tak to na łaskawym chlebie, dumiała, przypominając sobie słowa Karolki.

– Piękna panna, ale taka smutna... – dobiegł ją z tyłu głos. – Czemu taka smutna, co?

Odwróciła się gwałtownie. Przed nią stały trzy Cyganki, jedna stara, dwie młodsze. Pewnie tabor zjechał do Kotowic, pomyślała. Nic nie miała do Cyganów, ale matka ich nienawidziła. Mówiła, że brudni i złodzieje, dzieci porywają i wychowują jak swoje. Ty taka czarna, to ciebie porwą najpierwej, śmiał się ojciec.

– Nie jestem smutna – odpowiedziała i chciała szybko odejść pomna niechęci matki i ojca, ale starsza Cyganka ponownie się odezwała:

– Powrózę panience, Cyganka prawdę powie...

Ledwie powstrzymała się od sprawdzenia, czy pieniądze w staniku mają się dobrze. Uchowaj Boże, żeby zauważyły, że ma je przy sobie i jeszcze ją okradły. Co by nie mówić o Cyganach, niejedną kurę mieli na sumieniu. A pewnie rublami też by nie pogardzili. Kobiety stały na drodze i patrzyły spokojnie. Dopiero teraz zauważyła, że na plecach mają worki wypełnione jakimś dobrem na handel, patelniami pewnie, bo z tego słynęli. Nawet matka niechętnie przyznawała, że najlepsze patelnie mają Cygany.

– A ile to będzie kosztować? – zapytała wbrew sobie.

Wszystkie trzy roześmiały się.

– Panienska ma tam jakieś grosiwa w woreczku, widzę przecie – powiedziała znów najstarsza, łypiąc na talię Władzi.

Nie chcą mnie okraść, pomyślała dziewczyna i sięgnęła do paska, gdzie miała przytroczony woreczek, a w nim parę groszy.

– Ano mam, ale nie wiem, czy wróżba tego warta – stwierdziła i spojrzała spode łba na Cyganki.

– Fiu, fiu... – tym razem tylko stara się roześmiała. – Dobrze, dobrze... Ja panience powrózę, a panienska zapłaci albo nie.

Po czym uciszyła dwie pozostałe, które były bardzo oburzone, że być może na darmo zaczepiały piękną dziewczynę. Władzia wyciągnęła rękę w stronę kobiety. Ta chwyciła ją i wbiła spojrzenie w linie i zagłębienia wyrysowane we wnętrzu jej dłoni. Patrzyła długo, nic nie mówiła, aż druga podeszła, potem trzecia i wszystkie wpatrywały się to w rękę, to we Władkę.

– No i co? – nie wytrzymała, bo miny jakieś miały nietęgę i przestraszyła się, że nieszczęście jej wywróżą.

– No – zdecydowała się w końcu cyganicha. – Los jak to los, może się odmieni, może nie.

– Ale co mi pisane? – pytała Władzia. – Może nie wiecie?

– Niebo ci pisane – powiedziała stara, a widząc ulgę na twarzy dziewczyny, dodała szybko – I piekło. Nic pośrodku, panienczko. Dwóm niebo dasz, dwóch do piekła pošlesz. Swoimi rękami, albo cudzymi...

Władzia przestraszona wyrwała rękę. Co za bzdury, niebo, piekło, nic pośrodku. Jakich czterech?

– Jakich czterech? – spytała przestraszona.

– Syn tobie najlepszy na świecie pisany – powiedziała jedna z młodszych takim tonem, jakby chciała Władkę i siebie pocieszyć, że nie taki najgorszy los będzie jej udziałem. – Bogu pošlubiony – dodała.

– To chyba dobrze, prawda? – sięgnęła do węzełka i wyjęła kilka drobnych monet, a kobiety wzięły je, odwróciły się i szybko odeszły w stronę, z której przyszły, omawiając po drodze te dziwne i straszne linie, które zobaczyły na ręku owej dziewczyny. Władka stała na drodze i patrzyła za nimi.

– To chyba dobrze, że syna będę miała i księdzem zostanie – powiedziała do siebie, odwróciła się i poszła do domu, który już nie był jej. Po drodze żałowała, że dała się nabrać na takie wróżby, które tylko niepokój jej przyniosły.



Do Brwinowa wróciła zaraz następnego dnia, bo nowy właściciel kazał natychmiast zabierać manatki.

– Pieniądze wzięła? – spytał, a Władzia kiwnęła głową. – To idzie, bo już nie jej.

Niewiele miała dobytku, zmieściło się na jednym wozie. Przewóz zaproponował Władzi Tadeusz Kielca, zwany Tyciem, bo był malutki,

sięgał wszystkim do piersi. Poza tym wszystko z nim było w porządku, dobry był i miły, wszyscy go lubili, ale wiadomo było, że życia to on sobie nie ułoży. Władzia go lubiła, był jej drugim przyjacielem, po Mazurównie. Tyci, który kochał Władkę miłością tyle beznadziejną, co niewysłowioną, sam do niej przyszedł i powiedział, że ma wóz, silny jest, zaraz wszystko załadują i zawiezie dziewczynę, gdzie trzeba.

– Dobrze ci tam będzie? – spytał, kiedy już siedzieli na wozie, a tobołki z bielizną i z rzeczami osobistymi Władzi podskakiwały, ile razy koła trafiały na nierówności. Władzia trzymała na kolanach skrzynię, w której spoczywały pieniądze za dom i ziemię, a na nich koronki oraz hafty. Pieniądze zamierzała oddać siostrze, a z koronkami nie wiedziała, co począć, bo nie miała pojęcia, ile są warte.

– Dobrze – odpowiedziała z przekonaniem.

O swoich rozterkach wczorajszych zapomniała, wróżbę, nie-wróźbę wyrzuciła z pamięci. W Kotowicach nic jej już nie trzymało, a w Brwinowie była siostra, za którą tęskniła, odkąd ta się przeprowadziła, czyli przez całe życie.

– A zajedziesz kiedy znów? – pytał Tyci. – Do nas, do Kotowic?

– Po co? – wzruszyła ramionami, ale zaraz złagodniała. – Może na targ kiedy przyjadę, żeby koronki sprzedać.

– W Brwinowie kupię albo dom siostry ozdobisz – powiedział Tyci, który miał u siebie serwetę wyhaftowaną przez Władzię, trzymał ją zamkniętą w szafie, od czasu do czasu otwierał, koronki oglądał i dotykał ich. Wyobrażał sobie wtedy, że wodzi palcami po skórze Władzi, po jej plecach, biodrach i piersiach.

– Może i tak – odparła i znów się zamyśliła.

Tyci westchnął i resztę drogi przebyli w milczeniu. Karzeł nic nie mówił, bo zrozumiał, że Władzię ostatecznie stracił, a Władzia, bo właśnie zdała sobie sprawę, że naprawdę nic już w Kotowicach po niej. Zastanawiała się, czy będzie tęskniła, w końcu znała tam każdy kąt. Chociaż w Kotowicach brakowało jej lasu. Po kanie, kurki, prawdziwki i borowiki musiała biegać do Owczarni czy Żółwina. I tam też znała każdą piędź ziemi.

Z zamkniętymi oczami trafiłaby do chruśniaka pełnego malin i w krzaki poziomek leśnych, polanę, gdzie rosły jagody, od których czerniały zęby. W Brwinowie też pozna każdy kąt. Po co zatem miałyby wracać do Kotowic, skoro rodzinny dom poszedł między ludzi?

– Skarb wam przywiozłem – powiedział do Maryny, kiedy zatrzymali się przed domem Wichniaków.

– Jaki tam skarb – przekomarzała się Maryna. – Kula u nogi...

– To z powrotem zabiorę, skoro kula – śmiał się Tyci.

– No już niech zostanie – Maryna objęła Władzię, a potem wzięli we trójkę skromny dobytek i wnieśli do domu.

– To ja już pojedę – ukłonił się Tadeusz.

– Zostań na podpiwek – zaprosiła go Maryna. – Świeżutki, dobry na pragnienie.

– Nie odmówię – Tyci zasiadł w kuchni, pod haftowaną firanką, i spojrzał na słoje ustawione równiutko pod oknem.

– Będziemy robiły ogórki – powiedziała Władzia niepotrzebnie, bo gołym okiem było widać wielką michę ogórków i obrany już chrzan oraz ścięty koper.

Tyci wypił podpiwek, a uczynna Władzia nalała mu jeszcze trochę. Potem został z jej siostrą, a dziewczyna poszła w głąb chałupy, gdzie za przepierzeniem miała już własne łóżko i trochę miejsca w sam raz na skrzynię. Kiedy wróciła, Tyci znów się zbierał. Tak naprawdę nie chciała, żeby odchodził. Tyciego i Mazurówny było jej żal. Coś ścisnęło ją w gardle i miała wrażenie, że już nigdy ich nie zobaczy.

– Może ty nas odwiedź kiedy – powiedziała, odprowadzając go do wozu.

Stali tak chwilę, ona głaskała jego konia po chrapach, on miętosił kapelusz. Wreszcie wszedł na schodek, który specjalnie dla niego zrobiono, żeby mógł się na kozioł wdrapać, i już z wysokości popatrzył na Władkę. Gdybym taki był wzrostem, toby mnie chciała, pomyślał gorzko. A ja bym jej dał wszystko.

– Bądź szczęśliwa – rzucił, gwizdnął na konia i szybko odjechał, boby się zaraz chyba rozpląkał.

A Władzia długo stała na drodze, patrząc, jak odjeżdżający powóz Tyciego wznieca tuman kurzu.

– Dzień dobry – usłyszała za plecami głos.

Odwróciła się gwałtownie. Za nią stał najmłodszy brat Romana. Uśmiechnęła się do niego. Chłopak był kilka lat młodszy od niej, czarny i chudy jak Roman.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Stał tak i patrzył na nią. Nic nie mówił, ale nie przeszkadzało jej to. Najbardziej denerwowali ją ludzie, którzy klepali po próżnicy i gadali tylko po to, żeby gadać.

– Mieszkam tu – wskazał dom Winnych.

– Wiem – odpowiedziała. – A ja tu. – Wskazała na dom siostry.

– Wiem – odpowiedział, po czym wyjął zza pazuchy figurkę Najświętszej Pani i podał jej.

Władzia zaczęła obracać figurkę w rękach. A więc tym się zajmował, kiedy siedział przed domem, skonstatowała.

– Piękne – oceniła.

Oddała, sądząc, że chciał się tylko pochwalić. Nie wziął jej jednak, nawet nie wysunął ręki.

– To dla panienki – powiedział z powagą. – Zrobiłem.

Nazwał ją panienką, rozczuliło ją to.

– Dla mnie? – zdumiała się.

Kiwnął głową.

– Dlaczego? – spytała. Nigdy nikt nie dał jej czegoś tak cennego zupełnie bezinteresownie.

Co miał na to powiedzieć? Gdyby chciał wyjawić prawdę, toby musiał jej wyznać, że z chwilą, gdy wrócił od Gołębia, a ona tu przyjechała, śniła mu się już dwa razy. Potem budził się i miał na spodniach lepką plamę.

Uważał, że to grzech, więc tą rzeźbą chciał przeprosić Pana Boga za to, co się w jego spodniach wyprawiało, a tym samym powitać jakoś tę dziwną istotę, która była zupełnie niepodobna do innych dziewczyn, jakie widywał.

– Cieślą będę – powiedział z powagą. – A to na przywitanie zrobiłem. Panienska teraz będzie naszą sąsiadką.

Przycisnęła zatem rzeźbę do piersi i obdarzyła go najszerszym uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– A jak tobie na imię? – spytała.

– Stanisław – powiedział z taką samą powagą.

– Ja jestem Władka – jeszcze jeden uśmiech. – Nie mów do mnie „panienko”.

Wiedział, jak ma na imię, ale uważał, że do niej nie pasuje. Było zbyt chłopskie, zbyt pospolite jak na dziewczynę podobną do rusałek z ksiązek jego matki. Chociaż tamte rusałki imion nie miały, ale gdyby tak było, to musiałyby mieć imiona, które kojarzyłyby się z poranną rosą, nocnym zapachem macierzanki i intensywnością koloru kwiatu rzepaku.

– Dobrze – powiedział.

Zawołała ją siostra, więc posłała mu jeszcze jeden uśmiech i zniknęła za jaśminem. Teraz i ten zapach będzie mu się kojarzył z nią. Kiedy wrócił do domu, czekał na niego Roman. Popchnął go zaraz mocno, aż Stach uderzył się o framugę drzwi.

– Zostaw! – rozcierał głowę. Uderzenie go zabolowało.

– Czegoś od niej chciał? – rzucił groźnie brat.

– Niczego – powiedział zgodnie z prawdą. Czego mógłby chcieć od dziewczyny starszej od siebie? – Świątka jej dałem.

– Świątka jej dałem – przedrzeźniał go brat, który widział całe zdarzenie z okna. – Kto cię prosił, żebyś jej swoje śmieci darowywał?

Stach wyprostował się. Nikt nie będzie nazywał jego prac śmieciami. Rzucił się na Romana i zdążył uderzyć go w brzuch, zanim ten, zaskoczony, odepchnął brata. Już miał się na niego zamierzyć i stłuc na kwaśne jabłko,

kiedy zasłonił go Władek, który nie wiadomo skąd się tam wziął. Zaraz też przybiegła matka.

– Co wy robicie? Co to za krzyki? – spytała.

Stach stał z zaciętą miną, Roman był wściekły.

– Roman bije Stacha – zgłosił krótko Władek.

Bronka popatrzyła na synów. W naturalny sposób uznała, że to Roman jest agresorem. Nie myliła się, ale fakt faktem, że tym razem Roman nie zdążył oddać Stachowi, przeciwnie, to on przyjął cios głowy brata w splot słoneczny, co mu odebrało na chwilę oddech.

– A ty co? – Roman przeniósł swoją złość na Władka. – obrońca?

– A tak – Władek kiwnął głową. – Przed tobą trzeba ludzi bronić, bo lubisz bić słabszych.

Roman znów miał minę, jakby się chciał rzucić na Stacha, Władka, wszystko jedno, i bić ich do nieprzytomności.

– Ale co się stało? – dociekała Bronka.

– Podarowałem sąsiadce Najświętszą Panienkę, a Roman do niej cholewki smali, to się zezłościł – wydał brata i odsunął się jeszcze dalej od niego, żeby nie oberwać.

– I to jest powód do bicia? – Bronka zamierzyła się na Romana ścierką, po czym kilka razy uderzyła go w głowę. Roman kulił się i zasłaniał.

– Romanowi każdy powód do bicia pasuje... – mruknął Władek. – Bo chyba nie sądzisz, że Stach do niej miętę czuje?

Stach przestraszył się, bo miętę czuł tak mocno jak nigdy w życiu. Nie chciał, żeby ktokolwiek również to wyczuł, więc zaczął zapierać się Władzi jak Święty Piotr Pana Jezusa.

– Ja? Nie! Skąd! Najświętszą tylko chciałem podarować, bo przecież sąsiedzi... I poświęcona w kościele – dodał, patrząc na matkę.

– Dobra, już dobra – mruknął Roman, bo całe zajście sprawiało, że czuł się żaloszny.



– Ty Roman – stwierdziła Bronka – to już się ustatkować powinienes, bo Stach pierwszy żonę znajdzie.

I wszyscy zaczęli rechotać, włącznie ze Stachem i Władkiem. Roman popatrzył na nich nienawistnie i wyszedł na dwór. Spojrzał na dom Władki. Będiesz moja, postanowił.



Stefan i Kajtek, chociaż dzieliły ich trzy lata, zachowywali się jak bliźniacy. Najweselsi z braci, podobni jak dwie krople wody, kochali się tak bardzo, że mówiono o nich „jedna dusza w dwóch ciałach”. Spali w jednym łóżku, razem krzyczeli, że są głodni, jednocześnie nadstawiali tyłki pod ojcowski pasek, choć przyznać trzeba, że należało im się częściej niż obrywali. Co jeden zaczął, to drugi kończył. Co jeden wymyślił, to zaraz mówił drugiemu. Różniło ich właściwie tylko jedno – Stefek marzył, żeby zostać marynarzem. Miłość do morza zaszczepiła mu niechcący Bronia, kiedy czytała im wieczorem książeczkę *Dziecko sprzedane*, którą pewnie pożyczył jej jakiś pan z Książenic czy z Figusina, u którego wtedy pomagała. Matka uwielbiała im czytać, chociaż zwykle zasypiali od razu, a kiedy im się to nie udawało, bo matka pilnowała, żeby choć trochę posłuchali, krzywili się i wzdychali, udając, że ich temat książki nie interesuje.

– Dziś przeczytam wam o chłopcu, którego zły stryjek chciał sprzedać za morze – powiedziała i zaczęła lekturę.

Stefan przewrócił oczami, a Kajtek zrobił głupią minę. Mama zwykle czytała im o biednych sierotach, dręczonych przez dorosłych ludzi, bitych i poniewieranych, które umierały z powodu ran albo z głodu. Sama przy tym płakała i przytulała ich do serca, całowała i mamrotała pod nosem, że Pan Bóg jednak im wszystkim błogosławił. Stefek i Kajtek nie raz zastanawiali się, po co matce było czytać takie rzeczy. Oni sami ledwie składali litery, szybko stracili zainteresowanie szkołą. Chociaż jaka tam z niej szkoła była, buda za kościołem z bandą dzieciaków, która nie chciała grzecznie siedzieć w ławkach. Guwernantki przysyłane przez panów,

przyzwyczajone do grzecznych pańskich dzieci, nie wyrostków ze wsi, wytrzymały kilka tygodni, a potem same odchodziły albo z bezsilności wobec uczniów, albo ze strachu przed takimi jak Muraszewowie, których donos mógł oznaczać zsyłkę na Sybir czy więzienie.

Matka jednak upierała się przy czytaniu, może dlatego, że sama kochała książki i czytała tak dobrze i dużo jak panowie, u których służyła. Cała wieś o tym wiedziała i Bronisława Winna uchodziła za jedną z najmądrzejszych kobiet w całej okolicy. Ani Stefek, ani Kajtek nigdy nie słyszeli, żeby ktoś na matkę powiedział złe słowo. Przeciwnie, wszyscy nabożnie kiwali głowami, kiedy była mowa o Bronisławie, bo i robotna, i gospodarna, i ze starej rodziny. Ludzie to pamiętali. Stefek wolałby, żeby matka opowiedziała im o dziadku, o tym, jak w powstaniu walczył z Rosjanami i jak ich zabijał, ale matka zawsze zbywała te prośby.

– Dziadek nie chciałby, żebyście o takich strasznych rzeczach słuchali – mówiła.

– Czemu mama nie chce mówić? – gniewali się. – Dziadek na pewno miał wiele przygód. Powiedz, mama, o przygodach dziadka – prosili jeden przez drugiego.

– Matka nic nie powie – mówił Roman, bo jako dziecko już pytał, jak było wtedy, kiedy chłop i pan razem po wolność szli. Matka tylko tyle mówiła, że nie było tak jak w pieśniach opiewają, że chłop i pan razem. Nie było tak, mruzczała, bo pamiętała, choć nie chciała pamiętać, i ocierała łzę.

– To jakąś książkę o wojnie czytaj, o tym, jak Polacy Ruskich bili – prosili, ale ona kręciła przecząco głową i mówiła, że na taką książkę też przyjdzie czas, ale nie teraz.

– Nie ma nic dobrego w zabijaniu – dodawała. – I żadnych przygód tam nie ma. Czyny bohaterskie owszem, ale... – zawieszala głos i patrzyła groźnie na synów.

Czasami dawała się namówić na coś, co się chłopcom podobało. Tak było z *Huraganem* Waława Gąsiorowskiego. Główny bohater Florian Gotartowski walczy w różnych bitwach u boku samego Napoleona. Bierze

udział w bitwie pod Samosierrą i oblężeniu Saragossy, gdziekolwiek to było. Na szczęście przeżywa.

– Niepotrzebnie tylko mu przeszkadzają – skomentował treść książki Kajtek, a Bronka, która nie wiedziała, o co synowi chodzi, zaczęła mu tłumaczyć zawłości polityki cesarza Francji i dziwne uwielbienie Polaków dla człowieka, który miał ich uwolnić spod jarzma zaborcy, a koniec końców nic dla nich nie zrobił.

– Mnie nie o to idzie – przerwał jej Kajtek.

Wreszcie wyciągnęła z niego, że nie podoba mu się wątek miłosny. Zdumiała się, bo jej akurat się ogromnie podobał. Nieszczęsna Zofia czekała na ukochanego i drżała, czy przeżyje wszystkie te bitwy, szarże i z honorem do niej wróci. Na szczęście wrócił, a potem żyli długo i szczęśliwie. Chłopcom nie podobała się także postać Joanny Żubrowej, która podążyła za wojskiem jako markietanka. Joanna była odważna, czasem dużo odważniejsza niż żołnierze. Bronka łapała się na myśli, że Joanna stanowi dla niej wzór, a jeszcze nigdy nie chciała być podobna do bohaterki książki. Spoglądała zwykle na nie z dystansu, ale Joanna... To było coś zupełnie innego. Bronka, czytając, myślała, że gdyby była wojna i pojawiłby się w uciemnionej Polsce ktoś taki jak Napoleon Bonaparte, to ona by za żołnierzami poszła jak Joanna Żubrowa. Pewnie każdy Napoleon oszukałby i ją, i Polskę, ale co by przeżyła, to jej. Naturalnie nikomu się do tego nie przyznała. Nawet Antoniemu by o takich sprawach nie opowiadała, ani tym bardziej dzieciom. Ale przeczytała tę książkę Stefkowi i Kajtkowi, żeby jeszcze raz przeżyć wszystkie przygody z Joanną. A oni powiedzieli, że baba w wojsku to jak dzik na polu – tylko ziemię zryje, bo nie rozumie, że żołędzie gdzie indziej. Czuła się wtedy autentycznie obrażona, ale słowa nie powiedziała. Takie chłopaki, myślała sobie, to kobiety nie rozumieją. Zwłaszcza pełnej poświęceń i pasji. Nie to nie. Długo myślała nad doбором lektur dla dzieciaków. Chociaż się do czytania, a nawet do słuchania nie garnęły, to Bronka czytała im z uporem, bo bardzo chciała, żeby jej dzieci wiedziały coś o świecie więcej niż to, że dokoła Brwinowa jest Grudów i Książenice, a kolej jeździ z Warszawy do Krakowa czy nawet do Wiednia.

– Tylko czemu, kobieto, im czytasz o sierotach? – zagadnął ją któregoś dnia Antoni, który podsłuchał fragment powieści *Oliver Twist*, pełnej takich okrucieństw, o których nawet w opowieściach rodzinnych nie słyszał.

– Żeby nie myśleli, że za oceanem dobre życie – odpowiedziała.

Antoni, który zorientował się, że Bronia pije do wyjazdu Tadka i chłopców, i do tego, czego się dowiedziała później o Romanie, usiadł i zaczął tłumaczyć żonie:

– Te twoje sieroty to nie za oceanem, tylko w Anglii – stwierdził. – A tam taki brud, smród i ubóstwo, że Brwinów niczym raj na ziemi. Król tak tam poddanych ciemieży, że Rosjanie i ich kibitki to są pańskie wycieczki do wód.

– A skąd ty to wiesz? – zdumiała się.

– Stąd, że też czytam te gazety, co je przynosisz – odpowiedział, nie patrząc na nią. – I od państwa czasem biorę te stare, jak na podpałkę zostawiają. Bo korą brzozową palę, a nie gazetami, farba drukarska komin zapycha. Państwo to się kompletnie na tym nie znają...

– Antoni – przerwała mu zniecierpliwiona Bronka. – O czym mi tu opowiadasz? Ja o niebie, ty o chlebie.

Bronka zwykła była traktować książki jak świętość i gniewała się, kiedy ktokolwiek trywializował opowieść albo bohaterów.

– Mnie idzie o to, żebyś ty im nie czytała, że w Londynie dzieci tłuką na śmierć, a w Paryżu od razu zabijają. I że tam rewolucja, królom głowy ścinają.

Bronka, która podczas lektury *Nędzników* Wiktora Hugo nie spała przez miesiąc, roniąc łzy nad ciężkim losem Fantyny i małego Gavroche'a, spojrzała oburzona na własnego męża.

– Słuchać nie chciałeś, jak ci czytałam, porozmawiać też nie, a teraz mówisz, że ja dzieciom smutne książki czytam?

– Bo smutne czytasz – stwierdził. – O strasznych ludziach i strasznych czasach.

Lubił, kiedy opowiadała mu o bohaterach, ich niezwykłych przygodach, nawet o tym, jak rozumieć trzeba innych ludzi, tych, co to w Polsce nie mieszkają, a w dalekich krajach. Kiedyś nawet w karczmie o tym opowiedział po pijaku, ale zrobił to tylko raz, bo zaraz go wyśmiano, że bajki opowiada i na księdza by się raczej nadał, nie na chłopca. Ten i ów to mu doradził, żeby żonie pięścią wytłumaczył, aby cicho siedziała i innym babom nie opowiadała żadnych historii, bo potem pod pierzyną spodziewają się nie wiadomo czego. Czytać to panowie mogą, nie chłopcy, a już babom to się od liter w głowie przewraca. Nigdy więcej o tym więc nie mówił, ale do głowy mu nie przyszło, żeby Bronce zabraniać. Ona jak mało kto znała swoje miejsce. Mogła nosa zadzierać, bo przecież jej rodzina za Władysława IV do szlacheckiego stanu przynależała, ale nigdy tego nie robiła. Przeciwnie, zawsze mówiła o sobie, że jest chłopką i kocha swoją ziemię.

– To mam dzieci okłamywać? – wzięła się pod boki.

– Nasza dola już i tak smutna pod zaborami.

– To może im wesołe czytać? – dopytywała.

Pokiwał głową. Bronka westchnęła. Kiedy czytała chłopcom *Panienkę z okienka*, żaden nie chciał słuchać. Nawet najspokojniejszy w świecie Stach. Antoni twierdził wtedy, że to dlatego, że książka jest o panience, szlachciance. Chłopcy takiej nigdy nie widzieli i nie zobaczą, to po co o tym czytać.

– To które książki by się tobie podobały, co? Przynieś odpowiednią, jakżeś taki mądry.

– Przecież ja się na tym nie znam.

– Czytasz tylko to, co w karczmie pisane – powiedziała z sarkazmem.

– Bronka...

Kiedy nałóg go opanowywał, uciekał jak najdalej od rodziny. Wszystko widział złe, krzywe i brzydkie. Jak ten chłopiec z bajki, o którym mu Bronka opowiadała. Tyle że on wyjął szkło z oka, a Antoni nigdy nie mógł pozbyć się swojego szkiełka. Wódka albo bimber wołały go coraz częściej

i Antoni coraz mniej im się opierał. Jakiś udział miała w tym Wiesia, która już go nie chciała oglądać. Jakoś się jej przypomniało, że męża ma, albo może Antoni, coraz starszy i coraz bardziej zniszczony alkoholem, przestał się jej podobać. W każdym razie przegnała go na cztery wiatry, a on poszedł, bo po pierwsze, swój honor miał, po drugie, kochał przecież Bronkę. I pomyślał, że dobrze się stało, że przegnała, źle, że on sam nie poszedł. Koniec końców jednego nałogu się pozbył. Bo Wiesia to była taka sama pokusa jak wódka, tyle że wreszcie ją zwalczył. A z wódki zrezygnować nie potrafił. Widać potrzebował jej, żeby poradzić sobie z tą dziwną ciągotą do wiedzy i lojalnością wobec Bronki. Najchętniej opowiedziałby żonie wszystko, tak jak było. Jak na świętej spowiedzi. Potem błagałby o wybaczenie i poprosił o pokutę. Bo nie miał od niej większego przyjaciela i wierzył, że takie wyznanie przyniesie mu ulgę. Tyle że jak pomyślał, co by zrobił, gdyby Bronkę mu jakiś chłop bałamucił, to mu wychodziło, że zabiłby od razu i do kryminału poszedł. A Broni przecież serce by pękło, gdyby jej wyznał, do czego doszło, i to by była jego, Antoniego wina. Lepiej zatem było obiecać sobie, że już nigdy, skoro tak się stało, że i Wieśka nie chciała, i on miał wyrzuty sumienia. Z tym postanowieniem nie poszło mu tak jak z piciem. Słowa dotrzymał i nigdy więcej na Wiesię nie spojrział. Nawet kiedy po śmierci Batałki pomagał jej we wszystkim, drwa rąbał i jedzenie przynosił, do drzwi już nie zastukał. Drewno zostawiał w szopie, a jedzenie na ganku. Ona także nie wychodziła do niego. A kiedy zmarła na gruźlicę, to na pogrzeb poszedł i żal czuł jak za każdym bliskim, ale nic więcej. Dopiero jak go do urzędu wezwali i powiedzieli, że teraz chałupa i ziemia jego, to się popłakał i wypił znów za dużo, bo do picia przez ten zapis wrócił. No ale to już inna historia.

– Co, Bronka? No co, Bronka, co? – utyskiwała żona, patrząc na niego spode łba. – Nie mam racji?

Spuścił głowę, bo w przedostatnią niedzielę wrócił do domu, sam nie wiedział jak i kiedy, i żona po raz pierwszy w życiu nie rozebrała go, nie umyła i nie położyła do łóżka, tylko wepchnęła do stodoły i zarygłowała drzwi. Rano odemknęła je, a on wyszedł i wygarnąć jej chciał, że jest złą

żoną, ale ona tylko stała i miała coś takiego w oczach, że pałący wstyd oblał go od stóp do głów. Padł z płaczem na kolana, po raz setny przysięgł, że ani kropli więcej nie wypije, i zaraz w kościele poszedł to wpisać, bo to jedyne pomagało.

Od tego czasu rzeczywiście ani kropli do ust nie wziął, dach stodoły naprawił, bo przeciekał, pojechał na targ po nową bronę i motykę, a przy okazji wystrugał nowe drzewce do grabi, bo stare już się do niczego nie nadawały. Po robocie, a stawiał teraz piec w Kaniach, jak nie szedł do karczmy, to miał tyle czasu, że naprawił kurnik, powymieniał spróchniałe deski – całe szczęście, że lis nie wydusił wszystkich kur – porobił nowe grzędy kurom i przewracał siano tak często, że pierwsze wyschło w całym Brwinowie. Próbował też trochę czasu poświęcić chłopcom, ale różnie mu wychodziło.

Z Romanem od lat nie miał wspólnego języka. Zachodził w głowę, czemu pierworodny go nie szanuje jako ojca, ale doszedł do wniosku, że to nie przez picie, przynajmniej nie jedynie, tylko dlatego, że Roman już taki był. Nikogo nie lubił i nie szanował. Co do Władka, to z nim mu poszło najlepiej, bo Władzio był zawsze dobrym i spokojnym dzieckiem, nie za prędkim do tego, żeby innych oceniać. Popytał go o tę Kazię, co to Władek za nią świata nie widział. Obrobili przy tym kawał pola, bo tak się zagadali na temat kobiet, jak to z nimi trzeba, co lubią, czego nie lubią, że im prędko czas zleciał. Kajtka i Stefka wziął na ryby i złowili naprawdę sporo, tyle że nie o to Antoniemu chodziło, żeby wiadro ryb w godzinkę nałowić i na tym skończyć. A ryby, jak na złość, łapały się na robaki jak wściekłe, chociaż ani cicho nie byli, ani specjalnie się nie starali, ani nawet głęboko do stawu nie weszli. Bronia była zadowolona, bo myślała, że Antoniemu o ryby chodziło, a Antoni koniec końców to już nie wiedział, czy chciał coś synom mówić, czy nie chciał. Tyle tylko, że mieli co wspominać przez jakiś czas, bo jak była mowa o łapaniu ryb, to padało: „Tata, a tata pamięta, jak my wtedy?...”. Ze Stachem nie było ani trudno, ani łatwo. Stach chętnie o ciesiołce rozmawiał, ale w jego przypadku „chętnie” znaczyło, że w ogóle usta otwierał. Antoni nie znał nikogo bardziej małomównego od swojego

najmłodszego syna. Staszek był zadowolony z majstra, zapewnił ojca, że pieniądze nie na darmo dał, i tyle było gadania. Żadnych szczegółów, jakie meble, co robią i z jakiego drewna. A kiedy spytał, kiedy koniec będzie tej nauki, to Stach odpowiedział, że niedługo, i na tym się rozmowa skończyła.

Teraz patrzył na rozsierdzoną Bronkę i chciał jej wyjaśnić, że książki są dobre, ale nie dla każdego. Przynajmniej nie każda książka dobra dla każdego, ale nie umiał tego w słowa ubrać.

– Czytaj chłopakom coś wesołego, żeby chcieli cię słuchać – doradził i to się okazało naprawdę dobrą i złotą radą.

Bronka zatem wzięła książkę Roberta L. Stevensona i zaczęła czytać o chłopaku, któremu ojciec zmarł, miał okrutnego stryja i ten próbował dziecko sprzedać. Bohater na statku służył i miał różne przygody. Wesołe to może i nie było, przynajmniej nie w takim sensie, o jakim myślał Antoni, ale Stefanowi przypadło do gustu.

– A co to jest morze? – spytał któregoś dnia, kiedy ciasto na kluski zagniatała.

Zadowolona bardzo była, bo to znaczyło, że Bronki słuchał, a opowieść zapadła mu w pamięć.

– To wielka woda – wyjaśniła mu Bronka. – Nie mówili ci w szkole?

Stefek pokręcił przecząco głową.

– Nie mówili – powiedział wolno. – Ale jaka wielka? Jak nasz staw?

Kajtek też przyszedł do kuchni i usiadł przy stole.

– Jak wszystkie nasze stawy razem wzięte – powiedział do brata.

Bronka uśmiechnęła się.

– Większa – powiedziała.

– Jak cały Brwinów?

– Jeszcze większa – stwierdziła. – Tak wielka, że po niej pływają statki ogromne jak nasze największe jezioro.

– Opowiedz! – nie wytrzymał Stefan.



– Ja nie chcę – nastroszył się Kajtek, który dostrzegł żar w oczach brata i przeraził się, że odtąd morze będzie jego skrytym marzeniem.

– Przeczytam wam, jak tylko kluski ugotuję... – stwierdziła Bronka.

Kajtek miał dobre przecucie. Stefan od tej pory marzył o morzu, wyobrażał sobie, że jest majtkiem pokładowym i razem z innymi marynarzami płynie, aby zobaczyć lądy, które kryją się za oceanem. Bronia miała znów żałować wyboru książki, bo Stefan każdą wolną chwilę spędzał w pobliskich Glinkach. Póki było lato, niechby się pluskał ile wlezie, trzeba było tylko pilnować, żeby pijawki zdjął z nóg, kiedy już z tej wody wyszedł. Ale jak nastały pierwsze jesienne chłody, Bronka przeraziła się nie na żarty, że Stefan dostanie zapalenia płuc i wiadomo, jak się to skończy. Tłumaczyła zatem synowi i zabraniała, ile mogła, ale kiedy po raz kolejny suszyła go przy piecu zziębniętego i mokrego oraz słuchała tłumaczeń, że tylko wlaź na wierzbę, żeby z tej wierzby sobie staw obejrzeć, czy księżyc się w nim nie odbija, to zamiast go sprać, zaprowadziła chłopaka do dziadka Felka.

Dziadek Felek mieszkał w Brwinowie od wielu lat, ale ponoć miał w szopie spróchniałą łódkę i Bronka wymyśliła, że Stefek z dziadkiem łódkę naprawią. Stefan będzie miał zajęcie na całą zimę, dziadkowi wpadnie jakiś grosz, bo samotny i pod kościołem go widywała, jak rękę do dobrych ludzi wyciągał. Stary Felek, wyjątkowo trzeźwy i przytomny, przyjął Bronkę i Stefka w małej chatce na skraju lasu. Bronka wyłożyła, o co jej chodzi, a dziadek z każdym jej słowem coraz bardziej otwierał oczy ze zdumienia.

– Zapłacę – powiedziała na koniec i to dziadkowi wystarczyło.

Przyjrzał się szczupłemu chłopczkowi i spytał zachrypniętym głosem, bo dawno do nikogo gęby nie otwierał:

– A po co tobie łódka?

– Będę pływał – odparł Stefan.

– Ale gdzie? – dociekał dziadek Felek. – Na stawach?

Stefan skinął głową. Nie chciał powiedzieć temu staremu, brudnemu człowiekowi, że pokochał wodę, z konieczności małą, ale marzył o wielkiej.

– Ale umiecie naprawić łódkę? – spytała Bronka dla pewności. – Drewno się znajdzie.

Dziadek pokiwał głową. Przez chwilę rozważał, czy nie opowiedzieć kobiecie swojej historii, ale uznał, że co kogo obchodzi jego koleje losu.

– No to dogadani? – podsumowała.

Dziadek ponownie kiwnął głową, Stefan zrobił uszczęśliwioną minę, a Bronka uznała, że sprawę załatwiła i przynajmniej będzie miała czyste sumienie. Zagroziła przy tym Stefanowi, że jak się do lodowatej wody zbliży, to koniec z łódkami i marzeniami. Stefan kiwnął głową kilka razy i wrócili do domu.

– Bo ty beze mnie chcesz nad morze jechać? – pytał nieszczęśliwy Kajtek.

– Jak bez ciebie? – Stefan nie bardzo rozumiał, o co bratu chodzi.

– Bo ja nie chcę pływać. Nie będę.

Stefan wzruszył ramionami.

– To nie pływaj – stwierdził.

Kajtkowi płakać się chciało, kiedy sobie wyobraził, że Stefan najpierw tę łódź wybuduje bez niego, a potem weźmie ją na plecy i nad morze zanieś, też bez niego.

– Ale ja chciałbym z tobą – powiedział.

Tak jak Stefan kochał wodę, tak Kajtek się wody bał. Kiedy tylko stawiał stopy na mulistym dnie, miał wrażenie, że go jakiś wodny stwór za nogę łapie i wciąga do środka. Nie bez znaczenia były opowieści o utopcach, ożywających topielcach i rusalkach, o których także czytała im matka.

– Przecież ty się wody boisz – perswadował Stefan.

Owszem, Stefan brata bardzo kochał i do tej pory wszystko robili razem, ale kiedy się okazało, że Kajtek nie podziela jego pasji, nie widział powodu,

żeby z niej zrezygnować. Mogli się przecież dalej kochać, jak już od dziada Felka wróci.

– Umieć pływać – przekonywał Kajtek, chociaż płakać mu się chciało.

– Takie tam twoje pływanie – burknął Stefek. – Zawsze muszę koło ciebie być, żebyś się nie utopił.

– Nieprawda! – zaperzył się chłopiec, ale Stefan nie powiedział tego, żeby mu dokuczyć, więc przekonywał dalej:

– Prawda, prawda. Boisz się głębiej wypłynąć, tam, gdzie dna pod nogami nie ma.

– I co w tym złego? – denerwował się Kajtek. – Łódką bym się nie bał płynąć – dodał cicho.

Stefek zastanowił się chwilę.

– Masz rację, brachu – stwierdził. – Łódkę przecież mógłbyś z nami szykować.

Poszli razem do matki i powiedzieli jej, że musi im pozwolić razem do dziadka Felka chodzić.

– Nie wiem, czy on się zgodzi za jedne pieniądze z wami dwoma się męczyć.

Jednak się zgodził. Wprawdzie ten drugi chłopaczek to mu nie wyglądał na marynarza, ani nawet na rybaka, taki był jakiś cherlawy, ale stary wysłuchał opowieści o braterskiej miłości i powiedział:

– Niech będzie. Braci nie powinno się rozdzielać.

Felek też miał czterech braci, ale wszyscy oni spoczywali na dnie Jeziora Gosławickiego. Kiedy wybuchło powstanie, poszli walczyć o wolną Polskę. Całe Kaliskie poszło. Kto żyw, chciał w wolnym kraju mieszkać. Z początku powstańcy zajmowali miasta i wsie, ogłaszali dekrety Tymczasowego Rządu Narodowego, dla nich ważny był zwłaszcza ten o uwłaszczeniu chłopów. We wsi, w której mieszkał, jak też w okolicznych wioskach i miastach, już w pierwszych tygodniach zerwano dwugłowe rosyjskie orły z urzędów i ustanowiono polską władzę, tak cywilną, jak i wojskową. Wszyscy walczyli pod komendą Kazimierza Mieleckiego,

mianowanego naczelnikiem sił zbrojnych województwa mazowieckiego. Niestety stało się 22 marca, kiedy powstańcy starli się z wojskami rosyjskimi w wąskim przejściu między jeziorami Gosławickim a Pątnowskim. Felek znał oba jeziora jak własną kieszeń, bo to one żywiły całą wieś. Tyle razy on i bracia przepływali jezioro z bronią ukrytą na dnie łodzi, przewozili żywność dla powstańców i rozkazy od dowódców. Nigdy ich nie złapano. Rosjanie bali się ludzi jeziora jak diabeł święconej wody. Bitwa ich zaskoczyła, ale Felek i inni mieli w okolicach pochowane łódki na wypadek, gdyby trzeba było uciekać. Cudem udało się niedobitkom oddziałów dotrzeć na brzeg, wyciągnąć łódki i wypłynąć na jezioro. Pierwszy padł najstarszy brat. Felek widział, jak w świetle księżyca wiosłarz zostaje trafiony rosyjską kulą. Padł prosto do wody. Rosjanie strzelali na oślep i udało się im zatopić jedną z czterech łodzi, właśnie tę, którą płynęło dwóch najstarszych braci. Nie popłynął na pomoc, bo na nic by się to nie zdało. Powstańcy szli pod wodę jak kamienie wśród gradu kul. Jedynym wyjściem było wiosłować ile sił w rękach, żeby się od nich oddalić. Raz, dwa, raz, dwa, wiosłował i modlił się o ocalenie dla siebie i pozostałych dwóch, którzy płynęli łódką tuż za nim. Jemu się udało. Im nie. Też poszli w jeziorną toń. Kiedy dobili do drugiego brzegu, zostawił łódkę w szuwarach. Żołnierze rozbiegli się. Niektórzy z nich dołączyli do innych oddziałów, bo ichniego już nie było. Mielęcki został ranny i zmarł kilka tygodni później. On sam powinien do domu wrócić, pocieszyć mamulkę, że przeżył, zostać z nią do końca. Ale Rosjanie wkroczyli znów do Kaliskiego, orły na powrót powiesili, podobnie jak wszystkich mężczyzn zdolnych do trzymania broni, bo ich za powstańców brali, nieważne, czy walczyli, czy nie. Przedzierał się długo pod Warszawę, bo liczył, na to że tam może powstanie się powiodło i do jakiegoś oddziału dołączy. Dotarł do Brwinowa, kiedy mu powiedzieli, że powstanie padło, Rosjanie węszą wszędzie i że tu spokojniej niż w innych miejscach. Jak będzie siedział cicho, to może przeżyje. Panowie wyjeżdżali na Sybir, chłopci zawisali na szubienicach. Patrzył na to wszystko obojętnie. Co by go bardziej urazić mogło od tego widoku, który powracał w snach, kiedy bracia jeden po drugim pod wodę szli. Pożywił się przy pewnej rodzinie, kobieta mu do

stodoły jedzenie nosiła, spał w sianie i przetrwał. Potem robił za parobka, u pana w Mosznie, tego, co miał stawy i je zarybiał. Felek się nie przyznał, skąd pochodzi, ale od razu widać było, że się na rybach zna jak mało kto. Zarobił tyle, że kupił kurną chatkę i zamieszkał pod lasem. Dziad Felek, tak na niego mówili, chociaż kiedy tu zjechał, to stary nie był. Mógł sobie kobietę wziąć, ale nie chciał. Łódź zbudował, nie wiedząc po co, bo nigdy nią nie wypłynął. Duży staw był za daleko, musiałby kogo poprosić, żeby łódkę tam zaciągnąć. Mniejsze, bliższe stawy były za płytkie, żeby po nich wiosłować. Ot tak, wypłynąć łódeczką, łupinką jaką, wędkę zapuścić to można było. Chociaż on umiał łapać ryby gołymi rękoma. Ale i tak zbudował. Póki budował, przynosiło mu to ulgę. Gdy już łódka była gotowa, porzucił ją pośrodku obejścia. Wreszcie zestarzała się, spróchniała i przeniósł ją do szopy. Jemu niewiele do życia było potrzeba. A jak brakło, to pod kościół szedł. Pił niewiele, bo jakoś nigdy gorzałki nie lubił, spał dużo, bo nic mu innego do roboty nie pozostawało. Nigdy się nie dowiedział, że po tamtej klęsce, kiedy Rosjanie weszli do wsi, to wywlekli też ojczulka Felka i powiesili z innymi, chociaż mamulka płakała i krzyczała, że on przecie stary i nie szedłby na wojnę. Mamulkę tak jeden kolbą uderzył, że padła. Wstała jeszcze, żeby zobaczyć, jak jej mąż dynda na sznurze, a potem sama umarła od uderzenia. Umierając, była wdzięczna temu żołnierzowi, bo na cóż jej żyć, jak wszyscy jej synkowie pod wodę poszli, a mąż kołysał się na sznurze. I takie to miał koleje losu dziad Felek. Teraz patrzył na dwóch chłopców, z których jeden nie lubił wody, ale miał smykałkę i na skutnika się nadawał, a drugi odwrotnie, może i pływak z niego dobry, ale skutnik okropny.

– Szlifuj, chłopaku, szlifuj – poganiał Stefka i wskazywał na Kajtka – Zobacz, brat lepszy w budowaniu od ciebie.

Stefan mrucał coś pod nosem, ale starał się jak mógł, a Kajtek kraśniał z radości. Wkrótce stało się jasne, że Stefek nic nie umie zbudować, nawet deskę przycina krzywo, i Felek zmuszony był powiedzieć, że jeśli ta łódka ma pływać, to lepiej niech młodszy chłopak się z łapami nie pcha, bo wszystko psuje. Na te słowa Stefan wybiegł z szopy i pognął do lasu, tam

wlaził na drzewo i siedział tak mimo zimna kilka godzin. Potem zlazł, bo już mu tyłek niezłe przemarzł, i do domu poszedł. Nie chciał przy tym gadać z bratem, bo i o czym. Matce powiedział, że więcej do dziada nie pójdzie.

– A to czemu? – pytała matka.

– Niczemu – odpowiedział niegrzecznie, ale Bronia się nie zezłościła, widziała, że o grubszą jakąś sprawę chodzi.

Pytała Kajtka, ale ten nie chciał nic powiedzieć, chciał być lojalny wobec brata. Właściwie to uznał, że jest sprawiedliwość na świecie. I już wiedział, że nadal mogą być jedną duszą w dwóch ciałach. Bo jedno ciało będzie należało do budowniczego, drugie do chłopca okrętowego.

Drugi raz Stefek uciekł na drzewo latem następnego roku, kiedy łódka była już skończona. Dowiedział się wtedy, że łódką popływać może po największym z brwinowskich stawów, bo dziedzic, u którego służyła matka, pozwolił. Stefan sobie wyobrażał, że w jakiś cudowny sposób łódka znajdzie się na pełnym morzu i poniesie go przez ocean. Nieszczęśliwie wyjawiał rodzinie swoje marzenia i spotkał się z takimi kpinami, śmiechem i szyderstwami, w których najbardziej celował jego ukochany brat Kajtek, że poszedł na drzewo i nie wracał przez półtorej dnia. Słyszał, jak las przeczesywali i wołali go, ale nie zszedł. Niechby sobie myśleli, że on nad morze piechotą poszedł. Specjalnie wziął z domu buty, co to je mieli na spójkę z Kajtkiem. Kiedy wrócił, gdy już mu się całkiem na drzewie sterczeć znudziło, wszyscy byli tak szczęśliwi, że matka nawet ścierki nie podniosła. Wszystko już niby było po staremu, tylko dwie rzeczy się zmieniły. Pierwsza: dziad Felek dzięki Kajtkowi miał łódkę i wypływał sobie na staw, a druga taka, że Stefek już nie kochał tak bardzo Kajtka.

Niedługo później Stefek upatrzył sobie żonę. Grażyna była z Siedlec, czyli szmat drogi od Brwinowa, a jeszcze dalej od morza. Poznał ją w Brwinowie, kiedy przyjechała na pogrzeb starej ciotki, która zostawiła jej rodzinie kawałek pola pod lasem i rozwalającą się chałupę. Ciotkę dobrze znała matka, mówiła o niej z szacunkiem, że jeszcze z jej rodzicami zaprzyjaźniona, że wdowa po powstańcu, panu Arkuszewskim, który z powstania nie wrócił. Wdowa list dostała, że pod Drohiczyńnem zginął

i tam pochowany. Nigdy ciała nie sprowadzono, ale kobieta postawiła symboliczny krzyż, który stał przy polnej drodze między Helenowem a Parzniewem.

Wiele lat później, kiedy z dziećmi i Grażynką przyjeżdżali do Brwinowa, zawsze grób ciotki odwiedzali i pod krzyżem kwiatki kładli, a Grażyna utyskiwała, że trzeba by co zrobić, do Drohiczyzna pojechać, ludzi rozpytać o to, gdzie wuj został pochowany. Nigdy jednak nie pojechali i tamtej mogiły nie znaleźli. Przy tym krzyżu właśnie ją zobaczył, zagadał, a potem parol zagiął. O morzu zapomniał, do Siedlec pojechał, pannie się przypomniał. Na kolei zaczął pracować, żeby do niej jeździć i nie zrujnować się, płacąc za bilety. I jak przyszło co do czego, to uradzili, że w Brwinowie nie będą mieszkać, tylko w Siedlcach, bo tam, jak się wyrazili i Stefan, i rodzina panny młodej – lepsze perspektywy.

– Do Ruskich bliżej, a nie perspektywy – utyskiwał Antoni, który słusznie uznał, że jak pojedzie, to będzie na święta przyjeżdżał albo rzadziej.

– Jak pojedzie, to nie wróci, jak Tadek – westchnęła Bronka, która już wiedziała, jaki los spotkał Tadka i siostrzeńców.

A Antoni, chociaż tak właśnie myślał, zaczął zaprzeczać i zapewniać Bronkę, że przecież dla Stefka rodzina najważniejsza.

– O morzu przecież gadał cały czas, jak to na statek się zaciągnie, a teraz masz – narzekała Bronka.

– Przecież nie chciałaś, żeby na statkach pływał – przypomniał jej Antoni.

– Nie chciałam, ale te Siedlce... – skrzywiła się.

– A co ma w Brwinowie siedzieć? – dumał Antoni. – Siedlce to miasto, Brwinów wieś.

– Takie tam miasto – burknęła Bronka.

– Nie „takie tam”, bo ja się wywiedziałem, co za miasto – powiedział Antoni i dodał z satysfakcją, widząc jej zdumienie – Od trzystu pięćdziesięciu lat miasto. Na prawie magdeburskim! I teatr tam mają. Sam

Stanisław August Poniatowski na przedstawienia jeździł. I w powstaniu brali udział... – dodał.

Bronka nie takiego szerokiego świata chciała dla swoich dzieci i nawet słowo „teatr” nie było jej w stanie osłodzić rozstania z jednym z synów, uznała jednak, że każdy musi podążać swoją drogą.

– A co Kajtek na to? – spytała w końcu. – Oni tacy przecież „za sobą”.

Kajtek zniósł rozstanie ze Stefkiem zadziwiająco dobrze. Na weselu tańczył, do rodziny panny młodej zagadywał. Tydzień przed weselem zabrał się ze Stefkiem do Siedlec zobaczyć, gdzie to brat będzie miał swoje królestwo, i wrócił rozczarowany. W Brwinowie było ładniej, domy większe i ładniejsze, nie było w ogóle kamienic, nic się nie waliło, a błoto leżało tylko na wiejskich drogach. Nic u nich nie śmierdziało, chyba że gnojówką, dymy żadne nie szły, chyba że z kominów.

– Te Siedlce to przy Brwinowie niebo a ziemia – powiedział, kiedy do domu wrócił, a Bronka i Antoni wypytywali o wszelkie szczegóły.

– A Brwinów to niebo czy ziemia? – spytała Bronka.

– Oj, mama to jak zwykle – Kajtek odsunął talerz. – Już nie mogę, bo mnie tam ugościli i sporo zjadłem.

– Rosół to jest – zdenerwowała się Bronka. – A ty nie chcesz. Kury tam mają? Pewnie nie, bo to miasto.

Kury też były, ale dziwnie wyglądały na wąskich podwórzach. Dom przyszłej synowej był spory, młodzi mieli dostać dwie izby i jak Stefan podkreślał – osobne wejście. Kajtka przyjęli jak Stefana, popili, pojedli, pogadali. Po kilku godzinach miał dość i strasznie chciał do domu wracać. Stefan został, bo jakieś sprawy z przyszłym teściem mieli. Namawiali i Kajtka, żartowali, że znajdą mu siedlczankę, mają tu nawet taką jedną na oku, brzydką, ale bogatą, fabrykę odziedziczy. Uciekł stamtąd, jakby go mieli przytroczyć do owej fabryki albo siłą ożenić.

– Mama da spokój – wstał od stołu i poszedł w pole.

– Idź za nim – poprosiła Bronka Antoniego.

– On sam chce być – zaprotestował.



– To ja pójdę – stwierdziła, ale zatrzymał ją.

– Zostań. To chłop jest. Poradzi sobie. Nie możesz go pod spódnicą trzymać.

Kajtek chciał przemyśleć to i owo, nie chodziło jednak o tęsknotę za bratem. Zdawało mu się, że nie tęskni, tylko jakaś dziwna gorycz pojawiała się przy przełykaniu. Długo też tam siedziała, bo i przez wesele, chociaż sporo wypił i słodkiego najwięcej zjadł. Ustąpiła dopiero wtedy, kiedy z Iwonką się ożenił i dzieciaki mu się urodziły. Kiedy Stefan przyjeżdżał do Brwinowa, Kajtek tylko patrzył, czyje dzieci mądrzejsze, czyja żona ładniejsza. I zawsze mu wychodziło, że jego chłopcy bystrzejsi od Stefkowych, a żona bije Grażynkę na głowę urodą i gospodarnością.



Co do Romana, to Bronia uważała, że mu się trafiło. Roman zobaczył Władkę, kiedy stary wiek ustępował nowemu i Bronka zupełnie się nie zdziwiła, kiedy kilka miesięcy później stanęli na ślubnym kobiercu.

– Szanuj swoją żonę – powiedziała do syna w dniu ślubu.

Roman wymruczał coś nieokreślonego. Bronka przygotowała mu wcześniej strój i powiesiła w sypialni na stojaku, który zrobił Staszek, już dość biegły w ciesiołce. Zdecydowali wspólnie, że Roman pójdzie do ślubu w zwykłym, cywilnym ubraniu. Nigdy nie nosił żadnej, jak to się wyrażał, „wiesiowizny”, więc teraz nie było powodu, żeby wkładał pasiaki czy żupan. W Grodzisku obstalowali mu garnitur. Staszek wskazał krawca, który podjął się za przyzwoite pieniądze uszyć co trzeba. Krawiec zdjął miarę z Romana, wybrali stosowny materiał na marynarkę, spodnie, kamizelkę i koszulę.

– Jak ślub, to ślub – powiedziała Bronka, wzruszona, bo wszystko szło po bożemu. Roman najstarszy i pierwszy się zenił.

– Buty cisną – burknął zdenerwowany.

Buty też zrobił szewc w Grodzisku, syn tego, co to Bronce i jej siostrom buciki do ślubu szył. Bronce przypomniał o tym Antoni. Popłakała sobie trochę rzewnie, bo wszystko się jej przypomniało, Jasia i Zocha, ojciec,

matka. Ich straszne losy i odpychana tyle lat tęsknota wróciły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Rozchodzić trzeba. Szewc przecież mówił – ledwie się powstrzymała, żeby znów się nie rozplakać, bo Jasia i Zocha stanęły jej przed oczami jak żywe.

– Trza wcześniej było rozchodzić – Roman skrzywił się, nie wiedziała, czy z bólu, czy ze zdenerwowania.

– Wszystko będzie dobrze, synu – uspokajała go, bo domyśliła się, że nie do końca o buty tu idzie.

Reszta synów i Antoni też byli już przyszykowani. Wszyscy z minami poważnymi, jakby sami mieli w kościele przysięgać. Zgromadzili się w izbie. Bronka popatrzyła na Władka.

– Ty będziesz następny – powiedziała.

Władek poważnie pokiwał głową. Zazdrościł Romanowi, że może już brać dziewczynę i iść z nią do chałupy. Sam czekał, aż Kazia osiągnie odpowiedni wiek, żeby ją wziąć za żonę. Już nie mógł się doczekać, ale powiedział spokojnie:

– Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Trzeba brać szybko, bo turkawka odfrunie – zaśmiał się Antoni.

Jemu też się przypomniał dzień ślubu z Bronką, widziała to wyraźnie w jego oczach. Ona przypomniwała sobie natomiast własny strach. Jak się bała życia u boku tego przystojnego, ale nieznanego jej w sumie mężczyzny. Czy mogła trafić lepiej? Przez świadomość mignęła jej wiedźma, której bezskutecznie usiłowała przebaczyć w sercu, że zawładnęła częścią myśli Antoniego. Zaraz jednak ją przegnała. Wiesława Batałka umarła, ale kiedy jeszcze żyła, Antoni wrócił do żony. Znów był tylko jej, a tamta nie miała nad nim władzy. Przynajmniej w taką wersję wydarzeń wierzyła.

– Przywiążę do krzesła, jakby chciała odfrunąć – mruknął Roman i kilka razy odetchnął głęboko.

Do tej chwili jego zdenerwowanie Bronka brała na karb samej ceremonii, ale teraz pomyślała, że Roman obawia się pewnie życia w małżeństwie. Niemłody był, tyle lat prawie sam żył, po kawalersku. Teraz wszystko się zmieni. Zamieszka u boku młodej żony i kto wie, czy nie straci swojej hardości i pewności siebie. Po raz pierwszy syn wydał się jej bliski.

– Z kobietą trzeba łagodnie, po dobroci – pouczyła go.

– Skąd – przekomarzał się Władek. – Siłą brać trzeba. Nawet jak chce.

Wszyscy prócz Romana się roześmiali. Bronka podeszła do Romana, zrobiła mu kciukiem krzyż na czole i wyszeptwała błogosławieństwo. Roman pocałował ją w rękę. Poczowała się jak wtedy, kiedy go powiła i był dla niej najwyższym szczęściem, wymodlonym i wyczekany. Znów mało się nie rozplakała.

– Idziemy? – spytał Kajtek, niecierpliwy jak zwykle.

– Bo tak tu stoimy i stoimy... – dodał Stefan.

Bronka kiwnęła głową. Był czas, żeby po Władzię pójść i ją do ołtarza zaprowadzić. Po drodze Antoni wziął Bronkę za rękę, co jej sprawiło wielką przyjemność. Pod domem Władzi według zwyczaju stanęli i zaczęli wołać jeden przez drugiego:

– Jest tu panna młoda?

Jedna ze starych sąsiadek mówiła Bronce, że kiedyś wołano: „Czy jest tu jałówka dobra na rzeź?”, ale Bronka wołała o tak okrutnych słowach zapomnieć. Obowiązkiem kobiety było wyjść za mąż, dać mężowi dzieci i być posłuszną. Życie mogło zamienić się w marsz do rzeźni albo w piękną krainę, gdzie wschody i zachody słońca oraz pory roku wyznaczały szczęśliwy czas.

– A jest! Jest!

Przed dom wyszedł Marian Wichniak i stanął, niby to zasłaniając wejście do domostwa.

– To dajcie nam ją! – zawołał Władek, bo Roman zgodnie z tradycją mógł tylko stać i patrzeć.

Roman nie był zdenerwowany, był wściekły, na siebie, na rodzinę, wreszcie na Władzię. Na cały świat. Bardziej niż zwykle. Ta złość przeszkadzała mu złapać oddech. Nie dalej jak przedwczoraj powiedziała mu, że ślubu nie będzie. Może i miała rację. Może zarznięto prosiaka na darmo. Może przygotował z rodziną wspólny dom na darmo. Może nie tak Bóg chciał.

– Wszystko twoja wina – powiedziała wtedy i odwróciła się na pięcie.

Kiedy wróciła z tej swojej wsi i zamieszkała już na stałe po sąsiedzku, nie odpuścił. Chodził za nią długo, całą wiosnę, aż wreszcie się poddała i poszła z nim na tańce. Gdy ścisnął jej kibić, robiło mu się go gorąco. Była jakaś zimna. Roman zastanawiał się dlaczego. Może w tych Kotowicach zostawiła jakiegoś ukochanego, dumał. Spytał ją o to.

– Nie – odparła krótko.

Po zabawie zaczął ją ciągnąć na bok. Ręce same mu się wyrywały, żeby dotknąć jej szyi, jej białych policzków.

– Nie – odepchnęła go.

– A może ty niecała, co? – wydyszał.

Nawet nie odpowiedziała. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu, błyskając gołymi nogami. Chodziła boso, co go rozczulało, ale nie dał tego po sobie poznać. Co to za chłop, który patrzy na babę jak na obraz albo na pasku u niej chodzi. Władzia miała nad nim władzę, ale ze wszystkich sił chciał ją tej mocy pozbawić.

– Wyjdź do mnie! – krzyczał następnego dnia pod jej oknem.

Wyszła.

– Czego się drzesz? – spytała.

– Przejdziemy się – zażądał.

Pokręciła przecząco głową.

– Mam robotę.

Chciała się odwrócić, ale nie pozwolił. Trzymał mocno za ramię. I patrzył. Tak żarliwie, jak tylko umiał. Przecież to zawsze przynosiło mu korzyści. Dlaczego teraz ona jest obojętna wobec jego gorących spojrzeń?

Może dlatego, że są szczerze, pomyślał. Przypomniawszy sobie, jak Władek go pouczał, żeby był wobec niej szczerzy. Tylko co mu przyszło z tej szczerości? Tyle miesięcy podchodów, a ona zaraz po jednych tańcach go zostawia.

– Pogadać chciałem – powiedział prosząco. – Wczoraj jakoś się nam nie udało...

– A ty mnie obrażał będziesz, a potem przyjdiesz, jakby nigdy nic, co?

Nie przypominał sobie, żeby jej powiedział coś złego. Chyba że miała na myśli pytanie, czy przed nim ktoś już był. Co w tym obraźliwego? Roman miał wiele dziewczyn, ale wcale nie tak dużo, jak się tu ludziom zdawało. Żadnej w kłopoty nie wpędził i był z tego dumny. Potem widział, jak za mąż szły, za tutejszych Gienków, Wieśków. Były mu obojętne. Czasem zastanawiał się, co mówią swoim chłopom, kiedy z nimi robią to pierwszy raz. Pewnie to, co wszystkie, że przez płot przechodziły i nadziały się na ostry czubek sztachety.

– Kiedy ja cię obraziłem? – spytał łagodnie.

– Nie pozwolę się po sianie ciągać – oświadczyła. – Ja nie z tych.

– Nie będę – zapewnił ją. – Po ślubie dopiero.

Przyjrzała mu się dobrze. Przystojny, silny, podobał się jej. Nawet z tą gwałtownością, która potem doprowadziła go do grobu, był jakiś inny niż wszyscy, których znała, męski, opiekuńczy. Przynajmniej tak się jej wydawało. Przypomniały się jej słowa Cyganki. „On od nieba musi być”, postanowiła.

– Przyjdź wieczorem – powiedziała i już jej nie było.

Przyszedł, chociaż rozważał, żeby nie iść. Ciekawe, czy by wtedy zmiękła. Doszedł do wniosku, że zapomniaby o nim, a on by się wściekł. Roman znał tylko dwa uczucia: spokój i wściekłość. To pierwsze osiągał rzadko, głównie kiedy rąbał drewno w tartaku, pilnując, żeby uderzać siekierą jak trzeba. Nie widział wtedy żadnych bab, braci, zaniepokojonej nim matki, ojca, który, ech... szkoda gadać. Co oni tak wszyscy podkreślali, że jest pierworodny? Czy miał z tego tytułu jakieś korzyści? Winni mówili,

że tak. On uważał, że nie. Ze złością był za pan brat. Od niepokoju, który pojawiał się częściej, niż Roman by sobie tego życzył, przez złość, aż do gniewu, który przesłaniał mu obraz rzeczywistości. Biada temu, kto go sprowokował. Roman bił się tak, jakby życie od tego zależało. Nie raz i nie dwa trzeba go było odciągać, bo byłby zabił swoją ofiarę. Ludzie nie chcieli przy nim usiąść w karczmie. I dobrze. Nie potrzebował kumpli od gorzałki ani przyjaciół, żeby z nimi o czymkolwiek perorować. Jej jednak potrzebował. Jak powietrza. Jak wody w gardle, kiedy gorący dzień, jak światła księżycy w ciemną noc. Wcale mu nie było z tym dobrze. Oznaczało to, że ona ma nad nim władzę. Nawet imię miała takie. I ta jej uroda. Była piękna pięknem tak naturalnym, że tylko kwiaty jabłoni na drzewie mogły się z nią równać. I wyjątkowa jak kwiat paproci, którego nikt nie widział. Zrobiłby wszystko, żeby była jego. Kto wie, czy to nie jej obojętność tak go podsycala, tak niepokoiła. Gdyby zobaczył, że kiedy jemu odmawia, to innemu pozwala, zabiłby chyba tamtego, ją, i siebie. Żadnego jednak nie było. Owszem, ten i ów podchodził, zagadywał, do tańca prosił. Zgadzała się albo nie. Rozmawiać nie lubiła, ale to mu nie przeszkadzało. Też nie lubił gadać po próżnicy. U nich w domu tylko matka i Władek byli rozmowni. No, może też ojciec po wódce. Stefek i Kajtek trzymali się z boku, Stach był mrukiem. Zresztą jak się urodził, to Roman się dziwił, po co matce i ojcu dzieciak na starość. Gęby na szczęście nie darł tak bardzo jak Kajtek, z drogi mu schodził, bo go nie lubił. Ale meble zrobił, kiedy się dowiedział, że Roman ślub bierze. Roman myślał, że Stach coś do jego Władki ma. Patrzył na nią tak jakoś dziwnie. Potem zobaczył jednak, że i Władek tak na nią zerka, a przecież brat tylko Kazia i Kazia. Nawet go o to spytał.

– Bo ona jak nie z tego świata – wyznał mu szczerze brat. – Taka piękna. Mogłaby tu każdego chłopca mieć, ale widać, że porządna. Oczami nie strzela, zębami nie błyska. Masz szczęście.

Roman mu darował, bo Władek miał zupełną rację. I od tej pory bardzo się o względy Władki starał. Chodził do niej, w obejściu pomagał, z Maryną gadał, nawet Wichniaka w tartaku słuchał. Chałupę jej

pokazywał, co to już przyszykowana stała i czekała tylko, aż się do niej Roman wprowadzi. Aż w końcu zgodziła się zostać jego żoną. Można powiedzieć, że po raz pierwszy w życiu był szczęśliwy.

Tyle że teraz stał jak głupi pod jej domem i myślał tylko o tym, czy wyjdzie i przysięgnie przed ołtarzem. Dwa dni wcześniej poszedł pod jej chałupę wieczorem. Zupełnie pijany. W karczmie takich dwóch się przysiadło, obaj spod Figusina, znał ich, bo krótko w tartaku razem pracowali. Piwo mu stawiali, jak się dowiedzieli, że się żeni, że niby będzie stracony dla świata. Śmiali się, a on pił. Kiedy wracał, zobaczył, że świeca miga w oknie Władki i rzucił kilka kamyków. Wyszła do niego. Od razu przeszedł do rzeczy. Zaczął ją przyciskać do serca, zapewniać, że zrobi dla niej wszystko, wkładać rękę pod spódnicę. Walnęła go w głowę. Mało jej nie oddał. Złapał ją za rękę i ścisnął tak mocno, że aż stęknęła.

– Przepróś – zażądał.

Popatrzyła hardo.

– Pijany jesteś – stwierdziła. – Idź spać.

Znów oparł się pokusie, żeby ją uderzyć. Resztkami świadomości rozumiał jednak, że wtedy nie poszłaby do ślubu. Pozwoliłaby zmarnować prosiaka i rozpedzić gości.

– Przepróś – powtórzył.

– Nie przepraszę. Bo i za co? – powiedziała bez złości, jak to ona.

– Za to, że jesteś suka – wydyszał, zanim się zastanowił, co mówi.

– Ślubu nie będzie – powiedziała obojętnie. – Puść mnie.

Puścił, bełkocząc coś, że jeszcze go będzie błagała. Nie słuchała go, tylko poszła do siebie. Wstydził się tego, co zrobił i powiedział, chociaż pod pręgierzem by się nie przyznał. Cały dzień trzeźwiał. Myślał, żeby ją udobruchać, nawet żeby pójść i przeprosić, ale w końcu dał spokój. Teraz stał i ledwie słyszał, jak się rodzina przekomarza. W końcu wyszła, a jemu dech zaparło. Taka piękna, taka jego. Miała na sobie odświętny strój ozdobiony haftami, które sama robiła. Na głowie pysznił się wianek

upleciony z polnych kwiatów. Czerwień i błękit kwiecica podkreślały czerń jej włosów i oczu. Roman wziął ją za rękę i uklękł przed Bronią i Antonim.

– Błogosławię wam, moje dzieci – powiedziała Bronka, czyniąc nad ich głowami znak krzyża. Podobnie postąpił Antoni. Potem podeszli Wichniakowie i także ich pobłogosławili. Siostra była bardzo wzruszona, a dziewczynki, prawie już dorosłe, ścisnęły Władzię i Romana, jakby mieli za morze jechać.



Nie cieszyła się, ale też nie bała. Chciała go tak zwyczajnie. Nie wiedziała, że można naprawdę kogoś pragnąć, pożądać każdą komórką swojego ciała, ani na chwilę nie przestawać o nim myśleć. Tego miała się dowiedzieć kilkanaście lat później, kiedy było już za późno na wszystko.

Tymczasem stała w kościele i patrzyła na aniołki, które koronowały Maryję, Królową Polski. Starła się cieszyć z tej chwili, poczuć błogosławieństwo Najświętszej Matki, ale go nie czuła. Nic nie czuła. Może jedynie znużenie. Roman wbijał w nią te swoje spojrzenia, jego rodzina, zwłaszcza matka, wszyscy mieli wypisane na twarzy szczęście. Matka Boska Częstochowska spoglądała na to surowo. Zdawała się nakazywać Władzi, żeby nie dumiała o głupotach. Teraz przysięgasz w kościele, potem zjesz prosiaka, jeszcze taniec, wreszcie alkowa. W takiej właśnie kolejności. Zatem dopiero zaczynała stąpać po tej drodze. Roman drżącym głosem wypowiadał słowa przysięgi. Ksiądz patrzył na oboje surowo. Starła się skupić myśli, ale wciąż gdzieś ulatywały, a to do rodzinnej chałupy albo do domu siostry, a to znów Karolka się jej przypomniała i wstyd jej się zrobiło, że o weselu przyjaciółki nie zawiadomiła. Siostra opowiadała wczoraj wieczorem o własnym ślubie. Sprawdzały, czy spódnice dobrze wykrochmalone i Maryni zebrało się na wspominki.

– Zostawiłam spódnice na łóżku i poszłam coś zabrać ze spiżarni. Kiedy wróciłam i chciałam je na krzesło przenieść, wyskoczyła mysz. Prosto na mnie.



Władzia roześmiała się, bo wiedziała, że Maryna panicznie boi się myszy, zupełnie nie jak wieśniaczka, tylko jakaś miastowa pani. Z tego powodu w domu były dwa kocury, Dyzio i Mruczek, które miały za zadanie myszy łapać, przynajmniej te, które się dostały do domu. Oba swoją powinność czyniły, ale akurat tamtego dnia poszły polować gdzie indziej.

– I co zrobiłaś? – spytała Władzia, która zupełnie nie pamiętała tamtego wieczora.

Była mała i z trudem przypominała sobie ślub siostry, a co dopiero wieczór go poprzedzający.

– Jak to co? – Maryna wzruszyła ramionami. – Mysz uciekła, a ja wyprałam i wykrochmaliłam spódnice jeszcze raz.

– Co? – zdumiała się Władzia. – A jak wysuszyłaś? Przecież rano był ślub.

Maryna uśmiechnęła się.

– Całą noc przy ogniu spódnicami machałam. A czerwiec był i gorąco. Matka się wściekła – Maryna zaczęła się śmiać, ale nagle śmiech zamarł na jej wargach. Pochyliła się w stronę siostry.

– Władziu, czy ty jesteś pewna, że go chcesz?

– Tak, tak... – zapewniała ją już po raz wtóry, bo siostra wydawała się nieprzekonana co do zapewnień Władzi.

– Bo jeśli w sercu ci niedobrze, to nie można przed Bogiem przysięgać.

– W sercu dobrze – odparła, chcąc zapewnić o swych uczuciach siostrę, ale i siebie. Pamiętała, jak ją pijany chciał brać dwa dni przed ślubem, a ona mu powiedziała, że za niego nie pójdzie. Odeszła wtedy, na karku zaś czuła jego pełen nienawiści wzrok.

– Jesteś pewna? – pytała do znudzenia siostra.

– Maryniu... – Władka objęła ją za szyję obiema rękoma. Tak je zarzucała, kiedy była malutka. Był czas, kiedy myślała, że to Maryna jest jej matką, płakała za nią i wołała nawet „mamo”, za co jej własna matka sprząła ją kiedyś na kwaśne jabłko.

– Nie patrz na gości, na zapowiedzi. Myśl o sobie... – upierała się siostra.

Nie powiedziała Władzi, ale była świadkiem tej kłótni. Poza tym знаła Romana od dzieciaka i wiedziała, jaki jest. Nigdy by nie chciała kogoś takiego dla swojej siostry. Każdy inny był dobry. Winni, najlepsi ludzie pod słońcem, bogobojni, uczynni, szczerze złoto. Tylko ten jeden – czarna owca, i to właśnie on musiał zapragnąć Władzi, opowiadała mężowi, a ten uspokajał ją, że widocznie Bóg tak chciał. Maryna bała się, że skoro Pan Bóg jej tak pobłogosławił dobrym mężem, wspaniałymi córkami i spokojnym życiem, to dla Władki zabraknie już tych darów. Żałowała, że nie ukróciła tej znajomości, póki mogła, tylko przyglądała się z boku, jak ten ladaco bałamuci jej małą, śliczną siostrzyczkę.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszyła ją Władzia. – Będzie dobrze.

– Tobie ma być dobrze – chlipnęła Maryna. – Tobie ma być dobrze, nie mnie.

– Musi – wyszeptała Władzia. – Musi – dodała, zaklinając nieznany jej los.

– Czy ja tobie mówiłam...? – Maryna spojrzała niepewnie na siostrę.

Właściwie po to przede wszystkim przysła, żeby powiedzieć Władzi, czego może się spodziewać podczas tej pierwszej nocy. Nie wiedziała tylko, jak ująć w słowa to, co się dzieje, kiedy pijany po weselu mąż chce pojąć świeżo poślubioną żonę i w ten sposób ślub przypieczętować.

– Ja wiem – powiedziała jej Władzia, chociaż wcale nie wiedziała.

– Wiesz? – zdumiała się Maryna i odwróciła wzrok.

Władzia, widząc, że ją siostra opatrnie zrozumiała, zaczęła machać rękoma, bo przecież nie miała na myśli tego, że sama jest niecała, że komuś dała na sianie, ktoś ją już napoczął.

– Nie, nie, nie... Nie tak – tłumaczyła się niezręcznie.

Siostra odetchnęła z ulgą, bo ich rodzina zawsze była porządna i przecież nigdy nie widziała, żeby Władzia mizdrzyła się do kogokolwiek, przeciwnie, była nad wyraz spokojna i powściągliwa, chociaż tak piękna, że mogła skusić nawet pana, a co dopiero chłopca.

– Musisz być posłuszna – zaczęła Maryna przemowę, a Władzia wysłuchiwała jej w skupieniu, starając się z nic nieznaczących słów odgadnąć, jak to będzie.

Słyszała o tym od Zośki, która się przechwalała, że już miała chłopca. „Nadziewa cię jak jagnię na ruszt”, opowiadała, a potem śmiała się głośno i dodawała: „Jak ma czym!”. Władzia podejrzewała, że Zośka nic nie wie. Że w stodole daje się tylko obmacywać, a potem wszystkim rozgaduje, że chłop ma małego jak korniszon. Chłopy z kolei opowiadały, że ją miały i była zadowolona, a Zośki sława rosła jako tej, co to mówi, który dobry, a który nie.

– Będę posłuszna – potwierdziła.

Przecież jak już mu przysięgnie w kościele, to będzie ją miał na wieki, póki śmierć ich nie rozłączy. Będą mieli dzieci, jak Pan Bóg pobłogosławi. Będą uprawiać razem pole. On narąbie drzew, ona będzie chleb piekła. Posadzi kwiaty koło domu, a któregoś dnia przyniesie mu ledwie rozwinięty pęk i powie, że się stało w niej najświętsze.

– Nie martw się – pocałowała Marynę w czoło, jakby to ona była jej starszą siostrą.

Za przepierzenie zajrzał Marian i zdumiał się, że objęte siedzą i płaczą.

– A wy co? – spytał. – Siedzą i płaczą, a ślub jutro! Cieszyć się trzeba. Ja z radości spać nie mogłem.

Maryna uścisnęła Władkę, coś tam powiedziała, nieważnego zupełnie, o tym, że to jej ostatni dzień w panieństwie, i poszła z mężem na swoją stronę. Władzia nie zmrużyła oka. Modliła się, odwoływała do Świętej Katarzyny, patronki artystów i malarzy, o której opowiedziała jej kiedyś panna Kasia, nauczycielka ze dworu, która krótko uczyła czytać kotowickie dzieciaki. Władzia nie знаła innej świętej ani świętego, a panna Kasia poradziła jej, żeby się modlić do kogoś niższego w niebiańskiej hierarchii. Władzia uznała to za bardzo rozsądne. Uważała, że jest prochem marnym i Pan Bóg nie dosłyszysz jej modlitw.

– Święta Katarzyno – powtarzała, mając w pamięci marzenia o pieczeniu chleba. – Pomóż mi, żebym była dobrą żoną.

Święta Katarzyna mieszkała w dalekich Włoszech i po śmierci nie zgniła. Jej ciało pozostało nienaruszone w jakimś kościele i Władzia, jeśli o czymś marzyła, to właśnie o tym, żeby zobaczyć nietknięte śmiercią ciało Świętej Katarzyny. Nad ranem wstała i spojrzała na siebie w lustrze. Była blada, oczy miała podkrążone, ręce jej drżały.

– Już wstałaś! – powitała ją Maryna, a potem dziewczynki, które wbiegły do izby niczym ptaszki, zaczęły skakać wokół Władzi, pomagać się jej szykować, kłócić się, która ciotce pomoże się ubrać i przystroi wiankiem.

Wesele napełniło jej serce radością. Orkiestra grała pięknie, a ona pierwszy raz w życiu tańczyła jak młoda, szczęśliwa dziewczyna. Po raz pierwszy spojrzała na rodzinę swego męża innymi oczami. Chociaż Maryna opowiadała jej, że to mili ludzie, a przyszła teściowa na jej widok uśmiechała się i zagadywała przyjaźnie, jeszcze zanim Roman rzucił na nią okiem, to Winni wydawali się jej ludźmi z innego świata. Należeli do bogatszych we wsi. Stara Winna prowadziła dom żelazną ręką, on był znany jako bardzo dobry zdun, nawet w Kotowicach o nim słyszano. Chłopaki były jak malowanie, mówili, że dobre, gospodarne i rodzice będą mieli z nich pociechę. Najbliżej niej w latach był Kajtek, ale największą sympatię budził w niej najmłodszy, Staszek, który kiedyś ofiarował jej własnoręcznie wykonaną rzeźbę. Czuła, że są podobni do siebie. Oboje zamknięci w sobie, mrukliwi, woleli wszystko chować w sobie niż wykrzyczeć światu i innym ból, jeśli go w sobie mieli. Gdyby byli z panów, pewnie określiłaby ich mianem wrażliwych, ale Władzia nie знаła tego słowa.

– Zatańczysz z bratową? – zapytała go, kiedy już wytańczyła się z rubasznym, uroczym teściem i przemiłym Władkiem, figlarnymi Kajtkiem i Stefkciem.

Stach zaczerwienił się jak panna, ale zaraz wstał, śmiało podszedł i podał rękę Władzi. Ruszyli do tańca. Z początku nieśmiało, ale potem z coraz większym wigorem i zostali tak jeszcze jeden taniec, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż podszedł Roman i z trudem tłumiąc gniew, odebrał Stachowi swoją świeżo poślubioną żonę. W jego oczach migotał gniew, ale

Władzia zaraz spojrzała na Romana żarliwie, wzięła jego twarz w swoje ręce i odwróciła tak, żeby nie patrzył na Stacha, tylko na nią. Roman natychmiast się zmitygował, bo w czasie swoich dwóch bezsennych nocy, kiedy myślał, że Władzię stracił, obiecał, że jeśli wszystko dobrze się skończy, to postara się zmienić, żonę uszczęśliwi i dla swojej rodziny też lepszy będzie. W końcu wszystko miał, pieniądze zaoszczędził i jeszcze rodzice mu dołożyli, dom już wcześniej pomogli wyszykować, kawał pola przepisali na niego i jeszcze zwierząt chcieli dokupić, ale Roman zdecydował, że będą mieć tylko kurek trochę, krowę jedną i tyle, bo na razie więcej nie potrzeba. Teraz też się zmitygował, w końcu na weselu panna młoda powinna ze wszystkimi tańczyć, dlatego chociaż go złość brała na Stacha, że na jego żonę patrzy tak, jak nie powinien, to nic nie powiedział, tylko zaraz z nią w tany ruszył i już żadnemu bratu jej nie dał, ani nawet ojcu czy szwagrowi. Jej się to podobało, że tak krzepko ją trzyma, z takim żarem na nią patrzy i na rękach nosi po całej gospodzie.

– To co Władek? – spytał, kiedy wreszcie się zmęczyli i siedli przy stole, żeby z innymi się napić i pojeść. – Ty następny?

Władek kiwnął głową i chwycił Kazię za rękę. Ona też na niego spojrzała tak jakoś czule i pięknie, że Władzia się zachwyciła. Wtedy po raz pierwszy podziękowała Bogu, że do takiej miłej rodziny weszła.

– Ano my w przyszłe lato się pobieramy – ogłosił Władek, a Kazia znów pokraśniała z radości, bo też poza nim świata nie widziała, dobrali się jak w korcu maku, tyle tylko, że łoża jeszcze nie dzielili, ale każdą swoją myśl, każdy dzień owszem, i było widać, że nic wbrew Bogu nie zrobią, ale kochają się bardzo.

– Piękne synowe mi się trafiły – Antoni wychylał wódkę za wódką, aż wreszcie Bronka się zaniepokoiła i cicho powiedziała:

– Antoni, dość.

A on ku zdumieniu Władzi posłuchał, uśmiechnął się do żony i butelkę od siebie odsunął.

– Prawda, prawda, mam już dość – powiedział łagodnie.

– Matka, daj się ojcu napić! – zażądał Roman i uniósł kieliszek.

– Ostatniego – Antoni też uniósł, bo przecież nie mógł odmówić, ale potem już konsekwentnie mówił „nie”, bo sam czuł, że ma dość.

Bronka patrzyła z radością na tę śliczną dziewczynę, za którą Roman chyba świata nie widział, taki był zakochany, dziękowała Bogu, że się temu chłopakowi odmieniło i nic nie czuła, żeby coś nie tak było, przeciwnie – uznała, że Pan Bóg nierychliwy, ale wreszcie jej modlitw wysłuchał.

– Miłowanie wszystkich odmienia – powiedział Antoni, kładąc się spać po weselu, robiąc przy tym minę jak uczony w Piśmie Świętym.

– Od lat czekam, aż cię miłość do mnie odmieni na tyle, żebyś nie pił.

– Moja kochana Broniu, z miłości do kobiety można tylko zacząć pić – wyjaśnił jej Antoni, a ona roześmiała się, ale zaraz westchnęła.

– Myślisz, że Roman usatkuje się przy Władzi? – spytała.

– A co ma się nie usatkować? – Antoni miał taką minę, jakby Roman prawie trzech krzyżyków na karku nie miał i nie słyszał we wsi z gwałtownego charakteru.

– Wiesz, o czym mówię – powiedziała z naciskiem.

– Wiem, Broniu, ale Roman jest naszym synem. Owszem, szalał w młodości, ale się wyszumiał i teraz na swoje pójdzie. Dłużej czekał na tę, co by go wyciągnęła ze stanu kawalerskiego, ale się w końcu doczekał. My też.

I tak podsumowawszy, Antoni odwrócił się do Bronki i zasnął natychmiast. A ona jeszcze długo przewracała się z boku na bok, modliła, zastanawiała się nad tym wszystkim i prosiła o łaskę dla młodych.



Bolało ją, a on powiedział tylko, że to dobrze. Bo to znaczy, że jest jego od początku do końca. Ciałem i duszą.

– Jestem twoja, przecież ci przysięgłam w kościele – powiedziała prosząco, bo strasznie ją tam w dole bolało i nie chciała, żeby ją wziął trzeci raz tej nocy.

Widziała kiedyś, jak ogier klacz pokrywał od tyłu. Myślała, że ludzie inaczej to robią, ale widać się myliła. Może i dobrze, bo trzymała się oparcia łóżka i stłumiła krzyk, kiedy w nią wszedł. Dziwne to było uczucie. Jak cios, który spada zniecacka, jak niesprawiedliwa kara wymierzana przez okrutnego rodzica. Nie było jej przyjemnie, ale pamiętała o słowach Zośki. Trzeba udawać, że jest dobrze. Wtedy chłop zadowolony. Nie umiała udawać, zresztą jakby to miała zrobić, kiedy nawet na nią nie patrzył.

– Jesteś teraz cała moja – powtórzył i zasnął.

Długo leżała, wpatrując się w sufit. Potem zmówiła modlitwę i zapadła w krótki, niespokojny sen. Śniły się jej kruki, które wydziobywały ziarna z pola. Cztery wielkie kruki. Miała wrażenie, że ona jest jednym z nich. Jednocześnie stała i patrzyła na wszystko z góry. W pewnej chwili jeden z kruków zbliżył się do drugiego, usiadł mu na karku i potężnymi szponami skręcił kark. Aż drgnęła, takie to było straszne. Wtedy ktoś strzelił do kruka mordercy, a ten, brocząc krwią, osunął się na bok. Patrzył na nią czarnymi jak klejnoty oczami, a po chwili zgasł. Nie żałowała tego kruka, którego uduszono, tylko drugiego – zastrzelonego. Była gotowa podbiec do niego, ratować go, osłonić własnym ciałem, ale nie mogła się ruszyć. Wtedy ktoś strzelił też do trzeciego kruka i ten padł. Natychmiast się zbudziła, cała zlana potem, niespokojna, mając przed oczami czwartego kruka, patrzącego smutno na trzy trupy swoich pobratymców. Znow zaczęła się modlić.

Zawsze śniła, od najwcześniejszego dzieciństwa. Sny miała zwykle straszne, pełne ptaków i dzikich zwierząt. Nie rozumiała, co one znaczą. Nigdy nikomu o nich nie mówiła. Sen mara, Bóg wiara, przekonywała samą siebie.

Kiedy rano wstała do kur, Roman jeszcze spał. Bolało ją to miejsce między nogami i było tam nieco zaschniętej krwi. Zrobiła sobie okład z babki lancetowatej, która goiła rany i uśmierzała ból. Za kilka godzin będzie lepiej, pocieszała się. I rzeczywiście było lepiej, ból prawie ustał, ale pojawił się znowu, kiedy wieczorem położyli się do łóżka.

– Roman, boli mnie... – poskarżyła się, sądząc, że z litości zostawi ją w spokoju na dzień czy dwa, tyle, ile będzie chciała, ale tak się nie stało.

– Musi boleć – zdecydował i ponownie wszedł w nią mocno, dwa razy ściskając za biodra tak silnie, że nie wiedziała, co ją bardziej boli, ten ucisk czy uderzenia, które wydawały się rozrywać jej ciało od środka.

– Proszę... – wykrztusiła i nagle poczuła, że on zwalnia uścisk, wychodzi z niej i przewraca się na plecy.

– Co? Co? – wysyczał, a na twarzy malowała mu się nienawiść. – Boli? Boli?

Kiwnęła niepewnie głową, przerażona, bo przecież nie chciała go obrazić w żaden sposób.

– To ci ze mną niedobrze, co? Boli cię, jak ja ci to robię, co?

Wtedy zrozumiała. Przypomniała sobie słowa Zośki. Że ma być przyjemnie, że trzeba okazywać zachwyty.

– Dobrze mi z tobą, dobrze... – zapewniała, a potem już nie protestowała.

– Ach, ty moja, ty... moja, ja dla ciebie bym wszystko, Władka... – powiedział i złapał ją za głowę, a potem przycisnął ją do swojej piersi. Usłyszała mocne bicie jego serca.

Z czasem przestało boleć i nawet było jej dobrze. Na pewno byłoby lepiej, gdyby nie wchodził w nią tak mocno, gdyby nie robił tego od tyłu, gdyby nie ściskał tak mocno jej talii. Nie powiedziała mu tego, ale marzyła o pocałunku. Słyszała, że to coś cudownego, kiedy usta dwojga ludzi stykają się ze sobą. Roman jej nie całował, nie dotykał czule, nie wypowiadał dobrych słów. Mówił wprawdzie, że doprowadza go do szaleństwa, że mógłby ją zabić, tak jej pragnie. Ale czy to były dobre słowa? Raczej nie, myślała. Nie miała odwagi mu powiedzieć, że chciałyby, aby ich noce wyglądały inaczej. Nie potrafiłaby tego nawet ująć w słowa i bałaby się tego, co on może zrobić, kiedy zacznie mu mówić, jak ma jej sprawić przyjemność.

– Kocham cię, Roman – powiedziała któregoś dnia w nadziei, że on powie to samo.

Właśnie położyli się do łóżka, jakieś dwie niedziele po ślubie, a ona chciała, żeby nie kazał jej klęczeć, nie trzymał za biodra ani za kark i nie



sprawiał bólu. Odpowiedziała jej cisza. Uścisk na karku zelżał. Odwróciła głowę i zobaczyła go. Zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy widzi Romana nago.

– Nie patrz! – krzyknął.

– Dlaczego? – nie rozumiała.

– To przez ciebie! – wrzasnął i zasłonił się koszulą.

Skuliła się, nie wiedzieć czemu, czekając na cios, ale niepotrzebnie. Roman wybiegł z izby jak oparzony. Słyszała, jak wkłada buty i wychodzi z domu, trzaskając drzwiami. Usiadła na łóżku oszołomiona, zastanawiając się, co takiego się stało. Po chwili rozumiała, ale wciąż temu nie dowierzała. Powiedziała mu, że go kocha, ale on nie powiedział jej tego samego. Kiedy go zobaczyła, przyrodzenie, jeszcze opuchnięte, wisiało mu między nogami. Teraz domyśliła się, że wyznanie miłości osłabiło jego męskie moce. Znowu zmówiła modlitwę Świętej Katarzyny i zasnęła. Zbudził ją nad ranem, pijany. Wlazł do łóżka, mamrocząc coś o dobrej żonie, ale nie chciał jej brać. Potem przez kilka dni unikał jej wieczorami. Ona kładła się pierwsza, udawała, że śpi, on przychodził później, czy to z pola, czy z karczmy. Martwiła się, że źle z nim postąpiła i powinna przeprosić. To baba jest winna, jak chłopu nie staje, powiedziała jej kiedyś Zośka. Jej wina wydawała się większa, poza pojnowaniem Zośki. Przecież najpierw stanął, potem opadł.

Pewną ulgę przynosiły jej odwiedziny siostry. Starła się też zachodzić do rodziców Romana. O ile przy nim zawsze czuła się niepewnie, o tyle u Winnych czuła się kochana i akceptowana.

– Dzień dobry, mamie – powitała Bronkę w progu, a ta podeszła, objęła ją serdecznie i przycisnęła do serca.

– Wejdz, córeńko, wejdz – powiedziała.

Mówiła do niej „córeńko”, co Władzię zawsze wzruszało. Jej własna matka zwracała się do niej w formie bezosobowej, czasami mówiła „Władka”. Tu była córeńką. A Bronisława była mamą. I to było takie dobre.

– Przyniosłam trochę czarnego bzu – postawiła koszyk na stole.

Bronka spojrzała na synową niepewnie.

– Z kwiatów robimy lemoniadę, ale owoce zawsze omijałam z daleka.

Władzia się uśmiechnęła.

– Sok z owoców najlepszy na choroby, ale trzeba je gotować. Ma mama rację, surowe są trujące.

Bronka położyła na stole chleb i świeżo odciśnięty twaróg.

– Powiesz mi w takim razie, kochana moja, jak to ugotować, co potem zrobić, a ja postąpię według twoich wskazówek – stwierdziła i zawołała w głąb domu: – Staszku!

Władzia znów się uśmiechnęła do teściowej. Bronisława Winna prosiła ją, młodą dziewczynę, o radę, jak przygotować sok z owoców czarnego bzu. Samo w sobie było to niezwykle. Matka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Aż cud, że wychowała kogoś takiego jak Maryna, myślała, nakładając sobie na talerzyk białego sera.

– Pychota – powiedziała z pełnymi ustami.

– Jedz, kochana, jedz – mówiła Bronka, wyciągając z kredensu miód i stawiając na stole.

– Mama zje ze mną? – spytała Władzia.

– Zjem, zjem, bo właśnie miałam siadać do śniadania – zapewniła. – Stachu! – Zawołała ponownie.

W końcu do kuchni przyszedł rozczochrany Stach, który stanął jak wryty na widok Władzi, szybko przygładził fryzurę i podszedł niepewnie do stołu.

– Śpioch z ciebie – zagadała do szwagra Władzia.

Zrobił się czerwony jak burak. Matka zaczęła usprawiedliwiać syna:

– Wczoraj późno wrócił z Grodziska. Po nocy właściwie.

– Szyna pękła i pociąg... – zaczął Stach, ale przerwał, bo Władzia oblizała palce ubrudzone serem i ten lubieżny i intymny zarazem gest tak go zaniepokoił, że nie mógł wykrztusić słowa.

– Pociąg się wykoleił? – spytała nieświadoma Stachowych rozterek Władzia.

– Nie, nie – z trudem dobierał słowa. – Ktoś zauważył pęknięcie i zatrzymał pociąg. Zapalił ogień na torach. Z daleka było widać i pociąg... stanął – to ostatnie słowo z powodów bardzo osobistych wypowiedział cicho.

– Nikomu nic się nie stało, Bogu Wszechmogącemu dzięki – dodała Bronka. – Tyle że szedł tu piechotą i dotarł późno.

Stach wziął widelec i zaczął jeść twaróg i popijać maślanką. Świeżo upieczony chleb zapachniał mu domem i spokojem.

– Biedaku ty mój – uzaliła się nad nim Władzia i spojrzała z czułością. – Całe szczęście, że nic się nie stało.

– Bóg strzegł – podsumowała Bronka i znów zaczęła nakładać sobie miodu i sera.

– A gdzie ojciec i reszta? – spytała Władzia, rozglądając się po izbie, jakby dopiero teraz sobie uświadomiła, że Winnych jest przecież więcej.

– Wszyscy do roboty poszli. Władek i Kajtek w pole, a ojciec piec stawia po sąsiedzku, w Brwinowie.

– Ja już jutro do Grodziska wracam, do terminowania – zaznaczył szybko Stach, gdyż nie chciał wyjść na nieroba.

– To może wreszcie się doczekamy z Romanem porządnego łóżka? – spytała Władzia ze śmiechem.

– Tak – odparł zawstydzony.

Obiecywał im to łóżko nie raz i nie dwa, i kredens, ale musiał jeszcze się uczyć, żeby dobrze zrobić, z majstrem Kacprem jeszcze raz wszystko omówić i przerobić. Majster wziął zlecenie na łóżko, krzesła, podłogę i stół. Robili te rzeczy w pocie czoła, mistrz mówił, że to taki ostateczny egzamin, sprawdzian dla Stacha. Kiepsko radził sobie z polerką. To znaczy nawet nie tyle z polerką, ile z mieszaniem lakierów. Majster się nie gniewał, ale też nie odpuszczał. Nie pójdiesz, póki nie zrobisz dobrze, powtarzał, a Stach żyły sobie wypruwał i żałował, że nie dość dobrze uczył się w szkole i teraz myli wagę i składniki.

– Jeszcze polerki dobrze nie umiem – wyznał. – Jak się nauczę, to zrobię dla was łóżko.

Władzia uśmiechnęła się promiennie, a on znów się skonfundował. Władzia zajmowała jego myśli, ale nigdy by się do tego nie przyznał. Była od niego starsza i przecież była żoną Romana, ale myśli nie uwiązesz na postronku niczym krowy w oborze.

– Nie spieszy się – powiedziała Władzia i znów oblizała palce, tym razem po miodzie. – To całkiem dobre, tylko skrzypi strasznie.

Znów się zrobił czerwony jak burak, zwłaszcza że matka roześmiała się szczerze i zaczęła rozpytywać, jak tam Roman się sprawuje. Władzia dostrzegła zawstydzenie Stacha, dlatego powiedziała spokojnie:

– Wszystko dobrze, dziękujemy.

– Nie czerwień się tak, Stachu – Bronka pogłaskała go po głowie, co sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej. Jakby mógł, toby uciekł nad staw i wskoczył do wody, jak stoi, a potem chodził po polach tak długo, aż by całkiem wysechł.

– Niech mu mama da spokój, to taki dobry dzieciak – wzięła go w obronę Władka i to było najgorsze ze wszystkiego. Na szczęście zaraz skończył się ser i Bronka z Władzią wstały, i zabrały się za gotowanie owoców czarnego bzu.

Tak im dobrze szło, że odtąd aż do urodzenia Florka Władka przychodziła do Winnych niemalże codziennie, korzystając z tego, że Bronka chwilowo u żadnego pana nie gotowała. Razem robiły zaczyny i piekły chleby i placki, gotowały wspólnie, peklowały i dusiły, a potem dzieliły wszystko sprawiedliwie, żeby było dla każdego.

– Córuchna moja – witała ją i zegnała co dzień Bronka, a Władzia była u teściów szczęśliwsza niż we własnym domu.



Stach nie miał snów. Dlatego kiedy przyśniło mu się, że pływali z Władzią nago po jeziorze, zbudził się przerażony i skłonny, żeby pójść do

Romana, wszystko mu wyznać i poprosić o wybaczenie, licząc się z tym, że Roman wymierzy mu karę w jedyny znany sobie sposób, czyli bijąc go do nieprzytomności.

– Co ty taki markotny? – pytał go majster Kacper.

– A bo kończę terminować – wyjaśniał i była to po części prawda.

Będzie mu brakowało Kacpra warsztatu i nauk, które z początku były ciężkie, ale przecież potem Stach nauczył się ciesiołki tak dobrze, że mógł samodzielnie pracować.

– Uczeń przerósł mistrza – Kacper klepał go po plecach.

Naprawdę tak uważał. Kiedy zobaczył drobnego, chudego chłopaka, którego ojciec przyprowadził, pomyślał, że Stach nie przetrwa u niego nawet tygodnia. Bo przecież co mógł mu ofiarować? Po śmierci żony i córki całkiem się stoczył, pił tyle, żeby nie widzieć świata bez ukochanych istot i żył tylko dlatego, że bał się, że jak sobie coś zrobi, to go Pan Bóg nie pośle do najbliższych, ino do jakiegoś piekła. Żył zatem tak, jakby spał, pił, żeby dotrzeć do wieczora, i rano budził się, żeby znów zacząć pić. Powiedział, że wyuczy chłopaka za dziesięć rubli. Sądził, że to łatwe pieniądze. Mały pokręci się trochę po warsztacie i tyle go będą widzieli. A pieniądze, od razu zamienione na gorzałkę, pozwolą Kacprowi trwać dalej.

– Niech pan tak nie mówi, mistrzu – sprzeciwił się Stach. – Pan jest najlepszym cieślą na świecie. Tylko Święty Józef lepszy, a i tego nie jestem pewien.

Kacper Gołąb jednak był pewien. W tym szczupłym chłopaku drzemał wielki talent. To dlatego mu wrzucił te świątki do ognia. Nie dlatego, że były brzydkie, tylko dlatego, że nie były idealne, a Kacper wiedział, że Stanisław Winny będzie robił idealne meble i rzeźbił perfekcyjne świątki.

– Już mnie tak do Świętego Józefa nie porównuj. Nie wiem, jaki był z niego cieśla, ale małżonek i ojciec jakiego ze świecą szukać.

– Ale ja... – zaczął znów Stach, tylko że go mistrz uciszył i jął z nim omawiać ostatnie detale mebli, które zrobili. Po południu ktoś miał po nie

przyjechać i Kacper zdecydował, że zarobkiem podzielią się po połowie. Stach protestował, ale majster był nieugięty.

Nie przestał wprawdzie pić, ale już nie żył dla picia i nie pił, żeby żyć. Pił coraz mniej, ogarnął z pomocą chłopaka warsztat i własny dom, bo uznał, że świnia lepiej się prowadzi i czystsza niż on.

– Patrz tu – pokazał palcem. – Ryska.

– Już poprawiam, już – Stach pochylił się nad nogą stołową i chociaż nic nie dostrzegł, złapał za ścierak, żeby jeszcze raz przeciągnąć, potem lakier położyć i wypolerować jeszcze raz.

– Czeka! – zatrzymał go Kacper. – Co robisz?

– Powiedzieliście, że ryska... – bąknął Stach.

– A gdzie ta ryska? – indagował Kacper.

– Powiedzieliście... – dukał Stach.

Majster przewrócił oczami.

– Nie ma żadnej ryski! – ryknął Kacper.

– Ale... – Stach był coraz bardziej nieszczęśliwy, bo nie wiedział, o co chodzi majstrowi.

– Nie ma żadnej ryski – powtórzył już spokojnie Kacper Gołąb. – Świetnie się spisałeś, chłopaku. Jesteś najlepszy. Pamiętaj o tym. Polegaj tylko na swoich oczach. Pamiętaj.

A kiedy w końcu przyjechał po niego ojciec i zbierali wszystkie Stachowe rzeczy, siennik, narzędzia, wyrzeźbione świątki i dwa krzesła zrobione specjalnie dla matki, Stach gotów był się rozplakać, bo przez te dwa lata tak się zżył z Kacprem, że ten mu się stał bliższy niż własny ojciec. I co dziwne, jeden i drugi miał tego świadomość, bo ojciec dziękował Kacprowi jakoś taki skrzywiony, a Kacper klepał Stacha po plecach i mówił, że jest z niego dumny, taki dumny. W końcu pojechali, a Stach nie wytrzymał i rozryczał się na cały głos. Ojciec zatrzymał wóz i zamiast ze Stacha kpić, że baba, sam się mało nie rozplakał i tylko obejmował go i mówił:

– Dobry nauczyciel to skarb. Skarb, synu. Wiem, jak wiele mu  
zawdzięczasz.



– Bo ty, Kazia, to byś chciała zawsze rządzić – zdenerwowała się Władzia, kiedy szwagierka po raz kolejny próbowała jej konfitur i narzekała, że za mało cukru i za bardzo wysmażone.

– Bo ty nie umiesz... – zaczęła Kazia, ale Władczyny Florek, który gonił jej małego Jasia, zaczepił koszulą o stół i runął jak długi, rozbijając nos.

– Aaaaa! – wrzasnął.

– Mój Boże! – z dworu przybiegła Bronka. – Co tu się dzieje?!

– Nos rozbił! – wrzeszczała Władzia. – Przez Jaśka!

– On go gonił! – broniła syna Kazia. – I sam się potknął.

– Kto to się tak po domu goni! – utyskiwała Bronia, patrząc to na jedną synową, to na drugą, to znów na najstarszego wnuka, który wyglądał jak nieszczęście, cały zakrwawiony.

– Aaaa!... – krzyczał Florek, przytykając palce do nosa.

Spomiędzy nich ściekała krew, a Bronka bezskutecznie usiłowała pomóc dzieciakowi i jednocześnie uspokoić kłóćące się synowe.

– Bo on wszystko mojemu Florkowi zabiera – Władzia załamała ręce nad synem, który wył, jakby go ze skóry obdzierali, ale nie dał sobie odjąć rąk od nosa.

– Przecież to dzieciaki – Kazia skrzyżowała ręce na piersiach i wbiła spojrzenie w szwagierkę. – A ty im się nie dajesz pobawić.

– Twój niewychowany! – wrzasnęła Władka wyprowadzona z równowagi i rzuciła takie spojrzenie Jaśkowi, jakby malec osobiście zmasakrował prawie dziesięć lat starszego i ponad dwa razy od siebie większego Florka. Kazia zrobiła się czerwona jak burak i uniosła do góry pięść.



– To twój jest niewychowany! – odparowała, ale zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, Bronka nabrała powietrza i krzyknęła ile sił w płucach:

– Cicho!

Zamilkli wszyscy, a zaskoczony Florek nawet ręce od twarzy odjął i dał sobie nos obejrzeć i twarz wytrzeć mokrą ściereczką.

– Nie jest złamany – orzekła Bronka. – Do wesela się zagoi.

Podawała mu szmatkę z zimną wodą.

– Masz tu. Trzymaj, to mniej spuchnie.

– Ja, ja... – wyrwał się Jasiek, wziął szmatkę w rączkę i delikatnie przytknął do nosa kuzyna. Ten spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Dzieciaki mądrzejsze od was – zwróciła się do synowych, które obie czerwone na twarzach stały, mierząc się wzrokiem.

– Ona zaczęła – burknęła Władzia.

– Cicho! – skarciła ją ponownie Bronka. – Nie pytam żadnej z was!

Nie dociekała, o co poszło, bo pewnie jak zwykle o błahostkę. Pewnie Kazia skrytykowała konfitury albo wychowanie chłopców. Kazia nie umiała ukryć zazdrości o Władkę, a Władzi najwyraźniej się znudziło podkulanie ogona i słuchanie wiecznych pouczeń. Bronka doskonale o tym wiedziała, ale nie mogła pozwolić, żeby synowe za łby się wzięły.

– Jak konfitury? – spytała.

– Dobrze – odpowiedziała szybko Władzia.

– Za mało słodkie i za bardzo wysmażone – powiedziała w tym samym momencie Kazia.

Bronka podeszła do pieca i drewnianą łyżką nabrała trochę, podmuchała i spróbowała.

– Odrobinę za mało słodkie, ale za to idealnie wysmażone – orzekła.

Miała wrażenie, że nie zadowolili żadnej ze stron, ale myliła się. Młode kobiety przyjęły jej Salomonowy wyrok z wyraźną ulgą. Władzia zdjęła konfitury z ognia i dosłodziła je odrobinę.

– Kaziu – powiedziała uprzejmie Bronka. – Sprawdź, czy teraz dobre.

Kazia wiedziała, kiedy oddać pole, zatem spróbowała i orzekła:

– Teraz dobre.

– No i dobrze. Można przelewać do słoików.

Słoje, wyparzone i przygotowane, stały na kuchennym stole. Aż dziw, że podczas gonitwy Jaśka i Floriana żaden się nie stłukł. Kobiety bez słowa zaczęły przekładać konfitury do słoików.

– Pokaż no, synku – Bronka podeszła do Florka.

Jasiek odłonił Florkowy nos. Najstarszy wnuk spojrział ufnie na Bronkę znad opuchlizny.

– Bo oni nie powinni się tak gonić! – zagadała znów Kazia.

– To dzieci są – stwierdziła Bronka, a Władka, która przecież powiedziała tak samo, spojrzała na szwagierkę triumfalnie.

– Ale – zaznaczyła Bronka – następnym razem bawicie się w berka na podwórzu. W domu nie biegamy. Jasne?

– Jasne, babciu – mruknął jeden i drugi.

Bronka pożałowała, że nie było z nimi Ignasia, który nad wiek poważny, zawsze umiał zapanować nad starszym od siebie Florkiem i wymyślał takie zabawy, żeby mały Jasiek się wybiegał, a przy tym nie psocił. Ale tego dnia Roman wziął ze sobą młodszego syna na targ, o czym jej Władzia powiedziała, i zaraz uciekła wzrokiem, jakby coś wstydlivego wyznała. Bronka się zatem dopytała, dlaczego Ignacy pojechał, a nie Florian, albo obaj synowie, ale się dowiedziała, że Roman tak zdecydował. Dodała też, że na targu ze starszego ponoć wielkiego pożytku nie ma, a Ignas wozu pilnuje, robi, co mu każą, a na dodatek liczyć umie, chociaż mały. Bronka pokiwała głową i spytała jeszcze, co Roman na targu będzie sprzedawał. Dowiedziała się, że niczego nie będzie sprzedawał, ale kury kupował, bo ostatnio dwie nioski padły, a lis wydusił jeszcze kilka. Bronka zmilczała, bo nie do końca wierzyła w lisa i padłe kury, ale lepiej było nie pytać, co się dokładnie stało. Powiedziała tylko, że wielka szkoda, że Władka nic nie

powiedziała. Przecież u Stacha i Kasi kurek tyle się urodziło, że chcieli sprzedać co najmniej dziesięć, toby po bratersku się podzielili.

– Roman by pewnie nie wziął – wyszeptła Władka, a minę miała przy tym tak nieszczęśliwą, że nawet Kazia zaczęła coś do Bronki mówić, żeby już Władzi nie męczyła i się nie wtrącała w Romana sprawy.

– No to chodźcie ze mną – poprosiła Bronka wnuki. – Mamy niech skończą z konfiturami, a ja wam coś przeczytam.

Podreptali chętnie, bo lubili, kiedy babcia im czytała.

– Babcia ma hopla na punkcie czytania – powiedział kiedyś Florek, a Jasiek mu przytaknął, chociaż za mały był, żeby cokolwiek zrozumieć. Czytanie babci uwielbiał, chociaż natychmiast zasypiał.

Usiedli w cieniu jabłonki, bo dzień był gorący. Bronia wzięła do ręki *Potop* i zaczęła czytać. Jasiek niemal od razu zasnął, a Florian zapomniał o bólu nosa. Chciał być taki jak Andrzej Kmicic. Mieć takie same przygody, strzelać do portretów przodków, bronić świętej Częstochowy. Kiedy zasypiał, pytał matki o najazd Szwedów na ojczyznę, i był rozczarowany, bo nie chciała mu o tym opowiadać. Chociaż Kmicica podziwiał, najbardziej jednak kochał Skrzetuskiego, bo był mniej szalony niż Kmicic i bardziej honorowy. Podobało mu się strasznie, kiedy Bohuna pokonał pan Wołodyjowski. Też chciał być taki jak mały rycerz, tylko nie chciał być mały. Ale mu to nie groziło, bo wszyscy mówili, że był nad wiek wyrośnięty. Florian wypytywał matkę o Skrzetuskiego, ale tak, żeby ojciec nie słyszał, bo strasznie się wtedy złościł i bywało, że obrywał. Florian nie wiedział wprawdzie, co złego zrobił, ale mama mu wytłumaczyła, że ojciec jest porywczy, bardzo ciężko pracuje, żeby ich wyżywić i trzeba mu schodzić z drogi.

Florian nie przyjmował tego tłumaczenia, bo wujek Władek też ciężko pracował, ciężej nawet, ale do swojej żony zwracał się grzecznie, we wszystkim jej pomagał, a Jaśka na koniu woził. A wuj Stach też patrzył w ciocię Kasię jak w obraz, a Wacek i Tadek mieli mnóstwo zabawek zrobionych przez ojca. Wuj wprawdzie im także robił różne zabawki, ale ojciec spoglądał na to niechętnie, chował je i nie pozwalał się nimi bawić.

Florian uważał, że ojciec po prostu ich nie lubi, jego, matki, babci i dziadka, nawet małego Jaśka, który był rozkoszny, śmiał się i dokazywał. Słyszał czasami, jak wygadywał różne przykre rzeczy na wuja Władka i Stacha, na tego ostatniego szczególnie – że w polu nie robi, że żona się wywyższa, a dzieciaki to jak pańskie chowają. Zatem można było przypuszczać, że jakaś zadra tkwi w samym ojcu i nie jest to wina ani jego, ani matki.

– Florek – napomniała go babcia – gdzie ty myślami błędzisz? Słuchaj, jak ci czytam!

Babcia była najmądrzejszą i najukochańszą istotą na świecie. Tak uważał. Jak był mniejszy, myślał, że wszystkie babcie takie są. Ale żadna taka nie była. Nawet żadna matka. Babcia umiała czytać i we wsi ją szanowali, a ona się nie wywyższała, tylko była dla wszystkich miła i uprzejma.

Matka się nigdy nie skarżyła, chociaż Florian wiedział, że miałyby na co. Tyle razy chciał babci powiedzieć, jaki jest dla nich ojciec, ale obawiał się, że może wtedy stać się jeszcze gorszy.

– Florek! – ponownie usłyszał głos babci. – Mówię do ciebie, synku.

Podszedł do babci i usiadł blisko, przytulając głowę do jej kolana. Słuchał uważnie o tym, jak Kmicic wyzwiał na pojedynek pana Michała Wołodyjowskiego i jak się pysznił i chełpił, a potem przegrał sromotnie.

– Już sam czytam. Prawie tak ładnie jak babcia – oznajmił Florek, kiedy skończyła. – I mamie czytam. I Ignasiowi. I Jaśkowi... też będę czytał.

– Wiem, synku, wiem... – Bronka z czułością spojrzała na starszego wnuka, a potem odwróciła głowę w kierunku Jaśka, który pochrapywał smacznie.

– A jak tam w szkole? – spytała.

Florek wzruszył ramionami.

– Ojciec mówi, żebym nie chodził. Pomagać mu trzeba, a to taka szkoła, wie babcia. Mówił, że jakby pani Słońska była, to co inszego... Ignacemu pozwala, na szczęście.

Bronka pokiwała głową.

– Wiem, synku – westchnęła. – Dobrze, że Ignasiowi pozwala.

Pani Słońska, cicha bohaterka, uczyła niegdyś po kryjomu dzieciaki z Brwinowa. Uczyła po polsku, co narażało ją na zsyłkę na Syberię, ale nie ustawała w wysiłkach, żeby chłopskie dzieci nauczyły się języka ojczystego, przyrody i rachunków. Nie było to darmo, kosztowało rubla miesięcznie i Bronka obawiała się, że ten czy ów chytry chłop zdradzi panią Słońską dla zysku czy też ze zwyczajnej złośliwości. Nic takiego się jednak nie stało. Kiedy Florian dorósł do szkoły, zaborca otworzył swoją szkołę i zachęcał, aby dzieciaki do niej chodziły. Pożal się Boże z taką nauką. Podręczniki po rosyjsku, lekcje po rosyjsku, na dodatek szkoła daleko. Cztery kilometry od Brwinowa. Dzieciaki brnęły w śniegu i deszczu, a przecież większość porządnych butów nie miała. Nie dziwota, że rezygnowały. A zaborca ręce zacierał. Przecież pozwoliliśmy wam uczyć dzieci, głupie Polaki. Niemalże słyszała w głowie te słowa. Wtedy postanowiła, że ona nauczanie wnuków na siebie weźmie, a jeszcze synowe czytać porządnie nauczy, ale tu napotkała na opór i Władka, i Romana oraz Kazi. Z Kazią sobie poradziła, bo synowa słuchała jej we wszystkim i ciężko pracowała na miano ulubionej, ale z Władkiem musiała walczyć.

– Mama się szaleju najadła – powiedział. – Przecież on mały, ledwie gada. Za kilka lat kto wie, co będzie. Co do Kazi, to się nie zgadzam. Roman to, powiem mamie, ma rację. A po co babom i dzieciakom nauki? – pytał Władek, który umiał czytać i pisać, ale tylko na tyle, żeby go we młynie nie oszukali. – Babom w polu i domu nie potrzeba czytania.

– A ja? – spytała Bronka.

– A mama to insza inszość – odpowiedział Władek. – Mama jest inna niż wszyscy.

– Nie jestem inna... – zaczęła, ale syn znów jej przerwał.

– Mama jest inna i dobrze o tym wie! A Kazia to wcale nie chce czytać, bo jej nie potrzeba... Podpisać się umie. Ona tylko mamie przyjemność chce zrobić, dlatego się na wszystko zgadza.

Całe szczęście, że Władka taka nie była i zaraz się przy Florku podszkoliła, a teraz czytała prawie tak dobrze jak jej dzieciaki. Kazia wyraźnie była do nauki niechętna i robiła, co mogła, żeby się od tego wykręcić. Bronka westchnęła, uznała, że Władek ma rację i nie trzeba Kazi do niczego zmuszać. Chciała teraz jedynie zapewnienia, że jak Jasiek od ziemi odrośnie, to będzie mogła się nim zająć. Syn znów westchnął i spytał, czemu ona tak na to czytanie się upiera.

– Po co mają czytać? Do Ameryki pojedą czy jak? – burknął.

Bronia drgnęła na dźwięk słowa „Ameryka”, bo przypomniała sobie, że szwagier zagubił się tam wraz z trzema synami, a w końcu zginął tragiczną śmiercią, ale zaraz się wzięła w garść, bo o większą sprawę szło, i powiedziała:

– Jak pojedą do Ameryki, to się nauczą po ichniemu gadać, a mnie chodzi o to, żeby po polsku mówiły, czytały i pisały.

– Ale po co? Lepiej im od tego nie będzie – upierał się Władek.

– O tak! – denerwowała się Bronia. – Twoje słowa to miód na uszy tutejszych Rosjan. A jakby do cara doszło, że polskie chłopcy chcą być niepiśmienne, żeby je dalej do ruskiej mowy przyuczać, toby ci medal dał. Szczerozłoty!

– Co też mama – kapitulował Władek. – A co Ruskie mają do tego?

– No właśnie oni przede wszystkim mają – wyjaśniała. – Dzieci zabraniają uczyć.

– Przecież szkołę otworzyli – przypomniał jej Władek z przekąsem. – I mówiłem, że Jasiek za mały.

– Władek! – zdenerwowała się Bronka.

– Dobrze, już dobrze! – syn uniósł ręce w geście poddania. – Niech mama się zajmie Florkiem i Ignasiem, a Jaśkiem za jakiś czas. Tylko jak mamę na Sybir ześlą, to ja osobiście mamę na pociąg odwiozę i do kubitki wsadzę! Osobiście...

Bronka przycisnęła go do serca, jak kiedyś, i ucałowała w oba policzki. Przykazała też, żeby się nie martwił, takich starych wieśniaczek na Syberii

nie potrzebują. Potem poszła gadać z Romanem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – zapukała do drzwi i weszła od razu, w sam raz, żeby zaskoczyć Władkę, która szybko odwróciła się do niej plecami, wytarła oczy, a potem rozciągnęła usta w uśmiechu i zaczęła usadzać teściową na krześle i częstować herbatą ziołową.

Bronka, której uwagi nie uszły zaczerwienione oczy Władzi, udała, że nic nie zauważyła.

– Dobra herbata – pochwaliła.

– Może mamie miodu dodam? – zakrzętnęła się Władzia.

– Nie, dziękuję, dziecko, taka jest bardzo dobra. Lubię dziurawiec.

– A może mama głodna? – zerwała się znowu dziewczyna, ale znów Bronka zaprzeczyła i zaczęła uspokajać synową, że ona tu nie przyszła gościć się ani czas zabierać, tylko chciała porozmawiać z Romanem i z nią.

I krótko wyłożyła, w czym rzecz. Władzia spojrzała niepewnie.

– Ja to bym chciała – powiedziała, a potem zupełnie nieoczekiwanie wybuchnęła płaczem.

– Co tobie, dziewczyno? Co tobie? – pytała Bronka i tuliła biedaczkę do serca, a Władzia odpowiadała:

– Nic, nic, ja tak tylko sobie popłakuję, bo co dzień to samo, wstaję rano, zwierzęta, dzieci...

I Bronka w mądrości swojej wcale nie powiedziała, że Władce nie może być ciężko, bo przecież ma tylko dwójkę dzieci, a ona piątkę wychowała. Głaskała ją po plecach i gniew straszny ją palił, kiedy widziała na ramieniu dziewczyny podbiegnięty na fioletowo siniak. Nie dodała też, że tak trzeba i ma być mężowi posłuszna, ani nawet że Bóg nas doświadcza, bo wcale nie uważała, że bicie kobiety to jest jakaś sprawa Pana Boga.

– Czy ty chcesz, kochana, żebym ja tu trochę z wami pomieszkała i tobie przy dzieciach pomogła? – spytała, zachodząc w głowę, jak porozmawiać z Romanem, żeby się jeszcze bardziej nie rozgniewał i na Władzi złości nie skupił.

– Nie trzeba, mamó, nie trzeba – chlipnęła Władzia i zaraz odsunęła się od Bronki, jakby się przestraszyła, że za dużo zostało powiedziane i trzeba będzie zapłacić sińcami za tę chwilę słabości.

– Może jednak? – pytała. – Stefek daleko, tam Grażynka otoczona całą rodziną. Kajtek też już samodzielny. Iwonka ma z kolei siostry i te jej pomagają...

Bronka zamilkła, bo przecież i Władzia miała Marynę.

– Stach pomocy nie potrzebuje, a tobie się przyda... – zaczęła znowu bo strasznie chciała Władzię ochronić.

– Nie, tylko niech mama... – Władzia z trudem powstrzymała nowy potok łez. – Niech mama częściej przychodzi. Częściej...

I Bronka poważnie pokiwała głową, bo to było jakieś wyjście z sytuacji, żeby być bliżej ulubionej synowej i najgorszego syna, o którego tak się przecież modliła, tak prosiła Boga, że zapomniała poprosić, żeby jeszcze dobry był z niego człowiek.

– Dobrze, kochana, tak zrobię. Ale z Romanem porozmawiam o dalszej edukacji Florka, bo warto go posłać na jakiego czeladnika. Czyta ładnie, to by się fachu nauczył. Co ma z niego chłop prosty być. A Ignasia dalej będę uczyć, jak tylko... – tu przerwała i spojrzała z czułością na siedmioletniego chłopczyka, jasnego i spokojnego – ...z Romanem porozmawiam. Bo Ignas to może nawet nauczycielem zostać, taki jest mądry.

– Ja też jestem za tym, żeby Florka wysłać na jakieś terminowanie. Może do kowala? – zapaliła się Władzia. – Florek taki silny. Ale Roman się nie zgodzi...

Nagle cała nadzieja odeszła z jej twarzy, aż Bronce zrobiło się bardzo przykro.

– Porozmawiam z nim i ojca poproszę – Bronka złapała Władzię za rękę. – Nie martw się.

Synowa kilka razy pokiwała głową.

– Daj, z ziemniakami ci pomogę – zaproponowała, widząc przygotowane kartofle i nie zwracając uwagi na protesty, chwyciła za nóż i zaczęła szybko



obierać jeden po drugim, tak jak to robiła tysiące razy.

Władzia w milczeniu do niej dołączyła. Kartofle spadały do wody jeden po drugim, a Bronka rozglądała się po pomieszczeniu. Jak tu się zmieniło, pomyślała z zaciśniętym z żalu gardłem. Kiedy się tu wprowadzili, zanim urodził się Florek, wszędzie w domu leżały Władki koronki, obrusy, w oknach wisiały pięknie haftowane firany, których nie powstydzilby się pański dom. Teraz nic nie było, poza jedną serwetą na stole, na której stał słój ze świeżą wodą. Pięknego naczynia na wodę, które sprawiła im Bronka z Antonim i które tak się Władzi podobało, nigdzie nie było widać.

– Florek stłukł niechcący – wyjaśniła Władzia, jakby czytała w myślach Bronki.

Bronka pokiwała głową, chociaż wiedziała, że to nieprawda. Florek nie stłukł karafki, zrobił to najpewniej Roman i też wcale nie niechcący, tylko specjalnie, pewnie żeby Władzi dokuczyć.

– No to ziemniaczki obrane, a ja idę, bo Romana coś nie widać – orzekła i wstała. – Ale będę zachodzić regularnie, muszę z nim porozmawiać.

– Mama Stacha pozdrowi – powiedziała Władzia na odchodnym. – Piękna z nich para. Ona taka śliczna i dzieci dorodne... Oby szczęśliwi byli.

– Będą – Bronka uśmiechnęła się na wspomnienie synowej i zaraz chciała dodać, że przecież Stach nie taki jak Roman, ale się powstrzymała, żeby oliwy do ognia nie dolewać.

Wieczorem opowiedziała o wszystkim Antoniemu, a on wysłuchał jej ze złością wymalowaną na twarzy i zaciskał co chwila pięści.

– Ale co zrobić? – pytał, kiedy skończyła. – Co zrobić?

– Porozmawiać z nim trzeba – nakazała mu Bronka. – Tak nie może być. Przecież to się nie godzi. U nas w rodzinie nigdy tak nie było.

– Pije za dużo, ot i cała przyczyna – orzekł Antoni, a Bronka pokiwała głową z politowaniem.

– To mu przemów do rozsądku. Kto jak kto, ale ty chyba najlepiej byś to potrafił.

– Oj, Bronka – sapnął Antoni, a ona poklepała go po rękę.

– Wiem, że ty taki nie jesteś. I nie wiem, po kim Roman taki, ale trzeba coś z tym zrobić. Władka sierota i nie ma kto się za nią ująć. Siostra pewnikiem nic nie wie.

– Może wie – dumął Antoni.

– Jakby wiedziała, toby Marian Romanowi kości porachował. Żebyś ty widział, Antoni... – powiedziała po chwili milczenia z bólem w głosie. – U nich jak u biedaków. Przecież tak nie było...

Antoni ścisnął Bronkę za rękę i długo nie mógł potem zasnąć. Nic nie zauważył, zajęty swoimi sprawami, robotą i przeżywaniem żałoby po Wiesi Batalce. Bo kiedy się dowiedział o chałupie i ziemi, to mu znów wróciło i czuł się tak, jakby mu kto bliski umarł. Wytłumaczył też sobie, że musiał być jednak kimś ważnym dla Wiesi, skoro mu zostawiła wszystko, co miała. I krył się ze swoimi rozterkami, bo Bronka absolutnie nie mogła się o nich dowiedzieć. W domu przecież wszystko było dobrze. Roman, Władek, Kajtek i Stefek na swoim. Mały Stach też już żonaty, dzieciaty. Synowe wszystkie dobre, pracowite, ładne na dodatek, jedna ładniejsza od drugiej. Wnuki mieli, same chłopaki, ale przecież to dobrze. Według niego nie było się czym martwić. Wiedział, że Bronia jakoś szczególnie sobie Władzię upodobała, ale jego ulubioną synową była Kazia. Pewnie dlatego, że do Bronki taka podobna, przynajmniej z wyglądu. Też jasna, warkocze grube, zęby białe, oczy błyszczące, pracowita i skromna. Lubił jej wesołość, to, jak nadskakiwała Bronce, jak rywalizowała z Władzię o szczególne miejsce w Broninym sercu. Nigdy nie okazał, że jedną lubi więcej od drugiej, ale Kazię w głębi duszy wyróżniał. I Władek taki był wesoły, zadowolony, praca aż mu w rękach furczała. Jasiiek to był Antoniego ukochany wnuk. Miał nadzieję, że zdunem będzie. Kazia czytać nie umiała, podpisywała się tylko z imienia i nazwiska, ale nigdy nie chciała nauczyć się więcej. Za to Władka, jak wychodziła za Romana, też ledwie dukała, ale potem, z pomocą Broni, całkiem dobrze zaczęła czytać i pisała też nieźle. Może dlatego Bronka ją tak lubiła.

– Co ja mam powiedzieć Romanowi? – mamrotał do siebie, kiedy uciekł do obory, żeby tam popracować i pomyśleć o tym wszystkim.

Roman mu sprawy nie ułatwił, bo chociaż napić się lubił, to z ojcem do stołu usiąść nie chciał. Antoni zaszedł tam wieczorem i już miał się wycofać, bo zobaczył roześmianą Władzię, chłopców przy stole i Romana, który spokojnie jadł kolację, ale synowa go zobaczyła i zawołała.

– Ojciec do nas rzadko zachodzi – powiedziała z żalem.

– Przecież zaszedłem – przestąpił próg izby i pogłaskał dzieci po buziach. Pożałował, że nie wziął ze sobą ani cukru, ani nic, żeby dać wnukom. Ot, stary, zem nie pomyślał, zganił sam siebie.

– Proszę, proszę – zaprosiła go Władzia do stołu, a Roman wstał, przywitał się i wrócił do jedzenia.

– Przyszedłem pochwalić – powiedział, kiedy już Władzia mu naląła do kieliszka i podetknęła pokrojony chleb, ogórki kiszzone i słoninę.

– A co tu chwalić? – spytał Roman, wyraźnie zadowolony.

– Pole obronione, przygotowane do zimy, aż miło popatrzeć – powiedział Antoni. – Słonina i ogórki przednie.

Władzia zaczerwieniła się z radości.

– Chciałem też tu o jednej rzeczy powiedzieć... – zaczął, jak już zjadł i wychylił kilka kieliszków. – Że bym Florka na zduna widział.

Roman popatrzył obojętnie.

– Za młody – powiedział w końcu.

– Ale żeby w polu robić, to już nie za młody – zaprotestował Antoni.

– Mnie on tu potrzebny – uciął dyskusję Roman. – Sam nie obrobię pola.

– Można parobka nająć – zasugerował Antoni i zanim powiedział, że zapłacą za to chętnie z Bronką, Roman uderzył pięścią w stół i krzyknął do ojca:

– Nie. U mnie w domu po mojemu będzie!

Antoni pokiwał głową, do domu wrócił i Bronce powiedział, że nic nie wskórał, chociaż próbował.

– Miałeś go przekonać, a nie jeszcze gorzej zrobić! – denerwowała się żona.

– Mówiłem, że się starałem – odparł znużony, bo uświadomił sobie, że nie ma na syna żadnego wpływu, szacunku w nim nie wzbudza najmniejszego i to całe przekonywanie od początku było skazane na porażkę. – On mnie nie szanuje.

Bronka już chciała zaprotestować, ale uznała, że jednak Antoni miał rację. Było w tym nawet coś więcej niż brak szacunku. Roman ich nienawidził.

– Czemu to dziecko takie jest? – Bronka zaczęła płakać, a Antoni, który nie miał dla niej żadnej odpowiedzi prócz tego, że przecież Roman dorosły, nie dzieciak, nic nie mówił, tylko tulił ją do siebie.

– Może z księdzem porozmawiać? – spytał.

– Antoni... – Bronka otarła oczy.

Nie chciała rozmawiać o siniakach Władzi, o tym zabiedzonym domu i strachu wyzierającym z oczu Romanowej żony i dzieci ani z księdzem, ani z doktorem. Nawet w rozmowie między nią a Antonim słowo „bicie” nie padło. Ale Antoni wiedział.

– To pojedźmy do Częstochowy – powiedział nagle. – Tam się Najświętszej Pannie pokłonimy i ją o pomoc poprosimy.

Bronka już miała zaprotestować, bo czemu niby tamtejsza Paniienka lepsza od tej na ołtarzu w brwinowskim kościele, ale pomyślała chwilę i doszła do wniosku, że Antoni ma rację.

– Kazia z Władkiem wszystkim się tu zajmą, a my pojedziemy – zdecydowała. – Pokłonimy się, o radę poprosimy i będziemy się modlić, żeby co złego się nie stało.

– Za wszystkich się pomodlimy – dodał Antoni. – O zdrowie i szczęście dla całej piątki.

– Dla całej – westchnęła Bronka, chociaż postanowiła, że wyjątkowo swoje myśli i modlitwy Romana rodzinie poświęci.



Władzia dźwignęła się ciężko. Wczoraj po wizycie teścia Roman się wściekł i chociaż się nie odezwała słowem, wyładował na niej swoją złość.

– To ty za moimi plecami spiskujesz, suko? – spytał.

Uderzenia padały na jej twarz jeden za drugim. Zasłaniała się tylko, bo kiedy płakała i przepraszała, on złościł się jeszcze bardziej. I tak dobrze, że był pijany i nie bił mocno. Poza tym nawet nie szukał Floriana, żeby dociekać, czy dzieciak miał coś wspólnego z wizytą teścia.

– Nic nie zrobiłam wbrew tobie, nic – powiedziała, kiedy przestał.

– To i dobrze – stwierdził i usiadł przy stole, a ona podeszła do miednicy i umyła wodą twarz.

– Będzie, jak chcesz, Roman – zapewniła go.

Była zupełnie bezsilna i bezbronna. Zastanawiała się, jakim trzeba być człowiekiem, żeby tak pożądać i jednocześnie tak nienawidzić. Bo jedno i drugie czuła na sobie, jednego i drugiego nienawidziła. Ani tego pożądania, które ją zniewalało, ani tej nienawiści, która ją dusiła. Nikomu się nie skarżyła. Maryna nic nie wiedziała, nikt ich nie odwiedzał. Roman nie miał żadnych kolegów, ona prócz siostry – nikogo bliskiego. Podczas wizyty Bronki rozkleiła się i strasznie tego żałowała. Była pewna, że wszelkie próby rozmowy z Romanem, a już nie daj Boże jawne wzięcie jej i Florka w obronę skończy się jeszcze większym biciem.

Pierwszy raz uderzył ją, kiedy była w połogu z Ignasiem. Nie chciała mu dać, bo jeszcze ją wszystko bolało. Wprawdzie poród Ignacego był lżejszy, ale i tak długo dochodziła do siebie. Roman nie chciał czekać. Na próżno prosiła, przypominała, że Karwasiowa mówiła o sześciu niedzielach. Roman nie słuchał. Wtedy stało się coś dziwnego. Władzia, zwykle uległa i chętna, zacisnęła pięści i odwróciła głowę. Chciała, żeby zobaczył, że ona naprawdę nie chce, że nie powinien brać jej siłą. I stało się coś, czego z początku nie rozumiała. Roman nie mógł w nią wejść, po prostu nie mógł.

– Czarownica! – wrzasnął i uderzył ją.

Płakała zwinięta w kłębek, on poszedł do karczmy. Myślała, że kiedy wróci, to przeprosi. Ale tak się nie stało.

– Dostałaś swoje, suko – powiedział następnego dnia, ale wtedy jej nie tykał jeszcze przez dwa miesiące.

Potem wróciło bicie i branie jej siłą. Florek, małe dziecko, wstawił się za nią, ale potem zabraniała mu, bo oberwał gorzej jak ona.

Tak się cieszyła, kiedy Florek przyszedł na świat. Był taki piękny i taki do niej podobny. A Roman był zadowolony, bo syn.

– Dobrze się spisałaś, Władka – powiedział, jakby sama obsiała pole albo zebrała obfite plony.

Przyjęła jednak słowo „dobrze” i cieszyła się, że ją pochwalił. Bronka nie zostawiła jej wtedy samej, tylko przyszła, spała kątem i pomogła jej we wszystkim, chociaż Roman krzywo patrzył.

– Dziękujemy mamie, ale już nie trzeba – starał się jej pozbyć, a Bronka tylko machała ręką i odpowiadała:

– Trzeba. Kiedy zrobię swoje, pójdę.

To samo zrobiła dla Kazi, kiedy urodził się Jasiek, chociaż Władek tak Kazię kochał, że sam by wszystko przy niej i dzieciaku zrobił.

– Jak mama chce – burczał Roman i szedł w pole albo do karczmy.

Każdego dnia żałowała, że się z nim związała. Co wieczór modliła się do Matki Bożej o łaskę dla siebie i dzieci, o spokój, o to, żeby nie bił. Nigdzie nie chodziła, tylko na targ czasem, do rzeźnika, ale i tak był zazdrosny. Kiedy szła drogą, spuszczała głowę, na targu szybko kupowała, co trzeba i wracała, ale i mimo to bez końca wypytywał, kogo spotkała, z kim rozmawiała.

– Gapisz się na chłopów jak suka w rui – twierdził. – Każdemu byś dała, co?

Przełykała te straszne słowa ze świadomością, że nie zasłużyła na nie, że nie zrobiła nic, o co mógłby mieć do niej pretensje. Z czasem przestała brać je do siebie. Nauczyła się zapewniać go o swojej miłości i oddaniu, to zawsze nieco łagodziło ciosy. Florka też przyuczyła, żeby schodził ojcu z oczu, a jak dochodziło co do czego, to żeby przepraszał i obiecywał poprawę. Chciał jej bronić, ale nie mogła do tego dopuścić. Sama go

bronila i zasłaniała własnym ciałem. Wolała oberwać niż pozwolić, żeby uderzył dziecko. Nie zawsze się udawało.

– Chciałabyś każdego, tylko nie mnie, co?

– Kocham ciebie, Roman – mówiła znużona i tuliła się do niego.

Po urodzeniu Ignasia postanowiła, że nie będzie miała więcej dzieci. Nie po tym, jak popchnął kołyskę w złości i Ignasz wypadł na ziemię. Przeraziła się wtedy i modliła, żeby małemu nic złego się nie stało.

– Po co za mnie poszłaś, co? Żeby mnie dręczyć? – żalił się, a w niej kielkowała myśl, żeby skończyć ze sobą, żeby ukrócić tę mękę.

– Nie, Roman, nie... – odpowiadała żarliwie.

– Przecież ja wiem, że ty byś każdego wolała zamiast mnie...

Każdego, kto by mnie nie bił, odpowiadała w myślach. Każdego, kto by mnie szanował, powiedział dobre słowo, dodawała, ale wciąż zapewniała, że chce tylko jego, chociaż żadne z nich w to nie wierzyło.

– Przecież wiesz, Roman, że to nieprawda...

Jeszcze gorzej się zrobiło między nimi, kiedy Stach ożenił się z Kasią. Kasia śliczna, pracowita, z dobrej, bogatej rodziny. Zadzierała też nieco nosa, przynajmniej Władzia to tak odbierała. Roman Staszkowej wybranki serdecznie nie znosił. Według Władzi Kasia czuła się lepsza i od niej, i od Kazi. A może chodziło o co innego. Bo pierwsze, co się rzucało w oczy, to podobieństwo między nimi. Pierwszy na to zwrócił uwagę ojciec i niestety wyraził to głośno, w żartach, kiedy jedli w domu obiad po kościele.

– Jak patrzę na tę twoją Kaśkę, Stachu, to tak jakbym Władkę Romkową widział – roześmiał się, ale natychmiast umilkł, bo Stach i Władzia oblali się rumieńcami, a Roman zaczerwienił się ze złości.

Bronka pogorszyła sytuację, bo kopnęła Antoniego pod stołem, a on głośno spytał:

– Co to mnie kopiesz i kopiesz, Broniu?

– Żebyś głupot nie opowiadał – nakazała mu Bronka, mimo to Antoni jeszcze bardziej zaczął podkreślać uderzające podobieństwo między obiema dziewczętami, a na koniec powiedział:

– Nasz Stach zawsze lubił Władkę. Pamiętacie, jak świątka dla niej wyrzeźbił?

– Niech ojciec da spokój – poprosił go Stach i wreszcie Antoni przestał gadać, ale nic nie rozumiał i nie zrozumiał aż do końca, chociaż wieczorem próbował wypytać Bronię, czemu taka cisza przy stole zapadła. Dowiedział się tylko tego, że jest stary i głupi.



Stach gotował się ze złości. Władzia zajmowała szczególne miejsce w jego sercu. Była żoną Romana, owszem, ale to nie przeszkadzało, żeby Stach życzył jej wszystkiego najlepszego, robił najpiękniejsze kołyski dla jej dzieci i obsypywał brata i bratową owocami pracy własnych rąk, czyli komodą, łóżkiem, kredensem.

– Jakie to piękne, Stachu – zachwyciała się za każdym razem i dziękowała mu nie tylko słowami, ale uśmiechem, uwagą, gestami.

Początkowo często do nich zachodził, bo lubił patrzeć, jak krząta się po domu, nalewa mu lemoniadę, kroi chleb i wyciąga konfitury, nawet latem, kiedy były przecież świeże owoce. Lubiał patrzeć, jak bosymi stopami staje na stołku, żeby wyciągnąć słoik z najwyższej półki w kredensie.

– Niech wam dobrze służy – odpowiadał zawsze i planował, że zrobi kolejny mebel, żeby znów mieć pretekst do odwiedzin.

Roman nigdy mu nie podziękował. Przeciwnie, patrzył na niego niechętnie, jakby dary były mu nie w smak. Ale Roman za nic nie dziękował. Nawet kiedy matka z ojcem z Częstochowy wrócili i piękne poświęcone obrazki dla wszystkich przywieźli, Roman jedyny zachowywał się tak, jakby to co złego było. Ostatni święty obrazek powiesił i to chyba tylko dlatego, że Bronka stała w chałupie tak długo, aż wreszcie czas znalazł i gwóźdź w ścianę wbił.

– Jaki piękny – powiedziała wtedy Władka, a Bronka przyciągnęła ją do siebie i przytuliła. Stach odwrócił głowę, bo on też by tak chciał Władkę przytulić.



Kiedy zauważył pod okiem Władzi siniaka, nie wiedział, co powinien zrobić. Znał gwałtowność brata, ale sądził, że dotyczy ona jedynie chłopów w karczmie i braci. Nie przyszło mu do głowy, że Roman mógł podnieść rękę na tak łagodne stworzenie jak Władzia. Nie uwierzył w opowieść o oknie w oborze, które nagle otworzyło się pod wpływem wiatru, ale przestał ich wtedy odwiedzać, bo miał wrażenie, że Roman uważa go za intruza i boi się, że Stach może zagrozić jego małżeńskiemu szczęściu. Zastanawiał się potem, czy słusznie postąpił, ale nie miał się kogo poradzić. W tym czasie był również zajęty swoimi sprawami. Zocha, ta, co dawała wszystkim, oświadczyła, że spodziewa się ze Stachem dziecka, a kiedy ten już miał unieść się honorem i ożenić się z nią, wyśmiała go i powiedziała, że to nieprawda, to było tylko dla śmiechu. Co Stach wtedy przeżył, to jego. Ale to było, zanim poznał Kasię. W Kasię się zakochał, bo była podobna do Władki, a jednocześnie stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. Taka podobna, a taka różna. Tego właśnie chciał. Uznał, że Władka Romka, a jego Kasia będzie. I kiedy jej przysięgał przed ołtarzem, a potem tańczył z nią do upadłego, był szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy. I wierzył, że przed nimi spokojne, dostatnie życie wypełnione śmiechem dzieci, jego pracą w stolarni, pachnące jaśminem, który posadził koło domu, i upieczonym przez Kasię chlebem.

Odsunął się wtedy od Romana i Władki, zajął własną rodziną. Chatę w trymiga postawił, z pomocą Władka i ojca, więc zaraz na swoim byli. Szybko też wyszykował warsztat stolarski. Od razu miał zamówienia na meble, bo we wsi był tylko jeden stolarz, Franciszek Cheda, i nie nadążał ze wszystkim. Wprawdzie miał trzech synów i dla nich warsztat szykował, ale jednego bale w tartaku przygniotły, drugi nie chciał być cieślą i kowalem został, a trzeci, najmniej zdolny, pomagał ojcu, ale wiadomo było, że po śmierci starego warsztat podupadnie i nowy cieśla będzie we wsi potrzebny. Był jeszcze Muraszew, ale nikt z Polaków od niego nie zamawiał, bo z Ruskimi trzymał. A podły był przy tym strasznie, najgorszy w całej wsi. Jak kto mu na odcisk nadepnął, to zaraz mógł się spodziewać grzywny czy aresztu. Wiele nie mógł, bo zaborcom, którzy w Brwinowie siedzieli,

dobrze było, dostawali, co chcieli, na czas i dbano, żeby nigdy im bimbru nie zabrakło, ale co Muraszew krwi ludziom napsuł, to jego.

W każdym razie Stach od razu we wsi zasłynął, że dobrze i solidnie robi. Zaraz też go ojciec polecił w Książenicach i tam zrobił panu Mackiewiczowi szafę i piękny stół z krzesłami, a potem to już wieść poszła, że w Brwinowie stolarz znakomity i nie trzeba do Warszawy po meble jeździć. Niedługo się do niego Tobolkowie zgłosili, Ujazdowscy, Nowosielscy i nawet Marylscy, żeby też ich pokoje powypełniał meblami. Stach miał zatem roboty mnóstwo, ale cieszyło go to bardzo, bo lubił pracować.

Kasia się zadomowiła i swoje porządki zaczęła wprowadzać. Pięknie szyła i haftowała, więc zaraz w oknach zawisły firany, stół został ozdobiony ślicznym obrusem, a na łóżku pyszniła się kapa, wykonana z wełny, którą Kasia własnoręcznie uprzedła i pofarbowała na różne kolory. Wieczorami, kiedy wracał z warsztatu, siadał z nią przy stole i słuchał jej opowieści o tym, co robiła w ciągu dnia. Sam nie lubił dużo mówić, więc się cieszył, że mu się trafiła kobieta, która mówi za dwoje. Żał mu tylko było, że Kasia mało się do jego matki garnie. Kazia i Władka tak Bronkę kochały, że aż go zazdrość brała, kiedy patrzył, jak starają się jej przywiązanie okazać. Kasia wprawdzie zawsze okazywała teściowej szacunek, przynosiła ciasto, częstowała konfiturami, ale nigdy nie spytała, czy mogłyby razem wiśnie drylować albo ogórki kisić. A kiedy Bronka zapraszała, bo przecież zawsze z Kazią i Władzią do kiszzonek i konfitur siadały, to Kasia się wymawiała, że ona już wszystko zrobiła albo że ma inną zaplanowaną robotę. Stach to widział, ale nie chciał się wtrącać, chociaż Kazia nie raz i nie dwa mu gadała nad głową, że kto to widział się tak odsuwać od rodziny. Chciał nawet na ten temat z żoną zagadać, ale kiedy tylko zaczął, Kasia cała się spięła i zaczęła pytać, co mu tak zależy, żeby ona z Władką się przyjaźniła. Wycofał się wtedy od razu, bo przecież było coś na rzeczy, nie chciał, żeby jego tajemnica wyszła na jaw. Wolał myśleć, że Kasia nie jest o Władkę zazdrosna, bo też nie miała żadnego powodu, tylko nie chce między dwie szwagierki wchodzić ani teściowej się przymilać. Jak się Tadzik urodził,

a rok później Wacuś, to się nieco stosunki między Kasią a Bronką i Władzią ociepliły, bo po porodzie i jedna, i druga bardzo im przy dzieciach pomogły i okazały Kasi dużo serdeczności. Kasia też jakby bardziej Winna się wtedy zrobiła, co z kolei Kazi nie pasowało, ale pewnie Kazi o to szło, że i Władka, i Kasia swoje dzieci miały, a oni z Władkiem wciąż nic. A jak już Andzia do Brwinowa przyjechała, to wszystko się ułożyło bardzo ładnie, chociaż z początku Stach był dziewczynie przeciwny, ale nie wtrącał się w matki i ojca sprawy. Bo Andzia to była jakaś Bronina krewna, ale taka, o której nikt nie słyszał, jak to wyjaśniła im matka, „jeszcze z Wielichnowskich od Władysława IV”. Stach nic swoim zwyczajem nie powiedział, kiedy ich wszystkich Bronka u siebie zebrała i zaczęła tłumaczyć, mętnie jakoś, jak nie ona, że dziewczyna w potrzebie, sama na świecie i na zatracenie pójdzie, jak nie przyjmą. Władek wtedy spytał, cóż to za tajemnicza kuzynka i rodzina, o której nigdy nikt nie słyszał, a Roman dodał, jak to on, żeby nie sprowadzać do domu byle kogo, bo przypałała się jaka przybłęda, która się na krew powołuje, a potem rodzinie gardła we śnie poderżnie. Od razu było wiadomo, że Roman nikogo do domu nie przyjmie, bo nie chce i koniec. Władek z Kazią po sobie spojrzeli, a wtedy Kasia się odezwała, nawet go nie pytając, że przecież oni mogą dziewczynę wziąć. Przy chłopcach potrzeba pomocy, ona sama przecież w domu, bo Stach cały dzień w warsztacie, argumentowała. Bronka spojrziała wtedy na synową ze zdumieniem, bo nie liczyła na żadnego z synów i dziewczynę do siebie chciała wziąć. Stach przytaknął, bo w końcu Kasia miała rację, pomoc się przyda. Wszystko zatem ustalili ku uldze Władka i Antoniego, który też nie wiedział, skąd to ta Andzia się w Bronki rodzinie wzięła. I przyjechała taka bida z warkoczem, cicha i pracowita. Od pierwszej chwili Kasię, Stacha i chłopaczków pokochała, w domu wszystko robiła, w polu pomagała, tylko do warsztatu Stach Andzi nie wpuszczał, bo to było jego królestwo. I tak sobie w spokoju żyli, po bożemu, dzień za dniem. Chłopaczki rosły, Kasia piękniała, o trzecim dziecku mówili, tylko nie przy Kazi i Władku, dopóki i oni nie ogłosili szczęśliwej nowiny. Władkę widywał rzadko, głównie przy świętach. Nie zachodził już do nich, bo wierzył, że każdemu inny los pisany i nie ma co spoglądać wstecz. Czasami zastanawiał się, w co

wierzyła Władzia. Przypominał sobie jej wzrok, kiedy przyjmowała go w domu, który z roku na rok był coraz bardziej zaniedbany, i uśmiech, który gościł na jej pięknych wargach coraz rzadziej, aż zupełnie zgasł. Patrzył na swoją piękną żonę i bogaty dom i czasem tylko brały go wyrzuty sumienia, że pewnie przygarnięta Andzia ma lepsze życie niż Władzia z Romanem. Mój Boże, myślał, co ja powinienem zrobić? Jak pomóc jej i chłopcom?

I choć wszyscy Winni o tym dumali, każdy z osobna, bo nigdy razem, to nikt nic nie zrobił z Władzi podbitymi oczami i strachem w oczach dzieciaków. Bo nikt nie przewidział, jakie z tego może być nieszczęście.



– Roman, dach przecieka – powiedziała Władzia stanowczo, bo już którąś noc nie spała, tylko wstawiała co i rusz, żeby wylać miednicę wody na podwórze.

– Naprawię – odburknął, ale nie wyglądało na to, żeby szybko słowa dotrzymał.

– Roman, proszę – nie ustępowała. – Przejaśniło się na krótko, a wieczorem znów będzie padało. Mama mówi, że ją w kościach łupie na deszcz.

– Nic jej nie łupie. Kości ma zdrowsze ode mnie i od ciebie – wymamrotał pod nosem, ale wstał i poszedł do szopy po narzędzia. Widocznie uznał, że Władzia ma rację albo spadające krople i jemu przeszkadzały w spaniu.

Faktycznie cały dzień siedział na dachu i łątał wszystkie te miejsca, które przepuszczały wodę, klnąc przy tym, że dostała mu się gorsza chałupa niż ta Władkowa.

– U Władka nie przecieka! – zżymał się. – Ojciec i matka lepszą mu dali!

– Przecież tamta chałupa mniejsza i starsza – przypominała Władzia, która stała pod drabiną na wypadek, gdyby Roman czegoś potrzebował.

– Ale dach solidniejszy – denerwował się.

Władzia odsunęła się na bok, bo Roman zrzucił z góry snopek przegniłej słomy i mało jej nie trafił w głowę.

– Dostałeś po starszeństwie lepszą... – przypomniała.

– Co ty tam wiesz – mruzczał. – Ja zawsze wszystko gorsze miałem.

Westchnęła, bo uznała, że „gorsze” to i o niej mowa. Kazia, nawet biedna, była bogatsza od niej, podobnie jak żony Kajtka i Stefka, chociaż tę ostatnią widziała ze dwa razy w życiu, w tym raz na weselu. A z Kasią, która wyszła za Stacha, to już w ogóle nie chciała się mierzyć, bo i ładniejsza, bogata, gospodarna, ślicznie haftowała i szyła, przędła i tkęła. Władzia już dawno pochowała swoje serwety i hafty, bo Romanowi przeszkadzały. Nic też nie zrobiła nowego, bo ilekroć widział ją z igłą w ręku, krzyczał, że jest darmożadem. Wszelkie argumenty, że przecież mogłaby sprzedać te serwety i chusty na targu, byliby chętni, a jakże, zbywał kpinami albo złością. I już dawno Władzia była najbiedniej ubrana, najgorsza, a jej dom najuboższy.

– To nieprawda! – powiedziała ze złością i pożałowała, bo Roman gotów w złości z dachu zejść i nic nie naprawić.

– Nie mogę znaleźć... – zżymał się.

– Może poproś któregoś z braci, żeby ci pomogli? – sugerowała.

– A którego mam poprosić? – pytał. – Pewnie Stacha byś tu chciała sprowadzić?

– Stach jest dobrym stolarzem i swój dom zbudował z Władkiem. Władek by ci też chętnie pomógł, i Kajtek.

– Nikogo nie będę prosił – zarzekał się. – Już mam... – oznajmił nagle, a ona ucieszyła się, że znalazł pod słomą spróchniałą deskę i wymieni ją na nową.

– Roman, nie proś, tylko powiedz, że trzeba ci drugiego do pomocy... Przecież samemu ciężko pracować na dachu.

– Zajmij się swoją robotą, Władka! – krzyknął w końcu.

– Dobrze, idę do domu – oznajmiła.

Miał rację. Po co ma się w ogóle odzywać.

– Wódki mi przynieść – zażądał.

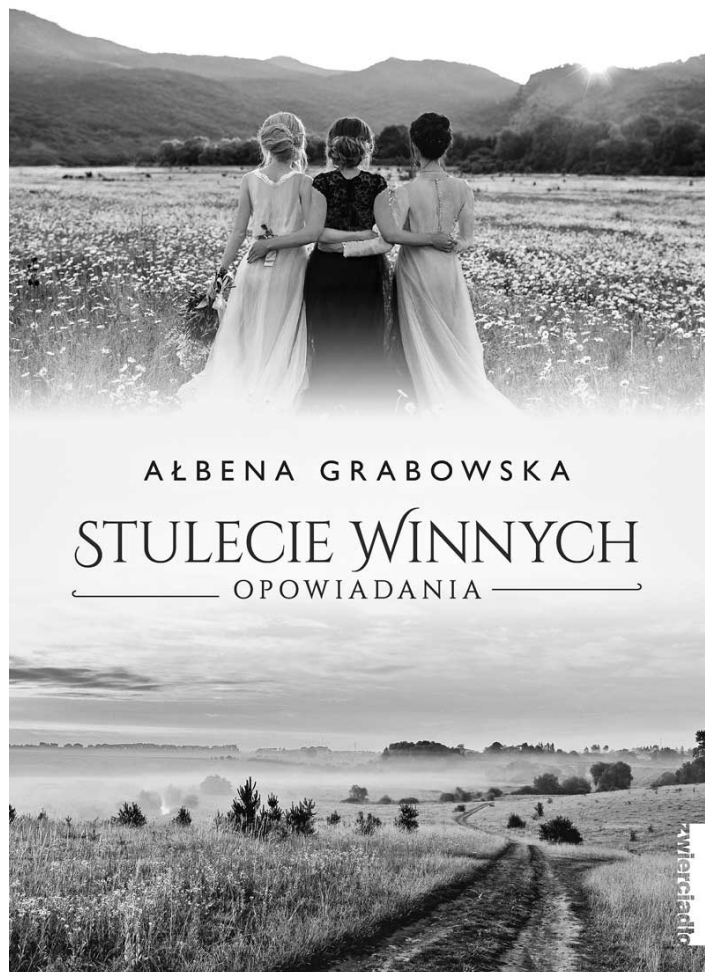
Nie protestowała. I tak by się napił, a jej awantura nie była potrzebna. Zniosła mu, weszła na drabinę i mało z niej nie zleciała, bo źle była umocowana do podłoża. W dodatku jeden ze szczebli pękł pod jej stopą z cichym trzaskiem.

– Może ja bym po Władka poszła, bo zaraz ciemno będzie... – poprosiła po raz ostatni, dając szansę losowi, ale Roman po raz kolejny kazał jej cicho siedzieć albo wracać do domu.

Zeszła więc, pilnując, żeby nie dotknąć stopą uszkodzonego szczebła. Popatrzyła w górę. Nadchodził zmrok i nie było widać pęknięcia. Kiedy tylko Roman postawi na nim nogę, szczebel pęknie. Tylko czy to wystarczy, myślała gorączkowo. Na ziemi znalazła spory kamień i podłożyła go pod jedną z pionowych belek. Przeżegnała się pod chybotliwą drabiną. Ręce jej drżały. Z bijącym sercem poszła do domu i uklękła do modlitwy.

– Przebacz mi, Najświętsza Panno – szeptała do obrazu, który dostała od Bronki i Antoniego. – Będę przeklęta.

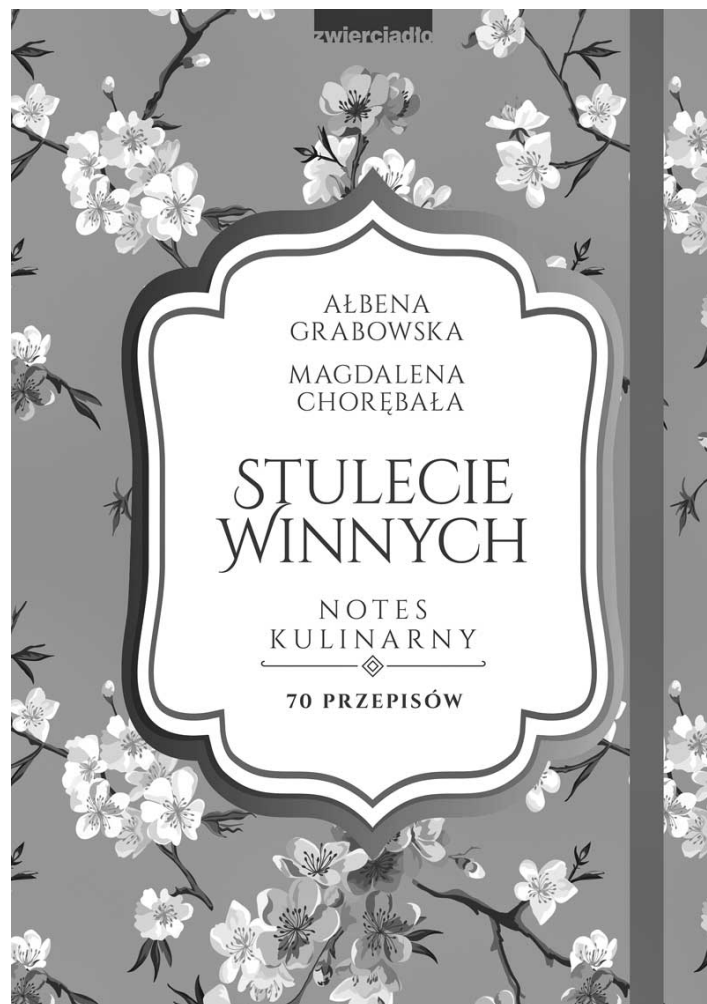
A kiedy krzyk Romana przeszył noc, zmówiła modlitwę za jego duszę, która, miała nadzieję, ulatywała właśnie w zaświaty. Okryła dzieci starannie pierzyną, zdmuchnęła świecę i po raz pierwszy od wielu miesięcy zasnęła spokojnie.



## POWRÓT DO ŚWIATA RODZINY WINNYCH

Osiem opowiadań z życia członków rodziny Winnych oraz innych mieszkańców Brwinowa.

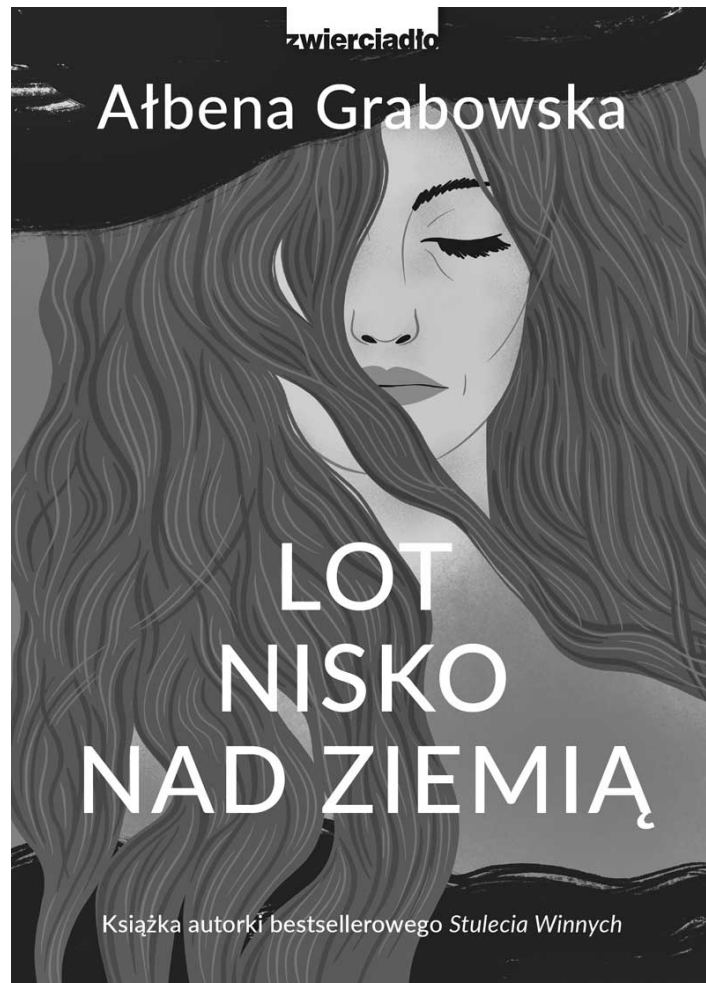
W jednym z opowiadań przeczytamy o dramatycznym przebiegu Wigilii w 1943 roku, w kolejnym poznamy losy Kazimierza, męża Ani. Co więcej, jedna z historii opisanych w książce wydarzyła się naprawdę...



## POZNAJ KULINARNE TRADYCJE RODZINY WINNYCH

**W kulinarnym notatniku Winnych znaleźć można przepisy na staropolskie potrawy jadane na Mazowszu w pierwszych dekadach XX wieku oraz na kultowe potrawy z „chudych” lat PRL-u. Nie zabraknie również włoskich inspiracji przywiezionych prawie 90 lat temu przez Guida z dalekiej Sycylii oraz wspaniałych tradycyjnych przepisów na Wielkanoc i Boże Narodzenie.**





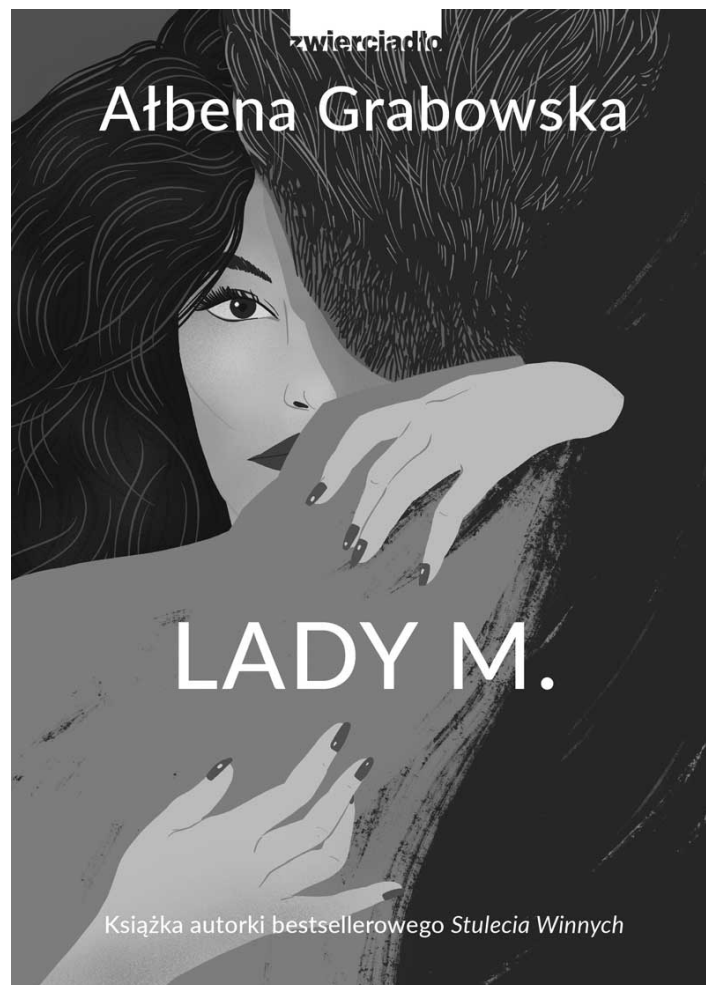
## STUDIUM POWROTU DO ŻYCIA PO TRUDNYCH ŻYCIOWYCH DOŚWIADCZENIACH

**Weronika dorasta w czasach, w których lepiej się nie wyróżniać i nie marzyć. Mimo to, realizuje pragnienia: pracuje w wymarzonym zawodzie i spotyka miłość, o jakiej marzą wszystkie kobiety. Dochodzi jednak do tragedii – mąż Weroniki ginie w wypadku. W jednej chwili świat kobiety rozsypuje się w proch. Czy uda się jej stworzyć nowy?**



## TRZY KOBIETY. TRZY SPOSOBY NA ŻYCIE. JEDNA TAJEMNICA

**Lena, Maria i Alina. Trzy kobiety, które dzieli tak wiele, że nie powinny mieć ze sobą nic wspólnego. Nie wiedzą o sobie, ale połączone są niewidzialną nicią. Każda ma za sobą przeszłość, o której wolałyby zapomnieć. Każda z nich stoi na własnym, życiowym zakręcie. Muszą dokonać wyboru i to robią.**



## FASCYNUJĄCA PODRÓŻ PO MROCZNYCH ZAKAMARKACH KOBIECEJ DUSZY

**Opowieść o małżeństwie, którego życie zmierza ku nieuchronnej katastrofie. Chorobliwie ambitna żona i mąż, który nie dojrzał do roli głowy rodziny, od długiego czasu toczą grę pozorów, by zachować kontrolę nad wspólnym życiem. Jednak tłumione od lat uczucia muszą znaleźć ujście. Tragedia wisi w powietrzu. Kto zapłaci za popełniony błąd?**

zwierciadło



ALBENA GRABOWSKA

## STULECIE WINNYCH

**Tom 1. Ci, którzy przeżyli**

**Tom 2. Ci, którzy walczyli**

**Tom 3. Ci, którzy wierzyli**

Książki dostępne na [sklep.zwierciadlo.pl](http://sklep.zwierciadlo.pl)